

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/568-2/569 1995



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. POMIANOWSKI: **RUSKI MIESIĄC
W WARSZAWIE**

L. UNGER: **STRACHY NIE NA LACHY**

W. WOROSZYLSKI:

KTO SIĘ BOI JACKA KURONIA ?

L. KOŁAKOWSKI: **NASZA SPRAWA WIECZNA
Z JEZUSEM**

SPIS RZECZY

Jerzy Pomianowski:	<i>Ruski miesiąc w Warszawie</i>	3
Ewa Łętowska:	<i>Konstytucja: dla ludzi czy elit politycznych?</i>	20
Tadeusz Chrzanowski:	<i>Filozofia Fensterguckera</i>	36
Wiktor Woroszyński:	<i>Kto się boi Jacka Kuronia?</i>	48
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Martwy Chrystus</i>	58

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Strachy nie na Lachy</i>	63
----------------	-----------------------------------	----

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>W partiach i na plebanii</i>	82
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	90
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	102

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Leszek Kołakowski:	<i>Nasza sprawa wieczna z Jezusem</i>	109
Dominik Morawski:	<i>Działalność l'Eglise en Détresse</i>	113

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	116
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Przez Królewic do Kłajpedy</i>	122
Z.S. Siemaszko:	<i>Wilno i Lachowszczyzna</i>	136
Andrzej Vincenz:	<i>Notatki węgierskie</i>	144

KRONIKA KULTURALNA

Tadeusz Drewnowski (oprac.):	<i>Z dzienników Marii Dąbrowskiej, 1945-46</i>	150
Piotr Daszkiewicz:	<i>Polscy badacze ukraińskiej przyrody</i>	162

CI, CO ODESZLI

Jerzy Pietrkiewicz:	<i>Bogumił Andrzejewski (1922-1994)</i> ...	173
Bogusław Włodawiec:	<i>Melchior Wańkowicz</i>	178

KSIĄŻKI

Piotr Wandycz:	<i>Spór o PRL</i>	187
Katarzyna Bzowska:	<i>Ocalanie przeszłości</i>	200
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	203

NOTATKI REDAKTORA	205
-------------------	-------	-----

POLEMIKI

Jan Nowak-Jeziorański:	<i>Spór o Powstanie Warszawskie</i>	208
------------------------	---	-----

•

—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kronika kanadyjska</i>	215
---	--	-----

•

R. Kaczmarek, J. Kwieciński, J. Lewandowski, J. Moskała, A. Ziółkowska-Boehm:	<i>Liście do Redakcji</i>	219
---	---------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty-Janvier/Février 1995

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Edward Abramowicz, Milwaukee, WI (USA), po raz 2-gi — Dol. 321,00	F. 1.733,00
Andrzej Balko, Wiedeń — Sch. A. 500,00	F. 235,00
H.M. Arter, Padstow, NSW (Australia)	F. 300,00
Bezimiennie z Vancouver, BC (Kanada), po raz 28-my — Dol. 34,00	F. 184,00
Inż. Mieczysław Bornek, Toronto, ON, po raz 27-my	F. 540,00
Maria Teresa i Aleksander Bragiński, Jülich (Niemcy), po raz 44-ty	F. 600,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton, po raz 25-ty — Dol. 500,00	F. 2.700,00
Stefan J. Ginilewicz, Bakersfield, CA (USA), po raz 17-ty — Dol. 33,00	F. 179,00
Jacek Hejnar, St. Hubert, Que (Kanada), po raz 6-ty — Dol. can. 60,00	F. 234,00
K. Laski, Wiedeń, po raz 23-ci	F. 300,00
Jerzy Lipschitz, Göteborg (Szwecja)	F. 200,00
Mila i Emanuel Łopatto, Florencja (Włochy) — zamiast kwia- tów w 6-tą rocznicę śmierci Przyjaciela, Witolda Zahor- skiego	F. 300,00
Tadeusz Maczyński, Des Plaines, IL (USA), po raz 18-ty — Dol. 27,00	F. 146,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 10-ty	F. 100,00
Janusz Morkowski, Rapperswil (Szwajcaria), po raz 2-gi	F. 100,00
Tadeusz Płodowski, Montclair, NJ (USA), po raz 27-my — Dol. 38,00	F. 206,00
Irena i Andrzej Pleszczyński, Santa Barbara, CA (USA), po raz 26-ty — Dol. 89,00	F. 480,00
Stefan Henryk Rosé, Paryż, po raz 16-ty	F. 1.400,00
Elżbieta Rybczyńska, Boulogne (Francja), po raz 5-ty	F. 1.000,00
Helena Starkiewiczowa, Melbourne (Australia) w pierwszą rocznicę śmierci Męża, Mieczysława	F. 200,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 35-ty — Dol. 51,00	F. 275,00
Prof. Jerzy A. Wojciechowski, Ottawa, ON (Kanada), po raz 3-ci	F. 70,00
Dr S. Wowczak, Wedemark O.T. Brelingen (Niemcy), po raz 15-ty	F. 70,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż — W 50-tą rocznicę rozbrojenia przez armię sowiecką, dnia 17 stycznia 1944 r., w Radoszycach, oddziału partyzanckiego 2-go batalionu 25-go p.p. A.K., którym dowodził Józef Wyrwa, pseudonimy „Stary”, „Furgalski”	F. 400,00
Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 30-ty — Dol. 1.000,00	F. 5.400,00
Wanda Zandecka, Hässelby (Szwecja)	F. 70,00

Ciąg dalszy WPLAT na str. 224

1995 5 1046

BIBLIOTEKA
BN
P.9786 Chr. Arch.

Ruski miesiąc w Warszawie

W Warszawie ruski miesiąc zaczął się 23 października 1994 gdy przybył tam pociąg nr 15, w skład którego wchodziły 3 wagony relacji Moskwa-Akwizgran. To co w nich zaszło, nie zwróci może uwagi historyków, niemniej warte jest zastanowienia.—Było to jedno z tych wydarzeń, które w nagłym błysku pozwalają dostrzec, co naprawdę się dzieje na rozległych i ciemnych obszarach. Obszar stosunków polskorosyjskich nasi politycy uznali za pole, któremu należy się ugorowanie. Okazało się, że jest to już pole minowe.

Podobne migawki więcej mówią od pozowanych zdjęć. Kto widział w 67 roku mecz hokejowy ZSSR-CSRS, transmitowany przez Interwizję, nie zapomni łomotu kijów o żebra i mściwych szturchańców, jakie spadały na Czechosłowaków, ilekroć któryś z nich poważił się wbić krążek w bramkę masywnych rywali. Jeszcze nie było żadnego Dubczeka, na nic się w ogóle nie zanosilo i nie od tego meczu się zaczęło, ale wszystkiego już wolno się było spodziewać, gdy w blasku reflektorów nagle stało się jasne, na czym polega druźba narodow.

Otóż istnieje powód, dla którego nastroje społeczne w naszych stronach znaczą dzisiaj o całe piekło więcej, niż w tamtych latach.

Na Dworcu Wschodnim telewizji nie było. Zgiełk komentarzy, domysłów i prasowych redundancji do tego stopnia zamącił wymowę faktów, że trzeba je teraz pokrótce przypomnieć.

Pociąg nr 15 wjechał na dworzec o 17²⁵, według rozkładu. Odjechać miał o 19¹⁰. W międzyczasie do wagonów weszło bez przeszkód koło tuzina cywilów w skórzanych kurtkach. Okazując wrodzoną znajomość rosyjskiego oraz broń krótką, ograbili metodycznie przedział po przedziale; wykazali się też dokładną znajomością deklaracji dewizowych, złożonych przez pasażerów na polskiej granicy. W trakcie tej operacji 3 wagony przetoczono na boczny tor, aby je potem przyłączyć do pociągu Warszawa-Bruksela. Gdy panowie w kurtkach opuścili bez żadnego kłopotu wagony, ograbieni wezwali policję. Trzej funkcjonariusze komisariatu kolejowego nie tracili czasu na pościg; dla wszczęcia śledztwa konieczne im było pisemne zażalenie poszkodowanych z możliwie dokładnym rysopisem napastników, opisem zajścia i spisem zagrabionych walorów. Pasażerowie zażądali przybycia rosyjskiego konsula. Dowiedzieli się po chwili, że konsulat czynny będzie od 8⁰⁰ następnego ranka, teraz zaś dyżurny nie może oderwać się od telefonu (nr 621-59-54). Aleksander Steub, Niemiec z Kazachstanu, dyrektor kopalni, pociągnął wówczas za hamulec bezpieczeństwa. Jego śladem poszli inni ograbieni, sądząc widocznie, że pociąg nie powinien odjechać tak, jakby nic w Warszawie się nie stało. Odmiennego zdania byli policjanci. Na wieść o wykroczeniu, 29-ciu strażników porządku wkroczyło do akcji, stosując środki przymusu bezpośredniego w postaci pałek i miotaczy gazu łzawiącego, jak również łomów do wyważania zatrzaśniętych drzwi przedziałów. W rezultacie tych zabiegów pociąg odjechał o 20¹⁵, tj. z przeszło godzinnym opóźnieniem. Na peronie zostało w kajdankach 6-ciu pasażerów, nasamprzód ograbionych przez rodaków, a później spalowanych do krwi przez polską policję. Zatrzymano ich w areszcie na 48 godzin, nie powiadamiając o tym konsulatu. Oskarżeni z artykułu 36 ustawy z 2 XII 1960 o regulaminie PKP, zwolnieni zostali przez kolegium ds. wykroczeń tylko na skutek „braku możliwości indywidualizacji winy”.

Takie były fakty. Rosyjskie komentarze z początku sprowadzały się do wyrzutów, którym nie sposób odmówić słuszności. Najdotkliwszy znalazł się w *Izwiestiach*, w korespondencji Kornilowa: „Ciekawe jakby zachowali się polscy strażnicy porządku, gdyby w takiej sytuacji znaleźli się pod różni amerykańscy, niemieccy czy japońscy? A jak zareagowaliby Polacy, gdyby grupa ich rodaków padła ofiarą takiego bestialskiego pobicia w Rosji?” Ambasador w Warszawie, Kaszlew, oznajmił 26 X, że polska policja stworzyła rajskie

warunki dla rosyjskiej mafii, trzymając się zasady: „Toć wasi grabią swoich, po co mamy się wtrącać?” Tego dnia rosyjska TV pierwszy raz pokazała ofiary incydentu. Charakterystyczne, że Aleksander Solżenicyn, przemawiając w Dumie 28 X, ani słowem nie wspomniał o Polsce, choć mówił, że naród w ogóle wstydzi się własnej bezsilności i wini za nią rząd.

Rząd ten dopiero 29-go zażądał przeprosin, ukarania dworcowych policjantów i odszkodowania dla pasażerów. 1-go listopada odwołano zaś (parokrotnie już przekładaną) wizytę premiera Czernomyrdina w Warszawie na czas nieokreślony, tj. aż do uzyskania żądanej satysfakcji. Wreszcie — dnia następnego Jelcyń podpisał dekret, dotyczący obrony interesów przedstawicielstw i obywateli Federacji Rosyjskiej za granicą „w sytuacjach wyjątkowych”. W sytuacjach takich — powiada dekret — prezydent podejmuje decyzje odnośnie „zastosowania sił i środków, koniecznych dla zabezpieczenia ewakuacji obywateli rosyjskich”.

Odwołanie wizyty i użycie w dekreście złowróbnego w swojej dwuznaczności zwrotu spowodowały wypłynięcie kwestii stosunków z Rosją na pierwsze strony krajowych dzienników. Był to jedyny, jak dotąd, dodatni skutek wstydliwego epizodu.

Reakcje polskiej opinii cechowała od pierwszej chwili gorsząca małość, działania zaś władz — bezradna niezręczność. Ich głównym źródłem — jak to spróbujemy wykazać — jest powszechny brak jasności co do zadań, celów i możliwości polskiej polityki wschodniej. Więcej — brak zrozumienia, że to kwestia dla nas gardłowa. Ale sposób i poziom argumentacji sam przez się budził tęgi niepokój.

Polemika lekceważyła nie tylko incydentalny powód, lecz istotę konfliktu. Przeważnie była nierzetelna, daleka od zwyczajnego mówienia prawdy w oczy innym i sobie samym, zwyczajowi, który niektórzy zaliczają do polskiej tradycji. Górowały w niej pretensje. Pierwsza — że to Rosjanie mają właśnie pretensje do Polaków — słuszne, czy niesłuszne, to mniejsza. Taka *Gazeta Polska* ten chwyt stosowała dotychczas tylko do Żydów, teraz dała tytuł „Moskal straszy” na pół pierwszej kolumny i całą rozkładówkę poświęciła rocznicy rzezi Pragi. Po drugie — że to nie pierwszy wypadek, więc skąd taka mocna reakcja? Tak jakby tolerowanie licznych precedensów tej grabieży nie pogrążyło jeszcze naszej pozycji.

Po trzecie — że to przecież Rosjanie grabią Rosjan, więc o co chodzi? Tak jakby podobne stanowisko nie oznaczało — a tu kończą się żarty — że polska policja, że polska władza rzeka się suwerenności na polskim terenie działalności rosyjskich bandytów.

Z kolei dział „Telefoniczna Opinia Publiczna” w *Gazecie Wyborczej* wydawał się drukowany nie w listopadzie 1994 r., lecz w sierpniu 1920. Wśród zwrotów, kwitujących rosyjskie żądania przeprosin, najczęściej powtarzał się termin „bezcelność”. Wprowadzenie wiz i ograniczeń wjazdu dla Rosjan było najczęstszym żądaniem polskich czytelników.

Zaraz po Święcie Zmarłych wrócili więc z cmentarzy stare nasze upiory. Marsowy Mroziewicz przeprowadził w TV debatę, podczas której tylko Drawicz nieśmiało perswadował, że policjanci nie powinni raczej bić ofiar napaści, że jednak stała się rzecz smutna i że nie warto dąć w dudkę urażonej godności narodowej, bo to konfliktu nie zażegna. Istotnie, w tę dudkę dmą z obu stron. I co znamienne — obie strony przywołują na pomoc precedensy, wspomnienia, krwawe rocznice i inne zaszczości, co jest ważnym dowodem braku lepszych, a chwytliwych idei i programów.

W harmidrze nie trafiły do uszu najprostsze stwierdzenia. A to, że 8 mln. obywateli b. ZSSR wjeżdża rocznie bez przeszkód i wiz do Polski, a to że pół miliona Rosjan pracuje w Polsce na czarno i jakoś nie słychać żeby im Polacy robili wstręty. Nikomu, prócz Urbana, nie strzeliło do głowy, iż Rosjan pobito i aresztowano na Dworcu Wschodnim dlatego, że „do Polski przyjeżdżają tłumnie Rosjanie ubożsi od tubylców”. Przecież od chwili, gdy na ulicach, stadionach i placach targowych spotyka się Rosjan nie w mundurze, tylko w szaraczkowym cywilu, stosunek tubylców do nich raczej się poprawił — jest ludzki, zwyczajny. Bo inaczej — skąd te tłumy? Wśród Rosjan (i obywateli WNP w ogóle), stających przed polskim sądem, trzy czwarte występuje tam w charakterze ofiar. Najczęściej — ofiar własnych rodaków.

Z tym wszystkim, politycy rosyjscy uznali wypadek na dworcu za znakomitą okazję i wykorzystali ją maksymalnie. Warto wiedzieć, co na tym chcieli zyskać, nie należało jednak temu się dziwić. Bez tej umiejętności trudno zostać rajcą gminnym. „Sami ułatwiliśmy Rosjanom takie wykorzystanie

tego incydentu” — stwierdził roztropnie poseł PSL Samborski w *Rzeczypospolitej*.

Korzystając z podobnych okazji, niemało zysku przysporzyli swojemu państwu dyplomaci tacy, jak Czartoryski, Nesselrode, Gorczałow, Cziczerin, Litwinow. „Drętwa mowa Mołotowa” jest to zwrot dotąd w Polsce przysłowiowy, ale z każdego podręcznika powojennej historii wynika, że wielogodzinne tyrady tego jegomościa w ONZ istotnie były ważną częścią systemu obronnego ZSSR w okresie, gdy kraj ten nie miał jeszcze własnej bomby atomowej i nie mógł przejść do ataku. Stalin nazywał Mołotowa „żelazną dupą”, ale wiedział, gdzie go sadza. Jest regułą w Rosji, że aktywność jej dyplomacji wzmacnia się właśnie wtedy, kiedy na armię mniej można liczyć. Ta dyplomacja walczy w ariergardzie agresywnie. Dlatego nie demarsze i noty powinny robić w tej sprawie wrażenie. I nawet nie odwoływanie wizyt.

Łukin, minister spraw zagranicznych w opozycyjnym gabinecie cieni i przewodniczący odnośnej komisji Dumy, oznajmił, że „w podobnych wypadkach” Stany Zjednoczone przechodzą do akcji zbrojnej — nie przytoczył jednak w pośpiechu żadnego przykładu. Żyrynowski w tejże Dumie zapowiedział, że „skoro Polacy pałują naszych, to my będziemy Polaków zabijać”. W rosyjskiej prasie te krzykliwe cytaty ciągnęły za sobą przez kilka dni długi tren listów od podnieconych czytelników. Nie jest to już prasa urzędowo jednomyślna i zaleźna od dyrektów; to chyba ważne.

Reakcje polskich władz uderzały swoją miarliwością, nawet jeśli chciało się uznać incydent za powszedni i drobny. Minister spraw zagranicznych starał się wykopać sprawę na aut. Oznajmił, że trzeba poczekać na wyniki śledztwa — tak jakby nie był jasny fakt podstawowy: od polskiej policji ucierpieli nie sprawcy napadu lecz jego ofiary.

Minister spraw wewnętrznych złożył w końcu w Moskwie przeprosiny za niedopatrzienie polskiej policji i tym spróbował rzecz zakończyć. Przepraszał z godnością. Tylko, że nie jego koledzy z moskiewskiego resortu decydują o istocie podobnych spraw. I nie policja tu winna, tylko polityka. Decyzja, by nie wtrącać się do porachunków Rosjan z Rosjanami — to decyzja polityczna. Wszystko jedno czy powzięta przez policjantów samodzielnie, czy też na wniosek jakichś dygnitarzy.

Podjęta była zapewne rutynowo, ale w zgodzie z doktryną, która od chwili przełomu, od 89-go roku, jest podstawą polskiej polityki wobec Najbliższego Wschodu.

Doktrynę tę sformułował minister Skubiszewski jeszcze 17.III.1991 roku w artykule „Nowe sojusze”, napisanym dla *Tygodnika Powszechnego*. Praktyka i wypadki następnych lat mogły wnieść tu korekty. Jednak 13-go marca 1994 roku czcigodny profesor Stanisław Stomma tenże pogląd ujął (w tym samym piśmie) w następujących słowach: „... W te sprawy Polska absolutnie nie powinna się mieszać. We wszystkich spornych sprawach Europy Wschodniej powinniśmy być naprawdę neutralni. Nie można dopuścić, aby uprawdopodobnione zostały głoszone w Rosji zarzuty, że Polska podsyca wszelkie antyrosyjskie, separatystyczne tendencje, jakie się w Europie Wschodniej pojawiają. Budziłoby to w Rosji wrogość do Polski, pomimo, że nie mamy żadnych interesów sprzecznych. A przecież — nie zapominajmy — Rosja wróci do roli mocarstwowej”.

Są to słowa podyktowane przez najlepsze intencje, wszakoż opierają się jawnie na głębokim przekonaniu, że za polską granicą wschodnią dalej istnieje ZSSR i że wszystko, co tam się dzieje jest jego wewnętrzną sprawą. Jego, czy Rosji — to wszystko jedno, jak widać z tekstu. W myśl tego przekonania, Polski nie powinno obchodzić czy znów będzie graniczyć z prowincjami Imperium, czy też z niepodległymi sąsiadami.

Trzy są obiekcje, które tu zgłosić wolno.

Po pierwsze — owo „niewtrącanie się” wcale nie uchroniło Polski od wybuchu wrogości. Bóg zaś świadkiem, że politycy wszystkich rządów ostatniego pięciolecia dosyć ściśle tego przykazania się trzymali. Co prawda, istniał pono tzw. program dwutorowy, który miał polegać na tym, aby flirtować z Ukrainą, Białorusią i Litwą, nie drażnić wszakże samej Rosji. Jednak były wiceminister spraw zagranicznych, Grzegorz Kostrzewa-Zorbas (który sobie przypisuje autorstwo tego programu) pisze w broszurce „Lewy czerwcowy”, że program funkcjonował w 1990 roku, ale już w 1991 roku nie było o nim mowy. Przypomnijmy tu, że w 92 nie było już ani KPZS, ani ZSSR, można więc było rozmawiać z wymienionymi sąsiadami już nie szeptem i dwuznacznie, ale głośno, dając dowód, że bierze się na serio to, co sam prezydent Rosji w Białowieży zadeklarował i przeprowadził. Tymczasem zaś — jedynym poważnym przejawem istnienia jakiegokolwiek programu było chwalebne uznanie niepodleg-

łości Ukrainy przez Polskę. Poza tym formalnym gestem niewiele zrobiono. Wystarczy wspomnieć dwie wizyty w Kijowie: premier Suchockiej, która jakoś rozminęła się z prezydentem Ukrainy i ministra Olechowskiego, który oznajmił po powrocie, że stosunki z Ukrainą są doskonałe, aby dowiedzieć się następnego dnia, że prezydent Kuczma oskarżył w Waszyngtonie Polskę o złe zamiary i pretensje terytorialne wobec swego kraju.

Doktryna *désintéressement* działa tak sprawnie, że na sesję, zwołaną do Wrocławia z okazji 170-lecia debiutu literackiego Mickiewicza, nie zaproszono ani jednego białoruskiego uczonego czy badacza. Nawet z Nowogródka, nawet z Grodna, w którym działa jedyny na terenie WNP uniwersytet, gdzie to i owo wyklada się po polsku.

Współdziałanie z Litwą polega, jak dotąd, na zgodnym darciu kotów.

Tyle w sprawie budzenia wrogości i powodów do niej.

Po drugie — nie jest ściśle, że „nie mamy żadnych interesów sprzecznych”. Nie ze wszystkimi Rosjanami, o tym za chwilę — ale z ich częścią znaczną, której wpływy rosną.

Jak świadczą bieżące wypadki, polscy politycy nie mają kłucza do Rosji ponieważ nie stosują podstawowego rozróżnienia: na tych, którzy budują nową Rosję — i na tych, co chcą odbudować stary Sowiecki Sojuz. Sądzę, że jest to różnica podstawowa.

Inna rzecz, że różnica ta jest przez zwolenników odbudowy ZSSR chętnie zacieraną. Dobrze, powiadają, niech się zwie Federacją, Wspólnotą, Eurazją, wszystko jedno, byle obejmowała cały obszar dawnego Związku i trzymała go w kupie jedynym wypróbowanym sposobem. Z tak myślącymi „interes sprzeczny” Polska ma.

Żadna dyplomacja, żaden wzgląd na grymasy i urazy nie powinien powstrzymać nikogo od powtarzania i podkreślania wystarczająco często, że odbudowa Związku Sowieckiego nie godzi się z elementarną polską racją stanu. A nadto (i może przede wszystkim), że Polska będzie lojalnym partnerem, więcej — sojusznikiem dla nowej Rosji, oby najzasobniejszej w siły i środki. Pod jednym warunkiem: byle nie kosztem naszych wspólnych sąsiadów.

Mówić to trzeba jasno. Rosjanie i tak nie uwierzą, że Polska marzy o zmartwychwstaniu ZSSR. Toż nie uważają nas za masochistów. Ale tu może się mylą.

Po trzecie — na pytanie, czy wyłuszczone dopiero co teza jest dla kogokolwiek w Rosji w ogóle do przyjęcia,

wolno odpowiedzieć twierdząco, choć powodów do euforii nie ma. Wcale nie brak w Rosji ludzi, przekonanych, że Imperium było kulą u nogi tego kraju. Profesor Hefter twierdzi, że Rosja dopiero teraz odzyskała niepodległość. „Uważam — powiada w rozmowie z Mariuszem Sielskim — iż jedynym wyjściem dla Rosji jest pełna aprobatą faktu, że jest ona światem w sobie. Myślę, że taka Rosja może hojnie obdzielić suwerennością inne terytoria... Nie widzę zresztą innego wyjścia. Znadto jestem realistą, by nie rozumieć, że będzie to możliwe za jakiś czas. Widzę jednak również, że tego czasu mamy w Rosji coraz mniej... Kiedy mówimy o polityce Rosji wobec Wspólnoty Niepodległych Państw, powinniśmy zacząć od konstatacji, że... mamy tu do czynienia z polityką *expressis verbis* globalną, to jest taką, której właściwą miarą jest glob, nie zaś z polityką wobec różnych prowincji nie istniejącego już Związku Sowieckiego. Uznanie tego faktu przez Rosję jest podstawowym warunkiem powodzenia w staraniach o pozyskanie przez Federację Rosyjską należnego jej miejsca w świecie... W moim najgłębszym przekonaniu niepodległa Ukraina jest dla Rosji politycznym egzaminem dojrzałości. W jej interesie leży podtrzymanie dobrych stosunków z wielkim i pod wieloma względami pokrewnym państwem. Ukraina — nie mam co do tego najmniejszych złudzeń — wejdzie w świat o własnych siłach...”

Znakomity uczony, autor ponad setki publikacji dotyczących dziejów gospodarczych Rosji i metodologii historii, dodaje wszelako w tej samej rozmowie (*Eurazja* organ Ośrodka Studiów Wschodnich, numer 5-6, Warszawa 1994) uwagę ważną dla namysłu nad opisanym incydentem:

„Mieszkańcy byłego Związku Sowieckiego, a zwłaszcza Rosjanie, nie mogą pogodzić się z faktem, że ich ojczyzna utraciła raz na zawsze dotychczasową pozycję na arenie międzynarodowej. Sprawa ta zdaje się dotyczyć ich osobiście, postrzegają ją bowiem jako coś, co bezpośrednio determinuje ich własną egzystencję. Należy podkreślić, że odczucie to jest o wiele bardziej bolesne aniżeli niezadowolenie wywołane trudnościami gospodarczymi, nędzą czy pogłębianiem się przepaści między bogatymi a ubogimi...”

Na pierwszej stronie *Litieraturnej Gaziety*, w czołówce, czytamy 15 czerwca 1994 roku co następuje: „Rzec można, iż lud Rosji naprawdę wybrał niezależność. A uwolnienie naszej republiki od ciężaru okupowania Ukrainy, Białorusi, Kazachstanu, Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu i temu podobnych — wyszło nam tylko na korzyść. Chociaż, co oczywi-

ste, nie obeszło się bez strat: terytorialnych, ludzkich. Ale jeśli tylko zechcemy, to zbudujemy sobie taki kraj, że wszyscy będą zazdrościć. I praktyka życiowa potwierdza, że to możliwe” (Andriej Bystrickij „Rosja: wyzwanie historii”).

Jeżeli jest jakaś różnica między tymi głosami, a tezami Aleksandra Solżenicyna, to nie w kwestii zasadniczej, dla nas arcyważnej: on również, co więcej — on pierwszy! wezwał Rosjan do skupienia się na sprawach własnej, rosyjskiej ojczyzny, do wyrzeczenia się cudzych ziem siłą zabranych, do nie stosowania siły nawet wobec tych narodów, które chciałby widzieć pod wspólnym dachem, tzn. ukraińskiego i białoruskiego.

Ktoś powie, że to wszystko rojenia przedstawicieli umysłowej elity, idealistów, jakich nigdy w Rosji nie brakowało i jacy powszechnego poparcia się nie doczekali. Przestrzegam przed niedocenianiem siły słowa w tym kraju. Przełom w Rosji zaczął się nie od pierestrojki materialnej bazy, tylko od głośności, tj. otwarcia śluz dla słów, myśli, dyskusji, projektów. Nie ma pono gwarancji, że ten właśnie projekt zdobędzie w końcu uznanie. W polityce gwarancji w ogóle nie bywa. Za tym projektem wszelako przemawia argument niebagatelny: Imperium było dla Rosji nieopłacalne. Jego restauracja wymagałaby jeszcze większych kosztów, niż te, które doprowadziły ZSSR do bankructwa, czyli prawdziwego powodu jego rozwiązania. Mowa tu także o kosztach militarnych.

Jerzy Giedroyc powiada — pozycja Polski w świecie zależy od wzmocnienia naszej pozycji na Wschodzie. Otóż wzmocnić tej pozycji nie da się ani modłami, ani moralną jednością narodu, ani wiarą w obietnicę rychłego przyjęcia do NATO. Polska stanie się pożądanym nabytkiem dla tego sojuszu dopiero gdy wniesie w posagu nie groźbę konfliktu NATO z graniczną Rosją, nie swój własny strach i nie obecność, tak jest, samotność.

Pomaga się tylko mocnym. Pożycza się tylko bogatym; każdy bank to potwierdzi. Znaczenia, o które tu chodzi, nie przysporzą ani groźne miny, ani wymiana ministrów. Jacek Poprzeczko (*Polityka*, 12 XI 94) ze swoich nader rozsądnych wywodów wyciąga jeden jedyny wniosek: sposobem na polepszenie polskiej pozycji przetargowej w stosunkach i z Zachodem i z Rosją jest tylko przyspieszenie gospodarcze. Ta pio-

senka jest dobra na wszystko. Tylko że wymaga lat, a tu się pali. Zresztą — ot, przykład pierwszy z brzegu — przyspieszenie gospodarcze nic Czechosłowacji w Monachium nie pomogło, przeciwnie, zwiększyło apetyt hegemonu. Był przekonany, że własne przyspieszenie osiąga się najprościej przez poszerzanie własnych granic i zagarnianie cudzych zasobów. Dopiero po przegranej wojnie wczorajsi zdobywcy spróbowali zupełnie innego sposobu. Okazał się o wiele skuteczniejszy. I to — że przypomnę bagatelę — na połowie przedwojennego terytorium, a przy tej samej ilości mieszkańców. Wśród tych 60 milionów bez mała jedna czwarta to byli ludzie bez dachu i majątku, wysiedleni ze Wschodu, a wracający do ojczyzny nie tylko starannie zbombardowanej, ale także okupowanej, oszelmowanej, napiętnowanej poczuciem winy za prowadzenie przeraźliwej, zaborczej wojny. Są dziś mieszkańcami najbogatszego kraju kontynentu; któż tego nie wie. Obeszło się bez *Lebensraumu* i dyktatora. Wbrew potocznej opinii, niewiele tu dał plan Marshalla; cały wydatek na *European Recovery Program* w przeliczeniu wynosił z grubsza tyle, co dzisiejszy dług Polski: kosztował USA 12 i pół miliarda ówczesnych dolarów, rozdzielonych między 16 europejskich państw.

Szkoda, że do Moskwy wieść o tym doświadczeniu jeszcze nie dotarła: myślę, że tu leży pies pogrzebany.

Skoro o Czechach mowa, to wolno sądzić, że (jeśli już), będą przyjęte do NATO jako pierwsze i bez kłopotu, bo — po rozwodzie ze Słowacją — nie graniczą już z b. ZSSR, tym mniej — z Rosją — Czechy zmieniły swoją sytuację geopolityczną.

Polska nie wykorzystwała pierwszej i jedynej od stuleci szansy, aby zmienić swoją sytuację orzecha między dwoma kamieniami.

Zaledwie parę lat temu rywalizujące strony wydawały się blokami granitu. Klarowano nam, że mniejsze kraje skazane są w zamian na opiekę na wyrzeczenie się suwerenności, a może i własnych narzeczy. Zachodni ten koncept z osobliwą ochotą cytowano na Wschodzie. Dziś grozi Europie, *vice versa*, podkreślanie odrębności nożem.

Wydaje się jednak, że kraje, wcale nie będące mocarstwami, mogą zachować niepodległość przy minimum rozsądku i bez desperackich gestów, ale pod pewnymi warunkami. Trzy z nich łączą się z naszym tematem. Oto one:

- sojusze, nie grożące satelickim uzależnieniem;
- wolność energetyczna;
- zrozumienie znaczenia dwóch poprzednich warunków.

Juliusz Mieroszewski lata temu głosił, że naszymi naturalnymi sojusznikami są Ukraińcy, Litwini, Białorusini. Dodał do nich „rewolucyjnych Rosjan”. Sądzę, że ten termin odnosi się dziś do Rosjan, którzy nie chcą być traktowani jakby Rosja wywołała i przegrała III wojnę światową — ale nie chcą też żadnego powrotu do ZSSR i jego imperialnej polityki. Co znaczy, że (to znów Mieroszewski) „musimy szukać kontaktu i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać prawo do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom i, co również ważne, musimy zrezygnować raz i na zawsze z Wilna, Lwowa i jakiegokolwiek polityki, czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem cytowanych wyżej narodów...”

Czuję rodzaj skrępowania, nawet wstydu, ilekroć cytuję Mieroszewskiego. Wydaje się, że to truizmy, oczywistości, że każdy Polak rozumie te wskazania, że nie trzeba popisywać się ich znajomością. I zaraz okazuje się, że są na dobrą sprawę nie znane, zwłaszcza młodemu pokoleniu. Że politycy wszystkich maści tak się zachowują, jakby nie czytali nigdy „Materiałów do refleksji i zadumy”, ani nawet *Kultury*, gdzie Mieroszewski wszystko to nasamprzód opublikował. Zastanawia i źle wróży los jego książek w Polsce, już wolnej od cenzury: dotąd żadna się nie ukazała. Dopiero za kilka miesięcy „Czytelnik” opublikuje I tom korespondencji Mieroszewskiego z Jerzym Giedroyciem. Wydanie zaś wyboru (wszystkie książki Mieroszewskiego są wyczerpane) przekracza niestety możliwości finansowe Instytutu Literackiego.

Gdy niedawno przytoczyłem mimochodem kilka tez Mieroszewskiego („Jak rozmawiać z Rosją”, *Życie Warszawy*, 17 III 1994), z listów czytelników wyszło na jaw, że nikt prawie nie wiedział, iż od lat istnieje jasny i logiczny skład zasad polskiej polityki wschodniej. Jeśli jakiegokolwiek uwagi i programy publicystów są w ogóle w stanie wpływać na polityczne postęпки obywateli i polityków, to ten program mógł odmienić fatalny stan naszych stosunków z Najbliższym Wschodem.

Przez lata *Kultura* samotnie opierała się twierdzeniu, że

probierezem polskiego patriotyzmu jest owo żądanie zwrotu Lwowa i Wilna. Siłą rzeczy do praktyki politycznej teza ta przeszła, ale zrozumienie jej głębokich i dobroczynnych w sumie implikacji jest wciąż udziałem nielicznych, którzy pismo Giedroycia i Mieroszewskiego uważali za własne.

Aby od spraw generalnych przejść do pilnych, wypada jeszcze raz powołać się na Mieroszewskiego:

„Idea samostanowienia i wolności dla pobratymczych narodów oddzielających nas od Rosji — z równoczesnym szczerym zrzeczeniem się jakichkolwiek planów imperialistycznych — do których to planów zaliczyć należy nadzieję *ułożenia się z Moskwą ponad głowami i kosztem owych narodów* — tak pojęty program mógłby przywrócić polskiej polityce niepodległościowej wysoki motyw moralny, którego dzisiaj niedostaje”.

Największym respektem darząc motywy moralne i rozumiejąc ich wagę, wykazać jednak można, że ów program zapewnia Polsce także namacalne korzyści. O ile w ogóle możliwe jest jeszcze spełnienie choćby części jego założeń. Bo nie wiem, czy jesteśmy (jak w piosence Przybory) po kompie, po wetach, czy może już przy odwetach.

Zamiast aliansu — mamy Przemysł i Supraśl. Zamiast pojednania — sejmową uchwałę, która odmawia przesiedlonym Ukraińcom zadośćuczynienia za akcję „Wisła”, akcję opartą o nieludzką (i niepolską) zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Skądinąd, lewicowa większość sejmowa uchwaliła z końcem 1994 roku nadanie praw kombatanckich polskim bojcom oddziałów NKWD, pacyfikujących ukraińskie wsie po ich odwojowaniu.

Nb. — przy tej okazji lewica straciła inną: mogła zyskać cenne alibi, odcinając się od dawnych związków z sowieckim aparatem przemocy. Otóż nie: zamiast błony dziewiczej dała sobie przeszczepić bielmo.

Z niezgulstwem sfer oficjalnych idzie w zawody tylko tępota prawicy: nie znajdują stosowniejszego terminu. Tygodnik Piotra Wierzbickiego, jednoczący głosy tego obozu, zamieścił — obok wspomnianych artykułów o bezczelności Moskali, rzezi Pragi itd. — także dłuższy reportaż „Katolicy do piwnicy”, wznawiający spór o pounickie klasztory i wymierzony przeciw pokrzywdzonym prawosławnym współobywatelom, tj. Białorusinom. W innym szkicu to samo

pismo obszernie ilustruje groźbę, jaką ma być dla Polski istnienie własnych armii na Ukrainie, Litwie, Białorusi i z trwogą konstatuje, że tych żołnierzy jest w sumie więcej niż polskich. Co zdumiewa, to nie wspomniane baliwernie, lecz obecność na sąsiedniej kolumnie wyzgrzeblonej do blasku kobyły, poświęconej Piłsudskiemu. Jak się zdaje, Marszałek nie ze strony Ukraińców, Litwinów i Białorusinów spodziewał się ataku na Polskę. Jego program federacyjny, a zwłaszcza jego plany zapewnienia Ukrainie rzetelnej niepodległości, zmarniały i zwyrodniały nie z czyjej innej winy, tylko endeckiej prawicy. Nie słyszała słów Szewczenki — *podaj ruku Kozakowi*, chciała dominacji. Nie chciała niezawisłości naszych mniejszych sąsiadów, chciała ich spolszczenia, to znaczy — wynarodowienia. Nie chciała graniczyć z niepodległą Ukrainą i Białorusią, więc doczekała się granicy z Rosją Sowiecką.

Ten stosunek endecji do narodów Najbliższego Wschodu jest najcięższym balastem w całym jej bagażu. Mniejsza o bzik antysemicki: jego szkodliwość dla sprawy polskiej w świecie jest wystarczająco jasna, a Żydom, jak wiadomo, już nie zaszkodzi. Nie ma dobitniejszego przykładu szkód, jakie szowinizm przynosi sprawie własnego narodu, niż dzieje stosunku naszych narodowców do Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Tę schedę nowa prawica przejęła bez mrugnięcia okiem. Na zdrowy rozum, jej działacze i orędownicy powinni regularnie pielgrzymować do Grabarki, nosić z popami deski na odbudowę spalonej świątyni, stawiać świece za pomyślność Ukrainy z Białorusią i prosić prawosławną Bogurodzicę, aby bracia zza kordonu postawili jakiś płot, odgradzający od Moskwy, której nasi patrioci nie chcą znać. Tymczasem zaś, przedstawiciele prawicy jeżdżą na Wschód głównie po to, aby szcuć tam polskich mieszkańców dawnych kresowych ziem przeciwko tym ziem gospodarzom, przeciw sąsiadom, co ledwie się uwolnili od sowieckiej kurateli.

Soli, ale bardzo gorzkiej, dodaje sprawie znany każdemu historykowi fakt: źródłem tej taktyki była próba w III Dumie Dmowskiego zdobycia względów carskiej Rosji — przez pomaganie jej w trzymaniu za pysk owych narodów, między Rosją a Polską mieszkających. Próba, która nic Polsce nie dała.

Czas na sławetne pytanie: a konkretno? Co Polska

może jeszcze zrobić dla siebie i swoich najbliższych sąsiadów? Czy zostało jeszcze pole manewru i czy nie stanie się w końcu polem bitwy?

Wyczerpująca odpowiedź wymaga zasobu informacji, cierpliwości i taktu na miarę drażliwości partnerów i znaczenia tej sprawy, a jest ono kluczowe.

Choćby nie wiem jak wielkie były straty poniesione już z winy bierności, gorzkiej tradycji i fałszywych ocen — jedno wydaje się pewne i potrzebne: *Polska może nie dać się wykozystać przeciw interesom tych sąsiadów.*

Przeciw interesom Rosji — na polu międzynarodowym, gdy ktoś zechce Polski użyć jako narzędzia agresji.

Przeciw interesom Ukrainy, Litwy, Białorusi — jeśli Rosja zechce zagrać przeciwko nim polską kartą.

Okazja właśnie się nadarzyła.

W Warszawie twierdzono powszechnie, że Czernomyrdin odwołał wizytę po to, aby zagrozić Polsce drogę do NATO. Wiele mniej zwolenników miał pogląd, że chodzi raczej o gaz, ale także wśród nich byli tacy, którzy sądzili, że tą gazową transakcją Rosja chce Polskę niejako z NATO wykupić. Tak, jakby już tam była. Chwilowo Czernomyrdina bardziej niepokoją perspektywy innych sojuszów i związanych z nimi interesów.

O co w istocie chodzi, można z pewnym prawdopodobieństwem wywnioskować z samego programu wizyty, która w listopadzie do skutku nie doszła. Program przewidywał podpisanie umowy w sprawie gazociągu, jaki z półwyspu Jamał miał biec przez Rosję, Białoruś i Polskę na Zachód. Warto przypomnieć, że Rosja produkuje rocznie dwa razy tyle gazu palnego co SIEDEM SIÓSTR (tj. ESSO, SHELL, BP itd.) razem i że wszystkie rurociągi, którymi ten gaz eksportowany jest do Europy, biegają przez Ukrainę. Eksporterem jest holding GAZPROM.

Ukraina pobiera dla siebie ropę i gaz z własnej nitki rurociągu. 1 grudnia 1991 roku 92% Ukraińców głosowało za niepodległością. Tydzień później ZSSR uległ rozwiązaniu. Jeszcze przed końcem roku prezes GAZPROM-u (był nim wtedy Czernomyrdin) oznajmił, że gdy chodzi o holding terytorialna jedność musi być zachowana. W marcu 1992 roku Ukraina utraciła dostawy gazu z Turkmenii: brakujące 30% musiała wyblagać u Rosji. W końcu tegoż roku

GAZPROM podniósł nagle cenę gazu, Ukraina z kolei podniosła opłaty za transport paliwa. Rosja zgodziła się więc kijowskim targiem na obniżkę ceny gazu. Ukraina jednak nie miała już czym płacić.

Jesienią 1993 roku ukraiński dług za gaz wynosił przeszło bilion rubli (jeszcze nie zdewaluowanych); GAZPROM przykręcił kurki o połowę. Ukraińcy zastosowali najprostszyszy z chwytów: zaczęli ssać paliwo eksportowe z rury biegnącej na Zachód. Zdegustowani Austriacy, Niemcy, Włosi zaczęli rozglądać się za dostawami z Algieru i Kataru.

Wojna gazowa przyniosła Ukraińcom przestoje w fabrykach, bezrobocie, ziąb w mieszkaniach i szpitalach, mrok i brud. Nie jedyna, ale z pewnością ważna to była przyczyna pewnego fenomenu statystycznego: jesienią '94 roku, trzy lata po triumfalnym plebiscycie, 82% Ukraińców chciało już integracji z WNP, a 38% nawet powrotu do wspólnego z Rosjanami państwa.

Kozacy są jednak nieobliczalni. W ciepłe nagranych znowu kuchni te cyfry mogą się zmienić. Zresztą Moskwie nie o pieniądze chodzi, toć nie są już materialistami. Przypomniano więc sobie tam o projekcie równoległego, rezerwowego gazociągu, którym bez kłopotów przez Białoruś i Polskę śłać się ma na Zachód 67 miliardów metrów sześciennych gazu rocznie. Polska będzie mogła pobierać z tej masy 14 miliardów metrów sześciennych, a w inwestycje na jej terenie zastrzyknąć się ma trzy do czterech miliardów dolarów.

Piszący te słowa zna się na gospodarce paliwami tyle, co przeciętny czytelnik gazet. Życzy też ojczyźnie największych zysków. Wie jednak, że dzieje opisanej tu wojenki gazowej, acz wcale nie zakończone, są już pouczające. Można dowiedzieć się z nich, co znaczy ów dziwny termin „wolność energetyczna” i do jakich wniosków politycznych skłonić może obywateli nacisk gospodarczy.

Przeciwnicy budowy drugiego rurociągu twierdzili, że uzależni on ostatecznie Polskę od dostaw z Rosji i uniemożliwi zakończenie alternatywnych inwestycji w gdańskim Porcie Północnym i terminalu naftowym w Świnoujściu, skąd płynąć mogło paliwo norweskie, czy z szelfu bałtyckiego. Nie wiem, czy te rachuby są ścisłe i czy księgowość stwierdziłaby, że straty są większe od zysków. Wiem za to, że w trakcie wizyty premiera Czernomyrdina nie tylko dostawy gazu dla Polski wchodziły w grę. Chodziło o przystawienie tej rury do skroni Ukrainie.

Moskiewska gazeta *Rossijskije wiesti* (nr 166 z 28 VIII 1993)

piśla: „Porozumienie z Warszawą w sprawie rurociągu to duży sukces, bo odłamuje jeden z zębów ukraińskiego tryzuba, którym Kijów chętnie drapie boki Rosji”.

Swoją drogą — ciekawe czy ktoś z naszych polityków próbował przystąpić do tej transakcji w porozumieniu z Ukrainą?

„Wcielenie obszarów U.L.B. do imperium rosyjskiego jest niezbędnym warunkiem zredukowania Polski do statutu satelickiego” — to znowu Mieroszewski.

Nie sądzę, aby wizyta premiera Czernomyrdina w Warszawie długo była odkładana: gdy będziecie to czytać, kolejie sprawy będą już jasne.

Pan Goryszewski transakcję, o której wyżej, nazwał „kontraktem stulecia”. Znajdzie się na pewno w gronie dygnitarzy, którzy z największymi honorami powitają rosyjskiego premiera. Honory należą mu się, jest politykiem poważnym i zręcznym. Miejmy nadzieję, że powitanie to nie nastąpi na warszawskim Dworcu Wschodnim.

Zdarzył się oto przypadek jak z elementarza: politycy znajdują okazję do zdobycia łatwego poparcia, dziennikarze wykrzykują hasła — i zaraz otwiera się ujście dla brudnej zeny, co gromadzi się na dnie każdego statku. W Anglii wypuszcza się zenę przez kingstony rywalizacji sportowej; kibiców „Liverpoolu” nie wpuszczają na trybuny wielu krajów, w ojczyźnie zaś są świadomie tolerowani. Gdzie obcych brak, wystarczy nazwać obcym sąsiada, gdzie obcy są, sprawa jest prosta.

W naszym kącie świata — podkreślmy to — szczerwaczom muszą sięgać do przeszłości, do zaszłości, aby znów skłócić Polaków z Ukraincami, Litwinami, Białorusinami. A także z Rosjanami.

Polska polityka wschodnia oglądana z Dworca Wschodniego prostym okiem sprowadza się do brukowej formuły: merdać przed Czernomyrdinem, ale za to odgrywać się na zwykłych ruskich.

Przez długie lata politycy i dyplomaci (pocieszmy się — nie tylko polscy) liczyli się jedynie z rosyjską *wierchuszką*. Nie było powodu, aby postępować inaczej. Obywatele ZSSR nie mieli żadnego wpływu na politykę państwa. Nie miał go

nikt, z Rosjanami na czele. Dziś jest inaczej, Rosjanie to wyborcy. Przynajmniej to już zdobyli: możliwość wyboru. Owszem, mogą wybrać to, co im podsuwa Żyrynowski, albo Barkaszow. Jakiś wpływ jednak mają również Polacy. Wyborcy rosyjskiego o wiele bardziej obchodzą wieści o przygodach pasażerów pociągu Moskwa-Bruksela, niż komunikaty o rokowaniach Kozyriewa w Brukseli. Opinie polskich polityków i dziennikarzy pomijają opinię samych Rosjan; dalej opierają się na pewności, że nic ona nie znaczy, że można ją ignorować.

Ignorancja jest obustronna. Rosjanie nie znają najważniejszych ksiązek, które obie bratnie cenzury nie dawały im do ręki. Nie uczą się już języka sąsiadów. Nie chcą im współczuć, bo znają tylko własne gorycze. Ani my, ani oni nie wiemy ile trudności możemy pokonać tylko razem. Właśnie w chwili, gdy zwykli Rosjanie zyskali głos we własnych (i cudzych) sprawach, ustały z nimi te kontakty, od których przyszłość zależy. Oto fakt znamieny — nie ma już wymiany egzemplarzy między redakcjami naszych czasopism. Co tam, drobnostka.

Być może obecna forma rządów w Rosji nie jest trwała, ale dziś właśnie zakładają się trwałe podstawy spontanicznych nareszcie stosunków Polaków i Rosjan. Nowe pokolenia, które nie pamiętają już Stalina i Bieruta, nie powinny karmić się zleżałymi konserwami i spotykać tylko na Dworcu Wschodnim.

W „Memoriale o zadaniach prasy polskiej”, złożonym na ręce Karola Ruprechta, znajdujemy takie zdania:

„Do słowa Moskał, do słowa Moskwa przywiązywanie ohydy jest zarazem przeciw-historyczną i przeciw-polityczną działalnością. Zdaje się, iż natomiast obowiązani jesteśmy używać określników jako to: Rząd Petersburski, Państwo Petersburskie, ludność Państwa Petersburskiego, poniekąd rosyjską zwaną... I nie składać tego na „mongolską naturę Moskali”... Wielmożni redaktorowie! — tego co ich obowiązkiem jest — z olimpijską bezstronnością, od rana do nocy nieustannie wyświecać, ale nie na wątpliwe, rasowe podrzuty krwi zwalać...”

Napisał to Cyprian Kamil Norwid w roku 1863, w trakcie powstania polskiego przeciw Rosji.

Jerzy POMIANOWSKI

Konstytucja: dla ludzi czy elit politycznych?

Konstytucja w zasięgu ręki?

Prace konstytucyjne trwają u nas w najlepsze. Projektów oficjalnych mamy siedem, nie licząc nieoficjalnych, nie przedłożonych Zgromadzeniu Narodowemu, a opracowanych przez partie pozaparlamentarne. Lektura projektów (tych oficjalnych) pozwalałaby na optymizm (co do tego, że te właśnie projekty mogą dość szybko stać się podstawą nowej, oczekiwanej konstytucji), ponieważ różnice merytoryczne między poszczególnymi dokumentami, w gruncie rzeczy, nie są aż tak duże, jak wynikałoby to z temperatury publicznych dyskusji. Zdawałoby się więc, że polskie konstytucyjne opóźnienie (w stosunku do innych podlegających transformacji państw) może być łatwo nadrobione. A jednak nie sądzę, abyśmy konstytucję mieli w zasięgu ręki. I co paradoksalne — nie sądzę też, aby należało z tego powodu rozdzierać szaty.

Oczekiwania i bilans na dziś

Powszechne (i nie bezpodstawne) są narzekania na stan prawnej kultury polskiego społeczeństwa. Ale... Gdy w styczniu 1994 roku Centrum Badania Opinii Społecznej przedstawiło Raport z badania „Konstytucja w świadomości Polaków”, dokładniejsze zaznajomienie się z wynikami tego raportu mogło skłaniać do optymizmu. Piszę „dokładniejsze”, bo w relacjach prasowych eksponowano przede wszystkim

fakt, że około 40% respondentów uznała za konieczne umieszczenie w nowej konstytucji postanowień „gwarantujących” minimum płacowe i wysokość minimalnej renty. Te zaś sprawy nie mogą nigdzie być przedmiotem regulacji konstytucyjnej. I wynik sondażu bywa powoływany zazwyczaj jako dowód wysoce roszczeniowego nastawienia społeczeństwa. Tymczasem obok tych mocno eksponowanych, na pierwszym planie, w raporcie znalazły się też inne wnioski, dobitnie wskazujące na postępujący proces dojrzenia świadomości konstytucyjnej polskiego społeczeństwa i to w stopniu wyższym, niż na to mogłoby wskazywać tzw. „ogólne przekonanie”. A więc (cytaty z raportu): „Konstytucja, zdaniem ankietowanych, powinna być trwałym elementem systemu politycznego. Dlatego nie zyskuje społecznej aprobaty ewentualność uchwalenia tymczasowej ustawy zasadniczej ani też możliwość łatwego wprowadzania do niej zmian. Nie jest też akceptowane omijanie konstytucji przez władze w celu rozwiązania pilnych problemów społecznych”; „niemal trzy czwarte respondentów uważa, iż przepisy konstytucji mają duże znaczenie w życiu zwykłych obywateli. Jeszcze więcej osób stwierdza, że jest ona niezbędna do sprawnego funkcjonowania państwa”; „na otwarte pytanie: do czego przede wszystkim jest potrzebna konstytucja? najwięcej respondentów definiowało ją jako źródło praw i wolności obywateli (34%) bądź jako podstawowy akt prawny, źródło innych praw (30%). ...Znacznie mniej osób koncentrowało swoją uwagę na funkcjach konstytucji, związanych ze sprawowaniem władzy (9%). Odpowiedzi te zdają się więc potwierdzać informację, iż wiele osób widzi konstytucję jako akt prawny istotny nie tylko dla władzy i państwa, ale mający też wpływ na ich osobisty los”; „zgodność ustawy z konstytucją jest... jedną z podstawowych okoliczności, które powinny być brane pod uwagę przy uchwalaniu nowego prawa”. Inne, późniejsze badanie CBOS, z maja 1994 roku „Prawo-Praworządność-Państwo Prawa”, przynosi potwierdzenie wzrostu postaw legalistycznych: „prawa należy przestrzegać nawet wtedy, gdy wydaje się ono niesprawiedliwe” a także aksjologicznego sensu tego legalizmu: „nawet wielokrotnych przestępców powinno się traktować zgodnie z prawami należnymi każdemu obywatelowi — (64%)”. Ostateczny wniosek: „paradoksalnie więc, okres chaosu, który nastąpił po półwieczu istnienia PRL, przyniósł niewątpliwą korzyść: upowszechniły się postawy szacunku dla prawa”. Jest to wniosek bardzo optymistyczny i krzepiący, a mało — niestety eksponowany

w doniesieniach prasy i chyba niezbyt uświadamiany sobie przez polityków, jeśli wnioskować z ich postawy wobec spraw konstytucyjnych. Z jednej bowiem strony mamy ogromny apetyt społeczny na dobre prawo: na Konstytucję, a nie konstytucję. Na akt wolny od politycznych koniunktur, stabilny, poważny, taki, któremu można wierzyć, który stoi „ponad” doraźną przepychanką polityczną, który — przede wszystkim — zajmie się zagwarantowaniem praw i wolności dla każdego obywatela.

Apetyt na „dobrą” konstytucję demonstrowany przez opinię publiczną jest więc zbieżny z postulatami znawców-konstytucjonalistów piszących o przedmiocie, treści i pozycji konstytucji w państwie prawa. (Zgodę na to, że Polska ma być takim państwem wyrażają wszystkie projekty konstytucyjne — przy nieco różnym rozłożeniu akcentów w kwestiach szczegółowych i nie zawsze udatnym profesjonalnym zinstrumentalizowaniu tego postulatu). Równie zgodne jest przekonanie (konstytucjonalistów, znawców nauk politycznych, socjologów prawa), że zarówno sama konstytucja, jak i prace nad nią muszą potrafić zintegrować naród (społeczeństwo). Negatywną przesłanką „dobrej” konstytucji jest więc brak woli i umiejętności osiągnięcia konstytucyjnego kompromisu, dostatecznie atrakcyjnego dla społeczeństwa, przez tych, którzy konstytucję tworzą. Mówiąc prościej — jeżeli oczekiwania społeczne rozminą się — nawet nie tyle z treścią samej konstytucji, lecz wiedzą na ten temat, urobioną poprzez poziom i charakter debaty konstytucyjnej, wówczas nie tylko sama debata konstytucyjna nie spełni swej integrującej funkcji, ale i narazi nową konstytucję na społeczne rozczarowanie.

W październiku 1994 jesteśmy po pierwszym czytaniu siedmiu, przedstawionych Zgromadzeniu Narodowemu, projektów konstytucyjnych. Mamy zatem Komisję Konstytucyjną. Mamy wizję pracy tej komisji, determinowanej jej regulaminem i planowanym trybem prac nad przygotowaniem ostatecznego projektu Ustawy Zasadniczej. Mamy perspektywę referendum, któremu ma być poddana ostateczna wersja przyszłej konstytucji, aby zyskać szerszą legitymizację. O tym wszystkim pisze prasa. Terminarz praw wskazuje na to, że konstytucja mogłaby być gotowa na przełomie wiosny-lata. Oznacza to, że ogłoszenie projektu i referendum wypadą w czasie kampanii prezydenckiej. Jest to czas wyjątkowo niekorzystny, sprzyjający uczynieniu z debaty konstytucyjnej i konstytucji instrumentu owej kampanii. Wpływ ten już się,

niestety, uwidacznia. Wątpliwe z punktu widzenia zasad państwa prawa i politycznie destabilizujące inne władze działania urzędu prezydenckiego w oczywisty sposób pozostają w związku z zamiarami politycznymi osoby sprawującej ten urząd. To z kolei powoduje spłaszczenie perspektywy konstytucyjnej: dyskusja koncentruje się coraz bardziej wokół jednej kwestii (niewątpliwie skądinąd stanowiącej przedmiot konstytucji), to jest podziału istniejącego w państwie faktycznego *quantum* władzy (nie mylić z podziałem władz w sensie „technicznym”, wywodzącym się z monteskiuszowskiej idei) między parlamentem i prezydentem. Przy czym dyskusję dominuje problem konkretnego personalnego układu, który rozwiązanie konstytucyjne ma wzmocnić lub osłabić. (W zależności od politycznej opcji dyskutanta).

Zwróćmy uwagę na drobny pozornie fakt: prasa drukuje — nierzadko w formie tabelki — zestawienia porównawcze zawartości poszczególnych projektów konstytucyjnych, a także różnic między nimi występujących. Te zestawienia są z natury rzeczy powierzchowne, ale co ciekawsze w coraz większym stopniu koncentrują się właściwie wyłącznie na sprawach ustrojowych, i to rozumianych bardzo wąsko. Na tym „komu jakie kompetencje, ile komu władzy kosztem kogo”, i to w aspekcie konkretnie istniejących konfliktów politycznych i personalnych. Uderza jedno: zestawienia te z zasady nie obejmują problematyki „trzeciej władzy”, tj. sądownictwa, ani problematyki praw i wolności obywatelskich. Koncentrują się natomiast na zestawieniu — najłatwiejszych do wychwycenia — cech uregulowań ustrojowo-instytucjonalnych: jakie organy państwowe przewiduje kolejny projekt, ile komu daje kompetencji, kto kogo powołuje. Na tej podstawie formułuje się oceny globalne: ustrój prezydencki, prezydencko-gabinetowy, parlamentarno-gabinetowy itp. Problematyka praw i wolności obywatelskich (a więc najbardziej interesująca społeczeństwo, na co wskazują sygnalizowane wyżej wyniki badania opinii społecznej) — jest wyraźnie na drugim planie. Uderza kompletny brak szerszego zainteresowania i zrozumienia problematyką trzeciej władzy: sądownictwa, a przecież ono właśnie ma „powściągać i równoważyć” opieszale lub nadmiernie aktywne (oba grzechy często u nas idą w parze, w zależności od przedmiotu) legislatywę i egzekutywę. Jednocześnie brak jest toczonych z udziałem szerszej publiczności poważniejszych dyskusji na serio (a więc bez koniunkturalno-polityczno-, a zwłaszcza, coraz dobitniej ujawniającego się, personalnego podkładu), podejmujących

zasadnicze dylematy konstytucyjne¹. A zarazem mnożą się żale polityków nad utraconą (to prawda, ale do kogo pre tensja?) szansą uchwalenia konstytucji za kadencji sejmu zwa nego kontraktowym, w innej atmosferze i utyskiwania (pow szechne i zasadne) na widoczną dla każdego, polityczną instrumentalizację i prac nad konstytucją, i treści samych pro jektów, i zaczątków publicznej dyskusji na te tematy. Bo cóż wynika z szeroko komentowanych przez prasę „sensacji dnia” w rodzaju: czy społeczny projekt konstytucji, z racji podda nia go próbie plebiscytu, powinien czy nie powinien być traktowany wyjątkowo w zestawieniu z innymi projektami (gdy obowiązuje ustawa, lepsza czy gorsza, ale jednak przesą dzająca tryb prac nad konstytucją). Albo dywagacje w rodzaju: w Polsce trzeba pisać konstytucję kazuistycznie, aby ustrzec się przed nadużyciami interpretacyjnymi, do których ma skłonność Pan Prezydent. To prawda, tylko, że po pier wsze kazuistyka jest akurat najgorszym środkiem walki o jas ność interpretacyjną każdego aktu, bo „kazuistyczny” nie jest synonimem „precyzyjnego”. A po drugie, zgłoszenie takiego postulatu jest bardziej wyrazem walki politycznej różnych ośrodków władzy, niż troski o ostateczny sens podejmowa nych działań i ich niekoniumkturalny pożytek. A czy wyra zem dalekowzrocności i poczucia integracyjnego charakteru dyskusji konstytucyjnej jest wybór i zaliczenie do katalogu dylematów konstytucyjnych, które mają być poddane debacie sejmowej (jej przeprowadzenie wynika z przyjętego trybu prac nad konstytucją) kwestii, czy prawo do życia i jego ochrony przysługuje od chwili poczęcia? (Na szczęście prob lem uznano za „niekonstytucyjny”, ale i to budzi zapowiedź politycznej walki ze strony pozaparlamentarnej opozycji²). Zrozumiałe jest więc pojawienie się głosów, że właściwie nie ma co się tak bardzo spieszyć, że może lepiej zmienić metodę. Może zrezygnować z opracowywania „całościowej” konstytucji, a zacząć pracować nad poszczególnymi zagadnie niami cząstkowymi i niejako na raty, „od dołu” budować ustawę zasadniczą, zaczynając od spraw, na które istnieje

1. Wyjątek stanowi w tym względzie *Rzeczpospolita* w systematyczny sposób przedstawiająca tę problematykę piórami przedstawicieli zarówno ugrupowań politycznych, jak i ekspertów. Wśród tych ostatnich na uwagę szczególną zasługuje cykl artykułów Wojciecha Sadurskiego.

2. Por. Rozmowa z Walerianem Piotrowskim, szefem komisji konstytucyjnej w latach 1992-1993, *Gazeta Wyborcza* z 13 paź dziernika 1994.

zgoda, od zagadnień nie budzących wątpliwości³. Stanowisko to jest mi dość bliskie. (Abstrahuję od możliwości zgłaszania tej propozycji ze względów polityczno-taktycznych, przez osoby związane z opozycją parlamentarną). Wątpię bowiem, czy aktualny tryb prac nad konstytucją, skrajne ich upolity cznienie i „utaktycznienie”, przy wątpliwych umiejętnościach budowy sensownego, uczciwego dyskusowania i dochodzenia do kompromisu (z wolą jego rzetelnego dotrzymania), a także — nieufności i nieumiejętności korzystania z pomocy neutralnych politycznie ekspertów — może przynieść nam konstytucję integrującą, a nie skłócającą społeczeństwo, wolną od chęci narzucenia „innym” własnej ideologii, jako „jedynie słusznej”, a w końcu konstytucję odpowiadającą na „apetyt społeczeństwa na dobre prawo”.

Konstytucja — dla kogo?

Narażę się pewnie moim kolegom po fachu, prawnikom, twierdząc, że prawo w ogólności, a już prawo konstytucyjne w szczególności, to nie tylko to, co jest napisane w ustawie czy choćby w Ustawie Zasadniczej. Konstytucja to również to, co się dzieje w głowach i intencjach tych, którzy prawo aplikują wobec obywateli, a także poziom konstytucyjnej świadomości obywateli. Ta ostatnia w ciągu ostatniego pięcio lecia — jak wspominałam — uległa znaczącej zmianie na lep sze. Nie można tego samego powiedzieć o świadomości „władzy” *en bloc* i jej elitach. Instrumentalizacja i lekceważenie „wewnętrznej moralności”⁴ prawa, demonstrowane zwa szcza przez różne organy egzekutywy — są zastraszające. Naukę społeczeństwu przynoszą zresztą nie tyle zasadnicze dyskusje programowe (bo tych w nadmiarze nie ma, a w każdym razie nie docierają one do społeczeństwa, jako toczone w gronach specjalistów), ile praktykowanie na własnej skórze, przy obserwacji kolejnych decyzji, sensacji i skandali praktycznych skutków podziału władz, zasad funkcjonowania demokracji, roli mediów, konsekwencji niezawisłości sądów i dziesiątka innych konstytucyjnych problemów. Jest to droga

3. J. Zakrzewska, „Konstytucja raz jeszcze”, *Tygodnik Powszechny* z 2 października 1994. W tej akurat kwestii podobne stanowisko wyraża powołany już wyżej W. Piotrowski.

4. Jest to termin Fullera, odnoszący się do cech, które ma spełnić dobre, a więc sprawne prawo, niezależnie od swej politycznej treści, aby mogło być społecznie akceptowane.

nauki bardzo skuteczna, ale i powolna, i prowadzona niejako „pod prąd” różnych poczynań elit politycznych. Ale edukacja ta jest faktem. Jeżeli obecnie prasa (i TV) w znacznie szerszym rozmiarze informują np. o takich faktach, jak sądowy zakaz upowszechniania jakichś informacji przez gazetę, pozostającą w sporze cywilnym o ochronę dobrego imienia człowieka, któremu owa gazeta zarzuca prywatę; jeżeli sędzia po wyroku chce i umie (choć, być może akurat nie on powinien to musieć robić) przedstawić prasie motywy wyroku uniewinniającego w bulwersującej społecznie sprawie, z uwagi na konsekwencje nie obalonego w procesie domniemania winy; jeżeli w publikowanej i szeroko dyskutowanej praktyce Trybunału Konstytucyjnego, Naczelnego Sądu Administracyjnego, Sądu Najwyższego pojawiają się orzeczenia krytykujące legislatywę za naruszanie zaufania obywateli do państwa, z uwagi na stanowienie prawa ze skutkiem retrospektywnym⁵ albo prawa zastawiającego na obywatela pułapkę czy przerzucającego na niego właśnie całe ryzyko błędów czy złej woli administracji⁶; jeżeli wyrok sądowy potrafi czytelnie, w sposób wolny od nudy i suchości tradycyjnie przypisywanych orzeczeniom sądowym — ukazać konstytucyjną wagę jawności, przejrzystości działania administracji⁷ — to istnienie, publikowanie, dyskusowanie takich faktów więcej czyni dla kultury konstytucyjnej obywateli i konstytucjonalizacji obyczaju państwowego, niż wydrukowanie dziesięciu tabelk pracowicie zestawiających podobieństwa i różnice siedmiu projektów konstytucyjnych w ukształtowaniu kompetencji (co bynajmniej nie oddaje pozycji ustrojowej) organu.

Mamy zatem do czynienia z charakterystycznym rozziwem. O ile elity polityczne, partie zasiadające w parlamencie i działające poza nim, najrozmaitsze inne ośrodki władzy i grupy politycznego nacisku, poznające na własnej skórze możliwości i efekty demokracji pluralistycznej, z coraz większą biegłością włączają sprawę konstytucji w orbitę swych manipulacji *strictissime* politycznych, o tyle w społeczeństwie rośnie świadomość tego, że konstytucja „na serio” może być (i być powinna) tarczą chroniącą przed koniunkturalnymi poczynaniami władzy. Uświadomienie sobie tego rodzaju rozziwu jest swoistą „złą” (wobec elit politycznych) i „dobrą”

5. Por. Trybunał Konstytucyjny, orzeczenia K 1/88, K 7/90, K 15/92.

6. Orzeczenie SN III ARN 56/93.

7. Orzeczenie NSA (w sprawie koncesji dla stacji TV) II SA 695, 696, 698-712/94.

(wobec poinformowanego społeczeństwa) przysługą prasy, która publikując dane o tym, co — politycznie — wokół konstytucji się dzieje czasem, chyba nieświadomie, demaskuje taktyczno-koniunkturalne odchylenia. Ta sytuacja jest normalna, bo podobne manipulacje wokół konstytucji zdarzają się zawsze i wszędzie, podobnie zresztą, jak i wokół niektórych zwykłych ustaw. Powstaje jednak pytanie o dopuszczalną amplitudę rozziwu. W naszym kraju, żyjącym w okresie transformacji, istnieje duża skłonność do niedostrzegania przez społeczeństwo wielopłaszczyznowości życia społeczno-politycznego, a co za tym idzie do podatności do przyjmowania „na wiarę” i za dobrą monetę tego, co jest w istocie rzeczy tylko taktycznym manewrem. Jeżeli tak stać by się miało (bo chyba użycie czasu przeszłego jeszcze nie jest usprawiedliwione) z pracami Komisji Konstytucyjnej (i ich społecznym odbiorem), wówczas radykalnie rozminęłyby się zapotrzebowanie na konstytucję ze strony elit politycznych (a te pracują nad jej projektem) i oczekiwania społeczeństwa, demonstrowane w badaniach opinii publicznej. Sygnalizowany wyżej rozziw już się zarysował i nie sądzę, aby miał w najbliższym czasie zaniknąć. Przeciwnie, widoczna coraz wyraźniej kolejna „wojna na górze” będzie go pogłębiać. Każdy, kto podejmuje w obecnej chwili dyskusję o konstytucji, musi się więc zdecydować, czy chce dyskutować o konstytucji interesującej polityczne elity, włączając się w ten sposób w politycznie instrumentalizowaną debatę o konstytucji, czy o konstytucji, na którą „ma apetyt” społeczeństwo.

Dlatego właśnie nie mogę wykrzesać z siebie wielkiego zapału do dyskusowania szczegółów poszczególnych projektów, zwłaszcza, gdy tyczą kwestii ustrojowych. Już nie wspomnę, że rozstrząsanie tych szczegółów jest w tej chwili o tyle jałowe, że mamy do czynienia z projektami nieostatecznymi. Poza tym w kwestiach ustrojowych są możliwe różne rozwiązania, o różnych zaletach i wadach politycznych, ale równie demokratyczne i sprawne, byleby stanowiły spójny wewnętrznie model. (Nie jest np. spójne z tym modelem wprowadzenie ciał do których kompetencji należeć by miała decyzja polityczna co do ułożenia stosunków między reprezentacją pracujących i... no właśnie — kto byłby tu drugą stroną?) Kwestia osiągnięcia owej spójności jest bardziej specjalistyczno-techniczną i czysto legislacyjną, niż polityczną. Ale tego etapu dyskusji jeszcze nie osiągnęliśmy. Toczy się ona ciągle jeszcze wokół kwestii koniunkturalno-politycznych. Dla prawnika niepolityka dyskusja na ten temat jest niezbyt interesująca.

O czym warto dyskutować?

Konstytucja to nie menu w wiejskiej restauracji. Starając się nie tak dawno odpowiedzieć na pytanie „po co ludziom konstytucja?”⁸ wywód zaczęłam od opowiadki, która przywędrowała z dawnego ZSSR, a w której zgłodniały gość usiłował bezskutecznie coś zamówić w restauracji, wybierając kolejno dania z pisanego menu. Okazało się, że wszystko „wyszło” i w karcie nic nie ma. „Co jest” — powiada zirytowany gość — „czy ja czytam menu czy naszą konstytucję?!” Ten żart przyszło mi powtarzać wielokrotnie, gdy miałam mówić bardziej obrazowo, czym się różni prawo w realnym socjalizmie od prawa nowoczesnych demokracji, a więc w takim państwie, gdzie właśnie prawo stanowi skuteczną tarczę ochronną dla obywateli zagrożonych samowolą władzy. Są to państwa usiłujące zasłużyć na miano państwa prawa. Piszę: „usiłujące”, bo takiego zupełnego i skończonego państwa prawa nie ma nigdzie. „Bywa się” tylko bliżej albo dalej na drodze do niego.

Sowiecka anegdota oddaje istotę problemu. Teoretycznie właśnie konstytucja jest kamieniem węgielnym państwa prawa. Od niej system prawa się zaczyna, z niej czerpie swą siłę, z nią powinien być *naprawdę*, a więc realnie, nie tylko formalnie, zgodny.

Natomiast w rosyjskiej anegdocie konstytucja jest aktem odświeżającym, odległym, nierzeczywistym. To coś fasadowego, „na niby”, taka obiecanka-cacanka, istniejąca raczej dla zachowania pozorów, niż oddająca otaczającą nas rzeczywistość. Na nic nie wpływa, niczego nie kontroluje, nikogo nie broni, nic nie daje. Tak jak nierealna karta dań w wiejskiej knajpie. Nic dziwnego, że taka konstytucja nie wydaje się ludziom — zwykłym ludziom — potrzebna. Skoro do niczego nie służy, skoro można rządzić państwem bez oglądania się na nią i konsekwencje jej naruszenia... Taka konstytucja nie jest przez obywateli szanowana: bo i dlaczego miałyby być, skoro jest „na niby”? A jednocześnie przecież konstytucja (właściwie Konstytucja, bo chodzi o taką pisaną z dużej litery) budzi — świadczą o tym badania opinii publicznej w naszym kraju — nadzieje na coś stabilnego, niezmiennego, coś, co pozwoli ludziom uciec od karuzeli zmian „zwykłego” prawa, coś, co pozwoli budować na bardziej

8. Ewa Łętowska, „Po co ludziom konstytucja”, Biblioteka Komitetu Helsińskiego w Polsce, Warszawa 1994.

trwałym gruncie zasad czy reguł wolnych od koniunktury politycznych i „widzimi się” jakiegось polityka czy administratora. „Zapisać w konstytucji”, to znaczy uzyskać coś, na co niezawodnie można liczyć. Dlatego właśnie zresztą tęsknoty naszych niebogatych obywateli za bezpieczeństwem socjalnym przekładają się na postulaty „zapisania” w konstytucji minimalnej płacy czy prawa „każdego do mieszkania”. Dodajmy bowiem, dla wyjaśnienia, że w powołanych już badaniach CBOS, około 40% respondentów wypowiedziało się za umieszczeniem w Konstytucji minimum socjalnego i wysokości minimalnej płacy. Gdyby chcieć napisać konstytucję, odpowiadającą takim właśnie zapotrzebowaniom, byłaby ona obrazem tęsknoty społecznej: Konstytucją Niespełnionych Marzeń. Miałyby — przynajmniej w momencie jej uchwalenia — jedną niewątpliwą zaletę: byłaby konstytucją silnie integrującą społeczeństwo, zmęczone i sfrustrowane, zaniepokojone coraz wyraźniej widoczną konsekwencją transformacyjną: utratą poczucia bezpieczeństwa. Tyle tylko, że — co nieuchronne — kontynuowałaby tradycję tego, przed czym należałoby pilnie się wystrzegać — konstytucji-Karty Życzeń i Bicia Piany, konstytucji, gdzie wystarczy coś zapisać, aby uznać zadanie za wykonane.

To zębna tradycja polskiego prawniczego myślenia, dotycząca nie tylko konstytucji, ale i ustawodawstwa zwykłego, owocująca woluntaryzmem legislatorów, nie dbających o to, aby ich „zapisy” (to takie modne teraz słowo) były jednocześnie zaopatrzone w procedury realizacyjne, w instrumentarium, umożliwiające realne wyegzekwowanie tego, co w ustawach napisano. To tradycja powodująca też brak dbałości o dobrą, realną publikację, o doprowadzenie treści uchwalonego prawa do świadomości stosujących prawo i tych wobec których jest ono stosowane. Gdy idzie o kwestie konstytucyjne, ta właśnie groźba uczynienia z Ustawy Zasadniczej *loispectacle*⁹ towarzyszy zwłaszcza sporowi o prawa socjalne i o to, czy konstytucja powinna regulować nie tylko wolności i prawa obywateli, ale też i ich obowiązki (i wobec kogo).

Bywają konstytucje i konstytucje. Zakres, jaki obejmują ujęte w ustawie zasadniczej prawa i wolności obywateli, a więc to, „jakie” prawa i wolności obywatelskie są unormowane w ustawie zasadniczej, jak dalece szczegółowa jest ich

9. Określenie używane przez francuskich prawników na oznaczenie ustawy mającej wyrzecz dobry efekt polityczny, niekoniecznie zaś przynoszącej rozwiązanie problemu społecznego.

regulacja, także określenie sposobu ich funkcjonowania (czyli to, „jak” obywatele mogą w praktyce zrealizować to, co im konstytucja gwarantuje) — bywają bardzo różne w różnych krajach i różnych epokach.

W Polsce ten właśnie fragment konstytucji obecnie razi szczególnie konserwatyzmem. Co gorzej jednak, właśnie ów konserwatyzm, o którym zaraz szerzej będzie mowa, spowodował, że trudno jest nam sobie wyobrazić sytuację inną, niż nasza własna. Wydaje nam się mało realne, aby treść ustawy zasadniczej, konstytucji, była czymś, co „liczy się” naprawdę w życiu obywateli, z czego obywatele mogą „na co dzień” czerpać konkretne, dające się urzeczywistnić, uprawnienia. A jednocześnie przecież bardzo tęsknimy za tym, aby to właśnie konstytucja (przepraszam: Konstytucja) gwarantowała nam to wszystko czego pragniemy: bezpieczeństwo, a nawet minimum egzystencji. „Prawa i obowiązki” — bo tak brzmi tytuł właściwego rozdziału ustawy zasadniczej, o który nam chodzi — pochodzi jeszcze z konstytucji z 1952 r., z czasów, gdy ustawa zasadnicza — jak menu z naszej sowieckiej anegdoty — miała mieć (i miała) charakter ozdobny, fasadowy, odświętny, a zarazem nie była traktowana zbyt serio. Ani przez władzę, której — teoretycznie — powinna nakładać wędzidła, ani przez samych obywateli, którym powinna służyć jako tarcza przed wybujałymi poczynaniami tejże władzy. Był to okres, gdy nikomu nie przychodziło do głowy wątpić w oficjalną tezę, że ustawodawcy (także konstytucyjnemu!) wszystko wobec obywateli wolno i że obywatele mają jakiegokolwiek prawa inne od tych, które im „władza” zechciała przyznać w swej ustawodawczej łaskawości. Była to bowiem konstytucja-manifest, a nie konstytucja-zobowiązanie. Takie zresztą rozumienie ustawy zasadniczej uznać wypada za typowe w ustrojach niedemokratycznych.

Najgorsze, co może zrobić w sferze legislacji władza swoim obywatelom, to zaszczerpienie w nich przekonania, że konstytucja to *loi-spectacle*. W poważnej mierze to właśnie przekonanie udało się upowszechnić, z którego to stanu teraz staramy się z trudem wydobywać. Jeżeli jednak nowa konstytucja będzie znów konstytucją-manifestem, wysiłki te zostaną po części zmarnowane, a droga do państwa prawa — znacznie spowolniona.

I znów wcale nie chodzi o to, aby z konstytucji eliminować prawa socjalne. Podobnie jak nie chodzi o to, aby im odmawiać charakteru „praw obywatelskich”. Ale umieszczając je w konstytucji należy pamiętać, że z pewnością nie nadają

się one do egzekwowania (w razie naruszenia) na drodze sądowej skargi indywidualnej, czy to kierowanej do sądu konstytucyjnego czy powszechnego. Trzeba więc umieszczając je w ustawie zasadniczej przewidzieć dla nich własny, realny i działający mechanizm egzekucyjny. Nie wolno natomiast wpisywać tylko ich istnienia np. w postaci „zapisu”: „prawa do mieszkania” czy „godziwych warunków zdrowotnych” albo „prawa do nieskażonego środowiska” — bez gwarancji proceduralnych umożliwiających *jakaś* ich egzekucję, poza odpowiedzialnością „przed Bogiem i historią”.

Dodam coś jeszcze. Z natury rzeczy konstytucja ekspozująca prawa socjalne w swej treści staje się — chcąc nie chcąc — konstytucją, gdzie mamy do czynienia z przewagą egzekutywy nad innymi władzami. Władza wykonawcza bowiem musi wtedy zająć się opracowaniem w szczegółach, a także realizacją i obsługą programu rozdziału dóbr i tym samym zdominować inne „władze”. Dążenie do pełnej akceptacji założeń konstytucji przez społeczeństwo ceniące bardziej bezpieczeństwo niż wolność daje w efekcie powielenie modelu konstytucji znanego z okresu totalitarnego.

W trosce o realność i funkcjonalną wydolność Ustawy Zasadniczej można zgłosić zastrzeżenia przeciw umieszczaniu w niej postanowień-apeli np. do rodziców o właściwe wychowanie dzieci albo do obywateli o „działania na rzecz ochrony środowiska naturalnego”. Takie postanowienia są nieegzekwowalne i z tej przyczyny ich umieszczenie w konstytucji jest kolejnym przejawem banalizacji prawa. Tego mieliśmy i bez tego mamy dosyć.

Quieta non movere

Uchwalanie Konstytucji rodzi potrzebę wykorzystania okazji do poprawiania i ulepszania tego, co już działa, może nawet niezłe, ale — wedle zgłaszających różnego rodzaju pomysły, mogłoby działać lepiej.

Podnoszę tę kwestię w związku z pojawieniem się — trochę jakby na uboczu zasadniczych sporów o treść konstytucji, sprawy być może nieco obcej szerszej opinii publicznej, a jednak o kapitalnym znaczeniu dla społeczeństwa. Chodzi o zaznaczającą się animozję między Sądem Najwyższym i Trybunałem Konstytucyjnym — wywołaną propozycją likwidacji Trybunału czy też jego włączenia do Sądu Najwyższego. Ciekawe, że propozycji takiej nie zawiera żaden ofi-

cialny projekt konstytucji, ale sprawa jest tajemnicą polisy-nela, jest przedmiotem dyskusji, ataków i obron, angażujących czas, ludzi, rodzących obawy, spekulacje i frustracje.

Spór o „wyrwanie sobie kompetencji” czy też przypisywanie sobie nawzajem podejmowania prób tego rodzaju istniały już i dawniej na styku Sąd Najwyższy — Naczelny Sąd Administracyjny. Najprawdopodobniej zresztą jest po prostu łatwiej spierać się nie o kształt ustrojowy czegokolwiek, lecz o to kto i czym kosztem ma mieć więcej kompetencji, bo to się utożsamia (najnieluszniej!) ze znaczeniem i ważnością. „Trzecia władza” w Polsce nie ma obecnie łatwego życia. Gdy próbuje być niezależna i działać nie po myśli decydentów politycznych wypomina się jej niewłaściwą metrykę i oskarża o sprzyjanie „dawnym” porządkom (a to u nas grzech śmiertelny), o nieuctwo, o złą wolę, o niezrozumienie wymogów naszych zachwalanych i prześwietnych czasów. I to dotyczy zarówno sądownictwa powszechnego, jak i sądów prawa publicznego. Jednocześnie nigdy chyba jeszcze w historii sądy w Polsce nie miały przed sobą takich perspektyw i takiego zapotrzebowania na ich pracę, jak obecnie. Jest to tylko efekt dostrzeżenia ich możliwości działania w systemie *checks and balance* (kontrola i równowaga), jako władzy kontrolującej i powściągającej legislatywę i egzekutywę. Zapracowane ponad miarę, niedoinwestowane, poddane presji nie zawsze rozsądnych mediów (to o sądownictwie powszechnym), z trudem rozwijające (jednak!) swoje zdolności myślenia konstytucyjnego (to o Sądzie Najwyższym), deprecjonowane przez z natury rzeczy niechętną mu administrację (to NSA), narażone na nader nieprzyjemne okazjonalne ataki polityczne przy każdym właściwie rozstrzygnięciu (to Trybunał Konstytucyjny) — sądownictwo coraz lepiej poprzez swą działalność orzeczniczą spełnia swoją transformacyjną rolę. Każde organizacyjne trzęsienie ziemi, zmiana kompetencji i przyporządkowań ewokuje nieuchronnie tło emocjonalne. Takie spory nie mają w naszych warunkach po prostu sensu, szkoda na nie czasu, są zbyt małostkowe. Miejsca i pracy jest dość dla wszystkich instytucji sądowniczych. A polem dla szlachetnej i pożytecznej zarazem emulacji może być działalność merytoryczna, z której nasza młoda i nieco zgrzytliwie działająca demokracja może mieć tylko pożytek. Emulacja organizacyjno-kompetencyjna musi się natomiast negatywnie odbić na działaniu merytorycznym. Czy to ma sens?

Nie instytucje a mechanizmy

Skuteczne gwarancje to gwarancje polegające na możliwości przedstawienia konkretnego sporu *komuś* do rozstrzygnięcia. Dlatego tak ważne jest konstytucyjne zagwarantowanie prawa do sądu, i to szeroko rozumianego, a więc dotyczącego spraw karnych, cywilnych, administracyjnych. Z tych samych przyczyn niebezpieczne jest posługiwanie się zwrotami niedookreślonymi, typu: interes X, wartości Y, rażące naruszenie, pisząc przepisy, które określają działania nie podlegające niczyjej kontroli. Bo jeśli się np. pisze, że jakiś funkcjonariusz podlega odwołaniu, gdy „rażąco” naruszy prawo, albo zabrania działań, naruszających wartości X lub interes Y, i tylko ten, kto decyduje o zastosowaniu tych właśnie sankcji sam, bez żadnej kontroli decyduje ostatecznie, to tu właśnie otwiera się pole do nadużyć, manipulacji, koniunkturalizmu i oportunistów. Nie powinno się zatem takich zwrotów używać tam, gdzie nie przewiduje się możliwości kontroli arbitralności rozstrzygnięcia.

I najważniejsze: prawa i wolności obywatelskie.

Kwestii najbardziej doniosłej dla realności przyszłej konstytucji, a zarazem podstawowej dla obywateli, mianowicie praw i wolności obywatelskich, nie należy sprowadzać tylko do szerokości katalogu sformułowanego w ustawie zasadniczej. *Najważniejsze jest to, czy owe prawa i wolności będą ujęte jako prawa podstawowe*, a więc stanowiące niewzruszalną granicę dla woluntaryzmu ustawodawcy zwykłego oraz to, jak — na wypadek gdyby ów ustawodawca tę granicę jednak przekroczył — obywatel może się bronić, i to sam, nie czekając np. na inicjatywę lub łaskawość jakiegoś innego organu.

Z tego punktu widzenia koncepcję najbardziej spójną i kompletną przedstawia projekt Karty Praw i Wolności, opracowany w Komitecie Helsińskim¹⁰, a włączony obecnie do jednego z projektów konstytucji¹¹. Projekt ten — będący dość wierną kalką i tak w Polsce obowiązującej Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, a więc nie wprowadzający rewolucji prawnej gdy idzie o szerokość katalogu, charakteryzuje się nowatorstwem, gdy idzie o sposób działania praw pod-

10. B. Banaszak, „Prezydencki Projekt Karty Praw i Wolności”, *Przegląd Sejmowy* 1993, nr 1 s. 62-77; A. Rzepliński, „Karta Praw i Wolności”, *Przegląd Sejmowy* 1993, n 4, s. 47-66.

11. Chodzi o projekt prezydencki.

stawowych. Przyjmuje on kilka założeń: że wymienione w nim prawa i wolności stanowią nienaruszalną granicę dla działania ustawodawcy zwykłego, przy czym ta granica jest skonstruowana w zróżnicowany sposób dla różnego typu praw i wolności, a także dla sytuacji (np. stan wyjątkowy); szeroką, „otwartą” charakterystyczną dla aktów z zakresu praw człowieka koncepcję równości i zakazu dyskryminacji¹²; oddanie w ręce zainteresowanego obywatela decyzji o sądowym dochodzeniu naruszonego prawa czy wolności, przy czym właściwe są tu także sądy powszechne, zaś stwierdzenie naruszenia wiąże się z powinnością naprawienia ewentualnej szkody.

Zaletą Karty jest to, że nie jest skonstruowana jako przede wszystkim katalog praw i wolności, ale jako *mechanizm* ich funkcjonowania — w ewentualnej opozycji do działań władzy, zamierzającej arbitralnie wkraczać w sferę podstawowych praw i wolności. Nadto Karta umacnia w znaczący sposób pozycję sądów, czyniąc z nich realnego strażnika kontroli i równoważenia władz. W ten sposób Karta stwarza szansę na to, że tak potrzebne i przychodzące z ogromnymi trudnościami „ukonstytucyjnienie” myślenia sądów — stałoby się wreszcie realnością. Karta bowiem wymusza ten właśnie kierunek ewolucji w myśleniu i działaniu sądów. A jest to chyba kierunek pożądany, jeżeli cierpimy w życiu społecznym na deficyt działań nie inspirowanych koniunkturalnym interesem politycznym, nastawionym na nieco dłuższy horyzont czasowy, niż okres między jednym a drugim wyborami i jeżeli na serio myślimy o prymacie prawa nad polityką.

Co ciekawe zresztą, Karta — poza stosunkowo drobnymi zastrzeżeniami lub zarzutami wynikającymi z nieporozumienia¹³ nie wzbudziła większych zastrzeżeń, co czyniłoby dość łatwym osiągnięcie wokół niej kompromisu.

12. Kwestia ta jest przedmiotem mocnej krytyki niektórych partii pravicowych — por. *exempli modo* S. Michalkiewicz, „Zwierzęta równe i równiejsze”, *Czas* 1 październik 1994. R. Legutko, „Nie lubię tolerancji”, Kraków, „Arka” 1993. Por. też w opozycji do ostatniego z autorów W. Sadurski, „Dlaczego tolerancja”, *Rzeczpospolita* 2 września 1994.

13. Por. omówienie zastrzeżeń krytycznych podane w opracowaniach A. Rzeplińskiego i B. Banaszaka.

Co dalej?

Oczywiście, dobrze byłoby mieć nową, piękną, demokratyczną konstytucję. Ale nie jest pewne, czy będziemy ją mieli i czy będzie ona tak piękna, jakbyśmy sobie tego życzyli. Zgodzić się wypada z tymi obserwatorami przemian w transformujących się krajach Europy Centralnej i Wschodniej, którzy akcentują nieprzekraczalność bariery psychiczno-politycznej twórców nowych konstytucji i którzy dlatego właśnie dość sceptycznie odnoszą się do „wszystkoistycznie” naiwnych już powstałych nowych konstytucji, powtarzających błędy Ustaw Zasadniczych minionej epoki¹⁴.

Zgodzić się też wypada z autorami, którzy obecnie dostrzegają zalety ewolucyjnego, „na raty” opracowywania nowych konstytucji, jako metody przynoszącej na niższe piętro i węższy czasowy horyzont możliwość wypracowania sensownego konsensu politycznego. Od dawna jestem przekonana, że można budować konstytucję pisząc samą konstytucję (tyle, że to dla polityków jest Bardzo Trudne Zadanie) albo tworzyć ją przyzwoicie normując procedury sądowe i administracyjne — tak, procedury właśnie w wyższym stopniu niż prawo materialne! Tyle tylko, że z tych propozycji niewiele wynika, skoro prace nad konstytucją zostały już normatywnie sformalizowane i teraz idzie trochę o „wykonanie planu”.

A w ogóle, gdyby ktoś mi kazał aforystycznie ująć to, co najważniejsze, to trawestując znanego, choć teraz nader niepopularnego autora, powiedziałabym: państwo prawa to szeroka kompetencja niezawisłych sądów plus wolna prasa plus mechanizmy międzynarodowe ochrony praw człowieka. Resztę uczyni praktyka. Wewnętrzne prawo pisane, nawet marne, wtedy mniej znaczy.

Ewa ŁĘTOWSKA

14. Por. S. Holmes, „O metodzie zmian konstytucji w państwach Europy Wschodniej”, *Państwo i Prawo*, 1993, nr 8.

Filozofia Fensterguckera

Kilkanaście lat temu przyszło mi spędzić sobotę i niedzielę w „mieście, którego nazwiska nie powiem, nic to albowiem do sprawy nie przyda”, w mieście pełnym historii i pustym teraźniejszością. Nie mając nic lepszego do roboty włóczyłem się pośród zabytków i marskości dnia dzisiejszego. Ruch był znikomy: trochę „przetowłosej dziatwy” bawiło się z umiarkowanym hałasem pośród pustki weekendu, kilku pijaków wyzbytych euforii i agresji zawodziło bezradnie, natomiast okna — zwłaszcza parterowe i piętrowe (wyższe zdarzały się rzadko) — gapiły się wyglądacami płci obojga, wieku przeważnie nadsredniego, pojedynczo, parzyście, a czasem dodatkowo z pieskiem i kotkiem. Oni wszyscy towarzyszyli mojemu przejściu tępyimi spojrzeniami, zawierającymi nienatarczywe pytanie: kto to? jakiś obcy, po co łązi? a Bóg jeden wie, może do rodziny przyjechał? a może idzie do kościoła? albo tylko tak sobie?

Moje przejście było im jednak w gruncie rzeczy obojętne, ot drobnitka rozrywka w monotonii dnia świątecznego. I mnie te spojrzenia, te nieme pytania były idealnie obojętne. Ale później uświadomiłem sobie, że były one kwintesencją stabilizacji, koegzystencji z czasem, miejscem i wiekiem jaki im został narzucony przez Opatrzność i figlarność genów i że krył się w tym odwieczny, nie wzniosły zapewne, ale ułatwiający egzystencję sposób na życie.

Przypomniało mi się to wszystko w momencie, gdy nafaszerowany rwącą rzeką informacji: podślepiony oglądaniem dzienników tv, umordowany niechlujną korektą niedotrawionych gazet, otepiiony hałasami radiowymi i może najbardziej — komentarzami dobrze mi znanych i całkiem nie-

znanych bliźnich, zacząłem odczuwać tęsknotę, czy wręcz niezbędność postawy wyglądacza, którego Niemcy nazwali „ein Fenstergucker”. I taka potrzeba podyktowała mi zaprzestanie uprawiania publicystyki.

Ten mój publicystyczny „łabędzi śpiew” wynika zarówno z indywidualnych czynników psychicznych (w gruncie rzeczy nigdy nie byłem całkiem pewien swych racji, a publicysta powinien być przekonany do tego co robi — z własnego przekonania czy cudzych argumentów), jako też z sytuacji w których znalazł się cały świat i to co bliższe ciału: ojczyzniana koszula. Zaistniała też w moim przekonaniu wyraźna depresja publicystyczna: miejsce naprawdę utalentowanych modelarzy opinii publicznej coraz liczniej i coraz hałaśliwiej zajmują rodzimego chowu *paparazzo*, a zresztą cała ta opinia publiczna, mój Boże, powróć jeszcze do tego wątku.

Ostatnio obchodzimy coś w rodzaju rocznicowego festiwalu Kisiele: przypomina się w telewizji jego „Alfabet” i rozmaite wywiady, drukuje wspomnienia i słusznie, bo Mistrz Stefan był człowiekiem wielkim, choć z postury nienadmiernym, a tymczasem jego spuściznie grozi zapomnienie. W jednym z wywiadów pytany o własny dorobek powiedział melancholijnie, że jego publicystyka odchodzi, bo straciła na aktualności, bo... „Wszystko inaczej”. Powątpiewał też w trwałość swych powieści, również zbyt przeaktualizowanych i dziś interesujących raczej historyka niż członka nowych pokoleń. A o muzyce powiedział, a tu wyraźnie zabrzmiała nutka żalu, że ją zaniedbał. I prawdziwie rozczuliła mnie utrwalona przez taśmę filmową jego twarz, niezbyt urodziwa i trochę jakby z gumy, ta cała gra jego min, które swą ruchliwością pełniły funkcję nieruchomej maski. Ale co naprawdę za tą maską się kryło? I co pozostało poza legendą?

Oczywiście nie porównuję się z Mistrzem Stefanem: ja nie mam nic do zaniedbania, ale przecież mam możliwość wyboru między pisaniną taką średnio naukową, czasami może pożyteczną, a tą pisaniną na wiatr. I nie takim szalony, bym uważał, że pisać należy tylko i wyłącznie dzieła wiekopomne, wyznając bowiem taką zasadę, należałoby zmusić 99% piszących do zaprzestania owej działalności, wiekopomnych bowiem dzieł jest w ogóle w skali całej ludzkości tyle co kot napłakał. I nie takim szalony, by twierdzić, że publicystyka w ogóle nie przynosi rezultatów w zakresie kształtowania opinii i poglądów ludzi najwartościowszych, to znaczy takich, którzy i czytają i myślą. Niczego takiego nie mógłbym napisać, zwłaszcza do *Kultury*, która jest na gruncie polskim najlep-

szym świadectwem tego, co może dokonać publicystyka.

Tak więc wszystko powyższe sprowadza się do moich prywatnych poczynań i poglądów, które zdecydowałem się przedstawić, chociaż zapewne będzie to dla niewielu interesujące.

Od kilku lat, to znaczy od samego początku swego istnienia III Rzeczpospolita kołysze się niebezpiecznie i dryfuje dokądś, nikt na pewno nie wie dokąd, a co gorsze bardzo nielicznych owo ustalenie kierunku interesuje. Jest po prostu tak, że ta nawa (oczywiście państwowa) kolebie się i dryfuje bez większego na ten stan rzeczy wpływu poszczególnych ekip. To prawda, że ekipy te — po kolei — wprawiły w ruch kilku ludzi doskonale nadających się do pełnienia powierzonych im zadań ale także całą chmurę nieuków i niekompetentów, którzy gębami „robili politykę”, dbając przede wszystkim o własne kiesy i zady. Na pierwsze miejsce wysunęła się prywata, a filozofia „miedzy”, jako najbardziej widocznego znaku własnościowego, okazała się najsilniejszym imperatywem moralnym. Za czasów komunistycznych mówiło się o szlachetczyźnie i jej przeżytkach w mentalności polskiej. Teraz należałoby przede wszystkim mówić o chłopstwie, a rząd Pawlaka i jego własna „filozofia miedzy” potwierdza to w całej rozciągłości. Należy bowiem pamiętać, że szlachetczyzna skończyła się praktycznie już bardzo dawno i choć wyżyłobiła w etosie narodowym głębokie ślady, ale dziś funkcjonują one już tylko wtórnie, jako coś co najpierw uformowało chłopstwie, a ta przeniknęła do miast, skoro pomiędzy II a III Rzeczpospolitą odbyła się owa gigantyczna migracja, która z przeszło 60% chłopów w przedwojennej Polsce doprowadziła do tego, że ludność wiejska dzisiaj ledwie ponad 30% liczy, a i to pełno w niej chłopo-robotników i innych ludzi związanych coraz silniej z procesem urbanizacyjnym społeczeństwa.

Początkowo owo dryfowanie chłopstwie drażniło mnie, a nawet oburzało, co sprawiło, że o Polakach pisałem z goryczą i ironią, a to nawet wzbudziło opór w zielonych i niedostatecznie w historii obeznanach publicystach. Jeszcze dawniej to nawet lubiłem ową szarpaninę i kolebanie, te bowiem prowadziły zawsze do jakichś coraz lepszych wyników. Pozorne bezkołysanie kojarzy mi się z drugą, po okupacji niemieckiej najgorszą epoką moich wspomnień: z dojrzałym stalinizmem lat 1949-1953, który ostatecznie skończył się z owym wielkim rozkołysaniem październikowym 1956 r. Komuniści dokładali niemałych starań, by do dawnej „dyktatury proletariatu” powrócić, ale im się to w Polsce już nigdy

nie udało i za to, przede wszystkim za to chwała moim rodakom: zarówno tym, którzy hartowali się („jak hartowała się stal”) w spazmach późnego gomułkizmu (lata 60-te), żrącego gierkizmu (lata 70-te) czy w epoce całkowitego już rozprężenia, jako też i tym, którzy okazali się zupełnie niegodnymi pamięci Josipa Wissarionowicza miękuszami, bo nie potrafili wziąć narodu „za mordę”. Tak: chwała jednym i drugim, bo mimo nieustannego opozycjonowania nikt tu z PZPRu nie zdecydował się na zaproszenie do interwencji Wielkiego Brata i nie przeżyliśmy tragedii węgierskich czy czeskich.

Z kolei szczególnie radosne zakolebanie przypadło na 80' i 81', a coś w rodzaju apogeum i powszechnej szczęśliwości — na rok 1989. I nagle wszystko wywróciło się jak domek z kart: niezłomni i solidarni, rozplamieni ogniem miłości ojczyzny i wszystkich rodaków (z małymi, lustracyjnymi wyjątkami) niespodziewanie odrzucili maski i ukazali swe prawdziwe twarzyczki spragnione „waaadzy” i apanaży, stanowisk, stołków, maksymalnych dochodów itd. Rozkołysanie na dobitkę rozochoczone odgórnie hasłem „wojny na gorze” sprawiło to co sprawiło, a co wśród Polaków, wynalazców jak wiadomo przede wszystkim „polskiego piekła”, było niejako naturalnym odruchem: wyzwolenia pazerności. Więc proszę bardzo: chcą Polacy kolebać swą własną nawą, to niech kołyszają. „Radość z odzyskanego śmietnika” stała się powoli sprawą ich, wyłącznie ich, a nie moją.

Na to zobojętnienie miała wpływ sekwencja rozczarowań, zarówno ogólnoludzkich, jako też ogólnopolskich.

Pierwszym rozczarowaniem było uświadomienie sobie faktu, że ludzkość jest niereformowalna. Wydawało mi się, nieuleczalnemu naiwniakowi, że doświadczenia ostatniej wojny światowej i zbrodniczości wszelkich totalitaryzmów i ideologizmów czegoś ową ludzkość nauczą. Nauki wszelako były znikome i do tego jeszcze krótkotrwałe. W półwiecze po wygaśnięciu owej potwornej wojennej masakry, w obliczu zdychania wielkich i małych dyktatur, w sferze kompromitacji ideologizmów pojawia się już drugie pokolenie ślepych i głuchych maniaków, owej „społecznej wydzielinie”, którą każde pokolenie i tak przynosi zawsze, ale w tym przypadku szczególnie obficie i agresywnie.

Współczesny świat coraz bardziej przypomina bowiem krajobraz z czasu walki Ahura Mazdy z Arymanem, przy czym ten drugi — nietwórczy i pamiętający (ale jak widać kiepsko) tylko przeszłość — wcale nie przegrywa. Świat nasz

bowiem ulepsza się nieustannie, ale w ten sposób, że owe ulepszenia wyzwalają natychmiast reakcje tym aktywniejsze i potężniejsze im bardziej te pierwsze osłabiają objętą nimi ludzkość. Będąc szczerym demokratą mam cały szereg całkowicie niedemokratycznych przekonań, a jako humanista i wyznawca zasad etycznych mam coraz bardziej zdecydowane poglądy, które w obiegowym stereotypie myślenia są antydemokratyczne i antyhumanistyczne. Ale ja w odróżnieniu od stereotypów uznaję demokrację oświeconą i humanizm oświecony. Na czym to polega?

Dam dwa przykłady: podstawowym kanonem demokracji jest równość i — proszę bardzo — niech będzie równość startu życiowego, równość wobec prawa, ale czy to znaczy, że ma rządzić większość ciemniaków nad mniejszością oświeconych? Jest bowiem smutną prawdą (potwierdzoną przez nasze „wojny na górze”, wyniki badania opinii publicznej, wyniki poszczególnych wyborów itd.), że ciemniaków jest zawsze znacznie więcej niż oświeconych. To pod presją ciemniaków doszło do tego, że człowiek wykształcony, człowiek z określonym zawodem i zawodową wiedzą został spauperyzowany na rzecz tzw. „mas pracujących” (ale jak pracujących, na miłość Boską?). Dziś byle robotnik z przynależnych miliardowe straty kopalni, fabryk itp. jest lepiej płatny niż profesor uniwersytetu, czemu zawdzięczamy nareszcie przebudzenie się wzniosłych humanistycznie pedagogów i protesty przeciwko temu procesowi, który jest wodą na młyn chłopów pawlakowych i robotów kwaśniewskich.

Ja wcale nie uważam się za równego w sensie zdobytej wiedzy, jakichś tam osiągnięć naukowych z facetem, który pozorując pracę trawi życie na goleniu wody i popijanie jej piwem. A co jeszcze gorsze: na wygłaszanie kretyńskich opinii na tematy światopoglądowe. Złościło mnie i nadal złości, czemu dawałem już niegdyś wyraz, owo mizdrzenie się intelektualistów, udawanie że nimi wcale nie są, bicie się w piersi (ale najchętniej cudze), że tak, owszem, zgrzeszyliśmy wobec honoru ojczyzny i wobec „ludu pracującego” tego marksistowskiego mitu, który tak głęboko zakodował się w ludzkiej świadomości. Jeżeli już o „ludzie pracującym” mówić, to ja jestem jego okazałym przedstawicielem, skoro tyram od półwiecza, a zwłaszcza teraz, kiedy znalazłem się na emeryturze.

Drugi przykład z zakresu etyki. Jestem zdecydowanym zwolennikiem wykonywania wyroków śmierci w przypadkach, gdy obecność w społeczeństwie jednostek o tendencjach zbrodniczych temuż społeczeństwu zagraża. Co więcej: uwa-

zam, że nie zwalnia nikogo od tej ostatecznej odpowiedzialności to, że jakoby ci zbrodniarze działali w intencjach ideowych czy politycznych. Zbrodnia jest zbrodnią, następstwa czynów zbrodniczych powinny być do nich adekwatne. Że jest szansa resocjalizacji? A pokażcie mi takich resocjalizantów! Piasecki? Genet? Wyjątki potwierdzające regułę.

Tylko proszę wyroku śmierci nie nazywać karą i nie deklamować o wartościach jednostki ludzkiej, które trzeba szanować i kochać. Wyrok śmierci i jego wykonanie nie jest żadną karą, bo jakaż to ma być kara, dla kogoś kogo powiesz, zagazują czy zlikwidują w jeszcze jakiś inny sposób? To jest, jak już napisałem, zabieg gwarantujący społeczeństwu odrobinę bezpieczeństwa, wolności od lęku, minimum komfortu psychicznego. Nie chodzi o takiego czy innego zbrodniarza, ale o całą resztę! I nie jest też żadnym argumentem, że „kara” śmierci nikogo nie odstrasza, bo odstrasza i demokratyczno-etyczna miłosierność sprawiła to, co własnymi oczyma można co dzień oglądać: erupcję zbrodni, w konsekwencji której w najgorszym razie wędruje się do coraz luksusowszych więzień. Ja po prostu nie chcę znajdować w prasie wiadomości, że niedorozwinięty nieszczęśnik, który po zgwałceniu i zamordowaniu dwojga dzieci został skierowany na leczenie psychiatryczne, w zamierzeniu sędziów zapewne dożyłotnio, został ze szpitala (bo przeludniony) zwolniony i natychmiast zgwałcił i zamordował następną dwójkę dzieci. I ja miałbym się litować jego fizyczną likwidacją? Ja się najgłębiej lituję nad tymi czterema ledwie rozpoczętymi życiami.

Jako demokrat i humanista (oczywiście w specyficznie i indywidualnie rozumianym sensie tych słów) likwidowałbym konsekwentnie wszelkiej maści terrorystów, tej plagi końca naszego nieudanego stulecia. Czy wierzą w Allacha, w Marksa czy Pana Boga (tylko z dopełnieniem: katolickiego, protestanckiego czy prawosławnego) zabijanie na osłup, bezlitosne i tchórzliwe, kwalifikuje się jednoznacznie: oto jednostka, która zagraża społeczeństwu i dla dobra tegoż winna być zlikwidowana. I gdybym był prezydentem (na szczęście nim nie jestem) nie zadrżałaby mi ręka przy podpisywaniu odrzucenia podania o skorzystanie z prawa łaski. Nie ma łaski dla tych, którzy nie zatroszczyli się o to, czy ich ofiary miały choćby moment „na łaskę”.

Jednym z tragiczniejszych przejawów nierreformowalności ludzkiej jest przyczyna owego terroryzmu: nietolerancja, nacjonalizm i... religia, a więc to co przecież powinno wpływać na łagodzenie obyczajów i poczynań. Tymczasem właśnie

religia staje się częstokroć przyczyną krwawej zawziętości, bezlitosności i zbrodni wobec ludzkości. I nie zwalajmy tych zjawisk tylko i wyłącznie na islamski fundamentalizm, wszyscy bowiem zbrudzili się w większym lub mniejszym stopniu pod hasłami podobno religijnymi: Naród Wybrany, gdy się terroryzmem dobijał o uznanie państwa żydowskiego w Palestynie, i katolicycy Irlandczycy lub Chorwaci czy wreszcie chrześcijanie libańscy, nie mówiąc o prawosławiu (Serbowie). Większość jeśli nie wszystkie religie świata głoszą miłość bliźniego jako podstawowy kanon etyczny i wszystkie dopuszczają do tego, by w ich imieniu szaleńcy przelewali ową bliźnią krew. Papież jest wobec tych zjawisk bezradny, a w innych wyznaniach są przywódcy, którzy wręcz do tego wzywają. I jakże w tej sytuacji wierzyć w naturalny imperatyw moralny? Profesorskie mrzonki!

A w tle tych wydarzeń niemal zawsze pojawia się ponura zjawa ideologizmu, rozgrywającego najczęściej atuty nacjonalizmu, żalów i zazdrości do innych, bowiem „inny”, „obcy” staje się zawsze celem agresji. Ideologizm jest jednym z najgroźniejszych schorzeń ludzkości, bowiem usiłuje wepchnąć w gotowe formułki coś tak nieokiełzanego jak życie i coś tak nie dającego się posegregować i poszufladkować jak indywidualność człowieka. Ideologizm tworzy fikcję uszczęśliwienia ludzkości. „Najbliższy” jest nam ideologizm marksistowski, musieliśmy bowiem egzystować w jego cieniu. Nie będę się więc rozwodził nad tym dobrze znanym faktem i ograniczę się do 173 anegdoty ze zbioru anegdot o Leninie w Poroninie. W czasach żrałego Gierka odnaleziono w tej wsi jeszcze jednego gazdę, który pamiętał wielkiego ideologa. Chmara dziennikarzy opadła go i zaczęła wypytywać co i jak. A gazda pykając fajeczkę powiada: „A pamiętam, pamiętam. Człek był ani wysoki, ani niski, bródkę miał i kaszkiet, a pod pachą nosił zawsze taką wielgachną księgę. Chodził po wsi, po polach i przyglądał się ludziom, bo chciał ich ciężkiej doli zaradzić. A kiedy wracał do chałupy to zaroz lampkę zapalał i w tej książce pisał i pisał”.

„A co pisał?”

„No właśnie: jak tej niedoli ludzkiej zaradzić. I odtąd wicie, wieś się nazywa Poronin”.

Więc mierzi mnie widok zarówno germańskich spasio-nych i na jeża strzyżonych „halbstarken”, którym marzy się zmartwychwstanie hitleryzmu, podobnie jak owe tłumy wyorderowanych starców i wrzeszczących bab, domagających się restytucji *ancien régime*’u czyli łagrów, niewolniczej pracy i

gnojenia skarbów naturalnych własnego kraju, który im — niepoprawnym głupcom — wydawał się niepokonaną potęgą rosyjskiego nadczłowieczeństwa.

I dlatego wracam z radością do mego starokrakowskiego mieszkania i wyglądam, choć jeszcze w tym zacnym galicyjskim mieście nie grozi mnie pobicie czy zatratowanie przez hitlerjugendowskich osiłków czy roz tęsknionych w KGBowskiej potędze staruchów. Ale i tak wygodniej i ujutniej spoglądać z góry, że pan x przeszedł z lewej strony ulicy na prawo, a pani y odwrotnie, że piesek zrobił siusiu pod drzewkiem i że w samochodzie sąsiada znów włączył się nie tyle automatycznie co autonomicznie sygnał alarmu.

Natomiast moje wspomnienia, zwłaszcza te z lat ostatnich, wypełnione są rozczarowaniami własnymi, to znaczy polskimi. Nigdy nie uwielbiałem rodaków bezkrytycznie, pewien młody publicysta uważał nawet, że nadmiernie się nad nimi wybrzydza, ale przecież chce się widzieć rodaków w jak najlepszym świetle, jeśli nie jako „rycerzy bez zmayı i skazy” to jednak jako ludzi zasługujących na szacunek. Pamiętam moją „Solidarnościową” euforię, która towarzyszyła mi od 1980 do 1990 r. Dziesięć lat złudzeń i jakże wspaniałych! Po 10-letniej przynależności do związku wystąpiłem z niego, ponieważ świetlani ludzie ukazali się w pełnym świetle o wiele mniej świetlanymi, zwłaszcza wierchuszka obnażyła nie tyle swe blizny i rany, co bardzo pragnęła obnażyć, ale swą pazerność, wolę obsiedzenia wszelkich możliwych stołków, a tak zwane „masy” ujawniły całkowitą obojętność wobec wszelkich ideałów, o które walczyli owi zasromani swym intelektualizmem inteligentcy doradcy i liderzy. Dla „mas” liczyła się tylko forsą na wódę i kiełbasę, dla wierchuszki udział we „waaadzy” to zaś, przy ich polityczno-intelektualnej niekompetencji, prowadziło do „wojny na górze”, która do reszty ujawniła ich prawdziwe ambicje i ich kulturalny poziom. Potępieńcze swary, wzajemne oskarżenia, frakcyjność, jednym słowem z szlacheckich jeszcze tradycji wywiedzione, a „chłopskim etosem” umajony anarchizm, tromtadracja, tak zwana ideowość, chępliwe obietnice bez pokrycia i właśnie owa niekompetencja, niekompetencja i jeszcze raz niekompetencja.

To wszystko doprowadziło do tego, że w wyborach 1993 r. wygrała SLD i PSL, ów polityczny koktajl nie budzący ani sympatii, ani — za grosz — zaufania. Oczywiście u takich wyrodków, jak ja, ponieważ nagle ujawniła się przeogromna tęsknota „mas pracujących” do dawnych cech

ustroju: opiekuńczości państwa, jego werbalnego patriotyzmu (podsycanie niechęci do sąsiadów i tych potężnych i tych słabiotkich) i „urawniłowki” na zasadzie: niech mnie już będzie źle, byle sąsiadowi nie było lepiej. Zaczęto się przrzuczać wyzwiskami i oskarżeniami: pomawianie o współpracę z SB, o żydowskie pochodzenie, o masońskie filiacje, o klerikalizm i antyklerykalizm itp. Jednym słowem: koncert niekompetencji ożenionej z nachalnością i brakiem skrupułów pokrył grubą warstwą popiołu ów diament, który — zdawało się — mnie i innym naiwniakom — może się wykluczyć z „Solidarności”. Zmarnowano okazję i ja nie będę wskazywał winnych, bo musiałbym ułożyć grubą książkę adresową. W końcu to my wszyscy byliśmy w jakiś sposób winni.

Na osłodę narodowi muszę jednak zwrócić uwagę na jeden element może niedostatecznie dostrzegany przez publicystykę. Otóż ów skołowany naród, z rozwrzeszczaną większością „mas pracujących”, okazał się na tyle pojętny, że jednak wymiółtł poza parlament to co było najgorsze: te wszystkie partyjki wrzaskliwe i bezprogramowe (trudno bowiem za program uznać hasło lustracji), wykazując tym niechęć do ugrupowań ekstremistycznych (z tych ocalała — na razie! — KPN). Społeczeństwo opowiedziało się za nie tyle lewicą, co za tymi, którzy przemawiali doń spokojnie, obiecywali rozsądniej (choć też grubo na wyrost), jednym słowem tworzyli wrażenie partii centrowych. Bolszewizm tak zwanej prawicy i nachalne polityczowanie katolicyzmu (ileż to partii sztandarem tym wymachuje? Czyżby w Polsce było aż tyle odmian katolicyzmu?), licytowanie się w konserwatyzmie sprawiły, że wyborcy wyrzucili za burtę ten neobolszewizm i neokonserwizm.

Dużo złego można o Polakach powiedzieć, ale pewna — przy kłótności i zadziorności — tendencja do umiarkowania zawsze ten lud sarmacko-szlachecko-kmiecy cechowała. I tu się rodzimi, postsolidarnościowi bolszewicy w swych rachubach przeliczyli. Polacy odrzucili komunizm w jego brutalnej, utopijnej formie, ale pozostał w ich mentalności pewien nawyk do uznawania „urawniłowki” (słynne: „czy kto stoi, czy kto leży...”) jako pewnego ideału równości.

Dziki kapitalizm początkowego procesu jego budowania, brak unormowań prawnych przy sprycie rozmaitych kombinatorów (przecież kapitalistami, choćby byli miliarderami, nikt ich nie nazwie), niewydolność sądownictwa i policji, bałagan ustawodawczy pozwalający na ogromne machinacje, to wszystko składa się na ową groźną sytuację podsycaną jeszcze do-

datkowo przez rodzimych *paparazzo*, którzy odbiegłszy od tematów zalecanych przez instancje partyjne, rzucili się hurmem na „towar” skandali rzeczywistych i wydmuchanych.

Ja się też tym zajmować nie zamierzam, odnotowuję tylko fakt „hecowania” społeczeństwa i zatrzymam na jednym tylko zjawisku: „czystkach” tow. ministra Cimoszewicza. Działalność antykorupcyjna jest potrzebna w Polsce tak samo, jak we Włoszech, Francji czy Górnej Wolcie. Jestem przekonany, że korupcja jest chorobą odwieczną i nieuleczalną lub trudno uleczalną, bowiem nie tylko nad Wisłą, ale także nad Eufratem, Potomakiem czy Ukajali mieszkają ludzie, którzy chętnie biorą to co się im nie należy z tytułu prawa i etyki, ale co im samo wpada w ręce, więcej: jest w nie wpychane na chama. Korupcja jest najtrudniej wykrywalnym wirusem społecznym, nie pozostawia bowiem śladów i trzeba przyłapywania na gorącym uczynku, albo czyichś zeznań, ale czyich skoro i dający i biorący są za taką działalność zagrożeni karą?

Powróćmy do listy Cimoszewicza. Znów znać o sobie dały niekompetencja i bałaganiarstwo najwyższych urzędów w kraju: akcję zmontowano na chybcika bez dostatecznej weryfikacji i w moim przekonaniu w celach doraźnie politycznych rozgrywek. Będzie to samo co z „listą Macierewicza”: widocznym świadectwem niekompetencji i bałaganiarstwa ludzi rwących się do polityki a zarazem nie mających do tej działalności nijakich kompetencji. Po kraju rozszedł się smród bez żadnych konkretnych następstw i cała akcja, gdyby była dobrze przygotowana to ujawniłaby informatorów SB, a nie opierała się na poszlakach i nie sprawdzonych informacjach. W życiu bowiem społecznym więcej hańby przynosi jedno nieprawdziwe oskarżenie niż korzyści tuzin wiarygodnych ujawnień czynów niegodnych.

Listy Cimoszewicza nie można traktować poważnie, jeśli się potem okazuje, że jedni nie byli obciążeni zarzutami, inni zaś otrzymali jakieś skromne sumki, przekazane następnie na cele społeczne. B. towarzysz postąpił jak prowincjonalny *paparazzo*, który chce zrobić karierę na odkryciu jakiejś nieprawdopodobnej afery korupcyjnej, a „ciemne masy” czytając o tym nabierają pewności, że w Warszawie złodziej siedzi na złodzieju, a korupcjonista korupcjonistą pogania, bowiem gdy się takie informacje czyta, w zmąconym kwasami i żółciami umyśle zaczynają się gubić, czy na odwrót zaczynają przyrastać serie zer. I nagle powstaje znak równości między 5 milionami, 50 milionami, 5 miliardami, 5 miliardami itd. itd.

No bo jeżeli stawia się zarzut komuś że nielegalnie otrzymał 50 milionów, to ja bardzo przepraszam: co to właściwie za suma w sytuacji, gdy liczni panowie i panie na stanowiskach biorą miesięcznie poborów na znacznie okazalszą sumę.

B. towarzysz wywołał aferę i to jeszcze w sytuacji niezupełnie klarownej z punktu widzenia przepisów prawnych, do jednej kadzi wrzucił tych co nałapali się milionów z tymi, którzy nałapali miliardy. Ja wiem po co b. tow. zrobił ten manewr i on wie, a wie jeszcze kilka tysięcy innych ludzi. Tylko że „masy” tych subtelności nie rozróżniają i nie rozumieją, a potem histeryczne paniusie i roznamiętnieni emeryci wychwalają w mini-wywiadach ulicznych pana ministra, że zabełtał w tym brudzie elit politycznych. No i rzeczywiście zabełtał. Tylko *cui bono*? Jemu się pewnie zdaje, że *sui*.

I jeszcze jedna cecha tak zwanych polityków w życiu codziennym mojej biednej III Rzplitej: wiara, że można ileś tam razy przegrywać, a za którymś razem się uda. To znowu nie jest coś wyłącznie polskiego: obserwować można na dwóch światowych antypodach szastanie się takich wielkich przegranych: te nierozważne i groteskowe podróże zagraniczne Nixona i Gorbaczowa, to mizdrzenie się do zagranicznych polityków, których obaj panowie nic a nic nie obchodzą, bo już dawno się zgrali. U nas te same podchody wykonują małe płotki, ludzie którzy zabłądli na chwilę lub którym to zabłądzenie tylko się wydało. I którzy potem przegrali z kretesem, więc powinni zająć się naprawdę czym innym, jak staniem u drzwi salonu Pani Polityki, bo może ich ktoś tam znów wprowadzi. Ja mam dla nich wszystkich radę: zróbcie to co ja już od pewnego czasu robię, choć ani starałem się być politykiem, ani też nie przegrałem, ani wreszcie nie przestępuję z nogi na nogę w niczyich antyszambach. Przestańcie się, skądinąd mili panowie, ośmieszać, wygłupiać i przyjmijcie do wiadomości to co pewien antypatyczny pan powiedział naszym przodkom: panowie, żadnych marzeń!

I tu już ostatnia refleksja. Każdy naród kocha mieć wodza. Wodzostwo jest skrytym marzeniem ludzkości, która ma w sobie nieprzemijający kompleks dziewicy i marzyłaby o tym wspaniałym i mocnym, o tym jednym jedynym królewiczku z bajki. Nie wiem czy Polacy w tej dziedzinie przodują, czy są w normie, ale że marzą o wodzu, o Królu-Duchu, o narodowym Mesjaszu to widać jak na dłoni i kto zagłąda w zakamarki naszych lechickich dziejów ten wie, że te marzenia są stare jak Polska (oczywiście od morza do morza). Ale co

jest już wyłącznie cechą Polaków to ubóstwienie wodzów-nieudaczników: u nas najchętniej czci się tych co poprzegrywali nie tylko w polityce, ale także na polach bitewnych, jeden, bo nie umiał pływać, drugi, bo kiepsko jeździł konno i w kluczowym momencie spadł z rumaka, trzeci, bo wiał za szybko, a kiedy opamiętał się i zaczął wracać, to już nikt go nie potrzebował itd. itd.

Obawiam się, że tęsknota za wodzem z bajki nadal draży serca mych rodaków i gotowi popełnić kolejny polityczny poślizg odnajdując kolejnego kandydata, który albo nie umie pływać, albo jeździć konno, a już na pewno uprawiać sensowną polityki.

Ale czy ja cokolwiek mogę w tej sytuacji odmienić? Czy ja mogę namówić mych braci-Polaków do tego, by wreszcie zaczęli się posługiwać rozsądkiem, refleksją i opanowaniem, a nie rozjuszeniem i chciejstwem, które sprawia, że skłonni są wierzyć we wszelkie obiecywane im gruszki na wierzbie.

Więc wracam na swój parapet, wyglądam, widzę pana x który właśnie wraca do domu i panią y, która już zrobiła zakupy, i pieska merdającego ogonem, który upaja się korespondencją zastaną na pniu drzewa. Chwilami także czytam gazety, oglądam czy słucham audycje polityczne, ale gdy tak nacytam się i naoglądam to jeszcze chętniej wracam do mego okna, bo z niego nie widać ani żadnego NATO, ani Unii Europejskiej, pomruki byłego imperium zła docierają do mnie wyciszone i groteskowe, rzezie rozszalałych narodków tracą całą swą krwawą realność: tu najwyżej czasem przekołysz się jakiś pijak wywrzaskujący ku niebiosom swój welt-schmercik, pohałasują licealiści lub co-dopiero studenci, którzy uważają, że się poprzez wrzask dowartościowują. W perspektywie ulicy dziwaczna kamienica pełna esów-floresów i fakturowych smaczków ukazuje pająka, który w przeźroczu szczytu już od prawie stu lat snuje swą stalową pajęczynę. Wyczuwam jakieś takie ogólne kolebanie się i myślę: „Oho, znów ta nawa”. Ale owo kolebanie się nie jest zbyt intensywne, do żadnych sensacji w moim organizmie nie doprowadza i w ten sposób mogę nadal oddawać się złudnym wrażeniom, że świat jest wspaniały, a ten mój dodatkowo najlepszy ze wszystkich światów, że ludzkość jest najlepszym wynalazkiem Stwórcy, gatunkiem, który Mu się udał najbardziej, zaś szczególną tejsze ludzkości ozdobą jest naród lechicki... o! pan X znów wyszedł z domu i idzie, może do sklepu, a może do biura!

Kto się boi Jacka Kuronia?

Tytuł powyższy jest nie tylko — co oczywiste — powszechnie uprawianym plagiatem-aluzją do dziecinnego „Kto się boi Czarnego Luda?” i teatralnego „Kto się boi Virginii Woolf?”; jest również dokładnym autoplgiatem — w maju 1989, przed wyborami do sejmu, które (o czym jeszcze nie wiedzieliśmy) przynieść miały tak błyskotliwy sukces wychodzącej z podziemia „Solidarności”, wydrukowałem w istniejącej od kilkunastu dni *Gazecie Wyborczej* krótki tekst, który przepiszę tutaj w całości:

Kto się boi Jacka Kuronia?

Mieszkamy po dwóch przeciwległych stronach placu Wilsona — Jacek Kuroń, solidarnościowy kandydat na posła, i ja, jeden z jego wyborców.

Jeszcze przed „Solidarnością” zdarzało się, że kiedy panowie z SB przychodzili do Jacka na kolejną rewizję, wzywał mnie na świadka mającego nastąpić przetrząsania pótek i szuflad. Ile razy przebywałem tę bliską drogę...

Teraz jest równie bliska, lecz nie tak jednostajna, jak niegdyś: rekwizyty akcji wyborczej upstrzyły tablice ogłoszeniowe, mury, wystawy. Ale dziwna rzecz: co rano, wychodząc na plac, dostrzegam, że część obwieszczeń i plakatów została zniszczona — pozdzierana w całości lub części, uzupełniona obelżywymi napisami, zasmarowana. Są to zawsze afisze jednego z żoliborskich kandydatów na posła: tego wysuniętego przez „Solidarność”. Nikt nie rusza niebieskich arkusików, na których kandydat do partyjnego mandatu rozgrywa swą codzienną partię tenisa. Nikomu nie wadzą również konkurenci Kuronia do mandatu bezpartyjnego — mece-

nas Siła-Nowicki, postępujący się symbolem Polski Walczącej, oraz prezentowany jako kandydat młodzieży pan Sławbor Cergowski. Tylko Jacek Kuroń jest przedmiotem agresji „nieznanych sprawców”, szarpania, wydlubywania oczu, domalowywania fałszywych informacji i „kompromitujących” symboli, nawet przerabiania nazwiska, aby włożyć w nie treść hańbiącą.

Kto tak nienawidzi kandydata „Solidarności” — Jacka Kuronia?

Kto postanowił: każdy, byle nie on?

Kto się boi Jacka Kuronia?



Na pytanie „kto się boi Jacka Kuronia?” my, jego przyjaciele, zwolennicy, uczestnicy działań, którym przewodził, współaktorzy (choćby w epizodycznych rolach) jego nietuzinkowej biografii, mieliśmy oczywiście odpowiedź: oni.

Oni, partia rządząca, właściciele Polski Ludowej, ich aparat przemocy, dezinformacji, fizycznego i moralnego niszczenia ludzi. Ci, którzy wielokrotnie — na godziny, miesiące, lata — pakowali go do kryminału. Którzy tropili, podsłuchiwali, nasyłali prowokatorów i bojówkarzy, zakazywali pracy i druku. Którzy uniemożliwili więźniowi pożegnanie umierającej żony, a nam, na wolności, skonfiskowali jej nekrolog w gazecie. Którzy mieli specjalną jednostkę do nękania upatrzonych osób wszelkiego rodzaju fałszywkami, plugawymi listami i telefonami. Którzy nie cofali się przed skrytobójstwem, tak je inscenizując, by skompromitować ofiarę i na manowce skierować śledztwo. To oni, w sierpniu 1980, w Gdańsku, zmuszeni do układania się „jak Polak z Polakiem” ze strajkującymi stoczniovcami, na jedno do ostatniej chwili nie chcieli przystąpić: na wypuszczenie aresztowanych — z Jackiem Kuroniem na czele. A w 1989, ustawiając już okrągły stół w Pałacu Namiestnikowskim, jedno tylko usiłowali na koniec wymóc: by przy polerowanych brzegach mającego przejść do historii mebla w żadnym miejscu nie zasiedli Kuroń z Michnikiem.

Mieliśmy więc z pewnością rację, uważając, że to oni boją się Jacka Kuronia, i podejrzewając, że to ich sprawne ekipy smarują wołowymi literami w poprzek plakatowych podobizn kandydata „Solidarności”, zawadzając też o sfotografowanego z nim Wałęsę: „żydowska małpa”, „ubowiec”, z rzadka delikatniej: „lewica laicka”.

Pomysł, że działacz opozycji jest „żydowską małpą”, acz-

kolwiek odwoływał się do formułek starszych niż Polska Ludowa, także pochodził ze znanego repertuaru partyjno-ubeckiego.

Na marginesie, całkiem niedawno, w recenzji literackiej pióra młodej autorki, po przytoczonym przez nią zdaniu z czyjegoś tekstu: „Żyd to jest słowo obelżywe”, przeczytałem, że przypomniało jej ono własne przeświadczenie z czasów dzieciństwa — otóż sądziła była wówczas, iż „jest to takie samo przykre określenie, jak dureń, bałwan, idiota...”.

Ale pogardliwa formułka — stosowana instrumentalnie bądź ze szczerym przekonaniem i zgodnie z wyznawaną ideą — ma to do siebie, że posługiwać się nią mogą bardzo różni nadawcy. Użyty w kampanii wyborczej argument *quasi*-antysemicki (*quasi*, bo i wtedy, i kiedy indziej, nie chodziło o rzeczywistość, w której borykano by się z autentyczną „kwestią żydowską”, lecz o taką, w której funkcjonować miało „przykre określenie”, bliskie zapamiętanemu z dzieciństwa przez młodą autorkę), ten argument zatem — i nie tylko on zresztą — niebawem kazał się zastanowić, czy tylko oni boją się i nie noszą Jacka Kuronia, i z zakłopotaniem stwierdzić (z zakłopotaniem, bo komplikowało to obraz sytuacji), że nie tylko oni.

W zapiskach „Z dziennika czasu wyborów” (maj-czerwiec 1989, publikacja w *Więzi*: wrzesień tegoż roku) odnotowałem, że kilka tygodni przed 4 czerwca w Komitecie Obywatelskim przy Przewodniczącym „Solidarności” rozległy się głosy, w których — jak pisałem dosyć ostrożnie — „wyczuwało się jakby podejrzenie o nadmierne wpływy niemieckiej im orientacji w wewnątrzopozycyjnych układach i chęć zmiany równowagi na rzecz innych sił politycznych”. Dorzuciłem, że nie jest to zjawisko całkiem nowe, że istniało i przed „Solidarnością”, i za pierwszej „Solidarności” (powodując w niej niemałe skłócenie), i w pewnych publikacjach podziemnych po grudniu 81. „Przyklejając źle widzianej — kontynuowałem — kompromitującą etykietkę 'lewicy', siebie samą przeciwną jej formacja chętnie określała jako prawicową, narodową, chrześcijańską”.

Z perspektywy kilku minionych lat można ten szkieletowy sytuacyjny uzupełnić o próbę bliższego nieco przyjrzenia się ówczesnej „frondzie” w obozie „solidarnościowo-opozycyjnym”. Nie bez racji przedstawia się nieraz Polskę Ludową jako wielką zamrażarkę ugrunтовanych w innych czasach postaw, poglądów, tradycji politycznych. Nie przetrwały, ma się rozumieć, w stanie nietkniętym — wymieszały się, uległy

metamorfozom, w pewnej mierze zmodyfikowały swój język — i nie wszystkie, choć obecne w społecznym podglebiu, odegrały znaczącą rolę w przybierającej fali opozycyjnej lat siedemdziesiątych. Falę tę, z dużym impetem i nie bez ostentacji atakującą zmurszałe twierdze PRL-owskiej Grenady, życzliwi i nieżyczliwi obserwatorzy utożsamiali głównie z formacją określaną później jako KOR-owska (od KORu, założonego w roku 1976 Komitetu Obrony Robotników). Ona także nie była jednolita, jeśli chodzi o genezę i światopogląd, ale pewnych nawiązań (na przykład do przedwojennej endecji) w zasadzie niepodobna się w niej było dopatrzeć, dostrzegało się zaś inne: do światłego katolicyzmu KiKów, *Tygodnika Powszechnego* i *Więzi* oraz, może w większym stopniu, do studenckiego protestu 1968 roku, jego wolnościowego, antytotalitarnego porywu. KOR stworzyli inteligenci, ale w orbicie jego znalazły się wnet inne kręgi społeczne, w szczególności przyznawali się, że są jego „wychowankami”, nowi przywódcy robotniczy, jak Bujak, Janas i sam Wałęsa, i nie kombatanckiej pysze jedynie należy przypisać pogląd, że bez małego KORu nie byłoby wielkiej „Solidarności” lat 1980-1981. Kiedy zaś w stanie wojennym rosła legenda charyzmatycznych postaci ruchu oporu, mało kto zastanawiał się nad różnicami „ideologicznymi”, dzielącymi, dajmy na to, takich ludzi, jak Kuroń, Jurczyk i Pinior. Internowane w DarłóWKu dzielne dziewczęta z KPNu do furii doprowadzały klawiszy ułożoną przez siebie piosenką o godnym pożalowania szefie WRONy i o wspaniałym Kuroniu, który już niebawem, po rychłym zwycięstwie, zostanie „naszym premierem”.

Kiedy zaś zwycięstwo to stało się naprawdę bliskie i realne, poruszyły się i energiczniej upomniwały o swoje także mniej widoczne do tej pory grupy, środowiska i załączki organizacji. Wypłynęły na powierzchnię zapomniane (jakże niesłusznie) postawy mentalne, dawne partie, sztandary, hasła. Upomnieli się też o swoje ludzie z drugiego planu, dla których nie starczyło dotąd miejsca na przedzie historycznej sceny, choćby i wokół owego mebla, przy którym znalazł się w końcu, mimo pierwotnego sprzeciwu i lęku strony rządowej, Jacek Kuroń w dzinsowej bluzie. Niektórzy z nich, dotąd nie podejrzewani o „orientację narodową” czy „fundamentalizm katolicki”, naraz tak się właśnie określili — może dla wyraźniejszego zdystansowania od „laickiej lewicy”. Odnotowuję to wszystko już bez pierwotnego zaskoczenia, a tym bardziej bez krzty zgorszenia — zjawiska psychologii

indywidualnej i zbiorowej są, jakie są, i przez to pięciolecie widywało się większe dziwy. Daleki też jestem od sugerowania, że obawiając się wyrosłego na symbol antykomunistycznego oporu Jacka Kuronia i przeciwstawiając mu swojego, zasłużonego skądinąd, kandydata do ław poselskich, prawica posunęła się w tej kampanii wyborczej do czegoś więcej niż przesadne eksponowanie własnego patriotyzmu, nieobecnego rzekomo w etosie „kosmopolitycznej” formacji, którą zamierzano odsunąć. Sądzę jedynie, że nie przejmowano się zanadto tym, co spotykało rywala ze strony wspólnego przeciwnika i cichcem akceptowano te elementy propagandy komunistycznej, które sięgały do niegdysiejszego arsenału „narodowo-radykalnego” i które w następnych wyborach, gdy wydawało się, że komuniści opuścili już polską scenę polityczną, miały swoją prostotą i skutecznością skusić do użycia od nowa już w niesplamionym niedobrymi koligacjami „niepodległościowym” imieniu.

A więc padły dwie odpowiedzi — boi się (czy też bała się) Kuronia komuna tracąca grunt pod nogami i boi się (przypomniała sobie, że powinna się go bać) endecja szukająca dla siebie gruntu.

Czas, acz z ciężkim sercem, wykrztusić trzecią odpowiedź: ja się boję Jacka Kuronia.

Powiedziałem mu to wprost w roku 1976, kiedy proponował mi wstąpienie do KORu.

To, co teraz spróbuję wyznać, nie bardzo mieści się w jubileuszowej konwencji, ale noszę się z tym nie od dzisiaj i wyrzucę to wreszcie z siebie, naturalnie jeśli potrafię. Oto główna trudność: serdecznie i szczerze pragnąc osłaniać Jacka przed tamtymi, których lęk jest nienawiścią i atakiem z za węgła, muszę sobie zarazem poradzić z tym, że sam się go boję inaczej.

Wtedy, przed laty, tłumacząc swą odmowę, użyłem drugiej osoby liczby mnogiej: nie, nie ich, was się boję, waszej „partyjności”, waszej presji na każdego, kto, choć bliski wam, odchyła się jakoś od wspólnego kanonu, boję się waszej — i twojej osobiście — niezachwianej pewności własnej racji, czegokolwiek by dotyczyła.

Bardziej niż teoretyczna obawa przed swoistym „despotyzmem” sympatycznej mi przecież grupy oraz jej niekwestionowanego przywódcy powodowała mną wówczas obolałość

po konflikcie, jaki poróżnił mnie był z nim i nimi niewiele wcześniej.

Z Kuroniem stykałem się przelotnie bodaj od roku 1956, ale do jego i Gai domu wprowadziła mnie dopiero piętnaście lat później, już po wyjściu „pokolenia 1968” z pomarcowych więzień, Teresa Bogucka, świetna dziewczyna, przez przyjaciół nazywana Nemeckiem (takie nazwisko nosił w „Chłopcach z Placu Broni” jedyny żołnierz w wojsku złożonym z samych oficerów). Z wdzięcznością przygląłem do całego tego grona, przeważnie młodszego ode mnie o kilkanaście lat, imponującego mi odwagą, radością życia, determinacją w borykaniu się ze złem „realnego socjalizmu”. Polubiłem ich z miejsca, ale największe trudności (a z ich powodu — wyrzuty sumienia) miałem z polubieniem tego, który był ośrodkiem wszystkich poczynań, pomysłów, planów strategicznych i sądów moralnych. Na mnie także oddziaływała osobiwa siła, która z niego promieniowała — jak by ją określić? — siła skoncentrowanej woli, bezbłędnego instynktu społecznego i „pedagogicznego”, a nade wszystko nie słabnącej hojności serca, która nie pozwalała skąpić ludziom i sprawom czegokolwiek, co było jego — czasu, zdrowia, spokoju, pieniędzy (jeżeli je akurat miał), wolności i życia. Przebywałem więc, jak inni, w obrębie Jackowego magnetyzmu, ale raz po raz zdarzało mi się zżymać na prymitywizm jego wypowiedzi o czymś, na czym się nie znał, na przykład o książkach i filmach, połączony z lekceważeniem okazywanym upodobaniem odmiennym od własnych i z demagogicznym ustawianiem sobie mniemających inaczej do łatwego wyśmiania. Dochodziło między nami do scysji, czasem gwałtownych. Gaja starała się łać oliwę na wzburzone fale.

Jesienią 1975 wezbrał ruch protestów przeciwko projektowanym zmianom w konstytucji PRL, mającym zalegalizować faktyczny stan rzeczy: absolutne rządy PZPR i podporządkowanie Polski Związkowi Sowieckiemu. Pierwszy był tzw. „list 59”, którego sygnatariuszem — i zapewne, współ z Adamem Michnikiem, inicjatorem — był również Jacek Kuroń. Trochę później powstał „list 100”, podpisywany głównie przez ludzi nauki i sztuki; deklarując solidarność z tym poprzednim, skupialiśmy uwagę na innym fragmencie ogłoszonego w prasie projektu „poprawek”, prowadzącym według nas do większego niż dotychczas bezprawia i zniewolenia. W pewnym momencie Jacek przysłał wiadomość, a właściwie polecenie, że nasz list ma podpisać pewien sympatyczny człowiek z jego otoczenia. Nie wzbudziło to entuz-

jazmu: po pierwsze, baliśmy się spłoszenia niektórych potencjalnych sygnatariuszy ze środowiska artystycznego lub uniwersyteckiego; z przyciągnięciem ich wcale nie szło nam łatwo i niejedną znakomitość musieliśmy długo przekonywać, że nazwiskiem swym wesprze gest obywatelski ludzi kultury, nie zaś polityczną intrygę. Po drugie nie wydawało się nam stosowne, żeby wszystkie protesty w słusznej sprawie nosiły pieczęć jednego ośrodka dyspozycyjnego. Tymczasem Kuroniowi jak gdyby na tym właśnie zależało: protegowanych swoich traktował wymiennie, proponując niebawem zastąpienie pierwszego wskazanego przez siebie kandydata innym z tego samego grona. Obie strony, niestety, rozumowały „taktycznie”... Po jakimś czasie zrobiło mi się głupio, że nie machnęliśmy na to rozumowanie ręką — dotarło do mnie, że ktoś wartościowy, kogo lubiłem i ceniłem, odczuł nasz opór jako „niewpuszczenie na salony” i miał poczucie krzywdy. Jeszcze później granice pomiędzy angażującymi się w opozycję — nazwijmy to umownie — „literatami” i „studentami” uległy zatarciu i nie było już podobnych drażliwych sytuacji. Tymczasem wszakże za swoją negatywną decyzję w sprawie dodatkowego podpisu zostaliśmy „ukarani” manifestacyjnym odwróceniem się otoczenia Kuronia (a przynajmniej jego części) od „literatów, którzy zawiedli”. Ostracyzm ustał bodaj w czerwcu 1976, po Radomiu i Ursusie.

Moja odmowa przystąpienia do KORu nie miała tak nieprzyjemnych skutków. Nie wykluczone, że właśnie okoliczności zakładania KORu nauczyły Jacka większej tolerancji dla niezdyscyplinowanych współudziałowców w demontażu systemu. *Zapis*, który uruchomiliśmy z kolegami literatami tejże jesieni, był od KORu niezależny, mimo że bliski mu duchem i że w redakcji znaleźli się też pisarze, którzy byli członkami KORu, a w pracy organizacyjnej pomagał nam ktoś z młodych przyjaciół Jacka. Myślę, że taki układ był nie najgorszy.

Po latach, kiedy jestem stary, a i Jacek nie taki młody, uważam też za ważniejsze w moim życiu od kłótni z Jackiem to, że „tak w ogóle” byłem z nim, ufałem mu i pokrzepiała mnie jego intensywna obecność. Kilka razy rozlegał się jednak dzwonek alarmowy i zanim wrócę do problemu „bania się Jacka Kuronia”, przytoczę jeszcze dwa takie wydarzenia, których byłem bardziej świadkiem niż uczestnikiem.

W wielkim dziesięcioleciu opozycji (bezpośrednio poprzedzającym dziesięciolecie Jaruzelskiego) istniał w Warszawie taki „salon Walendowskich” — na Puławskiej, w niegdysiej-

szym mieszkaniu Melchiora Wańkowicza, zajmowanym wtedy przez jego urodzoną w Ameryce wnuczkę, młodą lekarkę Annę Erdman z mężem i dziećmi. Co parę tygodni odbywały się tam wieczory autorskie — kilkadziesiąt osób rozsiadało się na podłodze wokół kolejnego bohatera imprezy i po odczytaniu przez niego nie cenzurowanych i na ogół niecenzuralnych w tych czasach tekstów zaczynało się nieskrępowane gadanie, któremu sekundował z przedpokoju tupot nówek Dawida i Eliasza. Nie pamiętam dokładnej daty wieczoru Tadeusza Konwickiego, ale musiało to być w roku 1977, wkrótce po wydaniu „Kompleksu polskiego” jako 3 numeru *Zapisu*, bo już w 4 numerze, w kronice wydarzeń kulturalnych, nazwisko jego wymienione zostało w zbiorczej notatce o „wieczorach autorskich w prywatnym domu”. Pamiętam natomiast, że tym, który pierwszy zaatakował pisarza, był Jan Kelus, co zaszokowało nas trochę, bo wtedy jeszcze autorzy mojego pokolenia nie zdawali sobie sprawy, że we wszystkich konfrontacjach z publicznością będą się odtąd zawsze spotykali z większym zainteresowaniem dla swojego przedwczorajszego „upadku” (uwierzenia w komunizm), niż dla wysiłku przewyciężenia złudzeń młodości i dla tego, czym się zajmują obecnie. Jako następny po Kelusie zabrał głos Jacek Kuroń i wygłosił napastliwe przemówienie, w którym „udowodnił” Konwickiemu tchórzostwo, oportunizm i ogólną niesłuszność jego twórczości, tej najnowszej nie wyłączając. Tadeusz był zdruzgotany, a ja — czułem się zawstydzony i jakoś winny wobec kolegi, który nie próbował się bronić i dopiero po kilku dniach oświadczył z gorzkim grymasem — Więc to ma być sławny wódz opozycji? Przecież to bolszewicki aparatczyk, instruktor z KC...

Jesienią 1980 roku inny zaprzyjaźniony pisarz, Lech Bądkowski z Gdańska, członek Prezydium MKS (Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego), opowiadał mi z oburzeniem, jak to podczas posiedzenia tej wybranej w Stoczni instancji Wałęsa otworzył raptem drzwi do sąsiedniego pokoju i wprowadził czekającego tam Jacka Kuronia, a ten przez nikogo do władz MKS nie wybrany — z mety zaczął „rządzić” i ochryplym basem rozstrzygać stojące na porządku dnia kwestie. — To metody mafijne — pieklił się Lech — jak można tak brać ludzi przez zaskoczenie?

Rozumiem traumatyczną reakcję prostolinijnego Bądkowskiego na traktowanie w podobnie niefrasobliwy sposób reguł demokracji, ale nie do końca podzielam jego emocje, bo rozumiałem również, że przywódcy ulegają pokusie drogi na

skróty ku celom, jakie nie tylko oni sami uważają za słuszne. Wiedziałem jednakże, iż zlekceważenie wrażliwości osób patrzących bardziej rygorystycznie na metody uprawiania polityki jest nie tylko czymś nagannym moralnie — jest po prostu błędem.

Bądkowski nie żyje, Wałęsa i Kuroń dawno prawdopodobnie zapomnieli o tamtym incydencie, a mnie po latach wydaje się on bardzo wyraźnie wchodzić w obręb rozważań, co to znaczy — bać się Jacka Kuronia.

Nie chodzi przecież o tęgiego sąsiada z Placu Wilsona, który muchy nie skrzywdzi, a najchętniej i mnie, i każdemu nieba przychyli.

Chodzi o „Jacka Kuronia” — o to coś w człowieku, co od jakiegoś czasu przyzwyczailiśmy się nazywać charyzmatem, a o czym trochę wcześniej była już mowa jako o sile promieniującej z jej posiadacza, o magnetyzmie wciągającym innych ludzi w obręb wartości, idei, poczynań naznaczonych imieniem tego właśnie człowieka.

O charyzmat — i upajającą świadomość jej posiadania, a więc poczucie przewagi nad otoczeniem, nie ukrywane, okazywane w najrozmaitszy sposób, na przykład przez pewien rodzaj pobłażliwości w stosunku do spierających się z jego poglądem na tę czy inną rzecz, przez ton ironiczno-protekcjonalny i zbywanie czyichś nie do końca precyzyjnych argumentów przy pomocy pseudologicznych złotoustych konstrukcji.

O żarliwą pewność własnej racji — co jest wspaniałe i stanowi zapewne jedno z głównych źródeł owej siły tajemnej, a także podstawowy warunek skutecznego działania — niosąc zarazem niebezpieczeństwo niezachwianej pewności każdej z własnych racji i łatwość ignorowania tego, co ją niezupełnie potwierdza. Także łatwość, z którą w momentach, kiedy dokonuje się radykalny zwrot w jego myśleniu, przestaje on przywiązywać wagę do wczorajszych swoich kryteriów i odwołuje się do zupełnie innych, mając w dodatku za złe tym, którzy nie kwapią się do zwrotu z nim razem.

Wreszcie chodzi o silny instynkt wodzowski — niezbędny, czasem wręcz zbawienny u kogoś, kto przewodzi lub chcemy, by nam przewodził — z którym jednak połączone bywa niekiedy niedbałe, instrumentalne traktowanie tych, którym przewodzi, i bynajmniej nie przesadne przywiązanie do demokratycznych obyczajów i kultury międzyludzkich stosunków. Instynkt wodzowski tworzy też wokół jego posiadacza grupę ludzi w większości dzielnych i przejmujących

od niego to co najlepsze, ale zarazem jakby zbyt mu podporządkowanych i do potęgi podnoszących jego arbitralność, z błyskiem fanatyzmu powielających jego apodyktyczne wyroki.

Takiego zatem „Jacka Kuronia” boję się w Jacku Kuroniu i w innych ludziach, którzy, jak i on, są mi bliscy, których nieraz podziwiam, z których opiniami się liczę, którym życzę powodzenia i radości z coraz znakomitszych dokonań. Czasem boję się Jacka Kuronia także w samym sobie.

Czerwiec-lipiec 1994

Wiktor WOROSZYLSKI

Tekst przeznaczony do księgi pamiątkowej na 60-lecie Jacka Kuronia, która ukaże się w Warszawie nakładem Wydawnictwa NOWA.

Dwutygodnik polonijny

prasa
polska

Adres redakcji:
Prasa Polska
3, rue Robert Houdin
75011 Paris, FRANCE
Tel. (33-1) 49.29.04.30
Fax (33-1) 49.29.97.60

Ukazuje się od marca 1994 • Około 40 stron • Format A4

Polska widziana poprzez najlepsze teksty prasy krajowej — od dzienników do kwartalników. Także międzynarodowy przegląd polonijny i forum polskie, w którym wypowiadają się autorytety naszego życia społecznego.

Celem pisma jest utrzymanie trwałych związków z krajem, zbliżenie środowisk polonijnych oraz wzmacnianie poczucia wspólnoty ziemi, kultury, języka.

Wystarczy wysłać swój adres, aby otrzymać najnowszy numer.
Serdecznie zapraszamy.

Koszt prenumeraty rocznej — 26 numerów (półrocznej — 13 numerów) wynosi:
FF 320 (190), DM 95 (60), £ 38 (25), SUSA 55 (35), SCAN 70(45), SAUS 80 (50)

Martwy Chrystus

Marginalia albo wióry z warsztatu. Należy je zapisać jednym tchem, bez przerywników, gwiazdek, odstępów, gdyż ich wymowa tkwi w modulacji głosu. W modulacji nie zakłóconego niczym i przez nikogo monologu.

„Barnaby Conrad — pisze do mnie wrażliwy czytelnik z Kanady — zebrał w książce *Famous Last Words* ostatnie słowa wypowiedziane lub zapisane tuż przed śmiercią przez różnych wybitnych ludzi. Giordano Bruno (na stosie): 'Moja dusza wzniesie się wraz z dymem do raju'. Chociaż Pan napisał o stosie Giordana Bruna, że 'nie usłyszano ani słowa skargi, długo widziano jego nieruchomą, osmaloną twarz', to Pańskie zakończenie *Głębokiego cienia*, ze spadającym z nieba gołębiem symbolizującym duszę Nolańczyka, jest jakby powrotem tej duszy z raju”.

Dowód pisarskiej intuicji, dalej podam jeszcze inne. Teraz chcę skupić uwagę na samym stosie. W swoim czasie niedyskrecje watykańskie zapowiedziały bliską „rehabilitację pośmiertną” Giordana Bruna (okres postalinowski w ZSSR zinstytucjonalizował „rehabilitację pośmiertną”), ostatnio nastąpiła widocznie jakaś zmiana, skoro *sodalis* znanego publicysty katolickiego Vittorio Messori (współautora papieskiej książki *Varcare la soglia della speranza*) i też katolicki publicysta wystąpił z twierdzeniem: „słuszny stos” (dla Giordana Bruna). Podobno O. Bocheński, aluzyjnie i ostrożnie, coś pokrewnego wyłożył Parysowi w tomie rozmów filozoficzno-religijnych. Nie żyjemy zatem w epoce uwolnionej całkowicie od ognia pochłaniającego „wszelkie heretyckie odstępstwa od prawdziwej wiary”. Niech dalej trwa na wieki zakapturzony i ulubiony przez gołębie pomnik na *Campo dei Fiori*.

Zarówno w moim szkicu *Caravaggio: światło i cień* jak w moim opowiadaniu *Głęboki cień* wielki malarz przygląda się z tawerny stosowi Nolańczyka. Skąd to wzięłem? — pytano. Znowu podszept intuicji. I znowu potwierdzonej przez rzeczywistość. W wydanej świeżo książce *Caravaggio assassino* malarz awanturnik, pasjonat, zbrodniarz i buntownik dał w *Męczeństwie Mateusza* stos w tle. Nie przywiązywałem do niego większej wagi podczas pierwszych oglądów obrazu. Badacze twierdzą dziś kategorycznie, że pojawił się i odcisnął swój ślad w tle Giordano Bruno jako odpowiednik Świętego Mateusza. Ukryty przeciwnik kontrreformacji pasował w ten sposób heretyka na świętego męczennika.

Z mojego szkicu *Caravaggio: światło i cień* muszę zacytować podrozdział *Morte della Vergine*.

„Obraz wstrząsający, dla mnie jedno z głównych arcydzieł Caravaggia. Trudno jednak dziwić się zanadto, że przez zamawiających został ze zgorzeniem, jeśli nie z oburzeniem, odrzucony. Biada ołtarzowi, który miałby go prezentować wiernym!

Kobieta już niemłoda, bezgranicznie utrudzona życiem, obrzękła, z brzuchem sterczącym jak w ciąży, o ciężkich i grubych nogach robotnicy rolnej. Jej twarz nie wyraża spokoju i majestatu śmierci, raczej ulgę: jak strasznie jest zmęczona; to samo mówi jej zwisająca z barłogu lewa ręka. Cienka, delikatnie zarysowana aureola nad głową wydaje się tu czymś obcym i zarazem naturalnym. Dokoła śmiertelnego łoża płacz, zgromadzeni oplakują odjęty nareszcie ból istnienia, niektórzy zasłaniając rękami twarze. Wyzwolona Matka Boska, niech odpoczywa wiecznie.

Obrzęk ciała skłania do przypomnienia współczesnej malarzowi historii „świętej nierządniczy”. Caterina Vannini, młodociana prostytutka, zapukała skruszona do bramy klasztoru w Sienie. Jako zakonnica zbliżyła się pod koniec życia do świętości, o czym przekonany był Federico Borromeo, inicjując po jej śmierci proces beatyfikacji. Umarła w wieku czterdziestu czterech lat na puchlinę wodną. Do *Morte della Vergine* Caravaggio przemycił puchlinę wodną sienneńskiej Katarzyny.

Morte della Vergine należy oglądać równocześnie z innym płótnem Caravaggia, *Maddalena*. Śpiąca na krześle Magdalena, z rozchylonymi ustami i nie domkniętymi oczami, z rękami splecionymi w geście znużenia, jest jakoś spokrewniona z umarłą Najświętszą Dziewicą. Łączy je ów ból istnienia, którego kolec nosił za skórą Caravaggio wraz z cierniem śmierci”.

Kolejny przykład intuicji, tym razem nie mojej wyłącznie. I tym razem częściowo przynajmniej błędnej. Prawdą było, że Caravaggio chciał celowo połączyć niepołączalne, Najświętszą Niepokalaną Dziewicę z prostytutką, aby tym donośniej przemówił jego obsesyjny motyw „ból istnienia”. Ale nie miała tu nic do rzeczy współczesna mu „święta nierządnicą” ze Sieny. Świeże dociekania autorów archiwalnego kompendium *Caravaggio assassino* wprowadzają na scenę dwie prostytutki rzymskie (rodem także ze Sieny), wyłowione przez malarza w jednej z tawern i wprowadzone do pracowni jako (przede wszystkim) modelki: nazywały się Annuccia i Fillide. Annuccia pozowała mu do *Skruszonej Magdaleny*; i Annuccię, zmarłą podczas połogu, namalował w *Morte della Vergine*.

Kiedy się o tym wie i rozmyśla, trudno się oprzeć pokusie ściślejszego powiązania malarza-heretyka i filozofa-heretyka, wrogów kontrreformacji. Caravaggio był nie tylko przeniknięty do głębi „ból istnienia” i starał się wyrazić go w swoim malarstwie. Prawdopodobnie trafiał mu do przekonania Giordano Bruno, głoszący że „Bóg jest istotą niepoznawalną, do której człowiek może się zbliżyć jedynie tak, jak cień zbliża się do światła”, oraz że „Bóg czyli światło nie może być w pełni ogarnięty, człowiek może się doń zbliżyć tylko cieniem”. Nacisk filozofa na cień („jestem głębokim cieniem”) znajdował echo w malarzu („jestem mistrzem światła i cienia”).

Patrząc na kobietę z *Morte della Vergine*, o ciężkich, grubych nogach i chłopskich rysach twarzy, z brzuchem sterzącym jak w ciąży (okazuje się, że po połogu). I myślę o *Cieżarnej Madonnie*, *Madonna del Parto*, Piero della Francesca w kaplicy cmentarnej wioski tokańskiej Monterchi, w pobliżu rodzinnego Borgo San Sepolcro malarza. Madonna wsparta lewą ręką w boku, prawą położyła na rozpięciu w sukni, które odsłania ciężarny brzuch. Matka malarza urodziła się w Monterchi, długo więc sądzono że to ją namalował wkrótce po jej śmierci, ale daty się nie zgadzają. Nie miało to w przeszłości znaczenia, wystarczyło pamiętać, że tędy zwykł przechodzić na starość ślepy Piero prowadzony za rękę przez chłopca; i że kaplica cmentarna, Madonna pod baldachimem, którego oba odchylone skraje podtrzymują dwa anioły — kaplica i ciężarna Madonna, powtarzam, starzejące się i czerniejące z upływem czasu jak przydrożny krzyż smagany wiatrami i deszczami, prażony tokańskim słońcem, stały się częścią natury i świata, na podobieństwo Narodzenia

pod uciętym dachem tegoż Piera. Świata zmytizowanego i nagle osieroconego, gdyż *Cieżarną Madonnę* odrestaurowano — czyli rozjaśniono — i przeniesiono obecnie z kaplicy do małego muzeum w Monterchi (dlatego użyłem wyżej określenia „w przeszłości”). Nie jestem w zasadzie przeciwnikiem restauracji (odnowiony *Sąd Ostateczny* Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej zdał egzamin na celująco), sądzę jednak że nie wszystko można restaurować i przenosić. Ciemna *Madonna del Parto* w kaplicy cmentarnej opowiadała innym, głębszym głosem fragment wielkiego, tajemniczego „cyklu” Poczęcie-Narodzenie-Nauczanie-Ukrzyżowanie-Zmartwychwstanie.

Męka Ukrzyżowania. Sycylijski mistrz Antonello da Messina pokazał w trzech twarzach trzy warianty płaczącego Chrystusa: położył nacisk na wyraz tępego bólu, maskę fizycznego cierpienia, szloch wywołany okrucieństwem tortury. Masaccio w *Ukrzyżowaniu* kazał głowie Chrystusa wyrosnąć wprost z torsu, jakby przetrącono Mu kręgosłup przed przybiciem do krzyża. Niedawno w Mediolanie, w otwartych po długiej przerwie „salach napoleońskich” Gallerii Brera, widziałem nareszcie w oryginale *Martwego Chrystusa*, *Cristo Morto*. Andrea Mantegna, iluminator *Komnaty małżonków* w Mantui, namalował go w roku 1480. Jedyny to obraz, z którym się nigdy nie rozstawał, który uważał (słusznie) za swój osobisty skarb. Obraz przejmujący, nie mający sobie równego, realistyczny i ludzki aż do skrajności (w tym bliski *Morte della Vergine* Caravaggio; wiadomo, na przykład, co oznacza wzniesienie na płócienną narzucie zasłaniającej martwego od pasa w dół: erekcja jest ostatnim śladem życia u powieszonych czy ukrzyżowanych). Nazywał się kiedyś *Cristo scurto*, co angielscy historycy sztuki oddają słowami *strongly foreshortened figure*. Względny perspektywy w figurze widzianej jakby przez twórcę klęczącego w niewielkiej odległości od stóp Chrystusa leżącego po zdjęciu z krzyża (i opłakiwanego z boku przez Matkę i Jana Ewangelistę) nie wystarczają dla wytłumaczenia pozycji „gwałtownego skrócenia”, skurczu, przygniecenia ciała. Według mnie Mantegna w ten sposób zamierzał — z powodzeniem! — namalować Ukrzyżowanego jako kondensację cierpienia, zmartwiały kłęb ledwie wygasłego bólu.

Caravaggio i Mantegna, a do pewnego stopnia także Masaccio i Antonello da Messina, utrafili w sedno chrześcijaństwa, religii cierpienia, głębokiego związku cierpiących z Ukrzyżowanym. Niezbyt sensowne więc wydaje się pytanie

Unde malum? (w Krakowie we wrześniu głowili się i mądrzyli nad nim poeta, filozof i teolog). Zło jest w naszym świecie, w nas i obok nas, w „ból istnienia” i w cierpieniu. Można i należy z nim walczyć, nie można go definitywnie pokonać. Taki jest świat, to czują chrześcijanie wpatrzeni w obraz Chrystusa, wierzący w Jego „cykl”, po cóż więc przypominać im, że żmijka połyka robaka, ptak połyka żmijkę, lis szykuje się do skoku na ptaka, człowiek łowi w żelazne kleszcze lisa, sam zaś dobrze wie że na niego również ktoś lub coś zastawia sidła.

Kościół instytucjonalny rozumie to doskonale. Usiłuje wiarę zespolić z otuchą, nadzieją i odwagą. Jan Paweł II napisał po polsku swój tekst do książki *Varcare la soglia della speranza* z wyjątkiem włoskiego wezwania *non abbiate paura*, „nie bójcie się”, które otworzyło niegdyś jego pontyfikat. Irena Pivetti, zagorzała katoliczka z krzyżem Wandei na piersiach, zwana często we Włoszech „naszą Dziewicą Orleańską” albo „naszą świętą”, trzydziestotrzyletnia przewodnicząca włoskiej Izby Deputowanych (choć, prawdę mówiąc, ani nie dziewczica, skoro była przez jakiś czas mężatką, ani nie przykładna katoliczka, skoro rozstała się z mężem po odmowie rodzenia dzieci), wgapiona ekstatycznie w „papieża Wojtyłę”, zaproponowała by wezwanie papieskie uzupełnić: „Nie bójcie się Boga”. Nasz „najlepszy ze światów” zdąży jednak szybkimi krokami w kierunku, który Ojca Świętego powinien raczej skłonić do okrzyku, ile sił w piersiach, „Bójcie się Boga, bójcie się Boga!”. Okrzyku może już daremnego, bo nad schyłkiem Drugiego Millennium zdaje się coraz prężniej panować Mantegna ze swoim Umarłym Chrystusem.

Listopad 1994

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

STRACHY NIE NA LACHY

I. TRZEJ PANOWIE W CYLINDRACH

Co mają ze sobą wspólnego panowie Hennadij Udowenko, Valdis Birkavs i Ivan Stancioff (koniecznie przez dwa «ff» a nie przez «w» ani «v»)? Mają dużo.

Po pierwsze wszyscy są ministrami spraw zagranicznych swoich krajów, to znaczy Ukrainy, Łotwy i Bułgarii.

Po drugie, stali się ministrami niejako przez zaskoczenie. Pan Udowenko, lat 65, był ostatnio ambasadorem w Warszawie. Przedtem, za życia ZSSR, Udowenko był wysokim, z sowieckiego nadania, urzędnikiem ONZ (pracował „pod” Bogdanem Lewandowskim, naonczas zastępcą sekretarza generalnego ONZ i bardzo sobie ten okres, oraz Lewandowskiego, chwali), potem ambasadorem kolejno sowieckiej i wolnej Ukrainy w ONZ, przewodniczył Ogólnemu Zgromadzeniu i rozmaitym komitetom tego *machin* jak mawiał de Gaulle, zanim wysłany został do Warszawy. Tu, po wyborze Kuczmy na prezydenta Ukrainy, Udowenko dostał tylko trzy dni czasu na pożegnanie się przyjaciółmi w Warszawie (od Lewandowskiego dostał list z gratulacjami) i przeprowadzkę na ministerialny stołek do Kijowa.

Valdis Birkavs, choć młodszy bo rocznik 1942, też ma dłuższą karierę. Zdążył już nawet być premierem Łotwy. Doktor prawa, zastępca dziekana wydziału prawa w Rydze, uczony, specjalista od psychologii i kryminologii, wykładowca na wielu uniwersytetach, także w USA (Harvard), autor wielu

publikacji naukowych, założyciel Łotewskiego Stowarzyszenia Prawników. Birkavs dał się jednak zarazić bakcylem polityki i jak tylko się dało to wszedł na tę drogę. Działacz (antysowieckiego) Ludowego Frontu Łotwy, Birkavs był jednym z założycieli partii pod nazwą „Droga Łotwy”, która od początku niepodległości rządzi albo współrządzi Łotwą.

Ivan Stancioff, lat 65, opuścił Bułgarię w roku... 1943, najpierw w kierunku Szwajcarii, potem do USA. Żołnierz armii amerykańskiej, długoletni pracownik IBM i ITT, a potem właściciel przedsiębiorstwa komputerowego. Stancioff wrócił do Bułgarii w 1990 roku, został natychmiast mianowany ambasadorem m.in. w Anglii, zanim obecny rząd tymczasowy nie zaproponował mu, po 47 latach wygnania i czterech latach kariery dyplomatycznej, teki ministra.

Po trzecie, wszyscy zjawili się w grudniu 1994 w Brukseli, na zebraniu Rady Współpracy Północnoatlantyckiej, gromadzącej, od upadku muru, aktualnych członków obecnego Paktu Atlantyckiego oraz byłych członków byłego Paktu Warszawskiego. Rada ma niewiele do powiedzenia i nic do zadecydowania. Nie dysponuje zresztą żadnym instrumentem działania, który pozwoliłby jej wprowadzić w życie jakieś postanowienia, gdyby w ogóle takie zostały podjęte. Na ogół, całość kończy się wesołym oberkiem, albowiem Rada, w angielskim skrócie NACC, francuskim — COCONA, choć nieskuteczna operacyjnie, jest ciałem pożytecznym, głównie towarzyskim, ułatwiającym kontakty, rozmowy zakulisowe, a te się zawsze w polityce przydać mogą.

Po czwarte, tym razem cała trójka (i jeszcze wielu innych) została zaskoczona, albowiem niespodziewanie wzięła udział w zupełnie, wbrew oczekiwaniom, nie nudnym spektaklu. Ożywienie wprowadził rosyjski minister spraw zagranicznych Andriej Kozyrjew. Na wiadomość (która już dawno nie była dla niego tajemnicą) o tym, że NATO postanowiło w ciągu roku opracować jakiś nieśmiały wstęp do zamazanej procedury mogącej w mglistej przyszłości doprowadzić do programu objęcia pewnych nieznanymi krajów w nieznanym terminie niewiadomej klasy gwarancjami atlantyckimi, udał zdziwienie i rozpacz, rozdarł szaty i w dramatycznym geście odmówił podpisania dwóch dawno przygotowanych dokumentów określających ramy współpracy Moskwy z atlantycką Brukselą.

Po piąte, ten epizod i nowy ton w rosyjskiej dyplomacji (potwierdzony a nawet „ulepszony” kilka dni później przez samego Jelcyna na konferencji KBWE w Budapeszcie) spra-

wił, że cała ministerialna trójka chętnie zgodziła się na rozmowę z dziennikarzem z Brukseli. Oto kolejno, wybór (nie-wielki, dokonany pod określonym kątem, z wyłączeniem istotnych spraw wewnętrznych i gospodarczych) długiej w oryginale serii pytań i odpowiedzi.

II. „ON THE RECORD...”

Ukraina: Syndrom dwóch stoni

KULTURA: — *Pański nowy prezydent Leonid Kuczma nie miał dobrej prasy na Zachodzie. Były szef największej sowieckiej fabryki rakiet atomowych podejrzany był o prorosyjskie skłonności. Dopiero jego podróż do USA, spora liczba umów ukraińsko-amerykańskich, krótko mówiąc amerykańskie zaświadczenie moralności wystawione dla Kuczmy zmieniło ten obraz.*

UDOWENKO: — Zaświadczenie takie nie było potrzebne, choć należy powitać całkowitą zmianę w stanowisku Waszyngtonu, który nareszcie odkrył istnienie Ukrainy. W tym „odkryciu” tkwi zresztą wielka zasługa Polski, która nie zaniechała żadnej okazji aby Ameryce o naszym istnieniu i znaczeniu przypomnieć. To zachodnia prasa wymyśliła prorosyjski *image* Kuczmy. Wiadomość o jego wyborze, *Herald Tribune* zatytułował: „Prorosyjski prezydent na Ukrainie”. Kozyrjew to skomentował mówiąc, „Jedyny prorosyjski prezydent nazywa się Jelcyn”. Kuczma to patriota ukraiński, zdecydowany utrzymać i umocnić niepodległość Ukrainy, jej suwerenność i całość terytorialną. To wszystko nie znaczy, że poprawa stosunków z USA czy Zachodem miałyby się dokonać kosztem stosunków z Rosją. Wprost przeciwnie, jest to proces równoczesny. Zresztą Jelcyn i Clinton, są tego samego zdania.

— *A jednak zbliżyliście się do WNP, w której Rosja zajmuje pozycję dominującą, żeby nie powiedzieć hegemoniczną.*

— *Jeżeli o nas chodzi, to stwierdzenie to nie odpowiada rzeczywistości. To prawda, że nasze stosunki z Rosją są teraz lepsze, powinny zresztą być coraz lepsze, ale oparte są na współpracy i pragmatyzmie. Nie ma już „braci” ani star-*

szych ani młodszych, nie ma już także „równiejszych wśród równych”...

— *Jeżeli jest tak dobrze, to co myśli Kijów o rosyjskim koncepcie „bliskiej zagranicy”?*

— Myślmy... dużo. Powiedzmy, że nas to interesuje. Najogólniej można powiedzieć, że góra rosyjskiej klasy politycznej naszej niepodległości faktycznie nie kwestionuje, traktuje ją poważnie, rozumie, że istnienie demokratycznej, zadowolonej i niepodległej Ukrainy leży dziś także w interesie Rosji. No ale, nie ulega także kwestii, że tak zwany zwyczajny Rosjanin, nawet demokrat, z wielkim trudem godzi się na postrzeganie Ukrainy jako bliższej czy dalszej zagranicy, jako państwa niepodległego. W czasie niedawnego pobytu w Kijowie, Kozyriew powiedział, że Rosja nie chce być ani starszym ani młodszym bratem, ale że widziałby nas jako braci bliźniaków. Może pan sobie wyobrazić reakcję naszej prasy, która natychmiast zauważyła, że z dwóch bliźniaków jeden urodził się jednak wcześniej.

— *No właśnie, co Pan sądzi o politykach zachodnich, którzy widzą Ukrainę tylko jako państwo buforowe między Rosją a resztą Europy?*

— To nasz koszmar. Nie chcielibyśmy się znaleźć między NATO rozszerzonym o państwa Europy Środkowej a blokiem (traktatu o zbiorowym bezpieczeństwie WNP) z Taszkientu. Tam gdzie dwa słonie uprawiają miłość, tam trawa nie rośnie. Do „Taszkientu” nie należymy, do NATO nas nie chcą...

— *a jeżeli kiedyś NATO wpuści tylko Polskę czy Węgry?*

— Sytuacja się skomplikuje. Mam trzy uwagi. Pierwsza, że jest to sprawa NATO i krajów kandydackich i że nikt z zewnątrz nie ma prawa weta. Druga, że nie należy w żadnym wypadku eliminować Rosji z opracowania modelu wspólnego bezpieczeństwa w Europie. Po trzecie, że rozszerzenie NATO niesie ryzyko polaryzacji politycznej na Ukrainie. Znajdą się ludzie, którym obecność NATO na naszej granicy nie przypadnie do gustu...

— *...choć w istocie dla Ukrainy to nie jest najgorsza perspektywa...*

— To zależy jak na to patrzeć. W każdym razie pączkowanie NATO powinno być bardzo ostrożnym i ewolucyjnym procesem. Dla nas priorytetem jest doprowadzenie Ukrainy do sytuacji państwa stabilnego i silnego. Trzeba nas zrozumieć: kiedy granica NATO pokryje się ze wschodnią granicą Polski, nowa linia podziału, dalej na Wschodzie, pójdzie przez Europę. Ukraina zostanie sama po drugiej stronie.

— *Czy ktoś kiedyś myślał o stanie pośrednim? O jakiej organizacji regionalnej?*

— Poprzedni prezydent Krawczuk wysunął kiedyś taki pomysł. Ale spotkał się z bardzo zimnym przyjęciem ze strony Polski i innych państw Wyszehradu.

Łotwa: Syndrom pejzażu

KULTURA: — *Łotwa, po 50 latach, jest dziś państwem suwerennym, bez wojsk rosyjskich na jej terytorium. Pomruki jednak nadal dochodzą z Moskwy.*

BIRKAVS: — Nasze stosunki są na dobrej drodze, ale normalizacja następuje zbyt wolno. Ewakuacja wojsk rosyjskich to nasz wielki sukces, ale spadek jest ciągle odczuwalny. Chodzi m.in. o nadwyżkę 4.000 emerytowanych wojskowych rosyjskich, którzy powinni byli opuścić Łotwę razem z wojskiem, ale którzy w większości wyraźnie wolą u nas zostać. To nie jest sprawa gościnności: w umowie o ewakuacji już podjęliśmy zobowiązanie utrzymywania na Łotwie 22.000 emerytowanych oficerów rosyjskich. Jak na mały kraj...

— *i jak na kraj objęty być może scenariuszem „bliskiej zagranicy”?*

— Mam nadzieję, że tak nie jest. Nie rozumiem w ogóle co, w naszej epoce „komunikacji globalnej”, ten concept miałby oznaczać. Jeżeli miałby on oznaczać prawo Rosji do mieszania się w nasze sprawy, to byłby to pomysł nie do przyjęcia. Pomijając już fakt, że jest to idea o podwójnym ostrzu. Były premier szwedzki, Carl Bild, ujął to najlepiej, kiedy powiedział, pod adresem Rosjan naturalnie, że „Łotwa stanowi bliską zagranicę dla Szwecji właśnie”.

— Rosja wychodzi z założenia, że stanowi bardzo wielkie mocarstwo w Europie, że ma prawo do specjalnego statusu, do specjalnego traktowania...

— Rosja to rzeczywiście bardzo wielkie państwo. Czasami odnieść można wrażenie, że jest to tak wielkie mocarstwo, iż choć Rosja nie należy do struktur zachodnich, to ma w nich więcej do powiedzenia niż ich normalni członkowie.

— Czy Łotwa ma jakieś problemy graniczne z Rosją? Czy rewindykujecie na przykład rejon Abrene, zagarnięty przez Rosję po wojnie?

— Nie zapominamy o tym, ale nie zgłosiliśmy oficjalnie żadnych roszczeń terytorialnych (materialne to inna sprawa) z tego tytułu. Nie chcemy stwarzać nowych problemów granicznych...

— ...no to jak Łotwa zareagowała na hurrapatriotyczne okrzyki („nie oddamy ani piędzi ziemi”) Jelcyna i Kozyriewa w czasie inspekcji niedaleko was, akurat na kwestionowanym przez Estonię odcinku jej granicy z Rosją w okolicach Pskowa? Estończycy się nie kłębowali i określili tę inspekcję jako „afront” i „prowokację”.

— Określenia te nie są bardzo dyplomatyczne. Trzeba jednak uznać, że jeżeli prezydent Jelcyn zmierzał do polepszenia stosunków z Estonią to nie wybrał najlepszego sposobu. Oficjalnie, zachowaliśmy się dyskretnie, ale między sobą zastanawialiśmy się dlaczego panowie Jelcyn i Kozyriew wybrali do inspekcji akurat ten skrawek granicy, skoro państwo rosyjskie ma niejasno wytyczone granice właściwie prawie wszędzie. Wybór akurat tej kwestionowanej linii granicznej, akurat z państwem bałtyckim i do inspekcji na tak wysokim poziomie, wyraża, być może, jakiś specjalny typ zainteresowania...

— Mniej więcej taki jaki przejawia Łotwa wobec Kaliningradu czyli Królewca, najbardziej, jak twierdzą, zmilitaryzowanego regionu na świecie.

— Naturalnie, Europa, zwłaszcza północna i bałtycka, powitałaby z ulgą i radością początek demilitaryzacji Kaliningradu. Ale Kaliningrad to część Rosji. To jej problem.

— W czasie niedawnej wizyty u was, Lech Wałęsa jednak nie przemilczał tego rosyjskiego problemu i zwrócił uwagę na ryzyko kolosalnego nagromadzenia ludzi i sprzętu wojskowego w Kaliningradzie...

— radości w Moskwie nie wywołał...

— A co mogłoby radość tam wywołać? Rozszerzenie NATO?

— Wątpię. Dla nas jednak to nie jest kwestia radości. My od początku wyrażaliśmy wolę uzyskania pełni praw członkowskich NATO i Unii Europejskiej. Dla nas sprawa jest prosta. Mamy do wyboru znaleźć się w sferze zainteresowania albo Zachodu albo Rosji. My już wyboru dokonaliśmy. Tylko, że odmiennie np. niż Polska, postanowiliśmy nie składać na razie wniosku o wejście do tych struktur. Na razie zajmujemy się przygotowaniem tej operacji tak, aby w chwili kiedy stanie się ona możliwa, była ona jak najłatwiejsza i najbardziej naturalna.

— A jak Łotwa zareaguje kiedy, drogą procedury selektywnej, Polska czy inne państwo stanie się członkiem NATO przed wami?

— Jeżeli jakiegokolwiek państwo byłej Europy sowieckiej stanie się członkiem NATO, nowe linie podziału przejdą przez Europę, cały europejski pejzaż polityczny ulegnie zmianie.

— Nie bylibyście zadowoleni gdyby NATO graniczyło z Łotwą, gdyby nowe granice Europy kształtowały się w stylu tej, która już biegnie wschodnią granicą Finlandii, świeżego członka Unii Europejskiej?

— Ta długa nowa granica Unii Europejskiej z Rosją to bardzo dobra rzecz...

— No to co byłoby złego, gdyby któregoś dnia wschodnia granica NATO pobieгла wzdłuż wschodniej granicy Polski?

— Nic, pod jednym warunkiem. Tym mianowicie, że tego samego dnia, NATO powinno ogłosić bardzo dokładny kalendarz nowych decyzji integracyjnych, daty otwarcia drzwi NATO przed innymi kandydatami, między innymi bałtyckimi.

— *Dlaczego?*

— Dlatego, że tego samego dnia Rosja mogłaby postanowić i ogłosić plany rozszerzenia swojej strefy wpływów. To nie byłoby dla nas najbardziej radosną perspektywą...

Bułgaria: Syndrom wiarygodności

KULTURA: — *Jak się Pan czuje w NATO?*

STANCIOFF: — Jak u siebie. Bez żadnych kompleksów. Ja i moi koledzy z Polski, Estonii czy wszystko jedno skąd, zachowujemy się i wypowiadamy na zasadzie pełnej swobody, tak jakbyśmy już byli członkami zachodniej społeczności.

— *Mimo zaostżenia tonu Kozyriewa właśnie na wasz, środkowo i wschodnioeuropejski temat?*

— Jego reakcja na perspektywę rozszerzenia NATO nie powinna zbyt dziwić. To zjawisko raczej z dziedziny polityki wewnętrznej Rosji. Ten kraj przeżywa dziś kolosalne problemy. My także zresztą, ale my mamy przewagę: jesteśmy małym krajem. Zresztą, jestem zdania, że *casus* Kozyriew w żadnym wypadku nie może przeszkodzić w naszym zbliżeniu z Zachodem. Ogromną wagę przywiązuję już choćby do możliwości udziału w wielkiej debacie nad rozwojem tej społeczności. Tym bardziej, że przez dziesięciolecia byliśmy od niej oddzieleni murem politycznym, a od kilku lat murem gospodarczym. Odnoszę wrażenie, że stajemy się czymś w rodzaju rodziny, poznajemy się coraz lepiej, co ułatwi rozwiązanie problemów...

— *...na przykład w Bośni?*

— Nie widzę dziś żadnego rozwiązania z zewnątrz. Niektórzy skłonni są formułować na nowo wniosek o bałkańskim fatalizmie, o niezmiennej trwałości bałkańskiej beczki prochu. Przed ponad dwoma laty, byliśmy za akcją taką jak w Zatoce Perskiej, ale inni byli przeciw, pod różnymi pretekstami zresztą: teren, ludzie itd. Dziś, jesteśmy przeciwni takiej akcji, no bo świadomi jesteśmy ryzyka jakie pociągnęłaby ona dla „niebieskich hełmów” zwłaszcza. A przecież są oni tam w misji humanitarnej a nie wojskowej.

— *A ryzyko dla NATO? Czy Pakt Atlantycki ma jeszcze*

jakąkolwiek wiarygodność, zaufanie, prestiż?

— Wiarygodność stracili wszyscy i wszyscy, wydaje mi się, są tego świadomi. NATO straciło, Unia Europejska straciła, Stany Zjednoczone straciły, no i naturalnie ONZ. Widok Butrosa Ghali traktowanego z pogardą przez Serbów był nie do wytrzymania. Jeżeli o nas chodzi, to jesteśmy świadomi faktu, iż nie mamy żadnych gwarancji bezpieczeństwa. To paradoks, ale w okresie Paktu Warszawskiego panowało złudzenie jakiegoś bezpieczeństwa pod nuklearnym parasolem sowieckim. Mniejsza o to przed kim, psychologicznie biorąc panowało przekonanie o „ochronie”. Dziś, nie czuje się niczego. Albo i gorzej. Zwłaszcza, kiedy się żyje niedaleko Bośni.

III. POSTRACH SZAREJ STREFY

Rozmowy z ministrami były naturalnie znacznie dłuższe niż mogłoby to wynikać z przytoczonych fragmentów. Obejmowały dłuższe monologi nie przeznaczone, na żądanie moich rozmówców, do druku, a w każdym razie nie do cytowania ze wskazaniem źródła: były *off the record*. Ale już choćby tylko na podstawie przytoczonych fragmentów dotyczących spraw i uwarunkowań międzynarodowych, można zaryzykować próbę syntezy.

a) *Problem nazywa się Rosja*

Po pierwsze, a można by tu włączyć wrażenia z nie przytoczonych (byłoby tego za dużo w ogóle i byłoby za dużo powtórzeń w szczególności) rozmów z innymi dyplomatami w Brukseli; podstawowym, jeżeli nie jedynym problemem (w negatywnym sensie tego słowa) wszystkich krajów strefy postsowieckiej jest strach przed Rosją. „Wybuchy” Kozyriewa i Jelcyna w Brukseli i w Budapeszcie poprzedzone były serią zygzakowatej, mało czytelnej karuzeli personalnej w Moskwie. Układ sił się szybko zmieniał, sojusze się rozlatywały z właściwie niezrozumiałych powodów. Orientacja kto z kim i dlaczego była coraz trudniejsza. Wypowiedzi moich rozmówców, zwłaszcza te przeznaczone do druku (choć nie tylko, prywatnie także miałem wrażenie, że oni ciągle boją się pod-

śluchu), były nad wyraz ostrożne. To, naturalnie, dobrze świadczy o ich talencie dyplomatycznym, ale oczywiście nie pozwala jasno postawić sprawy.

b) *Co się dzieje w Moskwie?*

Po drugie, ostrożność ta jest w dużym stopniu wynikiem niepewności, niejasności w odczytywaniu polityki rosyjskiej i nieprzewidywalności reakcji Kremla. Jak rzeczywiście wytłumaczyć na przykład fakt, że to akurat na koniec roku 1994, który w zasadzie był okresem uporządkowania i poprawy stosunków między Rosją a NATO, Moskwa odegrała taki zimnowojenny grudniowy *show* jak w wykonaniu Kozyriewa w Brukseli i Jelcyna w Budapeszcie? Co mogło takiego zająć w Rosji, żeby doprowadzić Jelcyna i Kozyriewa do awantury wokół planów rozszerzenia NATO, które, z jednej strony, właściwie bardzo niewiele zmieniały *status quo*, a, z drugiej strony, nie stanowiły przecież niespodzianki dla Moskwy? Dlaczego, pod niewyraźnym, koniunkturalnym pretekstem, Kozyriew (żeby się posłużyć dawnym słownictwem sowieckim) „podeptał i podał na strzepy” dwa obszerne dokumenty, które osobiście negocjował przez wiele miesięcy, które uważał za sukces swojej dyplomacji, jako że, przy odrobinie wyobraźni, można było je interpretować jako uznanie specjalnego, „równiejszego od równych”, statusu Rosji w stosunkach z NATO?

c) *Jak do niej daleko?*

Po trzecie, niejasność dotyczy przede wszystkim podstawowego, z punktu widzenia państw powstałych na gruzach ZSSR, konceptu „bliskiej zagranicy”. Jest on nicowany na wszystkie strony, nikt jednak właściwie nie wie co on znaczy, jak daleko sięgają granice tej „bliskiej zagranicy”. Stąd bierze się u wszystkich syndrom, który można by określić jako „postrach szarej strefy”.

Mówiąc z pełną szczerością, ale w głębokiej tajemnicy oficjalnej, wszystkie kraje na zachód czy południe od Rosji powitałyby z radością pojawienie się po drugiej stronie ich granic słupów granicznych NATO. Oznaczałoby to, z ich punktu widzenia, sąsiedztwo ze strefą stabilizacji, zbliżenie, bezpośredni kontakt, z jedynym jako tako funkcjonującym

systemem bezpieczeństwa w Europie. Mimo daleko posuniętej dyskrecji, wszyscy na przykład wyrażają zadowolenie z wejścia Finlandii do Unii Europejskiej, czyli z bezpośredniego, i to na długim odcinku, sąsiedztwa Rosji ze zintegrowaną Europą.

Obawa przed reakcją Moskwy jest jednak silniejsza. Strach przed „szarą strefą” jest dziś, zwłaszcza pod wrażeniem ekspedycji na Czeczenię, większy niż kiedykolwiek. Jeżeli taki był cel moskiewskiej awantury w Brukseli i Budapeszcie, to się Rosji ta operacja udało.

Reakcja niektórych stolic „szarej strefy” na rosyjski wybuch w Brukseli i Budapeszcie graniczy z szokiem. Sąsiedzi Rosji są zdania, że Moskwa jest dziś tak bardzo nieprzewidywalna, iż nie wolno sobie pozwolić na najmniejsze nawet ryzyko w ogóle, a ryzyko pozostawienia jakiegoś poszczególnego kraju w izolacji od reszty w szczególności. Stąd, nawoływanie do ostrożności w procedurze rozszerzenia NATO. „Ja nie wiem jak wytłumaczyć fakt, że się ten cały burdel rosyjski jeszcze nie rozsypał”, powiedział mi niedyplomatycznie pewien dyplomata ze Wschodu. „Ale bardzo bym nie chciał, aby się zaczął sypać w naszą stronę i to pod natowskim pretekstem”.

Bułgarski minister posłużył się, jak to on określił, paradoksem, mówiąc o „poczuciu ochrony” w okresie Paktu Warszawskiego w porównaniu z obecną próżnią. To, naturalnie, nie paradoks, a absurd (Bułgar żył w tym czasie w USA), ale absurd znamieny, coś w tym jest. Czy nie jest to fragment generalnego rozczarowania demokracją, element nostalgii odczuwanej za byłą żelazną kurtyną, coraz bardziej zacierającą się w pamięci i świadomości rzeczywistością koszmarnych czasów komunizmu? Kiedy te słowa dojdą do czytelnika *Kultury*, będzie już po wyborach w Bułgarii, które zapewne potwierdzą, po Litwie, Polsce i Węgrzech, głębię tej nostalgii. Minister przestanie zapewne być ministrem, ale to słabe pocieszenie.

d) *Uśmiech z Azji*

Po czwarte, panuje jeszcze inny syndrom. Bośniacki, mianowicie. Oficjalnie, to nie sztuka, wszyscy ubolewają nad pogrzebaniem pod ruinami Jugosławii prestiżu i wiarygodności instytucji międzynarodowych. W istocie, chodzi, jak to powiedział jeden z moich rozmówców, już nie o kryzys, a o prawdziwą katastrofę zaufania. Do świata w ogóle. Kompro-

mitacja jest, naturalnie, przede wszystkim wojskowa i dyplomatyczna (rozwozić się nie trzeba). Pytanie najbardziej banalne, stare i znane, prawie że wytarte, choć ciągle dramatyczne sprowadza się do dylematu: jeżeli nikt nie chce umierać za Sarajewo, nie mówiąc już o Bihacu, to dlaczego miałby zechcieć ginąć za Kijów czy Rygę? Słusznie. Wstyd idzie jednak dalej. Ma także, na co niewiele osób zwróciło dotąd uwagę, aspekty, że tak powiem, osobiste albo nawet osobistościowe.

Tak więc, jeżeli dramat jest stary to nowy jest ton kpiny i drwiny. Jak można było, zapytał mnie pewien dyplomata, mianować wiecznie uśmiechniętego po azjatycku Japończyka pełnomocnikiem egipskiego sekretarza generalnego ONZ na Bałkanach? Obaj przecież nie mają pojęcia z kim mają do czynienia. Jak można było wydelegować do Miłoszewicza ministrów spraw zagranicznych Francji i Anglii? Czy panu to czegoś nie przypomina? Na przykład Monachium w roku 1938? Albo Jałta?

IV. CZARNE DATY. JAKIE WNIOSKI?

Przypomina. Tak jak odniesienie do „ochrony” przez Pakt Warszawski, tak i Monachium czy Jałta stanowią, politycznie biorąc, porównania niesprawiedliwe, albo przede wszystkim naciągane: dziś nie ma ani Stalina, ani Hitlera, nie ma także Związku Sowieckiego. Ale, sentymentalnie a zwłaszcza psychologicznie biorąc, można zrozumieć normalnych ludzi (nie polityków), którzy po takie zestawienia sięgają. Tylko co i jak im odpowiedzieć? Spróbujmy. Na własną odpowiedzialność. Jak to nieraz można przeczytać w wielkich gazetach, tekst poniższy wyraża poglądy wyłącznie autora i nie angażuje w żaden sposób redakcji dziennika, tygodnika, miesięcznika (niepotrzebne skreślić).

a) Końcowe drgawki

Po pierwsze więc — moim zdaniem — przeżywamy obecnie ostatnią, agonalną fazę zimnej wojny, jej końcowe drgawki.

Ostatnia faza, nie znaczy jednak krótka faza. Konwulsje

potrwają długo. Piszę te słowa w trzecią rocznicę utworzenia WNP czyli proklamowania przez trzech białych i słowiańskich prezydentów w pałacyku myśliwskim w Białowieży zgonu ZSSR i politycznej śmierci jego pierwszego i ostatniego prezydenta Michaiła Gorbaczowa. W niektórych kręgach Rosji, niekoniecznie tylko wokół Żyrynowskiego, proklamowano z tej okazji dzień żałoby. Pomijam komunistyczne *Prawdę* i *Sowiecką Rosję*, dla których dla Rosji nie ma alternatywy jak tylko powrót Związku Sowieckiego. „Dzień 8 grudnia 1991 roku (spotkanie w Białowieży) jest datą równie czarną i tragiczną co dzień 22 czerwca 1941 (agresja Hitlera na sojusznicy, wówczas, Związek Sowiecki)”.

Ale nawet Gorbaczow, którego o totalitarne czy wielkoimperialne nostalgii nie należy podejrzewać, nie pozbył się złudzeń i także uważa rekonstrukcję ZSSR za jedyne rozwiązanie problemów Rosji. „Rosja — pisze Gorbaczow — przechodzi ostry kryzys i traci swe pozycje na arenie międzynarodowej. Rozwiązanie ZSSR stanowiło błąd wyjątkowo ciężki. Może być naprawiony wyłącznie poprzez natychmiastowe uruchomienie procesu reintegracji byłych republik sowieckich”.

Mniejsza o cytaty. Sądzić, że Rosjanie mogli, po 70 latach komunizmu, i to w jakim wydaniu, całkowicie się pozbyć, w kilka krótkich lat wypełnionych konwulsjami, resztek imperialnej mentalności, to po prostu niebezpieczne złudzenie.

b) Posowiecki nacjonalizm

Po drugie, Gorbaczow ma przynajmniej częściowo rację. Alternatywą dla Rosji nie jest oczywiście resowietyzacja, ale Rosja rzeczywiście jest w bardzo głębokim kryzysie. Jej pozycje ulegają erozji nie tylko w sferze międzynarodowej. Nic właściwie nie klapuje wewnątrz. Mniejsza o szczegóły, wystarczy czytać gazety. Krótki remanent jest jednak niezbędny dla dalszego ciągu.

Zapytałem niedawno fachowca o stan reformy gospodarczej w Rosji. „Reformy? jakie reformy? Nie ma żadnej” — odpowiedział. Owszem, jest prywatyzacja, której efekty (pozytywne) są dla normalnych ludzi właściwie niewidoczne. A kiedy stają się widoczne, to wtedy przybierają cyniczne oblicze uwłaszczonej nomenklatury, która zagarnęła ogromną część państwowego majątku. „Zobaczy pan — powiedział mój rozmówca — jak wyląduje premier Czernomyrdin: będzie głównym, faktycznym właścicielem Gazpromu, jednego

z największych koncernów na świecie”. „Zresztą — przypominał mi — sam pan pisał w *Kulturze* o karierze nie obecnego a byłego premiera Walentina Pawłowa, bardzo zamożnego obecnie bankiera w Moskwie. Pawłowów są setki, jeżeli nie tysiące”.

Dalej. Borys Jelcyn wydał już kilkadziesiąt dekrétów o zwalczaniu przestępczości. Bez skutków. Przestępczość nabiera rozmiaru katastrofy narodowej. Wojsko toczone jest rakiem korupcji. Generał, wiceminister obrony, wylatuje za złodziejstwa, i nastaje cisza. Dziennikarz tropiący korupcję w wojsku ginie u siebie w redakcji od wybuchu fachoowo sporządzonej bomby, ślady prowadzą do Graczowa. I co? Nic, cisza. Dwóch deputowanych zamordowanych pod ich domami. I co? Nic, cisza, sprawców nie odnaleziono. Braki w Dumie są zresztą szybko uzupełniane. Mawrodi, właściciel „piramidy” MMM, autor największej machlojki finansowej w Moskwie, prosto z więzienia idzie do parlamentu.

Ostatni (przed postawieniem kropki pod tym artykułem) większy epizod wskazuje, że można już ogłosić alarm: nadchodzi, ba jest już anarchia. 2 grudnia bojówka zamaskowanych na czarno osobników, uzbrojonych w broń komandosów, dokonała napadu i zablokowała, w biały dzień, w centrum Moskwy, siedzibę „Mostu”, jednego z największych rosyjskich banków prywatnych. Blokada trwała kilka godzin. Dyrektor banku wezwał i uzyskał dzięki swoim koneksjom pomoc FSK, kontrwywiadu rosyjskiego. Na próżno. Przybyła na miejsce odsiecz musiała bowiem szybko dać nogę. Okazało się, że napadu dokonali komandosi z oddziałów podległych generałom Borsukowowi i Korzakowowi, to znaczy służby osobistej ochrony prezydenta, Kremla i w ogóle tego co trzeba. Kreml nic jednak o tym nie wiedział. Zareagował kiedy strach zapanował w środowisku... bankierów, którzy ostrzegali, że inwestycje są zagrożone. Jelcyn nakazał śledztwo. I co? I nic, cisza.

I jeszcze nieco dalej. Czeczenia. Kiedy ten egzemplarz dotrze na rynek, będzie już zapewne po pierwszym krzyku (to inny temat). Ale generał Graczow, minister obrony, powinien był ustąpić niezależnie od wyniku batalii o Grozny. Jedno bowiem z dwojga. Albo kłamał kiedy mówił, że nie wiedział, iż to rosyjskie samoloty bojowe i rosyjscy żołnierze (nazywał ich „najemnikami”) brali udział w wojnie przeciw Dudajewowi, a kłamcy nie powinni być ministrami (nie tylko w Rosji zresztą, w Belgii minister, także obrony, za kłamstwo właśnie wyleciał). Albo rzeczywiście nie wiedział, że jego

samoloty i jego żołnierze biorą udział w bitwach między Czeczenami, co byłoby jeszcze gorzej. Oznaczałoby bowiem, że nie kontroluje wojska. I co? I nic, cisza. Słychać tylko wybuchy w Czeczenii.

Ten skromny wypis z natury był potrzebny aby sformułować drugą część odpowiedzi na pytania z rozdziału nr 3. Otóż, to nie rewelacja, zawsze kiedy źle się dzieje, Rosja posługuje się sloganem nacjonalistycznym. To stara specjalność rosyjska (nie tylko rosyjska zresztą) w ogóle, ale to wyjątkowo skuteczny instrument dywersji zwłaszcza w chwilach spiętrzenia rozmaitych kryzysów wewnętrznych. A jak jest w tej chwili, każdy widzi. Nic dziwnego, że Jelcyn sięgnął po ten stary wypróbowany nacjonalistyczny manewr. Wcale nie teraz, już od pewnego czasu się nim posługuje. Byłem w Moskwie na wyborach w grudniu 1993. Kiedy nareszcie trzeba było pogodzić się z sukcesem wyborczym Żyrynowskiego, Połtoranin, naoczny szef (fatalny zresztą) jelicynowskiej propagandy, powiedział: „No tak, niektóre hasła Żyrynowskiego były prawdziwe i popularne. Nie należy z nich rezygnować”.

Nie trwało długo, Połtoranin wyleciał, ale jego lekcja pozostała. Jelcyn przed Dumą odkrył istnienie i priorytet „uzasadnionych interesów wielkiego mocarstwa rosyjskiego”. Zapłakał nagle nad losem 25-milionowej diaspory rosyjskiej, dojrzał w traktowaniu rusofonów w Estonii czy na Łotwie znamiona „czystki etnicznej”, wyznaczył granice Rosji na granicy tadżycko-perskiej, pchnął najpierw Abchazów przeciw Gruzinom, a potem pomógł Gruzinom wyrzucić Abchazów, wreszcie osobiście pojechał poza Psków, na granice Estonii aby wykrzyknąć, ale tak, żeby go było słychać w Moskwie, na Syberii i daleko za granicą, że nie damy ani piędzi świętej ziemi rosyjskiej, choć nikt dokładnie nie wie, gdzie się ona kończy i gdzie zaczyna.

I w ten także sposób można, w dużym stopniu, tłumaczyć w istocie śmieszny — po obu zresztą zainteresowanych stronach — serial pod tytułem „Dworzec Wschodni w Warszawie”. Znaczenie mniej śmieszne, cyniczne otwarte poparcie Rosji dla Serbów i wcale nie śmieszna nagła agresywność dyplomacji rosyjskiej w Brukseli lub Budapeszcie. Nie należy tego wszystkiego lekceważyć. Słowna, taktyczna czy nawet propagandowa tylko agresywność zranionego kolosa bywa niebezpieczna. Począwszy od pewnego progu zaczyna nabierać własnej dynamiki, bywa coraz trudniejsza do opanowania. Może doprowadzić do nieodwracalnych szkód.

Dziennik *Izwestia* uznał, że zachowanie się Jelcyna w

Budapeszcie, a zwłaszcza jego obsesyjne veto wobec ekspansji NATO na wschód, to skutek braku logiki i dowód na pozostałość „zimnowojennych stereotypów” w rosyjskiej polityce zagranicznej. Inny poważny dziennik *Komersant* zakwalifikował stanowisko zajęte przez Jelcyna jako „zjawisko z dziedziny politycznego postimpresjonizmu imperialnego”. Inny jeszcze obserwator mówił o Borysie... Breżniewie. To nie jest pocieszająca referencja...

c) Kosmetyka nie wystarczy

Po trzecie, nie ma polityki bez wyobraźni. W dyplomacji należy oczywiście unikać prowokacji silniejszego. Ale, gdzieś jest granica. Wałęsa dał w Budapeszcie dobry przykład szybkiej i godnej reakcji na gromkie veto Jelcyna. Ale wobec wielkiej zmiany w dyplomacji Rosji, niewielkie zmiany w przygotowanych wcześniej tekstach przemówień nie wystarczą. Kilka spraw należy postawić jasno.

Z jednej strony, wola Polski czy Węgier, a także Łotwy czy Estonii, wejścia do zachodnich struktur bezpieczeństwa jest wyrazem suwerennej decyzji władz tych krajów i w żadnym stopniu nie może zależeć od zygzaków w dyplomacji Moskwy. Jakikolwiek veto Rosji wobec suwerennych decyzji niepodległych krajów jest niedopuszczalną ingerencją w wewnętrzne sprawy tych krajów i powinno być potępione przy każdej nadarzającej się okazji. Np. powinno być zostac napiętnowane w Budapeszcie.

Równocześnie, niewątpliwa powinna być dla Rosji determinacja tych krajów, że wszelka próba rozciągnięcia na nie tak czy inaczej nazwanej strefy rosyjskich wpływów spotka się ze zdecydowanym odporem, że „w razie co” kraje te potwierdzą na wszystkie sposoby ich wolę i gotowość oporu. Wolę, gotowość, determinację i... możliwości. Pod tym względem wciąganie wojska do polityki i farsa wokół Ministerstwa Obrony w Polsce nie jest najlepszym wzorem rozwoju i sztuki przewidywania.

Z drugiej strony, Rosja jest wielkim i potencjalnie demokratycznym krajem. Choć istnieją poważne szanse, iż Rosja przez długi okres czasu pozostanie nadal krajem demokratycznym potencjalnie, to jej potencjał szkodzenia już jest ogromny. Dlatego, sąsiedzi Rosji mają rzeczywisty interes w jak najlepszym ułożeniu stosunków z tym krajem. Dlatego ośobiście nie widzę niczego poniżającego w polskiej inicjaty-

wie załagodzenia epizodu z Dworca Wschodniego, chociaż wiele osób widziało w moskiewskiej ekspedycji ministra Milczanowskiego cechy Canossy. Warszawa miała rację przeprosząc Moskwę. Jeżeli Czernomyrdin nadal odmawiać będzie przyjazdu do Warszawy i załatwienia kilku podstawowych spraw polsko-rosyjskich, to wtedy się okaże czy Dworzec Wschodni był tylko pretekstem czy też Rosja naprawdę idzie *back to the future* i naprawdę zaczęła z Dworca Wschodniego podróż do hegemonii i szantażu.

I dlatego, na koniec, trzeba uznać, że wyobraźnia i ryzyko są częścią autentycznej i wiarygodnej dyplomacji. Polska powinna dysponować i stosować środki (wizy na przykład) retorsji na otwartą niechęć czy niewątpliwie nieprzyjazne gesty Rosji. Ale wyobraźnię i ryzyko powinien wprowadzić do swej dyplomacji przede wszystkim Zachód. Tak jak sparaliżowane wojska ONZ nie mogą zapewnić spokoju w Bośni, tak ograniczona egipsko-japońska dyplomacja nie usunie źródeł niepokoju świata, nie uśmierzy syndromów Europy Środkowej czy Wschodniej. W Budapeszcie można było na pewno znaleźć bardziej przekonującą niż lament i bardziej godną niż skromny komunikat rządu węgierskiego replikę na rosyjskie cyniczne storpedowanie rezolucji w sprawie Bośni. Można było, i nic by się nie stało, gdyby ominięto w jakiś otwarcie niekoszerny sposób zasadę jedności i uchwalono dokument nazywający agresora agresorem i wyrażający solidarność z dramatem Bośni. Zabrakło wyobraźni, bo przecież ryzyka żadnego nie było. Odwrotnie, byłaby to dobra okazja aby się policzyć: kto z kim i dlaczego?

Ale przede wszystkim, Zachód powinien mieć scenariusz na okres gorący. 10 lat temu nikt nie przewidział, że się komunizm tak szybko rozleci. 5 lat temu nikt nie przewidział, że okres przejściowy od komunizmu do demokracji zamieni się w prawdziwą kalwarię, że pociągnie tak wielkie koszty i spowoduje tak wielkie straty i ofiary oraz że spadkobiercy partii komunistycznych powrócą na tej fali do władzy.

Rok temu nikt nie przewidział, że z euforii „strategicznego partnerstwa” amerykańsko-rosyjskiego, dwa największe mocarstwa nuklearne przejdą tak szybko w strefę „zimnego pokoju”, że będą pierwsze od lat rosyjskie weta w Radzie Bezpieczeństwa, że poważni publicyści rozważać będą możliwość powstania „doktryny Jelcyna”, w pamięciowej zbitce z nieświętej pamięci „doktryną Breżniewa”.

Dziś nikt nie jest w stanie przewidzieć następnego ruchu

Rosji, której zachowanie się uzasadnia nawet podejrzenie o jej genetyczne skłonności do imperializmu.

d) Naprawić błąd

Taka analiza, i to jest po czwarte, prowadzić może do podwójnego wniosku. Z jednej strony, że Zachód popełnił błąd strategiczny nie włączając Polski, Węgier czy w ogóle Europy Środkowej natychmiast po upadku muru do Paktu Atlantyckiego. I, z drugiej strony, że jest ostatnia chwila aby podpisać dla tych państw wszystkie możliwe prawdziwe i solidne polisy ubezpieczeniowe.

Można by na przykład zmienić kolejność rzeczy. Jak dotąd, uważano, że integracja w NATO może być łatwiejsza (i mimo wszystko tańsza) niż wejście do Unii Europejskiej. Politycznie biorąc, między innymi z powodu sprzeciwu Rosji, ale nie tylko, nie jest to perspektywa na jutro ani nawet na pojutrze. Wymyślono nawet poczekalnię pod nazwą „Partnerstwo dla Pokoju”. Zapowiedź rocznego redagowania raportu w tej sprawie jest krokiem naprzód, ale krokiem bardzo powolnym...

Powstaje więc pytanie czy nie warto odwrócić kolejności i ogłosić szybszej procedury integracji do Unii Europejskiej? Finlandia nie jest członkiem NATO, ale nikt rozumny nie przypuszcza, że jej cokolwiek grozi. Członkostwo w Unii Europejskiej to bowiem bardzo dobry parasol. I nie ściąga, przynajmniej oficjalnie, piorunów Moskwy.

Pod tym względem zakończony właśnie (10 grudnia 1994) w Essen szczyt europejski nasuwa kilka spostrzeżeń. Okazuje się, że w bilansie tego szczytu Europy bez blasku i dreszczów, który sprawozdawca dziennika *Le Monde* nie zawahał się porównać do starego samochodu na ślizgających się w miejscu kołach, jedynym jaśniejszym i nowym punktem była właśnie *la stratégie de pré-adhésion*, czyli „strategia dochodzenia” do integracji sześciu krajów Europy Środkowej i Wschodniej (Polska, Węgry, Czechy, Słowacja, Rumunia i Bułgaria), a, od przyszłego roku, zapewne dziesięciu, bo dojdą Bałtowie i Słowenia. Do czerwca 95 ma powstać „Biała Księga” o drogach i sposobach adaptacji do wielkiego dzieła integracji. Dialog polityczny jest już sformalizowany: raz do roku, na marginesie europejskiego szczytu, spotykać się będą szefowie państw i rządów (czy ich obecność wykroczy poza skonsumowanie lunchu, to się dopiero okaże), dwa razy — poszczególni ministrowie, ma

wzrosnąć pomoc finansowa, a zmaleć liczba i zasięg restrykcji w dostępie na zachodnie rynki.

Choć nic poważnego się nie zacznie przed wielką, zapowiedzianą na rok 1996, reformą funkcjonowania wspólnoty, coś chyba drgnęło co najmniej w świadomości Zachodu, który zrozumiał, że potrzebuje 170 milionów pokomunistycznych obywateli zarówno jako konsumentów co i jako sojuszników, wyznających, i gotowych bronić, te wartości, które Zachód też wyznaje, ale jest coraz mniej gotów ich bronić.

Rosja nieprzypadkowo wybrała ten akurat moment, aby przypomnieć światu swe wielkomocarstwowe aspiracje. Zachód się rzeczywiście „ślizga”, jest pod *stressem*, kłóci się o Bośnię, NATO i handel, jego przywódcy mają kłopoty wyborcze: Clinton i Major są prawie skazani, Kohl ma rachityczną wielkość, Moskwa więc doszła do wniosku, że teraz albo nigdy.

Zachód powinien wytłumaczyć Moskwie, że się pomyliła. Zmiana formuły ze „strategii dochodzenia” Europy Środkowej do Unii Europejskiej na *strategię dojścia*, ze *stratégie de pré-adhésion* na *stratégie d'adhésion*, mogłaby w tej procedurze stanowić bardzo przekonujący argument.

Kiedyś NATO i w ogóle organizacja bezpieczeństwa i jedności Zachodu cementowały się w odpowiedzi na zagrożenie sowieckie. Dziś, jak to zauważył jeden z ministrów, proces poszerzania i integracji Europy powinien nabrać przyspieszenia na tle zwrotu w dyplomacji i postępowaniu Rosji. Kiedyś była *zimna wojna* teraz jest *zimny pokój*. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło.

Czytelnicy, których nie przekonują uczone analizy politologów, mogą sięgnąć do astrologów. To nowa pasja Rosjan. Prasa jest pełna pesymistycznych na ogół horoskopów. Drukując niedawno bardzo złą prognozę na jakiś określony dzień, poważne pismo businessmenów *Komersant* uprzedziło, że „wszelka próba zmiany czy ulepszenia naturalnego biegu wydarzeń nie prowadzi do niczego dobrego”. Jedyna rada jaką w tej sytuacji astrolog mógł udzielić zamożnym czytelnikom *Komersanta* to ta, żeby „wzmocnili środki bezpieczeństwa, jakie normalnie chronią ich samochody pancerne”.

To w ogóle nie najgorszy pomysł. Nie tylko dla samochodów. I nie tylko w Moskwie.

Pisane 14 grudnia 1994

Leopold UNGER

Kraj

W partiach i na plebanii

1.

W tym miesiącu postaram się odnotować pewne nowości na polskiej scenie politycznej. Oznacza to, że nie będziemy się zajmować sporem prezydenta z koalicją, który od starcia do rozejmu i od rozejmu do starcia potrwa jeszcze długo. Przynajmniej tak długo, aż któraś ze stron nie poczuje się przyparta do muru i albo ustąpi albo wymusi zmianę reguł walki. W tej chwili, a jest połowa grudnia, każdy mniema, że mu się ten serial polityczny opłaca. Koalicja występuje w roli obrońców prawa i demokracji, a prezydent — podatników i związkowców. Opinia publiczna nie bardzo temu wierzy, ale wydaje się jednak, że nowa wojna na górze powiększa z wolna zainteresowanie polityką. Rośnie dość systematycznie procent tych, którzy deklarują wolę uczestnictwa w wyborach (w listopadzie, wg CBOS, 56% chce głosować na pewno, wobec 48% w maju, a 28% jeszcze się waha). Możliwe jednak, że takie deklaracje udziału są trochę na wyrost, ponieważ, jak by wynikało z innego sondażu (OBOP, ale o miesiąc wcześniejszego) aż 39% respondentów nie umie nawet określić swych sympatii politycznych¹.

Pierwszą z nowości do odnotowania jest wydobycie się na powierzchnię ukrytych lub ukrywanych dotychczas ewolucji w rozmaitych formacjach systemu partyjnego. Oczywiście, o niektórych z nich była już niejednokrotnie mowa, zawsze jednak jako o możliwościach lub chętkach rozmaitych polityków. Teraz partie wyraźniej zaczęły „płynąć”.

1. Na pytanie „Jak — najogólniej rzecz biorąc określił(a)by Pan(i) swoje sympatie polityczne?” można było wybrać jedną z odpowiedzi: koalicję SLD/PSL (25%), prezydenta (7%), opozycję liberalnodemokratyczną (11%), opozycję lewicową (7%), opozycję pravicową (11%) — lub trudno powiedzieć (39%).

Rozłazi się Unia Wolności. Można wprawdzie mniemać, że partia ta uchroni się przed formalnym rozłamem. Jednakże powstanie Forum Społeczno-Liberalnego z Frasyniukiem i Kuratowską oznacza nieodwracalny podział polityczny: oba skrzydła UW będą nie tylko różnie głosować w rozmaitych istotnych sprawach, ale będą lansować różne kandydatury na kluczowe stanowiska w państwie i w samorządach, od prezydentury RP poczynając. Jest w szczególności coraz mniej prawdopodobne, by chadekoidalne skrzydło Unii zechciało poprzeć kandydaturę Jacka Kuronia i by Forum zgodziło się od niej odstąpić (chyba że ewentualnie w razie rezygnacji Kuronia, na rzecz kandydata w rodzaju Tadeusza Zielińskiego). Jedność działania Unia zachowa najdłużej wobec koalicji SLD/PSL, ponieważ jej opozycyjna strategia była tutaj od początku dość giętka i nadal dopuszcza rozmaite kompromisy. Natomiast wobec prezydenta jednomyślności i stanowczości Unii nie wystarczy na długo: politycy prawego skrzydła już dziś deklarują, że gotowi są poprzeć Wałęsę w drugiej turze wyborów prezydenckich przeciw kandydatowi koalicji, ale zapewne poprą go również przeciw jakimś „rózowemu” — nie tylko przeciw czerwonym czy zielonym. Jeśli mimo takiej prognozy sądzę, że UW cofnie się przed rozłamem, to dlatego, że żadna z części nie miałaby dokąd pójść. Liberal Frasyniuk nie zgłosi się przeciw Unii Pracy, a Mazowiecki z Rokitą nie pójdą do Kanossy szukać Aleksandra Halla. Ponadto kultura organizacyjna UW, aczkolwiek nadwerżona pozwala na daleko idące akomodacje wzajemne, nawet jeśli po zakończeniu posiedzenia panowie nie poznają się na ulicy. Wreszcie, centrum unijne skupiające się zazwyczaj wokół Bronisława Geremka (Lityński, Osiatyński, Wujec...), aczkolwiek ostatnio się skurczyło, zrobi bardzo wiele aby nie dopuścić do pełnego rozłamu, który dla niego równałby się samobójstwu.

Dwie inne partie z parlamentarnej opozycji już się posypały. Senator-kardiolog Religa, po kolejnej serii wahań, przystąpił jednak do tworzenia własnej partii. Ma to być z założenia partia na użytek wyborów, rodzaj klubów obywatelskich aktywnych tylko w czasie kampanii na wzór amerykańskiej Partii Republikańskiej (taką zresztą nosi nazwę). Parlamentarzyści z BBWR zaczęli już obliczać, kto im się lepiej opłaca, Wałęsa czy Religa, ale najchętniej obstawialiby obu naraz. BBWR dzieli się grzecznie, w KPN poszły w ruch narzędzia tnące, jeden z posłów, uciekając przez okno przed towarzyszami z frakcji, połamął nogi. Nie wygląda na to, by rodzina

Moczulskich zdołała jeszcze załatać burty tonącej partii. Niedobitki KPN również schronią się w obozie prezydenckim.

Koalicja nie ma czasu cieszyć się z nieszczęść opozycji. Przede wszystkim, po raz pierwszy pojawiły się wyraźne rysy na monolitycznym PSL. Rozbieżności wyartykułowano jako brak porozumienia pomiędzy klubem parlamentarnym a rządowym ramieniem PSL, zwłaszcza zaś obsadą Urzędu Rady Ministrów, z nieuchronnym Michałem Strąkiem oraz szefem doradców premiera Franciszkiem Mleczką. Obaj ci panowie, niegdyś w Instytucie Kultury, mają, zdaniem wielu parlamentarzystów z PSL, zbyt wielki wpływ na premiera i o wiele za dużo do powiedzenia w każdej sprawie. Nadto zaś obaj są najzupełniej niekomunikatywni: Mleczek mówi językiem chłopskiego filozofa na podkładce z socjologii, a Strąk utajnia co może i nie mówi nic. Do pierwszych wstrząsów w Klubie PSL doszło po zdymisjonowaniu Kołodziejczyka, a do eksplozji po wysunięciu przez Pawłaka kandydatury Kaczorowskiego na opróżniony w ten sposób fotel ministra obrony; wiadomo było, że wpadł na ten pomysł Mleczek, ale jeden z członków kierownictwa PSL wyznał mi, że podejrzewa diabolicznego Wachowskiego o wpuszczenie w maliny premiera wraz z doradcą. Odbyło się wielkie pranie, po czym PSL zwołał, rzecz niebywała, wielką konferencję prasową, na której przeprowadzono samokrytykę za brak jakiegokolwiek polityki informacyjnej, zapowiedziano gruntowne zmiany i przy okazji zapewniono dziennikarzy, że wszelkie pogłoski o wystąpieniach w partii przeciw premierowi są nieprawdziwe. Tymczasem wiadomo właśnie, że wszystkie są prawdziwe, łącznie z nazwiskami (Jagieliński, Piechociński, Zych) i bardzo wielu czołowym parlamentarzystom PSL po prostu przejadł się już autokratyzm czy wręcz dyktatorskie nawyki Pawłaka, które symbolizuje fakt, że jest on jednocześnie premierem, prezesem partii i przewodniczącym klubu parlamentarnego. Zdaje się, że tej pozycji peeselowskiej Trójcy Świętej nie da się Pawłakowi utrzymać i że nowe roztaşowanie stanowisk uaktywni w PSL rozmaite koterie. Z tym wszystkim przywództwo Waldemara Pawłaka jest niezachwiane: premiera popierają konsekwentnie partyjne doły i elektorat. Poważne konflikty wewnętrzne w PSL rozgorzeją dopiero wówczas, gdy (i o ile) zwolennicy jak najszybszej integracji z Unią Europejską narzucą politykę rolą redukcją liczbę gospodarstw (o 70%, wg sloganu liberałów) a Ministerstwo Finansów będzie chciało ograniczyć dotowanie emerytur i rent chłopskich.

SLD i jego trzon, Socjaldemokracja RP, też odczuwają pewne rozchwianie, choć oczywiście fakt, że postkomuniści są nieustannie pod ogniem prezydenta i opozycji, znakomicie umacnia spójność tej formacji. Jedynie dlatego podstawowy, zasadniczy konflikt wewnętrzny w SLD — wyrażający się sprzecznością pomiędzy obietnicami przedwyborczymi a polityką wicepremiera Kołodki i jego kolegów z resortów budownictwa i przekształceń własnościowych — nie doprowadził jeszcze do głośnych trzasków. Wyraźniejsza natomiast niż w PSL jest w SLD rywalizacja personalna. Marszałek Sejmu Józef Oleksy ma wielką ochotę odebrać Kwaśniewskiemu wyłączność na reprezentowanie SLD w wyborach prezydenckich. Tym się m.in. tłumaczy jego bardzo ugodowa postawa w stosunkach z Kościołem i nawet w rozgrywkach z prezydentem (milcząca zgoda na pomysły belwederskie zgłoszone w KOK). Znacznie jednak niebezpieczniejsza dla Kwaśniewskiego i jego swobody manewru jest nieustanna presja kadrowa lewego skrzydła, za którego przywódcę uchodzi Leszek Miller: ono właśnie narzuciło postulat ministra obrony z SLD oraz osobę kandydata, Longina Pastusiaka (Kwaśniewski pocieszał, że to i tak lepiej niż... Tadeusz Iwiński). Tak czy inaczej Kwaśniewskiemu jest bardzo daleko do takiej pozycji we własnej formacji, jaką ma Pawlak w PSL.

Na tle tych ewolucji prawica pozaparlamentarna ze swą przysłowiową już niemożnością zjednoczenia nie wygląda zbyt kompromitująco. Krytyczna dla niej okaże się zapewne nie tyle zwyczajowa już rywalizacja ambicji osobistych rozmaitych przywódców o wymiarze pudełka na guziki, ale przemożne ssanie, jakiemu poddaje całą prawicę obóz prezydencki: ci, którzy jak Jarosław Kaczyński czy konserwatyści Aleksandra Halla, opierają się strategii „wszyscy pod skrzydła prezydenta”, są nieuchronnie spychani na margines i eliminowani — Kaczyński i jego PC z koalicji Przymierza dla Polski, Hall z Porozumienia 11 Listopada, a Macierewicz, Olszewski i Parys z całym ich Sekretariatem Ugrupowań Prawicowych. Paradoksalnie, jedność i słowa pochodne nigdzie nie są tak bardzo wartością naczelną, jak na prawicy, która zaklina się na jednego Boga, jeden naród i jedną ojczyznę. To sprawia, że rozłam, rozbitcie, rozstanie — są właśnie na prawicy tożsame z grzechem, wstydem i hańbą. Dopóki rzecz dzieje się na poziomie rywalizacji „lokalnych” można mieć poczucie, że grzech jest powszedni a cel, ponowne zjednoczenie, zbożny i niedaleki. Natomiast rozbitcie na tle sporu o przywództwo Wałęsy ma charakter trwały i absolutny; prawica wybiera

sobie nie prezydenta ale Wodza. I bardzo źle się z tym czuje. Czytelnik zechce wybaczyć tę próbkę zbiorowej psychoanalizy, ale faktem jest, że pravicowi politycy wobec Belwederu przypominają często króliki z wężem, wiedzą, że ich zje, ale kicają.

Wspomniany na wstępie listopadowy sondaż CBOS ustalił następujące poparcie wyborcze („gdyby wybory były dziś”): SLD - 23%, PSL - 15%, Unia Wolności - 11%, Unia Pracy - 11%, NSZZ „S” - 8%, BBWR - 6%. Poza parlamentem pozostałyby: Przymierze dla Polski - 6% (koalicji potrzeba 8%), KPN - 3%, Porozumienie 11 Listopada - 2%, Sekretariat Ugrupowań Prawicowych - 2%.

Jak widać, opozycja prawicowa (jeśli zaliczyć do niej NSZZ „S”, co politycznie choć nie socjalnie jest usprawiedliwione) uzyskuje łącznie 27% głosów, w podziale mandatów dałoby prawie taki sam margines w Sejmie jak obecnie. Zwróćmy uwagę na efekt wzmocnienia zwrotnego: im bardziej ulegają Wałęsie, tym bardziej są rozbici, tym mniej mogą liczyć na miejsce w parlamencie, tym gorzej myślą o demokracji parlamentarnej i tym bardziej ulegają Wałęsie. Coś z tego procesu odbywa się też na prawicowym skrzydle Unii Wolności.

2.

Nowości są również po stronie Kościoła, choć oczywiście wielu powie, iż jedyną nowością w politycznie znaczących zachowaniach tej instytucji jest, że właśnie nie ma w nich niczego nowego. Ponieważ jednak nie brak było wśród obserwatorów (a zwłaszcza wśród wiernych) takich, którzy sądzili, że hierarchia kościelna czegoś się nauczyła po niepowodzeniach roku 1993, stwierdzenie niezmienności byłoby już samo w sobie nowiną.

W listopadzie wznowił swą działalność mediatorską proboszcz od św. Katarzyny na warszawskim Ursynowie, ks. Józef Maj, który zaprasza do swego stołu — a stół to solidny, ksiądz proboszcz zna się świetnie na francuskiej kuchni — przywódców wszystkich partii trzech prawicowych koalicji oraz Solidarności, aby radzić nad zjednoczeniem. Prymas Glemp był „uprzedzony” o tej inicjatywie. Biorąc pod uwagę, że w 1993 analogiczne starania czynił sam arcybiskup Gołdowski z Gdańska, można wnosić, że Kościół dzisiaj jest ostrożniejszy w zapuszczaniu się na grząski teren partyjnego katolicyzmu: od arcybiskupa do proboszcza — dystans wskazuje, jak bardzo cała ta problematyka straciła dla Kościo-

ła na ważności. Dotyczy to zapewne również ludzi, toteż spośród zaproszonych część się wymówiła.

Degradacja prawicowych partii w kościelnej hierarchii ważności nie jest zapewne nieodwracalna, jeśli ktoś zdołał te formacje zebrać razem i ożywić, tworząc wielkie stronnictwo prawicy, to episkopat byłby chętnym rozmówcą. Ale tak, jak się rzeczy mają, hierarchia kościelna nie zamierza powierzać partiom swych politycznych interesów i jest właśnie w trakcie konstruowania innych narzędzi działania. W tym sensie episkopat niewątpliwie czegoś się nauczył i sytuacja jest nowa. Piszący te słowa wielokrotnie zapowiadał taki rozwój i nie ukrywam satysfakcji ze spełniania się prognozy. Wspomnianych narzędzi jest już wiele i ma być jeszcze więcej, od reanimowanej Akcji Katolickiej (zaczęła archidiecezja prymasa) aż do powołanej 5 grudnia 20-osobowej Krajowej Rady Katolików Świeckich. Są to wyłącznie nominaci (co wywołało wiele rozczarowań) Konferencji Episkopatu, głównie świeccy członkowie komisji episkopatu do spraw apostołstwa świeckich. W myśl statutu Rada jest „uznanym przez episkopat polski organem reprezentującym stowarzyszenia, organizacje, związki i grupy osób czynnych w apostołstwie świeckich w Polsce”. Na czele Rady stoją prof. Kazimierz Czapliński oraz Stefan Wilkanowicz a jej patronem jest bp Józef Życiński z Tarnowa.

Budowie nowego instrumentarium towarzyszą oczywiście spory kompetencyjne, rywalizacje personalne i, co najistotniejsze, kontrowersje wokół taktyki. Jest np. tajemnicą poliszynela, że Akcja Katolicka jest ukochaną ideą prymasa, natomiast młodszy biskupi wolą nowocześniejsze metody apostołstwa czy może sterowania organizacyjnego. Ale, jak się zdaje, niezależnie od tych sporów panuje całkowita zgoda w episkopacie:

po pierwsze, że organizacje katolików świeckich mają pracować w ścisłym porozumieniu z klerem i pod kontrolą hierarchii;

po drugie, że funkcje bardziej polityczne nie powinny być oderwane od codziennej działalności charytatywnej, społecznej, edukacyjnej;

po trzecie, że celem politycznym całej konstrukcji jest niedopuszczenie do tego, by Rzeczpospolita Polska była państwem świeckim, z konstytucyjnym rozdziałem Kościoła od państwa. Niektórzy biskupi dokonali w tym względzie pewnych ustępstw werbalnych: formuła „państwa neutralnego światopoglądowo”, choć w żadnym razie nie świeckiego, zos-

tała przez nich dopuszczona w duchu papieskiego przemówienia w Lubartowie w czerwcu 1991 tzn. „w pewnym zakresie”. W jakim? To już zależy od okoliczności. Bp Pieronek, dziś sekretarz episkopatu, w 1992 odróżniał (*Znak* nr 450) neutralność światopoglądową od aksjologicznej, niedopuszczalnej. Teraz inni domagają się, również za papieżem, „wymiaru świętości” w życiu państwowym i wobec tego proponują — jest to zresztą oficjalny postulat episkopatu z październikowego listu pasterskiego — inwokację do Boga w nowej konstytucji². Choć to już zapewne implikuje ontologię... Byłoby niedopuszczalnym roszczeniem, gdybym wdawał się w tym tekście w subtelności i zawilosci katolickiej teorii państwa. Nie ma zresztą potrzeby. Nie chodzi o politykę Boga, lecz Kościoła.

Prymas Glemp zapytał niedawno retorycznie w jednym z kazań, dlaczegoż by to ludzie Kościoła nie mieli się zajmować polityką, sprawami publicznymi, czyż nie są obywatelami? Rzecz jest niewątpliwa, a mimo to częste, zwłaszcza u katolików, wątpliwości biorą się stąd, że ludzie Kościoła nawet zastrzegając się, iż występują w imieniu własnym — ale też zaraz dodają „ja, jako katolik” — są percypowani jako przedstawiciele instytucji religijnej, która dla jednych stanowi sacrum i mówi głosem Boga, dla innych zaś jest przede wszystkim ośrodkiem wyodrębnionych interesów, na dodatek zupełnie obcym demokracji („Kościół — przypominał bp Pieronek w wywiadzie dla *Rzeczpospolitej* 21. X. 94 — nie jest demokratyczny, nigdy taki nie będzie, ma inną wizję, inne sposoby działania”).

Innymi słowy, decydując się uprawiać politykę ludzie Kościoła muszą być świadomi nieuchronnej ceny. Jeśli będą przy tym rewindykować swe tytuły sakralne, zagrożą demokracji (niebezpieczeństwo teokratyczne). Jeśli natomiast pogodzą się z rolą ośrodka interesów zagrożą Kościołowi (niebezpieczeństwo korupcji). Stąd zapewne poczucie, że pomiędzy Kościołem a polityką potrzebna byłaby mediacja, sfera pośrednicząca i zarazem buforowa.

Do niedawna dominowała skłonność („chadecka”), by taką sferę stanowiła partia czy też partie katolickie. Klęska ZChN w 1993 przyspieszyła zastąpienie tej koncepcji konstrukcją wdrażaną obecnie. I oto jesteśmy świadkami paradoksu.

2. Żądań jest więcej m.in.: konstytucyjne zagwarantowanie nauki religii w szkołach, zakazu aborcji, ochrony godności ludzkiej w mediach.

Koncepcja chadecka czy chadeckopodobna skompromitowała się, ponieważ swą funkcję mediacyjną spełniała źle. W kręgach kościelnych żywe jest przekonanie, że to był właśnie powód, dla którego notowania Kościoła w opinii publicznej tak bardzo się obniżyły. Wariant organizacji katolickich, niepartyjnych, a zatem bardziej sterownych i zarazem mniej politykierskich zapowiadał się jeszcze przed rokiem jako mediacja sprawniejsza i na pewno mniej, w razie czego, kompromitująca. Takie rachuby są jednak zależne od „temperatury politycznej” hierarchii i kleru.

W 1995 roku, roku konstytucji, konkordatu, wyborów prezydenckich Kościół, jak już teraz widać, zaangażuje się politycznie bez reszty³. Jest całkiem możliwe, że wtedy cała sieć katolickich organizacji zachowa się jak „partia Boga” w marszu. Wtedy w swoich relacjach z polityką biskupi z deszczu łąco wylądują pod rynną.

W Polsce obecny jest przecież i czynny również katolicyzm otwarty; jego ośrodki jak wydawnictwo „Znak” czy *Tygodnik Powszechny* należą do elity umysłowej kraju. Wydaje się, niestety, że wpływ tych ośrodków na politykę hierarchii a zatem i na zaangażowania polityczne Kościoła jest nikły i jeszcze maleje. Całkiem niedawno ludzie z tych ośrodków liczyli na stopniową ewolucję hierarchii pod wpływem młodych kadr. Dziś obserwują z goryczą jak młodzi biskupi — Józef Życiński jest najczęściej wymieniany — przechodzą na pozycje wojującego fundamentalizmu (por. artykuł Romana Graczyka „Arka Prawicy” poświęcony kra-kowskiej *Arce* — *Gazeta Wyborcza* z 8. XII).

Napisałem — „przechodzą na pozycje”. Ale może właś-

3. W cytowanym wywiadzie dla *Rzeczpospolitej* bp Pieronek odpowiadał m.in. na pytanie, jakiego by wolał kandydata na prezydenta. Nie powinien on być „uwikłany w jakiś układ partyjny”. „Powinien to być człowiek, który ma dobrze zakodowaną w swej świadomości historię tego narodu, to znaczy nie tylko dzieje, ale także świadomość historyczną, który głęboko wyrósł (sic!) z kultury narodowej. Taki, który czuje korzenie...”. „Powinien mieć też osobowość, wyróżniać się od innych, czyli nie może to być człowiek z tłumu”. Czy powinien to być katolik? — zapytał dziennikarz... „Dla mnie byłoby dobrze, gdyby był”.

Nie angażując się zatem pozytywnie bp Pieronek i z nim zapewne cała hierarchia wskazuje niedwuznacznie „kierunek poszukiwań” właściwego kandydata. Wałęsa mieści się w tych azymutach, natomiast niepodobna tego powiedzieć o którejkolwiek z postaci życia parlamentarnego, z definicji przecież „uwikłanych partyjnie”. Pozostają więc postaci „spoza układu”, a to w dzisiejszej sytuacji oznacza głównie prawicę.

nie wcale nie przechodzą, tylko zawsze na nich tkwili, a póki trwał realny socjalizm nie było to zauważane?

Nadal sądzę, że katolicyzm otwarty ma przyszłość, że stopniowo przyczyni się do przemiany świadomości religijnej w Polsce i że kiedyś odmienią się też jednostronne polityczne zaangażowania Kościoła. Ale to — kiedyś. Tymczasem i, obawiam się, na długo polski episkopat ma tylko prawe oko i jeszcze nim zezuje na prawą ścianę.

Warszawa, 12 grudnia

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Odwiedza mnie stolarz z parteru, jedyny obok mnie obywatel w naszym niewielkim domu, który zmontował sobie telewizyjny kabel. Traktuje mnie więc jako współ Europejczyka. Bywał w Niemczech gdzie dorabiał, ma żonę i dwie niemal dorosłe córki, jedna chce iść na Akademię Sztuk Pięknych. Z kolegą tworzą firmę, ale chociaż pracują od rana do nocy ledwie wiążą koniec z końcem. Nie mogą windować cen, bo ludzie mają coraz mniej pieniędzy. Polityka? Mówi, że on sam jest ostrożny w sądach, ale jego klienci wygadują takie rzeczy na polityków, jak kiedyś gadano na komunistów.

I rzeczywiście, gdy po latach spotykam nauczycielkę G., to ona zaczyna odnawiać ze mną znajomość od narzekania na polityków — „żeby chociaż nie pokazywali się w telewizji”. Czyli pogoda i politycy stają się bezpieczną przestrzenią wzajemnego kontaktu — wiadomo, że nie nastąpi tu konflikt, gdy sprawę ujmie się ogólnie to każdy się zgodzi, że pogoda jest ładna lub brzydka, a nasi politycy to banda cwaniaków.

A przecież doprawdy nie jest aż tak źle. Polacy wiadomo nie są łatwi do rządzenia, co jeden to malkontent z zakwaszoną duszą...

...właśnie gdy piszę te słowa, ktoś dzwoni do drzwi. Kiedy otwarłem zachwiała się w nich dziewczyna, nieco spłoszona, pokazuje swoje atrybuty ankietarki. Badana jest opinia

publiczna na temat uchwalenia nowej konstytucji. Po chwili ja sam ją ankietuję.

Mówi, że mniej więcej 30% osób nie wpuszcza jej do domu. Ludzie starzy jeśli wpuszczają, co zdarza się rzadko, nie mają pojęcia o tym co się dzieje w polityce. Niemal wszyscy, którzy rozmawiają, są zgorzeleni i rozgoryczeni naszym życiem politycznym, nie ufają partiom, Prezydentowi, a szczególną niechęcią i brakiem zaufania darzą parlament. Jakaś forma demokracji bezpośredniej chodzi wszystkim po głowach, czyli szlacheckie — „nic o nas bez nas”, wszyscy razem decydujemy, bo ci co teraz nas reprezentują są niegodni zaufania.

I pewien detal, który też stanowi polską ciekawą specyfikę — jest w ankiecie pytanie o pochodzenie społeczne — i oto nawet najbardziej robotnicze domy podają ankietarowi bez zmruczenia powiek, że należą do grupy inteligenckiej.

Dzień wizyt, bo oto goszczę zaraz potem hydraulików. Jeden wielki muskularny, z brzuszkiem, drugi mały chudy, jakby mieli grać w filmie gagowym. Remontują mi piec gazowy. Mówią, że w tym roku gwałtownie spadła im liczba klientów, chociaż hydraulika się psuje jak psuła. Ludzie nie mają pieniędzy.

— Panie — szepce do mnie wielki — tego jeszcze nie było, że liczne klientki, a wokół tyle drobiazgu, męża nie ma, proponują, że się oddadzą zamiast zapłaty. I co Panie robić?

— Co robić? — wzdycha chudy.

Potem oczywiście polska śpiewka, ci co na górze robią afery kabzę sobie nabijają, wszystko wpływa na Zachód. A wnioski: Chwycić to mocną dłoń. „Morderca księdza Popiełuszki wyszedł na wolność, a powinno się poćwiartować. Nie ma za nic u nas kary, powinno być oko za oko. Nie będzie w Polsce lepiej”.

— Ale panowie — mówię — wszystko już z hydrauliki w Polsce można kupić, nawet plastikowe rurki amerykańskie, czego dusza zapagnie, a biedy też nie klepiecie.

— „No tak, kiedyś stał tylko ocet na półkach” — wspominają. — O tak, jak ten ocet dumnie przeżył szklane piersi w szeregach butelek, też to pamiętam.

Ale myślenie hydraulików jest tylko częścią prawdy o naszej społeczności, bo ona się strasznie pokomplikowała i podzieliła, a przekonuję się o tym z powodu klucza co mi utkwiał w drzwiach i ani rusz go przekreślić, ani wyjąć. Patrząc w gniewnej rozpacz na ten sterczący klucz nagle

ujrzałem analogię do pewnej własnej sytuacji uczuciowej, a to jeszcze pogorszyło mi nastrój. Co za dzień!

W ogłoszeniach gazety nie bez trudu znajduję mobilnego ślusarza. Fakt, że przywołuje się go pagerem jest znakiem nowego myślenia. Spóźnił się co prawda pół godziny, ale na takie drobiazgi na razie w Polsce nie ma siły.

Kiedy już po operacji pijemy herbatę, poznaję człowieka który nieźle zarabia, ma poglądy liberalne, idzie do przodu i jest optymistą. Skomplikowane zamki zakładają na ogół ci, co się dorabiają, więc on chcąc nie chcąc ma kontakt z osobnikami na dorobku. Chyba, że jakimś biedakowi klucz utkwii w drzwiach. Owszem widzi, że pogłębiają się różnice społeczne, ale uważa, że tak na razie musi być. Porusza go, że jednak powstała grupa ludzi dobrze sytuowanych. Chyba wie, że jest w mniejszości, ale uważa, że ta mniejszość pociągnie kraj do przodu.

Natomiast dziwi się, że nie może znaleźć nikogo na pomocnika, mimo że proponuje pensję, na którą (by brać pierwszy przykład z brzegu) taki osobnik jak ja póki co nie ma szansy. Ten praktykant może na razie niczego nie umieć, ważne by nie miał blizn na pysku, gdyż tylko budzący zaufanie może zakładać zamki. I nie ma chętnych! Oglądam się w lustrze, blizn mam wiele ale wszystkie w środku, może bym się nadał?

Całkiem liczni moi znajomi z kręgów intelektualnych zaczynają myśleć, by przestać żyć z myślenia a zacząć zarabiać, ale garb lat tak cięży. I co za wstyd.

Oglądam w telewizji dyskusję z udziałem czołowych przedstawicieli różnych partii, jaki powinien być kształt przyszłej prezydentury? Jest m.in. Suchocka, Kwaśniewski, Olszewski. Dyskusja na wysokim poziomie jakbyśmy żyli w kraju o długiej i dojrzałej demokracji. Najgorsze wrażenie robi szef kancelarii Prezydenta Lech Falandysz, któremu cynizm wycieka nawet uszami.

Jak na dłoni widać było, że na wszelkie dyskusje na temat silnej lub słabej prezydentury pada cień Wałęsy i jego obecne umysłowe pomieszanie. Trudno więc nie ograniczać przyszłej roli Prezydenta.

A sam Prezydent występuje na żywo w telewizyjnym programie „Linia specjalna”. Prowadząca zadaje pytania. Nie posiada ciosu nokautującego, ma raczej szpileczki. I tak dobrze, bo większość prowadzących u nas programy jako jedyną broń ma własną bezradność.

Co za żalność. Wałęsa z czasem coraz głębiej wierzy, że osobiście i sam jeden pokonał komunizm. Ma zawsze rację, więc wszystko przewidział i przewidzi, dlatego tylko on jest w stanie kierować Polską. A Polskę widzi jak własny folwark. Kiedyś źródłem zła był marazm, teraz jest chaos i bałagan. Nie mogę zapomnieć min sędziów najwyższej instancji, gdy na ich posiedzeniu zjawił się Prezydent i namawiał ich by śmiało poruszali się na granicy prawa. Bo obecne prawa są do luzu.

Gdy się słucha Wałęsy, poczucie że oto jesteśmy w kabarecie i ktoś przedrzeźnia i kpi z Prezydenta RP. Niestety ta scena jest obrotowa. Obraca się nieco i oto widzimy naszego Premiera, który nagle proponuje na stanowisko ministra obrony narodowej ostatniego Prezydenta na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. Przy całym szacunku dla wieku, urzędu i roli emigracji, jest to propozycja humorystyczna.

Nie znoszę armii, lecz nie potrafię odrzucić konieczności istnienia polskiego wojska. Jeśli ono ma istnieć, to winno mieć prawdziwego ministra. Rozumiem, że Premier doznał chwili zaćmienia, ale dlaczego zaćmiło też jego doradców. Kiedy rozsądny Kaczorowski odrzucił propozycję, a sam pomysł został powszechnie wykpiiony, Premier wysuwa kandydaturę niejakiego Longina Pastusiaka. Pamiętam go jako gorliwego komunistę i wojownika z imperialem, który wykpiwał w wielu książkach. Czasami nagle dociera do mnie smutna prawda, że postkomuniści, co rządzą, to jednak naprawdę są byli komuniści.

Prezydent, i słusznie, blokuje kandydatury humorystyczne i komunistyczne, ma za to własne, czy o wiele lepsze? Patrząc na te targi, doprawdy ma się wrażenie, że dzieci bawią się w państwo. Trwa właśnie etap zabawy w wojsko.

Mój znajomy, były generał Tadeusz Pióro napisał bardzo ważną, bo odważną, szczerą i pierwszą książkę, która odślania kulisy armii PRLu. Oczywiście, jeszcze raz przekonujemy się, że te kulisy, które kiedyś tak nas fascynowały, bo były niedostępne, po latach obnażone ujawniają głównie popiół i kości.

Pióro był blisko Rokossowskiego, pracował jako wysoki oficer w sztabie generalnym, stał obok historycznych zdarzeń. Słyszał słowa Chruszczowa do Gomułki „Wciąż macie do nas jakieś pretensje, ale jak przyjdzie wam z Polski uciekać, to dokąd? Na zachód? Nie, uciekać będziecie do Tuły”. Oto

najkrótsze streszczenie polsko-sowieckich stosunków.

Pióro nie gardzi tamtym światem ani jego ludźmi, chociaż tak bardzo intelektualnie i chyba moralnie od tego świata odstawał, dlatego musiał opuścić armię już w roku 67. Ten brak łatwej pogardy, rzadka u wojskowego cywilna odwaga ukazania własnych konformizmów, daje tej książce rzetelność opisu, również opisu kadry oficerskiej PRLu. Ludzi często obarczonych wielkim grzechem i strasznymi przywarami, najemników obcego mocarstwa, ale jednak ludzi, którzy czasami nie mieszczą się w schemacie.

Gdy wolność ujawniła nowe demony, gdy święty Jerzy, co walczył ze smokiem, dzisiaj sam czasami łyska smoczym okiem, łatwiej jesteśmy gotowi dostrzegać moralne komplikacje, tam gdzie widzieliśmy tylko błotne bajoro.

Czytam tę książkę jadąc pociągiem z Zurichu do Genewy, a krajobraz za oknem zdaje się kpić z mojej lektury. I myślę, gdzie jest ten świat, jak daleko odszedł? W Genewie pewnie spotkam się z córką generała Joanną, gdzie jako opiekun społeczny prowadzi klub dla emerytowanych prostytuttek. I ciekawe, z tamtej Genewy sprzed lat nie pamiętam gór, jeziora, sutej secesji, a znakomicie pamiętam rozmowę z jedną damą z klubu, a przede wszystkim jej pieska, który wydawał się być doskonałym skrzyżowaniem narządu żeńskiego i męskiego. Czy więcej zostaje z każdej przeszłości?

I pomyśleć, ojcowie i strażnicy Polski Ludowej budowali i pilnowali bezsensu, który się zawalił, a ich dzieci zwykle używają swoją pracą inne kraje i dalekie kontynenty.

W recenzji z książki, która nosi tytuł „Armia ze Skazą”, pozwoliłem sobie na bezczelność. Obraziłem oto całą generalicję słowami zdziwienia, że autor chociaż były generał PRLu, a jednak inteligentny. Podobno generalicja nasza śmiertelnie pobladła na te słowa. Wiem, że nie wolno tak generalizować, nawet wobec komunistycznych generałów — już zrzucili czerwone płaszcze, a innych generałów nie mamy — ale nie mogłem się powstrzymać. I w takich chwilach czuję nagle do bólu, że jesteśmy wolnym krajem, że ja w nim też jestem wolny, i ogarnia mnie jakaś wielka, smutna radość.

Opowiadał mi potem Pióro, że na dyskusyjnych spotkaniach w wojsku, starsi wiekiem oficerowie tę książkę atakowali, że autor kała własne gniazdo. Gdy młodzi uważają, że jest potrzebna i pożyteczna jak rachunek sumienia.

Tyle u nas kościołów, a tak słabi jesteśmy w rachunkach sumienia.

Wracając, chociaż niechętnie, do Prezydenta jest tu jakiś piramidalny idiotyzm obecnej sytuacji. Piramidalność tego idiotyzmu polega na tym, że nie mamy właściwie wyboru. Po jednej stronie jak wrzód wzbiera ropa po komunizmie, na czubku tego czyraka siedzi Premier Pawlak.

Siły polityczne wywodzące się z dawnej opozycji dzielą się i nawzajem nienawidzą. Kto przekłuje czyraka? A może go oswoić i wykorzystać? Okazuje się, że Unia Wolności może rozmawiać z SLD, nawet wybrali wspólnie Prezydenta stolicy, są wspólne grudki socjaldemokratycznego myślenia i liberalnego, ach gdyby tylko nie ta przeszłość, to byłoby nawet całkiem blisko. A partie prawicowe nagle odnajdują narodowo-kościelne wątki, co ich zbliżają do PSLu, który broni wartości chrześcijańskich i walczy ze zgniłym liberalizmem, w myśleniu o ekonomii też coraz więcej zbliżeń. Jak jeszcze trochę PSL pokłęczy, to kto wie?

Więc ma rację Kuroń, który się boi, że Polsce grozi polaryzacja na obóz narodowo-katolicki oraz... czerwono-liberalny. Wedle Kuronia wygra wtedy czarny i czerwony, ale na polu zostanie na końcu tylko czerwony. Dobrze, że Kuroń to publicznie wypowiedział, bo w polityce jest zawsze inaczej niż się wieści. Ten podział jest realny, bo oparty na tym co nazywam chemią psychiczną. A chemia to potęga.

I tu gdzieś znowu otwiera się miejsce dla Prezydenta.

Mój znajomy, który mnie krytykował, że w swoich tekstach zbyt mrocznie przedstawiam stan kaju, z przerażeniem przyznaje mi teraz rację. Wcale się z tego nie cieszę, bo doprawdy chciałbym się mylić.

M. mieszka i pracuje na Zachodzie, a wydelegowany z miejsca pracy odbył po naszym kraju podróż szlakiem polskich banków. „Przeszło to moje najgorsze oczekiwania” pisze. „Warszawa i Kraków wydają się dwiema enklawami w zalewie ogólnego syfu, a reszta wprawia w przerażenie i budzi chęć natychmiastowej ucieczki. Tragiczny Śląsk z Katowicami, gdzie powinni tylko mieszkać zesłańcy”.

Znajomemu wydawało się, że w ciągu pięciu lat ruszyliśmy w bankowości do przodu, a tu okazało się, że „stare straszy w sposób przerażający”. M. był w tej grupie speców jedynym mówiącym po polsku, więc nie wiadomo dlaczego uznano go za swego. Wymieniano przy nim bez skrępowania w ojczystym języku prywatne uwagi, obnażając ekshibicjonistycznie wszystkie miękkie części organizmu, nieudolności własne, niewiedzę i niekompetencję. „Siermiężne amatorstwo i

katastrofa” — takie odniósł wrażenie znajomy. A banki to przecież układ krwionośny gospodarki.

Kiedy niedawno wszedłem do banku na Placu Unii Lubelskiej, zaplątałem się w skłębiony tłum, jak za najgorszych komunistycznych czasów, kalecy, starzy, spoceni, pogodzeni i zbuntowani. Podobno w sobotę jest lepiej. Zobaczymy?

Gdyby tak zajrzeć do naszego układu nerwowego, do telekomunikacji, to czy tam inaczej? Wystarczy podnieść słuchawkę, jeśli ktoś ją ma, by usłyszeć jak szumi i skrzeczy nasza telefonia. I tak dalej, i tak dalej... Może więc nie zagłada u nas na zaplecze, gdy się nie musi. Życ w tedy lżej.

Moja znajoma pracuje jako „łowca głów”. Jako że niemal całe życie spędziła za granicą, ma wobec Polski przyjazny dystans. Co ją najbardziej uderza w pracy? Zaczyna od problemów w samym biurze... zupełna niemożność znalezienia kompetentnej sekretarki. Kilka trzeba było zwolnić, bo chociaż zarabiała kilkakrotnie lepiej niż w zwykłym biurze, prawie nic nie robiły, czasami nie umiały, czasami nie chciały. Cały ten personel pomocniczy, kierowcy, sprzątaczkę, ma wdęcia godnościowe, każdy chce rządzić, mieć wizytówki z tytułami...

Natomiast ludzie łowieni przez W., czyli nasi specjaliści? Dziwi ją, że niemal każdy uważa się za geniusza. Kłuje w oczy brak skromności i proporcji. Wcześniej łowiła specjalistów w innych krajach, tam jednak tego nie było. Zauważyła, że choćby krótki uprzedni pobyt takiego delikwenta na Zachodzie nieco temperuje jego dobre mniemanie o sobie, czyli z jej punktu widzenia uszlachetnia osobnika.

Widzi też wiele zawiści, to chyba najbardziej rzuca się jej w oczy. I boli. Tłumaczą — jak nie ma być zawistna szlachta, gdy już nie istnieje „nic o nas bez nas”, gdy już nie da się uwierzyć, że co swojskie najlepsze. Świat Polsce uciekł, więc wszyscy czują się mniej lub bardziej przegrani. A to żywna gleba do zawiści.

Kiedy w pośpiechu parkuję wóz w centrum miasta, klnę że Zachód do nas dotarł najpełniej w braku miejsc parkingowych. Gdy potem wracam do samochodu, nos mojego kluczyka natyka się na znak ostrzegawczy w zamku, że założono mi dyby na koło. Poczujęm gorycz kłopotu, ale i dreszcz triumfu, Panie, Europa! Chociaż metody niemal średniowieczne. Po moim telefonie całkiem szparko przybyła straż miejska, a młody, miły chłopak opowiedział mi, że awanturują się prawie wszyscy, choćby zaparkowali w najbar-

dziej zdumiewający sposób. Ale najbardziej go uderza, że mają szczególną pretensję, że sąsiad też nie padł ofiarą zakucia w dyby. Nasi dybiarze mają oczywiście, jak to u nas, braki w dybach, więc nie każdego mogą zakuć. A zakuty nie zakuty sąsiad doprowadza do szewskiej pasji, o to są najstraszniejsze awantury.

Tyle jest postaci zawiści, aż dziw, że ten sam gatunek zwierzęcia może mieć tak różne postacie.

Zawiść głębina — ukryta tak głęboko, że niewidoczna dla nikogo, nawet dla nosiciela, zwykle pokryta pogodnym uśmiechem.

Zawiść rozlana — opanowała podstępnie wyraz twarzy i zakrzepła zmieniając rysy. Twarz zdaje się być drzwiami, które przytrzasnęły własne palce.

Zawiść skurczowo-napadowa — atakuje nagle, zaskakując zwykle samą ofiarę. Odchodzi szybko jak przyszła, biegnąc nieco w skos jak kłusuje wilk.

Zawiść pokorna — przybiera postać jagnięcia, „ja mały, niemądry, wszyscy lepsi ode mnie”. Nieustannie poniżanie siebie ma chronić przed zawiścią, ale to przecież ukryte zbiorniki zawiści karmią pychę, w skórę owcy przebraną.

Na kolejnym przyjęciu widzę przypis do naszych czasów. Znany bojownik o wolność X. udaje, że nie widzi znanego bojownika Y, gdy znany pisarz niegdyś opozycyjny ledwie kiwa głową do X. Ja się głęboko skupiam by nie zagapić się i nie próbować podać ręki komuś, kto mi jej nie uściśnie.

Rozmowy toczą się w osobnych grupkach, tam obalają rządy, tam plotkują. A o godzinie 22 wszyscy idą do domu, a gospodarz tego zacnego domu gdzie zawsze balowano do rana paraduje przez środek pustego salonu z koldrą i poduszką.

I podobnie jest na innych spotkaniach. Wszyscy chodzą ostrożnie, niektórzy obwąchują swoje polityczne podogonia, inni przemykają się pod ścianami. I pomyśleć, kiedyś wchodząc do mieszkań, w obawie przed podsłuchem pytaliśmy rutynowo na progu — czy tu się mówi? Dzisiaj na progu zastanawiamy się, z kim się rozmawia a z kim nie?

Obok złej krwi jest faktem niebywałe zagonienie ludzi. Sam też jestem zaszczyty przez nadmiar obowiązków, które biorę na siebie by nie popaść w nędzę. Gdyby to powszechne zapracowanie szło w koła zamachowe tego kraju, gonilibyśmy Japonię, a my nieustannie przydeptyjemy własny ogon.

Ukoronowaniem spirali konfliktów jest konflikt na naszym, intelektualnym Olimpie. Miłosz pokłócił się z Herbertem.

Opisywałem jakiś czas temu jak Miłosz bronił „narodowego” myślenia Rymkiewicza. Wysłałem mu wtedy w liście informację, gdzie może znaleźć dowody, jak to On sam pada ofiarą tego co można nazwać upraszczaniem idei, którą tak ładnie próbował zrozumieć. Problem, że tam gdzie jest nacjonalizm, choćby szlachetny, przyklepa się od razu pasudztwo. Piękny nacjonalizm po prostu od razu dostaje przyszczy.

Jerzy Robert Nowak opublikował antologię „Myśli o Polsce i Polakach”. Cytaty nas samych o sobie i cudzoziemców o Polakach. Książka zrobiona po amatorsku i pod tezę, że mimo wielu wad, mamy skłonność by masochistycznie się poniżać, więc dobór jest pod kątem jakiegoś pokrzepienia polskich serc. (A na marginesie — chociaż autor się nieźle nagimnastykował obraz Polaka jaki się wyłania jest diabelnie pokrętny, neurotyczny, i doprawdy mało krzepiący). Antologie, choćby poezji, są zawsze tendencyjne, więc nie o to się czepiam. Znamienny jest wstęp, gdzie autorowi tylko brak miejsca uniemożliwia przedstawienie licznych dowodów, „że wielka część autorytetów moralnych nie potrafi identyfikować się z najważniejszymi sprawami swego Narodu, nie umie znaleźć, ani nie szuka nawet kluczy do polskości”. Jest wiele nazwisk tych wielkich a obcych Narodowi, na ich czele Czesław Miłosz, który „okazał się kimś gruntownie wyobcowanym z polskości”.

To niemal humorystyczne zarzucanie brak polskości komuś, kto ją po prostu tworzy. Ale oto w bliźniaczym duchu wypowiedział się Zbigniew Herbert. Atakuje wielu kolegów, nawet przyjaciół, że są po prostu świnię. Jest w tym oczywiście wiele prawdy. Dlaczego oczywiście? Im dłużej żyję tym bardziej widzę, przepraszam za banał, jak marną konstrukcją jest człowiek, wybitni mają tylko marność zagrzebaną w pierzynie intelektualnej. Nie przypadkiem jednak nie chodzimy po ulicach z narządami płciowymi na wierzchu, powody estetyczne też grają tu pewną rolę. I właśnie „kwestia smaku”, którą tak pięknie Herbert upublicznił, aż weszła potężnie do naszego potocznego języka, każe być ostrożnym z łatwym potępianiem naszej marności nad marnościami. „Cnota podziwiająca siebie w lustrze, uzurpująca sobie prawo do występowania w roli sędziego naszych bliźnich, niepostrzeżenie stępią wrażliwość na elementarne wymogi przyzwoitości”. (Miłosz).

Nasz noblista więc (słowo noblista używa Herbert wyraźnie ironicznie) został potępiony przez wieloletniego do Nobla kandydata, bo „jest zaplątany w sobie (...) jest człowiekiem rozdartym o nieokreślonym statusie narodowym, metafizycznym, moralnym...” Na dodatek ukryty typ dworaka. Herbert wspomina jak przed laty Miłosz: „Powiedział mi... 'Rozumiesz, ja chciałem i chcę służyć'” I jakby było mało okropieństw, Herbert pamięta jak Miłosz w rozmowie prywatnej a potem przy Amerykanach postulował, że „trzeba przyłączyć Polskę do Związku Radzieckiego”.

„Ja na to” — wspomina Herbert — „weźmy lepiej zimny tusz i chodźmy na drinka”.

Miłosz odpowiada w prasie zaczynając od słów „jak mi wiadomo z różnych źródeł Zbigniew Herbert przeżywa trudny okres. Dlatego powstrzymałem się dotychczas od odpowiedzi na jego zaczepki. Jednakże ostatnio przebrał miarę. (...)”.

Polska idzie w złym kierunku — coraz częściej się słyszy — źle się dzieje — mówią ci z lewa i ci z prawa, od kościoła, i od diabła.

B. mówi mi — „nasze pokolenie i pokolenia starsze są skończone. Jesteśmy zdemoralizowani do kości, wszystko czego dotykamy zmieniamy w gówno. Jedyne nadzieja, że w polityce młodość dojdzie do głosu. Jeżeli dojdzie, bo nasze bagno pomału zastyga”. Potem namawia mnie do założenia partii politycznej...

Ale przecież my też należymy do skażonego pokolenia?

Po latach spotykam rodzinę W. Bardzo zadowoleni. Są w Unii Wolności, mówią, że to jest doprawdy przyjemne miejsce. Mówią — „To chyba już jedyne przyjemne miejsce w tym kraju”. Tu kłania się stary problem. Unii Wolności bywa przyjemnie ze sobą, a jako że ze światem zewnętrznym może być mniej przyjemnie, to niezwykle mało się z nim kontaktują.

Nie wszystkim jednak jest, tam przyjemnie, bo Unia zmierza dziarsko do rozłamu. Motorem zmian jest Władysław Frasyniuk, który od dawna gani swoją partię za brak energii, a teraz z Kuratowską i innymi tworzy w partii Forum Demokratyczne (FD) — celem ma być „uaktywnienie partii i silniejsze jej związanie ze środowiskami inteligentnymi”. Forum tworzą działacze o poglądach liberalnych i lewicowych. Mazowiecki, który przybywa na spotkanie jest wstrząśnięty i w dramatycznym przemówieniu ostrzega przed

rozpadem partii. Po czym wychodzi z sali.

Jak trafnie zauważył dziennikarz *Życia Warszawy*, Piotr Zaremba „Tym, co naprawdę wyróżnia FD, jest przede wszystkim wolnomyślny stosunek do Kościoła i obyczajów. W innych sprawach formacja ta jest tak samo eklektyczna i niedookreślona, jak pozostałe odłamy Unii (co nie musi być jej wadą)”.

Zgadzam się też ze słowami w nawiasie. Takie czasy, że trudno o jeden pogląd i jedną wizję, nie mam jej też w sobie, więc jak mogę wymagać jej od Unii.

Wstrząsający jest jednak ten nieubłagany mechanizm dzielenia się wszystkich bytów politycznych. KPN pęka z trzaskiem. Dochodzi do bijatyki między skłóconymi skrzydłami partii, a raz był nawet w użyciu nóż i straszak gdy obrady Frakcji KPN naszedł KPN wierny Moczulskiemu z czwórką posłów na czele. Wtedy to poseł KPNu ze strony przeciwnej niejaki Kościelny połamiał sobie nogi czmychając przez okno ubikacji.

KPN nadal zajęta jest sporami wewnętrznymi i przeszłością, a to już doprawdy prawie nikogo nie obchodzi.

Prawica jest w stanie niebywałego rozdrobnienia, a próby jej scalenia raczej stwarzają pozory niż fakty.

Koalicja PSL i SLD nieustannie pęka w szwach, ale same partie postkomunistyczne jak się wydaje utrzymują spójność i swój elektorat. Czyli Polska będzie jeszcze długo w rękach postkomunistów, pal licha ból moralny z tego powodu, gorzej co z naszą ekonomią.

Jadę autobusem przez Polskę. Przy kierowcy tuż obok panoramicznej przedniej szyby siedzi facecik w kapelusiku. Jako człowiek dobrze wychowany i religijny, gdy mijamy kościół lub kapliczkę, unosi kapelusik. Ale się napracował przez całą drogę!

Dzięki jego kapeluszuwi ujrzałem jak gęsta jest u nas sieć kościołów. Stare kościoły bywają jedyną ładną architekturą w naszej urbanistycznej katastrofie, to one spinają nasz krajobraz, bez nich rozsypałby się zupełnie w postać śmietnika. Niestety nowe kościoły przypominają wieże ciśnienia, gdzie jednak ciśnienie nie ma nic wspólnego z duchowością.

Z tego autobusu wysiadam wprost na końcówkę seminarium polsko-ukraińskiego o architekturze, o spuściznie komunistycznej w tej dziedzinie. Ciekawe, że ludzie stamtąd wydają się zawsze jakby poszarzali. I raczej nie zabierają głosu. Mówią nasi architekci, urbaniści. Uderza jak bardzo zdeintegrowane jest to środowisko, jak porusza się w próż-

ni, gorzej, że w próżni też rysuje plany nowej Polski. Nie ma pieniędzy, nie ma gustu klientów, nie ma gustu i gestu państwa, nie ma w końcu krytyki i zainteresowania *mass mediów*. A i wielkich indywidualności u nas w kraju brakuje. Na dodatek jest chore i pogmatwane prawo. Czyli nowa Polska nadal rośnie brzydko i na dziko. A że jest jednak lepiej, że buduje się jednak ładniej? To już wymusza samo życie i technologia. Jadąc przez Polskę poznaję jednak od pierwszego rzutu okiem budynki oddane do użytku w ostatnich trzech latach. Mimo wszystko wyglądają o wiele lepiej.

Pytam ukraińskiego architekta, czy jest optymistą? Oczywiście, że tak, jest wielkim optymistą! Pytam go o szanse ukraińskiej ekonomii. Są żadne. Same ciemne perspektywy w polityce, a o architekturze nie ma co mówić.

— Więc dlaczego Pan jest optymistą — dziwię się.

— Bo ja mam stale przed oczami dawne czasy — odpowiada.

Na zamówienie dwóch miesięczników ankietuję naszą młodzież licealną, badamy najpierw ich wrażliwość na architekturę i urbanistykę. Potem ankietę, co młodzi myślą o nas, starych, czy mijających granicę wieku średniego. Dajemy nauczycielom pytania, a uczniowie anonimowo odpowiadają na kartkach. To pozwala im na luz i szczerość. Zawsze mnie wzrusza gdy czytam potem te odpowiedzi, trochę przypominające wypracowania, trochę list-zwierzenie, gdzie płynie strumień czucia młodego pokolenia. Wsadzam tam rękę, jest prawdziwy i gorący.

Nie mają wielkich idei, wielkich marzeń, potwierdzają się również u nas obserwacje zachodnich obserwatorów co do młodzieży krajów rozwiniętych (rozwiniętych? a może raczej przekwitłych?). Nie ma jakiegoś wielkiego konfliktu pokoleń, jest raczej olewanie starszych. Zaskakująco wielu młodych sądzi, że nie dożyją starości. Świat, który im zostawimy w spadku, jest duchowo wydrążony, a oni nie potrafią go wypełnić.

A co do pytań o architekturę? Mamy jeszcze jedno świadectwo na wielką klęskę architektury drugiej połowy XX wieku. Uczniowie na ogół wolą mieszkać w starej zabudowie, a co ważne, mają jednak wrażliwość estetyczną. Urodzeni na śmietniku, który odziedziczyli po PRLu, jednak czują i widzą nasze niechlujstwo. Zarazem kochają Warszawę, mimo wszystko.

Podoba mi się ta młodzież. Równe pismo dziewcząt,

szarpane chłopca. Te ręce muszą jak najszybciej wziąć Polskę, przejąć ją od nas, tu zgadzam się z B. I chyba najlepiej żeby to były kobiece ręce. Nasz świat, może nie byłby mądrzejszy, ale na pewno lepszy.

Wiadomość, że zwłoki Witkacego sprowadzone z hukiem na zakopiański cmentarz w roku 1988 okazały się szczątkami kobiety w wieku 25–30 lat, o wzroście 164 cm. Witkacy byłby zachwycony. Ale czy ta kolejna pomyłka, bo mylimy się ostatnio nieustannie, nie ma wymiaru symbolu?

Wydawało nam się, że komunizm skończył się wkrótce po pochówku „Witkacego” w roku 89. Teraz widać, że chory system krzątał się wokół cudzych zwłok, by ukryć swój oplakany stan. Gdy nastał ten pamiętny rok 89, doprawdy zdawało nam się, że wiemy co chowamy. Teraz odkrywamy — jak ta komisja ekshumacyjna — że być może zaszło małe nieporozumienie.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

1.

Mam kuzyna o poglądach endekoidalnych. Po krótkim spięciu, do jakiego między nami doszło przy wymianie poglądów — unikamy się jak ognia. W razie spotkania, omijamy tematy polityczne jak odbezpieczony granat...

Miałam serdeczną koleżankę po fachu. W czasie komuny poglądy nasze szły jednym torem i wszystko wskazywało na to, że tak będzie wiecznie. Ale gdy w warunkach wolności — ja skrytykowałam biskupa za pewne polityczne wystąpienie, a ona zaczęła pisywać o *Tygodniku Powszechnym* jako piśmie podszywającym się pod katolicyzm — odskoczyłyśmy od siebie jak oparzone...

Bywa, że ojciec „lewicowiec” demonstracyjnie nie przychodzi na ślub syna „prawicowca”...

Małżeństwo rozpada się z powodu różnic politycznych...
Niewiarygodne, ale prawdziwe. Przykłady z życia wzięte

i znane mi z imienia i z nazwiska.

Wśród Polaków istnieje dziś niebywałe iskrzenie na linii światopoglądowej, które nazwę tu umownie „prawica-lewica”. Nie ma ono wielkiego odbicia ani w prasie, ani w wystąpieniach polityków, o tym się nie mówi; to po prostu w nas siedzi.

Właśnie iskrzenie! Nie dialog bynajmniej, nawet nie kłótnia, tylko iskra przelatująca od człowieka do człowieka. Nie trzeba tłumaczyć, że w sytuacji takiego napięcia emocjonalnego meritum sporu schodzi na plan dalszy, często wręcz znika z pola widzenia. Pozostają epitety, mniej lub bardziej wybredne. Ze strony prawicy zamiast argumentów zdarzają się wykrzykniki typu: „Zdrada!” albo „Targowica!”, a lewica ostentacyjnie traktuje prawicowców jako nawiedzonych oszłomów z zapyziałego zaścianka, niczego, rzecz jasna, tym nie załatwiając prócz wydatnego pogłębiania kompleksu niższości prawicy. W takich emocjach, powtarzam, miejsca na dialog nie ma.

Kogo mam na myśli mówiąc „prawica-lewica”? Bynajmniej nie partyjnych z odpowiednimi legitymacjami w kieszeniach. Zawodowi politycy, pogrzmiawszy na siebie z różnych trybun, idą potem razem na wódkę. Zwłaszcza dzieje się tak w przepastnych, stale rozbudowywanych i udoskonalanych, kularach, restauracjach, barkach, pływalniach, salach relaksowych naszego parlamentu. Posłowie przyjechawszy na sesję nigdzie na ogół nie wychodzą, bo wszystko mają na miejscu. Kitwaszą się po swojemu w swojej zamkniętej Rzeczpospolitej Sejmowej, stąd oglądając Ojczyznę...

Mówiąc o iskrzeniu czerwono-białym, czyli prawicowo-lewicowym, miałam na myśli zwyczajną ludność.

Oto scenka na warszawskim przystanku autobusowym, tuż po wyborach na prezydenta miasta. Przystanek w fatalnym stanie, ławka zdezelowana, szyby wiaty wybite, rozkład jazdy wydrapany. (A trzeba wiedzieć, że jest to strata dla pasażerów, gdyż, o dziwo!, autobusy kursują w Warszawie jak w zegarku). Odzywa się starszy człowiek. — Nowy prezydent nic tu nie poprawi, bo „czerwony”. — Nie „czerwony”, tylko „różowy” — wtrąca ktoś drugi. — To jeszcze gorzej — dodaje trzeci. A kobieta z kąta, prędko i cicho: — Mówcie co chcecie, za komuny było lepiej...

Rozmówka ta wyraża istotę podziału. Według mnie, najistotniejszy jest tu fakt, że dla „prawicowców” najgorsi są „różowi”, czyli postsolidarnościowcy, czyli ludzie wyrosli z tego samego pnia opozycji antykomunistycznej, czyli —

nazywając rzecz po imieniu — członkowie Unii Wolności i wszyscy jej sympatycy. Są postrzegani przez „prawicę” jako niebezpieczniejsi od zwykłych komuchów, bo zakamuflowani. Dodatkowo paradoks polega na tym, że autentyczni postkomuniści również nie gustują w „różowych”, i często bliżej im do prawicowców jako do tych, co nie kłaniają się przesadnie demokracji i wolą rządu silnej ręki. Nie lubią też wtykania nosa prasy, gdzie nie trzeba.

Nowy prezydent Warszawy, Marcin Świącicki, choć z rodziny tradycyjnie katolickiej i KIK-owskiej, jako młody człowiek należał do PZPR, ale na prezydenturę, po licznych bólach porodowych, wdrapał się po szczeblach Unii Wolności, obecnej jego partii, i jako taki został uznany przez „gremium przystankowe” za „różowego”, czyli najgorszego. Proszę zwrócić uwagę, że nikt w czasie tej wymiany zdań na przystanku nie spytał o jego kwalifikacje. Ważne było jedynie zabarwienie polityczne.

Jeżeli już o kwalifikacjach mowa, warto nadmienić, bo to niezmiernie charakterystyczne, że do warszawskich wyborów nie stanął człowiek najbardziej kompetentny, to znaczy, były burmistrz dzielnicy Śródmieście, Jan Rutkiewicz. Dlaczego? No bo właśnie kompetentny, do obrzydliwości nieprzekupny i sprawdzony samorządowiec. Ale za to bezpartyjny. Takich nam nie trzeba!

2.

Konkluzją przystankowych rozmówek Polaków bywa często zdanko: „dopóki czerwonych się nie wytnie, będzie bida”. Każdy wie, że nie chodzi o żadną rzeź, nijakiej krwiożerczości w nas nie ma, ale że chodzi o zwolnienie siebie samych od odpowiedzialności za jakiegokolwiek działanie społeczne. Tenor jest taki: „ja tu nic nie mogę wskórać, bo to czerwony z różowym, Żyd z masonem trzymają rządy i psują”.

Oczywiście, nie każda argumentacja odznacza się podobnym prymitywizmem myślowym, na szczęście nie — chciałam tu jednak zaznaczyć tendencję, która dzieli ludzi wedle koloru politycznego.

W tonacji kolorystycznej przebiegają też nasilające się coraz zwałowej dyskusje — kto na prezydenta? Męża stanu, jak wiadomo, brak, kandydaci są bardzo płascy. Więc, Kwaśniewski bądź Oleksy — nie, za czerwoni. Sędzia Strzembosz — za biały i za nijaki, Pawlak — coraz rozpaczliwiej mumiowaty, odpada. Andrzej Olechowski — do niedawna

bardzo wysoko stojący w notowaniach — bo to i głowa, i aparycja, i wzięcie, i gadane, i dobra sytuacja na Zachodzie — otóż ten podobający się bardzo ewentualny kandydat spadł nagle fatalnie w opinii ogółu. Nie tyle z powodu obecności jego osoby na tak zwanej Liście Cimoszewicza, ile z powodu wycofanej bezszmerowo dymisji, do której się zaraz po postawieniu zarzutów honorowo podał. Podobną krechę na sumieniu ma również Suchocka, o której mówi się, że wystawi ją oficjalnie Unia Wolności, za nieszczęście przyznana sobie na odchodnym z premierostwa premię.

Tak więc niewykluczone, że ostateczny bój rozegra się między Wałęsą a Jackiem Kuroniem. Tym bardziej, że ludzie przekonali się ku swemu zdziwieniu, że ten ostatni wcale nie wygląda w garniturze, który zaczął namiętnie nosić, jak małpa w surducie, ale wprost przeciwnie, jak pan, który w chwilach wolnych od zajęć państwowych zajmuje się swobodnie grą w golfa.

Kuroń ma w sobie coś, co zdobywa mu nieprawdopodobną popularność wśród maluczkich, gdy tylko otworzy usta i spojrzy miłosiernie na widownię. I nic tu nie pomoże prześmiewcze porównywanie go przez prof. Lecha Fałandysza z kancelarii prezydenta z Myszką Miki, która też ma popularność, a jednak nikt jej w USA na prezydenta nie bierze. Kuroń by u nas wzięto, gdyby tylko naprawdę zechciał. Cała brać emerycka i cała polska bieda stanęłaby za nim murem. Mimo że nic szczególnego nie obiecuje. Ale za to jak umie za to przeproszać!

Kuronowi nie wolno tylko stawać w barwach Unii Wolności, bo to by go natychmiast zaróżowiło w oczach wyborców. Natomiast dobrze wystawiony Kuroń ma, moim zdaniem, znacznie większe szanse niż Wałęsa, który ludzi już dokumentnie znudził. Do tego stopnia, że zapomniano, jaki to był kozak, i dziś ludzie patrząc na jego posturę, zastanawiają się głośno, jaki to siłacz był go w stanie podsadzić, gdy przeskakiwał przez ten płot.

3.

Prawdę powiedziawszy znudzenie polityką stało się u nas totalne. Może to przeczyć temu, co powiedziałam powyżej. Ale niezupełnie. Bo iskrzenie iskrzeniem, szopki z prezydenturą szopkami, zbłaźnienia notabli zbłaźnieniami, ale w gruncie rzeczy ludzie na Polskę jako całość zubożeli. Jak długo można bowiem narzekać, wyrzekać i szydzić z polityków i sytuacji, jakie tworzą, choćby najbardziej śmiesznych?

Śmiesznych, ale i przygnębiających zarazem. Znam ludzi, którzy odstawili gazety i zadowolają się komunikatami, słuchanymi z radia w czasie czynności domowych. Z nich dowiadują się, co się stało. Reszta, cała personalna kotłowniana, powoli przestała ich bawić.

Muszę wyznać, że jest to również mój *casus*. Chwilami, coraz częstszymi chwilami, mam Polski i jej wyczynów, jej marionetek, min, niedokonań, niewykończeń, poronionych pomysłów — o, powyżej uszu! Łapię się na tym, że coraz łapczywiej przy lekturach sięgam po klasyków, żeby się trochę odcedzić od bieżącej polskiej chwili.

4.

Toteż nieco przeraziło mnie zaproszenie wystosowane do mnie z Genewy przez działacza tamtejszej Polonii, pana Jana Venuleta, żebym przyjechała i oczywiście palnęła mówkę o Polsce.

Wyrosłam już z lat, kiedy podróże były mi w głowie, spokojnie mogłabym umrzeć bez zobaczenia nadlemańskich uroków — toteż w pierwszej chwili chciałam odmówić. Ale zaproszenie było tak serdeczne i tak stanowcze zarazem, tak przy tym dobrze „zorganizowane”, że po prostu mnie zniechęciło. Przystałam.

Przystąpiłam i nie pożałowałam. Głównie dlatego, że dane mi było poznać ludzi, jacy mnie tam chcieli. Bo choć otarłam się już zawodowo i niezawodowo o emigrację, w latach osiemdziesiątych namiętnie się nią zajmowałam w *Tygodniku Powszechnym* i w salkach przykościelnych, jednakże, mimo tamtych bogatych doświadczeń, takiego udanego „zestawu” emigrantów jak tu, w Genewie, nigdy nie udało mi się zobaczyć.

Spotkanie odbywało się w wielce przestronnych salach Misji Polskiej (chwała ci, Gierku, za gigantomanie! — teraz służy ona wygodzie tych dobrowolnych zgromadzeń Polaków).

Przyszli ludzie różnego wieku, inteligentni, otwarci, rzeczowi, na pewno krytyczni wobec mojego wystąpienia (i nie bez racji), żadne nawiedzone oszołomy, po prelekcji nie wygłaszali koreferatów, tylko zadawali pytania.

I wszystko byłoby w najwyższym porządku, gdyby nie nasz nieszcześliwy kraj. Zainteresowania Polską moich gospodarzy były odwrotnie proporcjonalne do moich. Proszę sobie wyobrazić, że ich Polska autentycznie ciekawi. Powiem więcej — ciekawi ponad wszystko.

Stała się rzecz dziwna: emigranci, którzy w latach osiemdziesiątych gwałtownie chcieli wyrzucić z serc i umysłów ojczyznę, czyli PRL, jak ją dla porządku nazywali, ci, którzy dokonywali łamańców mózgowych, żeby o niej zapomnieć i zaadaptować się bez reszty w Nowym Wspaniałym Świecie, ci wszyscy, których trapił po nocy sławetny „sen emigranta”, czyli koszmar, że oto znaleźli się znów w Polsce i nie mogą się z niej wydostać — otóż ci wszyscy ludzie, jak jeden mąż, dzisiaj, anno Domini 1994, żyją Polską niesłychanie intensywnie. Nie jest to z ich strony zainteresowanie robione na użytek chwili, jest to zainteresowanie głębokie i wzrastające, pełne optymizmu, toteż z trudem przeżykali moje gorzkie pigułki, przeciwstawiając mi co rusz jakieś zaobserwowane pozytywy, wcale niekoniecznie z zakresu efektywnych fasad wolnego rynku.

Jest w nich jakieś spokojne pragnienie powrotu do macierzystego portu, które oczywiście nie musi oznaczać natychmiastowej fizycznej przeprowadzki. Z chwilą opadnięcia Żelaznej Kurtyny ludzie zaczęli się normalnie poruszać, wielu ma podwójne mieszkania, na emigracji i w kraju, wielu ma dzieci na posadach krajowych, a ściślej międzynarodowo-krajowych, albo samemu prowadzi w kraju interesy, czy inną działalność.

Alę nie w tym rzecz. Rzecz w jakimś gwałtownym strzepnięciu z siebie wstydu za Polskę, w wyprostowaniu się, i jeszcze coś — w nawiązaniu z Polską, jakiejś dawnej bliskości duchowej. Moja gospodyni, Barbara Venulet, powiedziała mi, że gdy w Warszawie kładzie się w starym łóżku swojej matki, wydaje jej się, jakby nigdy z Polski nie wyjeżdżała, jakby młodość sama wracała.

Tak więc spędziłam w Genewie trzy dni pod znakiem Polski. Po oficjalnym spotkaniu z sali wykładowej Polska przeniosła się wraz z nami do sali barowej. Potem, do wszystkich kameralnych spotkań, do gościnnie pokazywanych mi nadlemańskich osobliwości, zakłócając możliwość skoncentrowania się nad nimi. Mój gospodarz, wspomniany Jan Venulet, i doskonały zresztą przewodnik, obwoząc mnie po okolicy i objaśniając, co na prawo i co na lewo — nie mógł powstrzymać się od pytań o Polskę. Była w nim tak naturalna potrzeba, że nawet nie dziwiła. Polska towarzyszyła nam więc przy słynnym Murze Reformacji, przy wysokiej genewskiej Starówce, w oparach mgiełnych, w których upatrywałam na horyzoncie konturów Mont Blanc, w jakże pogodnej, we włoskiej stylistyce utrzymanej, dzielnicy Carouge.

Aż w pewnym momencie z powodu tej wszechobecności Polski chciałam zawołać: „Człowieku, zamieńmy się, ja tu zostanę, a ty wal do Warszawy na moje miejsce...!”

Tak się bowiem u nas dziwnie porobiło, że to emigracja nosi w sobie Polskę i dałby Bóg, żeby ją za nas przeniosła, bo my ją już w sobie coraz słabiej i brzydziej nosimy.

Listopad 1994

Ewa BERBERYUSZ

JOANNA POLLAKÓWNA CZAPSKI

Wyd. Krupski i Ska. Warszawa 1993. In-4^o. Twarda oprawa z obwolutą, s. 150; 73 reprodukcje w pełnych kolorach. Dzieło dwujęzyczne, w języku polskim i francuskim. W albumie: Esej o malarstwie i życiu Józefa Czapskiego; Biografia i bibliografia; Przypisy; Katalogi wystaw; Recenzje; Artykuły. Przy opisie ponad 90 reprodukowanych prac podano aktualnych właścicieli. Ponadto fragmenty pism J. Czapskiego.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką:
(pocztą zwykłą) FF 195,00; (pocztą lotniczą) FF 270,00

Zamówienia prosimy kierować na adres:
MacWire Diffusion, 41, rue Saint-Augustin
75002 Paris; fax 33(1) 34 87 80 19

Należność prosimy przekazywać czekiem bankowym wystawionym we frankach francuskich na MacWire Diffusion (przy wpłacie w innej walucie prosimy dodać równowartość 40,00 FF na koszt bankowe), przelewem bankowym, lub mandatem pocztowym na konto CCP la Source 36 747 30 M, lub za pośrednictwem CB Visa, MasterCard.

O religii bez namaszczenia

Nasza sprawa wieczna z Jezusem

O Jezusie przeczytać można, co się chce.

Na przykład, że nigdy nie istniał;

Albo, że, owszem, istniał, lecz nie został ukrzyżowany; ktoś inny zawisł na krzyżu na jego miejscu;

Albo, że, owszem, został ukrzyżowany, ale nie umarł, lecz ocknął się w grobie, skąd wyszedł, by umrzeć po kilku dniach;

Albo, że razem z żoną swoją, Marią Magdaleną, wyemigrował do Marsylii i miał tam dzieci, z których potomstwa powstać miała dynastia Merowingów;

Albo, że był magikiem, który różnymi sztuczkami oszalał łatwowierną publiczność;

Albo, że był przybyszem z innej galaktyki;

Albo, że był zwykłym nacjonalistą żydowskim, anty-rzymskim konspiratorem;

Albo, że był bytem bezcielesnym;

Albo, że był homoseksualistą, a Jan Apostoł jego kochankiem;

Albo, że był zarazem mężczyzną i kobietą;

Albo, że należał do rewolucyjnej Nowej Lewicy;

Albo, że główna sprawa, o którą chodzi w Ewangeliach, to jak robić pieniądze (słyszałem to na własne uszy od jednego z amerykańskich kaznodziejów telewizyjnych).

Jeśli jednak na bok odłożyć bzdury i fantazje, literatura historyczna, a także teologiczna, na temat Jezusa, chociaż bardzo obfita, nie tylko nie obumiera, ale zdaje się nadzwyczaj żywotna. Ks. Doré od lat publikuje we Francji serię książek o Jezusie, z których każda jakąś inną stronę jego dzie-

ła i jego dziedzictwa rozważa i te z nich, jakie znam, są bardzo wartościowe i pouczające. Czytałem sporo książek o Jezusie — znikomą część istniejącej literatury, oczywiście — poczynając, zgodnie z prawem natury, od Renana, z którym zaznajomiłem się jako mędrzec czterasto- czy piętnastoletni. Autorem rozprawy, którą chcę polecić, jest Jacques Duquesne, a jej tytuł jest „Jezus” (Flammarion, 1994). Autor nie jest wprawdzie bibliścią fachowym, ale jest czytany w nowszej literaturze Nowo-Testamentowej i pisze nie dla uczonych, ale dla ludzi zwyczajnych, trochę tylko z tematem zaznajomionych, jak piszący niniejsze (który też, oczywiście, bibliścią nie jest i nie może rzeczy jako znawca-historyk rozważać). Autor jest także wierzącym katolikiem, co nie oznacza wszelako, że każdą z opowieści ewangelicznych traktuje jako dokładny i bezbłędny zapis wydarzeń i słów (takich chyba już nie ma wśród historyków), ale, jak każdy historyk, zastanawia się nad tym, co w tym zapisie wiarygodne albo nie.

Jest godne uwagi — nie autor pierwszy to podkreśla — że im więcej wiadomo o czasach Jezusa, tym bardziej, a nie mniej, wiarygodne stają się Ewangelie. Oto przykłady. Sławny fragment Flawiusza Józefa o Jezusie uchodził zazwyczaj za późniejszą wstawkę chrześcijańskiego kopisty, jako że Żyd nie mógł tymi słowami o Jezusie pisać (pisał „Chrystus”, mówił o zmartwychwstaniu). Okazuje się jednak, że historyk izraelski odkrył w syryjskich dokumentach tekst Józefa, który nie jest identyczny z inkryminowanym, ale mówi o Jezusie — mędrca dobrym, o jego ukrzyżowaniu przez Piłata i o tym, że uczniowie opowiadali o jego zmartwychwstaniu. Albo: niewiarygodny wydawał się zwrot, jakiego Jezus użył mówiąc o Faryzeuszach (Łk.18,11), bo Żydzi takich wyrażen nie używali; okazało się, że ten zwrot występuje czternaście razy w rękopisach Qumrańskich. Albo: opowiadanie o posiłku u Lewiego, którego Jezus spotkał w komorze celnej, wydawało się niewiarygodne, bo wynikało zeń, że była granica między Kafarnaum i Betsaidą; okazało się, że granica rzeczywiście istniała, lecz została zniesiona kilka lat później.

Przykładów takich, potwierdzających wiarygodność Ewangelicznych opowieści na podstawie nowych badań, więcej znaleźć w tej i w innych książkach historycznych. Nie wynika stąd, że wszystko jest wiarygodne. Rozbieżności między Ewangeliami były zawsze znane, poczynając od genealogii u Mateusza i Łukasza. Zresztą wierzyć, że Ewangelie są bezbłędne w każdym szczególe, to wierzyć, że opieka boska nie tylko autorów chroniła przed błędem, ale także skrybów, co

jest nazbyt śmiałym przypuszczeniem w wieku naszym. Można także dopatrywać się, bez sprzeczności, inspiracji boskiej w tych tekstach, nie uważając, że każde słowo było wprost przez Boga podyktowane.

Ewangelie synoptyczne były spisane, zdaniem historyków, w czasach, kiedy musieli jeszcze żyć świadkowie opisywanych wydarzeń, a najwcześniejsze zachowane rękopisy pochodzą z 4-go wieku (pewne fragmenty nawet z 2-go), są więc znacznie wcześniejsze, niż inne dokumenty antyczne, których wiarygodność nie jest podważana i mało jest opowieści z tych czasów równie dobrze przyświadczonych (ewangelie apokryficzne uchodzą za mało wartościowe źródło, pisane były później i zawierają wtręty pochodzące z religii orientalnych, chociaż czasem podają logia, których kanoniczne teksty nie znają i które mogą być autentyczne).

Lecz pomiędzy szczegółami historycznymi a teologicznymi interpretacjami (dotyczącymi Trójcy i Wcielenia) leży sprawa cudów. Przy założeniu racjonalistycznym, że „cudów nie ma”, wszystkie wydarzenia cudowne, jakie z Ewangelii znamy, są na mocy dedukcji automatycznie unieważnione. Kto zaś wierzy w Boga chrześcijan (w odróżnieniu, na przykład, od Boga Newtona), co nad biegiem spraw ludzkich jakoś czuwa, nie ma powodu nie wierzyć w wydarzenia cudowne, które z definicji za sprawą boskiej interwencji zachodzą, a nie są po prostu niezwykłymi czy niewytłumaczalnymi zjawiskami, jakich wiele. Życie Jezusa, jakie z Ewangelii znamy, rozpięte jest między dwoma cudami — poczęciem z dziewicy za sprawą Ducha Świętego i zmartwychwstaniem. Otóż autor przyznaje, że „historia nie może powiedzieć, czy Jezus żyje, czy też, przeciwnie, umarł na zawsze 7 kwietnia roku 30. Można jednak powiedzieć, że coś się w tych dniach zdarzyło, wydarzenie, które wstrząsnęło tymi ludźmi i wstrząsnęło światem”. W wywiadzie, udzielonym równocześnie z wydaniem książki, powiada wprost, że w zmartwychwstaniu wierzy. Różne sławne szczegóły, jak rozdarcie zasłony, nie są natomiast, jego zdaniem, historycznymi zdarzeniami, lecz symbolicznymi opisaniami. Wiarygodne jest odkrycie pustego grobu, chociaż są rozbieżności między szczegółami dotyczącymi ukazania się zmartwychwstałego uczniom. Również fakt, że pusty grób odkryły kobiety, które tradycyjnie uchodziły za świadków niedogodnych wiary i którym z początku uczniowie nie wierzyli, potwierdza, że wydarzenie nie było zmyślane. Że „coś się w tych dniach zdarzyło”, coś wielkiego i nadzwyczajnego, jest to zdanie wielu, którzy skrupulatnie studiowali teksty, i to nie

tylko chrześcijan. Czytałem książkę o zmartwychwstaniu, której autorem jest żydowski historyk Pinchas Lapide („Auferstehung. Ein jüdisches Glaubenserlebnis, 1980). Uznaje on fakt zmartwychwstania i uznaje go za wydarzenie żydowskie, nie uznaje natomiast Jezusa za Mesjasza, lecz tylko za tego, który Mesjaszowi drogę torował.

Jacques Duquesne nie wierzy natomiast w poczęcie z Ducha Świętego, o czym nie słyszał autor najwcześniej spisanych tekstów chrześcijańskich, święty Paweł; uważa tę opowieść za „teologumen”, za ważną prawdę przekazaną w przebraniu mitycznym: iż Jezus pojawił się na świecie w wyniku interwencji Boga, że jest darem Boga i otworzył nową epokę w dziejach, nie zaś, że faktycznie narodził się bez udziału mężczyzny.

Autor nie wierzy także w Pawłową interpretację misji Chrystusowej, to jest w Odkupienie grzechu pierworodnego przez cierpienie Syna Bożego. Jezus nigdy nie wspomniął o grzechu pierworodnym (nie czynił się także równym Bogu, do którego się modlił, cuda swoje Bogu przypisywał, nie znał dnia sądu) i niepodobna przypuścić, by Bóg coś takiego uczynił, jak poświęcenie własnego syna, by uśmierzył Jego gniew na niewiernych ludzi; postawę Jezusa w tej sprawie oddaje raczej przypowieść o synu marnotrawnym, którego ojciec radośnie przyjmuje, miast go karać za dawne przewiny.

Autor kładzie nacisk na wczesne zerwanie Jezusa ze świątynią Jerozolimską; rytuał ponurzenia, wprowadzony przez Jana Chrzyciela, był już takim zerwaniem, jego chrzest bowiem, inaczej niż rytualne ablucje Żydów, był jednorazowym aktem oczyszczenia, po wyznaniu grzechów. Przyjmując chrzest z rąk Jana Jezus faktycznie oszedł od świątyni, co w dalszym życiu niejednokrotnie potwierdził, zwłaszcza w Jerozolimie.

Notuję tylko wycinki (bez dyskusji) z tej nadzwyczaj ciekawej książki, gdzie wszystkie ważne wydarzenia z życia Jezusa są w porządku chronologicznym rozważane i wiarygodność każdego poddana rozbiorowi, przy licznych wyjaśnieniach dotyczących tła kulturalnego. Autor, powtarzam, jest wierzącym katolikiem; jak to zapewnienie brzmi w uszach strażników badań („badanie”, jak wiadomo, to po łacinie *inquisitio*), nie mnie sądzić. Jest to doskonale napisana i bardzo polecenia godna opowieść o człowieku, któremu równego świat nie wydał i który dzieje ludzkie pchnął na nowe nieoczekiwane tory.

Leszek KOŁAKOWSKI

Działalność l'Eglise en Détresse

81 lat liczący znany zakonnik holenderski, Werenfried van Straaten, założyciel instytucji humanitarnej „Kirche im Not” („Kościół w potrzebie”, francuska nazwa: „Aide pour l'Eglise en Détresse”), której centralna siedziba mieści się w Koenigstein w Niemczech zachodnich, należy bezsprzecznie do najbardziej czynnych i zasłużonych osobistości w zakresie pomocy na rzecz uciskanych wspólnot chrześcijańskich w świecie, zwłaszcza w krajach dawnego bloku sowieckiego. Tuż po zakończeniu II wojny światowej, kiedy rozpoczął swą działalność, nazwano go „Ojciec Słonina” ponieważ, wzywając do pojednania pomiędzy Holendrami i Niemcami, apelował o pomoc w postaci tłuszczu dla uchodźców z Niemiec wschodnich. I ta nazwa do dziś się za nim wlecze. W okresie zimnej wojny kierowana przez niego instytucja, uznana przez Stolicę Apostolską, udzieliła pomocy w różnej postaci przekraczającej miliard dolarów. Jej budżet w latach 60-tych i 70-tych wynosił ok. 50 milionów dol. rocznie i był przeznaczony na pomoc długofalową dla Kościołów katolickich w krajach Afryki, Ameryki Południowej i Europy Wschodniej. Dzięki tej pomocy, zarówno w gotówce jak i sprzęcie, liczne wspólnoty kościelne mogły skutecznie przetrwać. Zimna wojna zakończona i oto O. Werenfried ogłosił sensacyjny plan pomocy dla 6 tysięcy prawosławnych kapłanów w Rosji w wysokości 1 tysiąca dolarów rocznie na głowę. Zarabiają oni przeciętnie od 20 do 30 dol. miesięcznie i mają często rodziny na utrzymaniu. Pomoc ta (z której będzie korzystać ponadto 60 kapłanów katolickich na terytorium Rosji) umożliwi im ograniczenie pracy zarobkowej na korzyść skoncentrowania się na pracy duszpasterskiej. Ten plan, cieszący się poparciem papieża, ma na celu przyczynienie się do stabilizacji warunków życiowych w Rosji. Na niedawnej konferencji w Rzymie w centrum „Russia Ecumenica” O. Werenfried przestrzegł przed niedocenianiem przez Zachód zagrożenia, jakie stanowią „szaleńcze zamysły typów takich jak Żyrynowski oraz faktu, iż wielu dowódców armii jest w niekontrolowanym posiadaniu broni atomowej”. Kiedy ten „psychopata” i inni jemu podobni niebezpieczni osobnicy, zarówno z faszystowskich, populistycznych, jak i postkomunistycznych i nacjonalistycznych kręgów, dojdą do władzy „nastąpi eksplozja przemocy, która wyprzedzi wiele razy siłę agresji hitlerowskiej”.

Plan ojca Werenfrieda ma określoną wymowę ideową i polityczną zarazem jako operacja pojednania z prawosławnym Kościo-

łem i odrzucenia wszelkiego prozelityzmu (narzucanego nawracania) ze strony katolickiej. Przypomina zachodniej opinii publicznej, że wśród prawosławnych nie brakuje męczenników. Nie ukrywa przeszkód na drodze pojednania, zwłaszcza konieczności przełamania głęboko zakorzenionej nieufności, a nawet „fobii”, rosyjskich prawosławnych, odnośnie latynizacji jaka im zagraża. I dlatego by przezwyciężyć relikty historycznych faktów (z czasów imperium łacińskiego i Bizancjum oraz wypraw krzyżowych), Kościół zachodni powinien — jego zdaniem — uznać swoje winy i naprawić odległe w czasie co prawda, ale wciąż jeszcze tkwiące w pamięci zbiorowej, niesprawiedliwości. Powołuje się na wypowiedź Jana Pawła II na konsystorz w dniu 13 czerwca br., kiedy stwierdza, że „w perspektywie roku 2000 największe zadanie polega na dążeniu do porozumienia pomiędzy katolickim Zachodem i prawosławnym Wschodem. Nie możemy stanąć w obliczu Chrystusa podzieleni tak jak niestety w czasie drugiego tysiąclecia. Te podziały muszą ustąpić na rzecz zbliżenia i zgody”.

Pewien kapłan prawosławny z rejonu Uralu, dziękując ojcu van Straaten za okazaną pomoc, pisze: „Ludność tu biedna z wyjątkiem niewielu bardzo bogatych, którzy nie dają złamanego grosza na budowę choćby skromnego kościółka na opuszczonej prowincji... Jeden dolar więcej na dzień wystarczy mi na utrzymanie rodziny, żony i dwojga dzieci. Za resztę waszej pomocy będę w stanie urządzić małą szkołę dla nauki katechizmu i wyjaśniania istoty wiary chrześcijańskiej. To jest dziś ważniejsze niż budowa kościoła. Dziękuję Wam z całego serca za tę pomoc nieoczekiwaną i nie do wiary. Do dnia dzisiejszego nie mogłem sobie pozwolić nawet na zakup książek potrzebnych dla lekcji katechizmu”.

Obok pomocy materialnej na rzecz wierzących w Rosji, zorganizowanej przez „Kirche im Not”, drugi czynnik, który doprowadził do wyraźnego odprężenia w stosunkach pomiędzy Kościołem katolickim i prawosławiem w Rosji, reprezentowany jest przez dwie osobistości: Włocha, arcybiskupa F. Colasuonno, specjalnego wysłannika Stolicy Apostolskiej w Moskwie (w randze nuncjusza, ale nie sprawującego jeszcze funkcji nuncjusza wobec braku nawiązania stosunków dypl.) i Polaka, przyznającego się do podwójnej tożsamości polsko-białoruskiej, arcybiskupa T. Kondrusiewicza, administratora apostolskiego dla europejskich obszarów Rosji. Ich poczynania wpłynęły na stale postępującą poprawę stosunków z patriarchatem prawosławnym, a jeśli istnieją dotąd sprawy nie załatwione odnośnie działalności Kościoła katolickiego, to — zdaniem arcybiskupa Kondrusiewicza — ich rozwiązanie zależy od władz cywilnych, a nie od patriarchatu.

Warto może do tego przeglądu nowych inicjatyw podjętych przez ojca Werenfrieda dodać, iż zobowiązał się również do doraźnego wsparcia znanego na emigracji pisma rosyjskiego *Rus-skaja Mysl*, ukazującego się od 1947 roku w Paryżu. Pismo to rozpowszechniane jest od pewnego czasu również na terenie Rosji i nie jest w stanie utrzymać się bez specjalnej dotacji (deficyt wynosi ok. 100 tysięcy dol.). O. van Straaten uznał, że trzeba ocalić to zasłużone pismo, nadal potrzebne, kierowane przez Irinę Iłowajską Alberti, dawną bliską współpracowniczkę A. Sołżenicyna. Krótkowzroczni Amerykanie uznali, że pismo to utraciło swoją funkcję spod znaku antykomunizmu i wraz z kresem zimnej wojny cofnęły wszelkie dotacje. O. Werenfried i jemu podobni przenikliwi obserwatorzy uważają natomiast, że posiada w dalszym ciągu rolę do spełnienia jako pomost pomiędzy cywilizacją zachodnią i pączkującą demokracją w Rosji, pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem. Dalekowzroczny i doświadczony Holender, wytrawny znawca realiów wschodnich, ma na pewno w tym przypadku lepsze wyczucie aniżeli wojujący byli antykomuniści przebrani dziś w szaty eksporterów dzikiego kapitalizmu i skłonni do ugody z kolejnymi władcami „nowej” Rosji. Będą to czynić z gorliwością pragmatyków aż do chwili kiedy okaże się, że ich zapal spalił na panewce, że jest za późno na autentyczną pomoc dla upokorzonej i cierpiącej biedę ludności rosyjskiej — brzmi przestroga ojca Werenfrieda van Straatena.

Rzym, 7 października 1994 r.

Dominik MORAWSKI

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Gazeta *Moskiewski komsomolec* zwróciła się do czytelników, aby rosyjskim zwyczajem czterdziestego dnia po śmierci, czyli 25 listopada, wyłączając o ósmej wieczór na trzy minuty światła uczcili pamięć zamordowanego Dymitra Chołodowa. Wyznaczonego dnia dziennikarz *Izwestia* Albert Płutnik obserwował z jednego z najwyższych budynków Moskwę. Poprzedniego dnia dziennikarze rosyjscy apelowali w *Obszcej gazecie*: „Uczcijmy pamięć Dymitra i pamięć wszystkich ofiar bandytów i najemnych morderców. Jakie to proste: nacisnąć na wyłącznik. Jakie to ważne: niechaj zbrodniarze i ich najemcy widzą, jak nas dużo”. W wielu mieszkaniach było ciemno, ale znacznie więcej moskwičan zostawiło światło. Albert Płutnik zastanawia się, dlaczego. Zabójstwo Dymitra Chołodowa — uważa — należy rzutować „na straszne tło społeczne”. Masowe mordowanie ludzi stało się chlebem powszednim; zabija się w Sumgait i Baku, w Wilnie i Rydze, w Tyflisie i Benderach, w Karabachu, Abchazji, Nadniestrzu i Czeczenii. Gazety dzień w dzień donoszą o zajściach, które niezmiennie kończą się tak samo: „padli zabici i ranni”, „wiele ofiar wśród ludności cywilnej”, „zginął milicjant”, „zastrzelono bankiera”, „znaleziono trupa deputowanego”. Czy ludzkie serce może wytrzymać taki potok niegodziwości — zapytuje dziennikarz — nie reagując, a jedynie w celach samoobrony obrastając kuloodporną powłoką egoizmu?”

W 1919 roku Iwan Bunin notował w dzienniku: „Bez wrażenia przeczytałem, że rozstrzelano 25 osób. Zastanawiałem się, skąd u mnie taki brak uczuć”. Przypomniała mu się „Opowieść o siedmiu powieszonych”, którą napisał po rewolucji 1905 roku. Cała Rosja była wstrząśnięta. Bunin tłumaczy

sam sobie: „Siedmiu wisielców można sobie jeszcze wyobrazić, ale spróbuj wyobrazić sobie siedmiuset, ba, nawet siedemdziesięciu”. Iwan Bunin zmarł w 1953 roku, przyszło mu więc wyobrażać sobie zastępy ofiar, wobec których gromadka skazańców z 1919 roku mogła wydawać się idylliczną.

Rosja XX wieku — i rzecz jasna, wiele innych krajów — wie, co znaczy zanik uczuć i obojętność. Na takiej glebie wyrosły najbardziej zatrute ruchy naszego stulecia: komunizm i faszyzm.

A jakie plody puszczażą właśnie pierwsze kielki w dzisiejszej Rosji? Straszne tło społeczne, o którym pisze dziennikarz *Izwestii*, jest sumą ekonomicznej i politycznej sytuacji kraju. Pod koniec roku zwykle się dokonywać podsumowania i robić plany na przyszłość. W październiku przedłożono parlamentowi i szerokiemu kręgowi ekonomistów, urzędników, kierowników i dyrektorów przedsiębiorstw projekt budżetu federalnego na 1995 rok. Duma w pierwszym czytaniu projekt odrzuciła, za to uchwaliła od 1-go stycznia 1995 podwyżkę płac minimalnych z 20 do 54 tysięcy rubli miesięcznie. Premier Wiktor Czernomyrdin zapewnił, że jeśli uchwała ta zostanie ostatecznie zatwierdzona, rozpadnie się system płac, inflacja ruszy galopem, a spekulacja doprowadzi do następnego krachu rubla.

26 listopada odbyło się na Kremlu zebranie poświęcone perspektywom reform gospodarczych w Rosji. Zebraniu przewodniczył Borys Jelcyn, zagajał premier Czernomyrdin. Nie sposób oczekiwać wzrostu ekonomicznego — powiedział premier — jeśli nie zaufamy siłom rynku. To znaczy: stabilizacja rubla, gwarancje własności, opanowanie inflacji, nowe mechanizmy państwowego zarządzania gospodarką.

„Prognozy społeczno-gospodarczego rozwoju Federacji Rosyjskiej w 1995 r.”, ogłoszone w prorządowej *Rossijskoj gazecie* 12.11.1994, otwiera optymistyczna zapowiedź, że „w 1994 roku Rosja osiągnęła dolną granicę spadku ekonomicznego”. Ponieważ trudno spaść poniżej dna, autorzy wyrażają nadzieję, że „1995 może stać się przełomem dla gospodarki rosyjskiej...” 26 listopada na zebraniu na Kremlu Borys Jelcyn wyraził przekonanie: „Mamy wszelkie dane po temu, aby 1995 rok stał się rokiem stabilizacji ekonomicznej, 1996 — rokiem przełomu, a 1997 — rokiem stałego wzrostu ekonomicznego”.

Liczni krytycy programu rządowego zarzucają mu, że nie przewiduje poważnych zmian struktury ekonomicznej. Przedsiębiorstwa przemysłowe wpłacają dziś od 70% do 98%

dochodów do urzędu podatkowego. Roczna stopa inflacji, jak uważają krytycy osiągnie 100%, a program przewiduje 2-3% miesięcznie. Nie związani z rządem ekonomiści podkreślają znaczenie głównego problemu obecnego społeczeństwa rosyjskiego: coraz większą rozpiętość dochodów. Według oficjalnych danych z roku 1994 przepaść między dochodami 10% najlepiej i najgorzej uposażonych warstw ludności prawie się podwoiła: z 7,3 w czerwcu do 13,5% we wrześniu. Marks powiedziałby pewnie: bogaci się bogacą, biedni biednieją. W tym przypadku miałyby rację.

Duma odrzuciła przedłożony jej projekt budżetu jako zbyt rygorystyczny, zbyt antyinflacyjny, to znaczy za ciężki do wytrzymania dla ludności. Międzynarodowy Fundusz Walutowy też go odrzucił, ale jako za mało radykalny. Przedstawiciel Funduszu spotkał się z przedstawicielami rządu rosyjskiego i zawiadomił ich, że należy koniecznie zmniejszyć wydatki i zwiększyć dochody państwa. Rosja może liczyć na 6 miliardów kredytów pomocy i 6 miliardów na stabilizację rubla, ale pod warunkiem, że zachodnie rządy, które finansują Fundusz Walutowy, będą przekonane, że sytuacja zmierza do stabilizacji.

Wspomniane wyżej „Prognozy na 1995 rok” przypisują duże znaczenie „zagranicznym inwestycjom, które mogą wprowadzić nowe technologie, współczesne metody organizacji pracy i zarządzania przedsiębiorstwami”. „Jednakże klimat mało sprzyja inwestycjom zagranicznym”, dorzucają autorzy „prognoz”. Wątpliwości MFW klimat pogarszają.

W grudniu 1995 r, czyli za rok, mają odbyć się wybory parlamentu rosyjskiego, za półtora roku — wybory prezydenta. Przygotowania posuwają się szybko, przyjmując formy, które czasami wydają się znane. Aktywność deputowanych do Dumy, którzy stroją się w togi obrońców narodu, jest jednak zjawiskiem nowym, typowym dla ustrojów demokratycznych. „Komando prezydenckie” łączy stare elementy z nowymi. Nowymi, bo w Związku Sowieckim wódz, czyli pierwszy sekretarz, musiał bronić swego stołka wszelkimi sposobami, a w Rosji demokratycznie wybrany prezydent powinien się zajmować tylko głosami wyborców. Toteż się zajmuje, ale po staremu.

Pod koniec listopada Borys Jelcyn podpisał ukaz o powrocie aparatu śledczego w skład Federalnego Kontrwywiadu (FSK). Zmiana ta bardzo źle rokuje na przyszłość. Wszystkie kraje walczą — albo chcą walczyć ze szpiegostwem. To jest normalne, ale w demokracjach organy kontrwywiadu demasku-

jąc szpiega oddają go władzom sądowym. Specyfika WCzK i wszystkich jej kolejnych wcieleń polegała na tym, że miały one prawo szukać wrogów, aresztować ich i prowadzić śledztwo, a w niektórych okresach także sądzić, po czym wysyłać do obozów, albo rozstrzeliwać. Na tym modelu wzorowało się Gestapo. Kiedy w sierpniu 1991 zdecentralizowano KGB i rozparcelowano je na kilka instytucji, główny następca — FSK — utracił prawa śledcze. W ten sposób stał się normalnym urzędem ścigania szpiegów. Ukaz Borysa Jelcyna otwiera szeroko drogę z powrotem — ku „organom”.

Prezydent pragnie ująć w swe ręce wszechmocny kontrwywiad. Oprócz tego dysponuje potężną gwardią prezydencką, zwaną ochroną. 2 grudnia bojownicy z ochrony — ze trzydziestu chłopów w maskach — okrążyli jeden z największych banków rosyjskich, „Most” i przeprowadzili w nim rewizję. Szukali — zdaniem prasy — materiałów na burmistrza Moskwy Łużkowa, potencjalnego kandydata na stanowisko prezydenta. Toczy się też kampania o zespolenie dwóch państwowych kanałów telewizyjnych w jeden, który stanie się głównym instrumentem kampanii wyborczej. I prezydent, i premier chcieliby powierzyć kierownictwo przyszłej stacji telewizyjnej swojemu człowiekowi.

O klimacie politycznym w Rosji decyduje też, co łatwo zrozumieć, polityka zagraniczna przywódców kraju. Ciężka sytuacja ekonomiczna i brak stabilności politycznej skłaniają Moskwę do demonstracyjnego pokazywania, że wciąż jest wielkim mocarstwem. Zjazd przywódców państwowych i rządowych w Budapeszcie na początku grudnia dał Borysowi Jelcynowi okazję do rzucenia wyzwania staremu przeciwnikowi, który jakoby stał się partnerem — mianowicie Stanom Zjednoczonym. „Historia dowodzi — przypomniał nie bez racji prezydent Rosji — iż przekonanie, jakoby losy kontynentów i całego świata mogły w całości być sterowane z jakiejś jednej stolicy, jest zgubną rachubą”. Obecni w mig pojęli aluzję.

Nagle bowiem okazało się, że Amerykanie chcą tego, czego nie chcą Rosjanie: po pierwsze w Bośni, po drugie w Europie Środkowej. Po zwycięstwie republikanów w Kongresie Amerykanie niespodziewanie zapragnęli pomóc Bośni (czego nie życzy sobie ani Francja, ani Anglia). Chcą też jak najszybciej przyjąć do NATO kraje Europy Środkowej (do czego zachodnioeuropejskim członkom NATO bynajmniej się nie spieszy).

Na rzecz pomocy Bośni istnieją poważne argumenty. Istnieją też poważne kontrargumenty. Istnieją poważne argumenty na rzecz włączenia Polski, Węgier, Czech i Słowacji

do NATO. Głównym argumentem jednak jest poczucie siły. Przed rozpadem Związku Sowieckiego Stany Zjednoczone nigdy nie zezwoliłyby sobie na taką propozycję. Dziś uważają (Clinton w wyniku zmian wewnątrzpolitycznych zmienił poglądy), że mogą sobie na nią pozwolić. Zaczynają to robić — raczej chcieliby zrobić.

Zresztą Clinton otwarcie powiedział w Budapeszcie: trzeba rozszerzyć NATO, bo Rosja może stać się, jak kiedyś, agresywna. Obecna polityka amerykańska opiera się na błędnym przekonaniu, że Stany Zjednoczone wygrały zimną wojnę. Amerykańscy politycy chcą zapomnieć, że zwycięstwo przyszło im bez walki, walkowerem. Związek Sowiecki przegrał, ale Zachód nie wygrał.

Obłaskawianie agresora — albo potencjalnego agresora — nikomu nie przynosi pożytku. Ten i ów pamięta jeszcze Monachium, ale prowokować agresora (potencjalnego) jest nie mniejszą głupotą. Dwa i pół roku wojny w Jugosławii przekonująco pokazało, że Zachodowi się do walki nie spieszy. Nietrudno sobie wyobrazić co byłoby się stało w 1980 roku (na przykład), gdyby Armia Czerwona ruszyła na Zachód. Mała Serbia pokazała, czego może dokonać państwo (jego przywódca), które nie boi się strat w ludziach.

Stany Zjednoczone nie powinny uważać, że z powodu gospodarczej słabości Rosji nie stać na agresywną politykę. Przez setki lat siła imperium rosyjskiego stała na sile jej wojsk, przy ekonomicznej nędzy. Borys Jelcyn straszyl w Budapeszcie „zimnym pokojem”, który może zastąpić „zimną wojnę”. „Zimny pokój” może się zamienić w „gorącą wojnę” jeszcze szybciej aniżeli „zimna wojna”.

Wydarzenia w Czeczenii skupiają jak w soczewce wszystkie problemy postsowieckiej Rosji. 9 grudnia Borys Jelcyn podpisał kolejny ukaz. Tym razem proponował rządowi, aby „wykorzystał wszystkie środki”, by ukrócić nielegalne ugrupowania wojskowe. Pod tymi słowami należy rozumieć siły zbrojne Czeczenii pod wodzą prezydenta Dżohara Dudajewa. Mowa o „wszystkich środkach”, więc także o wojskowych. Minister obrony Rosji, generał Graczow, oświadczył, że „jeden oddział komandosów w dwie godziny załatwi sprawę”. Znaczyło to: dajcie mi rozkaz, a ja powalę Czeczenię na kolana.

Generała Graczowa łatwo zrozumieć. Od wtargnięcia wojsk sowieckich do Afganistanu minęło równo piętnaście lat. Przez te lata sowiecka i rosyjska armia zaznały samych porażek.

Borysa Jelcyna też nietrudno zrozumieć. Ku pokrzepieniu serc narodu bardzo przydałaby się mała, ale zwycięska wojna.

A Rosja ma do tego prawo: Czeczenia należy do Federacji Rosyjskiej. Rosyjscy żołnierze — o ile wkroczą — będą walczyli na „swojej” ziemi. Któż będzie się liczył z faktem, że Czeczenia ogłosiła niepodległość? Wicepremier Siergiej Szachraj, jeden z (nielicznych) demokratów w rządzie, oburzał się: „Do czego dojdziemy, jeśli wszystkie plemiona żyjące na terenie Rosji zaczną ogłaszać niepodległość?” Rzeczywiście — biedna Rosja.

Moskwa liczy na opozycję przeciw Dudajewowi, która była bardzo silna do chwili, kiedy rzeczywiście zaczęła grozić inwazja rosyjska. Rosja dobrze pamięta wojnę na Kaukazie w XIX wieku, która ciągnęła się ponad sześćdziesiąt lat. Głównym polem operacji wojennych były Czeczenia i Dagestan. Zbuntowane górskie ludy stanowiły niecały milion. Bezpośrednio zaangażowanych w walkę z nimi było ok. 50 tysięcy rosyjskich żołnierzy. Wodza powstańców, Szamila, nie udało się pojmać przez dwadzieścia pięć lat. W Moskwie być może wiedzą też, że kraje muzułmańskie ostro zareagują na wojnę z muzułmańskimi sunnitami w Czeczenii. Wiedzą również, że cały świat uzna wtargnięcie do Czeczenii za dowód genetycznie zakodowanej agresywności państwa rosyjskiego i potwierdzenie wszystkich obaw jego sąsiadów. Mimo to odnosi się wrażenie, że generał Graczow może otrzymać wyteskniony rozkaz: zdobyć Grozny.

Ogłoszone ostatnimi laty tajne dokumenty pokazały, że decyzję o inwazji Afganistanu podjęła grupka członków Biura Politycznego wbrew zdaniu ekspertów, którzy ostrzegali, że wojna z Afganami będzie trudna. Starożytni Rzymianie mawiali: jeśli bogowie chcą kogoś pokarać, odbierają mu rozum. Breżniew i jego doradcy zostawili po sobie trupa ZSSR. Czy dzisiejsi przywódcy Rosji też są niespełna rozumu, kiedy chcą pokazać, że mimo wszystkich słabości są silni? Co więcej sądzą, że opinia publiczna jest za nimi. Być może się nie mylą. Słynny w swoim czasie poeta Andriej Wozniesiński oświadczył 24 listopada w wywiadzie dla *Komsomolskiej Prawdy*: „Niedobrze, żeśmy stracili imperium... Nie należało rezygnować z imperium. Należało je jakoś zmienić, zdemokratyzować”.

Demokratyczne imperia, liberalne „organy”, przytulne obozy koncentracyjne — ach, rojenia poetów...

11.12.1994

Adam KRUCZEK

Przez Królewiec do Kłajpedy

W 1994 roku uniwersytet w Kłajpedzie obchodził 450-lecie założenia Uniwersytetu Alberta w Królewcu. Z tej okazji naukowcy litewscy zorganizowali konferencję naukową nt. „Promieniowanie Uniwersytetu Królewieckiego na kraje bałtyckie”. Zaproszono kilku naukowców z zagranicy, m.in. historyka niemieckiego F.W. Saala z Düsseldorfu oraz piszącego te słowa.

Z Olsztyna do Kłajpedy można jechać przez Suwałki-Kowno oraz przez Królewiec (Kaliningrad). Przez Królewiec bliżej i droga ciekawsza. Od niedawna każdy obywatel polski może swobodnie przejechać przez granicę do obwodu kaliningradzkiego, do Kaliningradu a stamtąd po Mierzei Kurońskiej do Kłajpedy. Jeszcze przed czterema laty Mierzeja Kurońska była zamknięta nie tylko dla cudzoziemców, lecz także dla obywateli sowieckich. Mieszkańcy wsi i osiedli na mierzei mieli specjalne przepustki. Był to bowiem teren strategiczny, zamknięty.

W rosyjskim Kaliningradzie byłem kilkakrotnie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Było to wówczas typowe miasto sowieckie, właściwie niczym się nie różniło od innych miast sowieckiej Nadbałtyki. Ostatni raz byłem w Kaliningradzie w maju 1994 r. Obecnie Królewiec jest miastem Federacji Rosyjskiej, nie sowieckim, chociaż pozostało tam wiele cech miasta sowieckiego: typowe budownictwo, fasadowe ogromne budynki mieszkalne, ponure gmachy urzędów państwowych i administracyjnych, duże w stylu rosyjskim pałace kultury rybaków, marynarzy i inne. Brudne podwórka i klatki schodowe, zepsute windy i powyrywane z zawiasów drzwi do budynków mieszkalnych. Ulice szerokie i brudne, zaśmiecone papierami, niedopałkami papierosów i skórką od bananów. Sklepy bez reklam i snujące się po chodnikach tłumy. Tramwaje i autobusy były przepełnione, tłok i smród. Pozostały wrażenia niezbyt przyjemne. Ale serdeczność przewodniczącego oddziału kaliningradzkiego Związku Pisarzy Rosyjskich Olega Głuszki, na zaproszenie którego byłem wiosną w Kaliningradzie, zatarła nieco ten nie miły obraz.

Jesienią 1994 roku jechałem do Królewca z nie mniejszym zainteresowaniem, bowiem z prasy wiedziałem, że wiele

się tam zmienia na lepsze. Przyjechało sporo przedsiębiorców z Polski i Niemiec, którzy otworzyli sklepy, hurtownie, kawiarnie. Rozwinął się handel, miasto otworzyło się dla obcych. Chciałem to wszystko zobaczyć, porównać ze spostrzeżeniami sprzed kilku miesięcy, porozmawiać ze znajomymi Rosjanami, dowiedzieć się jak się żyje teraz, kiedy Rosja dąży do normalności, chce być krajem demokratycznym. Obwód kaliningradzki pod rządami gubernatora Jurija Matoczki, jak piszą gazety, znacznie posunął się do przodu.

Autobus z Olsztyna do Królewca jedzie około 3 godzin, mimo że odległość niewielka — tylko 130 km. Trzeba jednak swoje odstać na granicy. Jedziemy przez Dobre Miasto, Lidzbark Warmiński, Bartoszyce. Przejeżdżamy przez schludne, zadbane polskie wsie i miasteczka. Dojeżdżamy do nadgranicznej miejscowości Bezledy. Jeszcze dziesięć lat temu była to wieś pegeerowska na krańcu Polski, gdzie, gdzie diabeł mówi dobranoc. Dziś, Bezledy to prawie miasto: ładne, duże sklepy z reklamami, restauracja, szkoła, hotel. Murowane, nowe domy z ogródkami. Europa! Ładna wizytówka i dobry przykład dla sąsiadów zza miedzy. Przejście graniczne w Bezledach nowoczesne: kilka dróg przejazdowych, osobno dla samochodów ciężarowych i osobowych, osobno dla autobusów. Polska straż graniczna uprzejma i sprawna. Celnik grzeczny, wchodzi do autobusu, pyta czy kto z pasażerów ma coś do ocenia. Nikt nie ma, więc wychodzi i możemy jechać dalej. Zatrzymujemy się przed budynkiem granicznym rosyjskim. Długo nie czekamy, w ciągu dziesięciu minut podchodzi do autobusu pogranicznik, mówi żeby wszyscy z rzeczami wyszli z autobusu i weszli do budynku celnego. Tutaj inny pogranicznik odbiera paszporty, podejrzliwie wpatruje się w twarz podróżnego i każe przejść dalej, do sali. Tu po obu stronach stoją szerokie ławy. Trzeba położyć na nie bagaż. Celniczki mogą kazać otworzyć torbę czy walizkę, mogą też przepuścić podróżnego bez przeglądania zawartości bagażu. Mają one wprawne oko i zawodowe doświadczenie: zanim podejda do delikwenta, kilka chwil wpatrują się w niego badawczo. Są jednak grzeczne, uprzejme i nawet uśmiechnięte. Kiedyś uprzejmości nie było... Jedna z celniczek podeszła do mnie, spytała dokąd jadę — do uniwersytetu — odrzekłem. — *Prochoditie* — powiedziała stanowczo i na tym zakończyła się odprawa celna.

Po kilku minutach autobus przejechał na stronę rosyjską, ale podróżni nie mogli wejść do środka autobusu, ponieważ

pogranicznicy nie oddali paszportów. Dopiero po jakimś czasie przyszedł żołnierz, zajrzał do pustego autobusu, spoglądał pod siedzenia, wreszcie wyszedł i z nazwiska zaczął wywoływać podróżnych. Każdy grzecznie, potulnie podchodził, odbierał swój paszport i zajmował miejsce w autobusie. O! To już postęp, bo cała odprawa po rosyjskiej stronie trwała jakieś pół godziny i wszystko odbywało się spokojnie, bez krzyku i popychania. Tylko to wychodzenie z autobusu, taszczenie bagaży ze sobą przypominało jeszcze tamte, sowieckie czasy. Ale byłem już w Rosji.

Autobus ruszył do Bagrationowska. Miasto to przed wojną nazywało się Pr.Eylau (Iława Pruska). Nieopodal tego miasta w dniach 7 i 8 lutego 1807 r. doszło do starcia między wojskiem Napoleona i rosyjskim. Rosjanami dowodził gen. Piotr Iwanowicz Bagration (1765-1812). Wprawdzie w bitwie nie było zwycięzcy, ale na pamiątkę tamtego zdarzenia miasto Pr. Eylau na cześć Bagrationa w 1946 roku otrzymało nazwę Bagrationowsk. Przed wojną było to ładne, schludne miasteczko na szlaku z Królewca do Olsztyna, który po niemiecku nazywał się Allenstein. Obecnie Bagrationowsk jest typową zapadłą prowincjonalną rosyjską miściną: zabłocone ulice, stare, nieremontowane poniemieckie domy, chwasty w ogródkach i rowach przydrożnych. Zaniedbanie wyziera z każdego miejsca. Nie widać tu jeszcze postępu, choć granica do Europy otwarta. Jakże inaczej prezentują się polskie przygraniczne Bezledy! Na przystanku autobusowym stoi grupka źle ubranych kobiet. Staruchy okutane są w chusty, choć na dworze ciepło, wszak to dopiero koniec września. Przygnębiający widok.

Szosa po polskiej stronie równa, asfaltowa, choć niezbyt szeroka, ale dobrze utrzymana. Tutaj pełno jest wyrw, dziur i głębokich wybojów. Kierowca musi nie lada manewrować, żeby nie połamać osi. Z naprzeciwka nadjeżdża ogromny, komfortowy autobus niemiecki. To turyści niemieccy wracają z Królewca-Königsberga-Kaliningradu przez Polskę do domu. Przyjechali tu niektórzy po pięćdziesięciu latach, żeby przed śmiercią zobaczyć rodzinne strony. W oknach niemieckiego autobusu stare, smutne twarze...

Z Bagrationowska do Kaliningradu jakieś 40 km. Jedziemy szybko, bo ruch niewielki. Po obu stronach szosy ciągną się płaskie pola. Nie widać, by je ktoś uprawiał. A ziemia tu dobra, żyzna. Gdzieś na horyzoncie pasie się stado kołchozowych krów. Poza tym na polach ani żywego ducha. Drogowskazy pokazują drogę do różnych posesji o nazwach

typowo rosyjskich: Podolskoje, Gwardiejskoje, Bieriozowka, Niewskoje. Za tą miejscowością przejeżdżamy przez rzeczkę, która nosi tu nazwę Prochładnaja. Skąd na dawnych ziemiach pruskich, w Sambii Prochładnaja? Ani śladu nazw dawnych, pruskich czy niemieckich.

Jedziemy przez obwód kaliningradzki Rosyjskiej Federacji. Powstał on w wyniku umowy w Jałcie (luty 1945) i po przyłączeniu Prus Wschodnich do ZSSR. Już w czerwcu 1945 roku zaczęli napływać tu przesiedleńcy z Rosji, Białorusi i Ukrainy. W 1946 roku rząd sowiecki podjął decyzję o masowym przesiedleniu mieszkańców Rosji Centralnej do obwodu kaliningradzkiego. Königsberg przemianowano na Kaliningrad 4 lipca 1946, niedługo po śmierci 3 czerwca 1946 roku Michaiła Iwanowicza Kalinina, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSSR. Jesienią 1948 r. zostało zakończone wysiedlanie Niemców za Odrę. Według danych, przytoczonych w książce W. Isupowa „Na etapie tworzenia” (Kaliningrad, 1986), z obwodu wywieziono około 110.000 osób ludności niemieckiej. Warto przypomnieć, że w 1940 roku tylko Królewiec (Königsberg) liczył 380.000 mieszkańców, w 1944 r. było ich jeszcze 370.000. W 1945 roku, według informatora Rautenberga, było w Królewcu 150.000 mieszkańców, natomiast sowieckie dane z listopada 1945 roku szacują ludność miasta na 60.000 mieszkańców bez podziału na narodowości. W 1947 roku w Kaliningradzie było zaledwie 37.000 mieszkańców. Większość Niemców wysiedlono do Niemiec. Akcją wysiedleń kierował generał Iwan Sierow, ten sam, który wslawił się deportacją całych narodów: Polaków, Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Tatarów, Kałmuków, Czezeńców, Inguszów, a także Niemców nadwołżańskich, tych ostatnich do Kazachstanu. Były też deportacje ludności niemieckiej w głąb Związku Sowieckiego. Jaka liczba ludzi została wywieziona na wschód — nie wiem.

Ludność obwodu kaliningradzkiego zaczęła się powiększać dzięki przyjeżdżającym na te tereny przesiedleńcom z ZSSR i z przyrostu naturalnego. W 1993 roku ludność obwodu kaliningradzkiego liczyła około 910.000 mieszkańców. Według spisu ludności w 1989 roku skład narodowościowy był następujący: Rosjanie — 683.600 osób (78,5%), Białorusini — 73.900 (8,5%), Ukraińcy — 62.800 (7,2%), Litwini — 18.100 (2,1%), Polacy — 4.300 (0,5%). Ponadto w obwodzie kaliningradzkim w 1989 roku mieszkali Tatarzy (3.600), Mordwini (3.500), Żydzi (3.200), Czuwasze (2.700), Azerbejdżanie (2.700), Ormianie (1.600), Niemcy (1.300), Mołdawia-

nie (1.300), Cyganie (1.200), Łotysze (1.000), Gruzini (500), Estończycy (400), innych narodowości — 6.300. Razem w 1989 r. zamieszkiwało obwód kaliningradzki 871.200 osób. W tę liczbę, oczywiście, nie wliczono wojska.

Otwarcie granicy w 1991 roku spowodowało masowy napływ niemieckich turystów do obwodu kaliningradzkiego. Turyści pragną odwiedzić utraconą ojczyznę. Z Niemiec zaczęli przyjeżdżać przedstawiciele biznesu. Oddzielenie się od Rosji nadbałtyckich republik: Litwy, Łotwy, Estonii — terytorialnie odizolowało obwód kaliningradzki od Rosji. Ponadto niepewna przyszłość rosyjskich Niemców z Kazachstanu, Syberii, znad Wołgi zmusiła tych ludzi do poszukiwania schronienia w obwodzie kaliningradzkim.

Liczba Niemców, którzy przesiedlili się do obwodu kaliningradzkiego, nie jest duża. Według różnych obliczeń w obwodzie mieszka od 4.200 osób (ocena komitetu do spraw społecznych i zatrudnienia administracji obwodu) do 8.000 osób (według szacunku miejscowego pastora parafii luteranckiej). Według danych prasowych 1 stycznia 1993 r. w obwodzie kaliningradzkim mieszkało 5.000 Niemców.

Aleksiej Gubin, jeden z badaczy problemu, pisze, iż „przesiedlenie się do obwodu nawet tak niewielkiej liczby (około 4.000 osób) Niemców z byłego ZSSR wzbudziło tutaj różne reakcje. Pojawiły się niepokojące nastroje: czy przyjazd Niemców do obwodu nie doprowadzi w konsekwencji do nowej kolonizacji Prus Wschodnich? Czy nie złączą tu przyjeżdżać Niemcy z RFN i żądać zwrotu swoich majątków i domów? Takie myśli poczęły zaprzętać głowy osób starszego pokolenia, szczególnie weteranów wojny. Popiera ich część obywateli, która jest pod wpływem skrajnych lewych i prawych kierunków politycznych. Sytuacja na tyle się skomplikowała, że przewodniczący Rady Obwodowej Siemionow zmuszony był wystąpić w prasie, aby zdementować obawy ludności. Powstała paradoksalna sytuacja: ludzie starszego pokolenia, którzy dotychczas nie uznawali obwodu kaliningradzkiego za swoją ojczyznę, zaczęli głośno wyrażać wręcz inne poglądy. 'Nie oddamy tej ziemi, za którą krew przelewaliśmy' — powiadają i wypowiedź ta stała się nowym hasłem kombatanów. Gwałtowne pogorszenie się ekonomiczne poziomu życia spowodowało praktycznie niemożliwym, by pierwsza fala przesiedleńców mogła powrócić do starej ojczyzny (tj. do Rosji — MJ.). Ta nowa sytuacja zmusiła ich do zrewidowania swojego stosunku do ziemi, na której obecnie mieszkają”.

Polacy przybyli do obwodu kaliningradzkiego głównie z Białorusi, Litwy i częściowo z Ukrainy. Mieszkają oni przeważnie w samym Kaliningradzie. Od 1991 roku ożywiły się kontakty Kaliningradu z Polską. Ważną rolę odgrywa tu założony w 1992 roku Generalny Konsulat Polski, kierowany do wiosny 1994 r. przez Jerzego Bahra. Konsulat Polski ma swoją siedzibę przy ulicy Kutuzowa. Działa obecnie w Kaliningradzie Wspólnota Polska, od 1992 roku istnieje parafia katolicka. Proboszczem parafii św. Wojciecha-Adalberta jest Polak, ks. Jerzy Steckiewicz. Pomaga mu Litwin, ks. Anupras Gauranskas. Przy parafii działają trzy siostry zakonne niemieckie i dwie polskie. W Oddziale Królewieckim Kolegium Katolickiego im. św. Tomasza z Akwinu studiuje 80 osób (katolicy, prawosławni i inni). Prefektem ds. nauczania Kolegium jest ks. dr Władysław Turek z Olsztyna. Niestety, katolicy kaliningradzcy nie mają jeszcze kościoła. Ich starania o odzyskanie katolickiego kościoła św. Rodziny, w którym odbywają się koncerty filharmonii, jak dotychczas, nie przynoszą rezultatu. Msze święte odbywają się w baraku w czterech językach: polskim, niemieckim, litewskim i rosyjskim. Barak ten podarował katolikom niemiecki Kościół ewangelicko-augsburski z Bawarii.

Ks. Jerzy Steckiewicz prowadzi szeroką działalność wśród Polaków mieszkających w Kaliningradzie i okolicy. Zorganizował on Centrum Katolickie, przy którym od 1991 roku działa polska szkołka dla dzieci, do której uczęszcza 150 uczniów, prowadzone są kursy języka polskiego dla młodzieży i dorosłych. Istnieje biblioteka polska wraz z czytelnią. Ks. Jerzy Steckiewicz kilka razy jeździł z młodzieżą do Polski. Utrzymuje ścisłe kontakty z Kurią Metropolitalną Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie oraz z Seminarium Księży Werbistów w Pieniężnie.

Do Kaliningradu przyjechaliśmy przed oznaczonym czasem. Ale na dworcu autobusowym czekał już na mnie znajomy, pisarz Oleg Głuszkin, z pochodzenia Żyd rosyjskojęzyczny. Urodził się w Wielkich Łukach w rodzinie kolejarskiej, w 1941 roku rodzice z dziećmi ewakuowali się na Ural, tam przeżyli wojnę. Oleg po wojnie wyjechał na studia do Leningu, gdzie zakończył politechnikę ze specjalnością budowa okrętów. W 1960 roku skierowano go do pracy w stoczni kaliningradzkiej. Pracował jako inżynier, potem — we flocie rybackiej. W wolnych chwilach pisał, ale rzadko go drukowano, bo nie należał do partii. W Kaliningradzie mieszka ponad trzydzieści lat, wrósł w tę ziemię i czuje się tu dobrze.

Od 1991 r. jest przewodniczącym Oddziału Kaliningradzkiego Związku Pisarzy Rosyjskich i naczelnym redaktorem kwartalnika literackiego *Zapad Rossii* („Zachód Rosji”). Niedawno wydał powieść pt. „Iisus Nazarianin” („Jezus z Nazaretu”), która stała się w Kaliningradzie prawdziwym *bestseller*’em.

Do odjazdu autobusu do Kłajpedy miałem około dwóch godzin, więc Głuszkin zaproponował mi obejrzenie miasta. Dworzec autobusowy brudny i obskurny, nie ma tu nawet kawiarni. Oblepiony natomiast różnymi budami, „bałaganami”, w których miejscowi „biznesmeni” sprzedają różną tandetę.

Obecny Królewiec całkowicie zatracił swój dawny charakter. Tamto, dawne miasto pruskie, zniszczono świadomie. Píše o tym historyk olsztyński, profesor Janusz Jasiński, w swojej książce „Historia Królewca” (Olsztyn 1994): „Chociaż w ubiegłych stuleciach istniały pewne związki Królewca z Rosją i to nie tylko wojenne, ale także gospodarcze i kulturalne, nowa władza postanowiła niemal całkowicie odciąć się od pruskiej i niemieckiej historii. Königsberg nie istnieje — rozumowano — nie ma przeto potrzeby niczego odbudowywać, a tylko należy budować Kaliningrad. Tak więc najstarsze części miasta, zniszczone nalotami aliantów i działaniami wojennymi w 1945 r. pozostały w gruzach, później zakładano na tych miejscach zieleńce i parki. Świadomie zburzono popiersia Kopernika, Herdera, Corintha. Pomimo iż światlejsza część społeczeństwa Kaliningradu chciała w 1965 r. przynajmniej zakonserwować ruiny zamku, władze komunistyczne w cztery lata później, na polecenie premiera Aleksieja Kosygina, wysadziły je w powietrze jako 'spróchniały ząb pruski'. Dzisiaj na tym miejscu widnieje potworne gmaszysko. Przejmujące wrażenie sprawiają resztki murów, ongiś tak wspaniałej katedry knipawskiej. Tutaj dokończenie dzieła zniszczenia obciąża miejscowe władze. Natomiast ocalała kolumnada Kanta, słynna Stoa Kantiana, wybudowana w 1924 r. według projektu Friedricha Lahrsa. Obecnie próbuje się zakonserwować ruiny katedry, mówi się nawet o odbudowie całej świątyni przy pomocy międzynarodowego kapitału. Odpowiednie plany przygotował już architekt Jurij Sabuga. Na osi północ-południe, właśnie w centrum historycznego Królewca, wtyczono nowoczesny Prospekt Leninowski, który przecina na linii wschód-zachód Prospekt Moskiewski. Głównymi elementami tej części miasta są wysokie 12-piętrowe wieżowce. Pozbyto się ruin byłego kościoła na Steindammie, podobnie postąpiono z kościołem staromiejskim, reformowanym francus-

kim, szpitalnym w Lipniku i dalszymi. Nie inny los spotkał wiele mostów, wszystkie cmentarze i szereg dalszych obiektów zabytkowych. Kilka kościołów odrestaurowano, ale umieszczono w nich różne świeckie instytucje, na przykład w kościele w Ponarth urządzono halę sportową, w kościele królowej Luizy — Teatr Lalek, w katolickim kościele w Habersbergu filharmonię, a w szpitalu św. Jerzego szkołę marynarską. Odbudowany gmach dawnej giełdy adaptowano dla potrzeb domu kultury marynarzy, wreszcie halę miejską (*Stadthalle*) oddano Muzeum Historyczno-Artystycznemu. W sumie widok miasta wywołuje jednak przygnębiające wrażenie, chociażby w porównaniu do sąsiedniego grodu nadbałtyckiego, Gdańska, także doszczętnie zniszczonego, a przecież z wielkim pietyzmem odbudowanego”.

Faktycznie dzisiejszy Kaliningrad to typowe sowieckie miasto, w którym gdzieś widoczne są ślady dawnego Królewca. Oglądamy zachowany pomnik poety Fryderyka Schillera, popiersie Juliusa Rupp, liberalnego działacza z połowy XIX wieku. Obejrzelismy niewielkie muzeum I. Kanta w budynku uniwersytetu, a także pomnik filozofa, ofiarowany miastu w 1992 r. przez hrabinę Marion Dönhoff, który ponownie stanął na Placu Defilad. Do domku Kanta w Moditten, który ostatnio został odrestaurowany, nie zdążyliśmy pojechać, ale Głuszkin powiedział, że urządzono go według przedwojennych planów.

W Królewcu niedawno — opowiada Głuszkin — powstał Klub „Prussia”, którego członkowie nawiązują do tradycji staropruskich, są to przeważnie młodzi ludzie, urodzeni i wychowani w Kaliningradzie. Istnieje w mieście Niemieckie Stowarzyszenie Kulturalne „Zgoda” (*„Eintracht”*). Organizacja jest bardzo aktywna, często przyjeżdżają tu Niemcy z RFN, przywożą dary na cele charytatywne, kulturalne, społeczne i gospodarcze. Głuszkin mówi, iż ci właśnie Niemcy doprowadzili do założenia Domu Niemiecko-Rosyjskiego. Jest on bazą dla przedsiębiorców niemieckich, którzy w obecnym Kaliningradzie zainwestowali aż 55 % kapitału zagranicznego, gdy Polacy około 26 %, Amerykanie 9 %, a Litwini tylko 2 %. Niemiecki kapitał widoczny jest w wielu nowych — ładnie urządzonych sklepach, kawiarniach i restauracjach. Szylidy polskich firm również są widoczne.

Jednak w Kaliningradzie wiele się zmienia. Po ulicach chodzą ludzie dość ładnie ubrani, szczególnie uroda, zadbanie wyróżniają się młode kobiety. Na ulicach kwitnie jeszcze drobny handel, choć, jak mówi mój znajomy, władze

przenoszą go na specjalne place i targowiska. Sporo jest sprzedawców warzyw i owoców: są to płody z licznych tu ogródków, działek, tzw. *dacznych sadików*.

Zbliża się godzina 11.30, czas odjazdu autobusu do Kłajpedy, więc wracamy na dworzec. Do Kłajpedy jedzie dość dużo pasażerów. Są to przeważnie Rosjanie, którzy mają krewnych po drugiej stronie granicy. Między Kaliningradem i Kłajpedą nie ma wiz. Mieszkańcy tych miast i okolic granicę przejeżdżają na podstawie dowodów osobistych. Obywatele Litwy z Kowna czy Wilna oraz obywatele Rosji, mieszkańcy Petersburga czy Moskwy, muszą posiadać paszporty zagraniczne. Dotyczy to także obcokrajowców, tj. mieszkańców Polski, Niemiec itp. Do autobusu wsiadają też pasażerowie udający się do swoich nadmorskich dacz w pobliżu Zielenogradka (Cranz) czy miasteczka Rybaczyj (Rossiten) na mierzei.

Jedziemy na północ przez miejscowości Orłowka (Ouednau), Sosnowka (Schugsten), Krasnofłotskoje (Mollehnen) i zatrzymujemy się w Zielenogradsku, dawniej Cranz. Miasto nadmorskie, zabudowane ładnymi niskimi, jeszcze niemieckimi domami; podobne jest do polskich Międzyzdrojów. Zielenogradsk to znane w obwodzie nadmorskie uzdrowisko. Latem przyjeżdżają tutaj wczasowicze z Moskwy, Petersburga, nawet z Uralu. W Zielenogradsku wysiadło sporo pasażerów. Kierujemy się stąd w stronę mierzei. Pierwsze osiedle — Lesnoj (Sarkau). Przed osiedlem na szosie szlaban, przy nim samochód milicyjny. Autobus zatrzymał się, prawdopodobnie tutaj odbywa się kontrola paszportów. Ale milicjant podniósł szlaban i autobus swobodnie wjechał do miasteczka. Ten szlaban to prawdopodobnie relikw po czasach sowieckich. A może nadal droga na Mierzei Kurońskiej jest ściśle kontrolowana? Widocznie zatrzymywane są samochody osobowe i ludzi legitymują. Nam się udało: przejechaliśmy bez kontroli.

Z miasteczka Lesnoj do Rybaczyj jakieś 15 km. Szosa prowadzi środkiem mierzei, po obu stronach drogi piękny sosnowy las. Z lewej strony prześwituje morze. W lesie na mierzei jest pełno grzybów, spotykamy bowiem grzybiarzy, którzy niosą ogromne kosze, pełne różnych grzybów. Przez otwarte okno autobusu wdziera się do środka świeży powiew morskiego powietrza. Ładnie tu jest i prawie dziko. Dzięki sowieckim utajnieniom tzw. strategicznych miejscowości cywilizacja nie dotarła na mierzeję. Wszystko zachowało się tak samo, jak było przed wojną. Nawet nowych domów, dacz i innych budynków nie widać. Może są gdzieś ukryte w lesie?

Wymarzone miejsce na wypoczynek: z jednej strony otwarte morze, z drugiej — Zalew Kuroński.

Minęliśmy Rybaczyj i po kilkunastu minutach zatrzymaliśmy się w osiedlu Morskoje, to dawne Pillkoppen. Kilka kilometrów dalej — granica z Litwą. Rosyjski posterunek graniczny to zwykła buda drewniana, zbita z desek po prawej stronie drogi, jadąc w kierunku Nidy. Szosę przegradza szlaban. Kierowca zatrzymuje autobus, po chwili zjeżdża na pobocze. Pasażerowie spokojnie siedzą, czekają na żołnierza z posterunku granicznego. Wreszcie z posterunku wychodzi młody żołnierz, kieruje się w stronę naszego autobusu, wchodzi do środka i w milczeniu zbiera paszporty i dowody osobiste. Idzie do swojej drewnianej budy, a pasażerowie mogą wyjść na niewielki plac. Dokoła las, pustkowie.

Po piętnastu minutach wraca żołnierz, przekazuje podróżnym ich dokumenty i możemy jechać dalej. Rosyjskiego celnika nie widziałem. Żadnych pytań. Odprawa graniczna minęła bez przeszkód. Pogranicznik podnosi szlaban i ruszamy na stronę litewską. Po przejechaniu stu lub dwustu metrów przed nami znowu szlaban, tym razem litewski. Autobus staje, wchodzi do środka dwaj litewscy żołnierze, zwracają się do pasażerów po rosyjsku z prośbą o okazanie dokumentów. Sprawdzają dowody osobiste, do paszportów wbijają wizy. Robią to szybko i sprawnie. Nikt z pasażerów nie musi wychodzić na zewnątrz. Po wyjściu litewskich pograniczników do wozu wszedł celnik. Po rosyjsku spytał czy kto z pasażerów ma coś do oclenia. Pasażerowie prawie chórem odrzekli *niet* i celnik wyszedł. Cała procedura trwała około 10 minut. Na Litwę wdziera się już Europa. Żołnierz podniósł szlaban i pojechaliśmy dalej. Jakies 500 metrów od szlabanu wznosi się nowy, ładny, stylowy budynek, w którym znajdują pomieszczenia celnicy, kontrola graniczna, będzie kawiarnia, bufet i kantor wymiany pieniędzy. Obok budynku robotnicy wylewają asfalem obszerny plac, na którym będzie usytuowany parking. Litwini przygotowują się do napływu turystów, wycieczkowiczów i po prostu podróżnych. Liczą, że Kaliningrad stanie się strefą wolnocłową i właśnie z Kaliningradu do Nidy i Kłajpedy przyjadą turyści z bogatych Niemiec.

Jedziemy dalej po dobrej, o wiele lepszej szosie jakiś kilometr i przed nami wylania się miasteczko Nida, które przed wojną należało do Niemiec i nazywało się Nidden. Litewska część mierzei nazywa się Neringa. Od Nidy do Kłajpedy tylko 48 km. Nida to bardzo stara miejscowość. Li-

tewscy archeolodzy dowodzą, że już na początku II tysiąclecia p.n.e. mieszkali tu ludzie z plemion bałtyckich, prawdopodobnie Kurowie. W XVIII wieku starą Nidę zasypał piasek z wydm, więc mieszkańcy wioski przenieśli się do miejsca, gdzie obecnie znajduje się miasteczko. Powstało ono z trzech wsi: Nidy, Naujoji Naglys i Purvine. Jeszcze przed pierwszą wojną światową Nida (Nidden) stała się miejscowością letniskową. Chętnie tu przyjeżdżali na wypoczynek zamożni Niemcy. W latach 1930-1932 letnie miesiące spędzał w Nidzie Tomasz Mann. Jego domek zachował się i obecnie mieści się w nim niewielkie muzeum pisarza. W miasteczku zbudowano kilka domów wypoczynkowych i sanatoriów. Do 1991 roku były one dostępne wyłącznie dla funkcjonariuszy państwowych i partyjnych. Obecnie każdy może przyjechać tu na wypoczynek. Na razie w Nidzie wypoczywają głównie Niemcy. Około 10 km za Nidą znajduje się miejscowość Preila. Jest to niewielka wioska rybacka nad Zatoką Preila. Wioska powstała w 1843 roku, do dziś mieszkają tu przeważnie rybacy. W Preile jest ładny pensjonat, w którym obecnie chętnie spędzają urlopy Niemcy. Zaciszna zatoka, sosnowy las, zarosnięte wydmy tworzą tu swoisty mikroklimat.

Dobrze utrzymana szosa prowadzi do następnej miejscowości na mierzei. Jest to Juodkrante. Miejscowość ta od 1862 r. do końca XIX w. była znana z obfitości bursztynu. Tutaj nad morzem istniały największe kopalnie tego minerału. Miasteczko usytuowało się nad Zatoką Bursztynową (Gintaro ilanka). Jest ono zadbane, w okresie sowieckim wybudowano kilka domów wypoczynkowych, które były dostępne wyłącznie dla funkcjonariuszy partii. W byłym kościele luterańskim rozmieszczono Muzeum Miniatur. Ekspozowane są tu miniaturowe obrazy, wyroby jubilerskie oraz medale. W jednej z sal zamontowane są organy. Latem odbywają się tu koncerty organowe i kameralne, wieczory muzyczne. W pobliżu Juodkrante, we wsi Karvaičiai, urodził się w 1776 roku Liudvikas Gediminas Reza (Ludwig Rhesa), profesor uniwersytetu w Królewcu, zbieracz folkloru litewskiego. On pierwszy przełożył na język niemiecki poemat Kristijonasa Donelaitisa „Metai” („Pory roku”) i w 1818 r. opublikował utwór w języku litewskim i niemieckim. Litwini bardzo go szanują, uważają Rezę za klasyka literatury litewskiej. W okiennych witrażach tego muzeum widnieje postać L. Rezy i dwie figury Litwinek.

Do Kłajpedy mieliśmy jeszcze po drodze niewielką miejscowość Alksyne (9 km od Kłajpedy), ładną, czystą i zadbaną.

Tutaj również są pensjonaty i domy wczasowe. Na cyplu mierzei jest miejscowość Smiltyne, która wchodzi już w obręb miasta Kłajpedy. W Smiltyne dobiega końca podróż z Królewca. Tutaj jest końcowy przystanek. Na placu czekał na mnie docent Uniwersytetu Kłajpedzkiego, dr Jurgis Mališauskas. Cała podróż z Olsztyna do Kłajpedy (z prawie dwugodzinną przerwą w Kaliningradzie) trwała około 8 godzin. Do Kłajpedy przyjechaliśmy przed godziną 15, więc można jeszcze zwiedzić miasto. Z docentem Mališauskasem przechodzimy na prom, po litewsku *keltas*, który dowozi zmotoryzowanych i pieszych na ląd. Tutaj już czekał na nas Rimantas Cerniauskas, pisarz, przewodniczący kłajpedzkiego oddziału Związku Pisarzy Litwy. Mališauskas przekazał mi koledze, a sam pojechał spotykać innych gości, uczestników konferencji. Cerniauskas zawiózł mnie samochodem do hotelu, następnie zaprosił na obiad. Restauracja nieduża, tania, bardzo ładnie urządzona, muzyka dyskretna, a kelnerzy grzeczni i sprawni. Od razu rzuca się w oczy różnica między Kaliningradem a Kłajpedą. W ciągu trzech lat Litwini potrafili zrobić bardzo wiele.

Po skromnym obiedzie z Rimantasem i jego żoną Eleną wyruszamy na zwiedzanie miasta. Nie odkładamy na jutro, ponieważ cały dzień zajmie konferencja, a pojutrze, w sobotę, zaplanowałem wyjazd do Wilna.

Z Cerniauskasami rozmawiam po litewsku. Języka polskiego nie znają. Rimantas pochodzi wprawdzie spod Olity (Alytus), ale większość życia (ma 44 lata) spędził w Kłajpedzie. Pani Elena jest Zmudzinką spod Telsz (Telšiai), więc nie zna polskiego. Oboje język rosyjski znają doskonale, ale Litwini teraz nie chcą rozmawiać po rosyjsku. Cieszę się więc z tego, bo będę miał praktykę językową.

Dzisiejsza Kłajpeda to brama na świat przez morze. Miasto rozciąga się wzdłuż brzegów Bałtyku i Zalewu Kurońskiego. Przez Kłajpedę przepływa rzeka Dane, na jej lewym brzegu — Stare Miasto. Tutaj pozostało wiele budynków sprzed wojny, a nawet jeszcze z XVIII i XIX wieku. Na południe od Starego Miasta, bliżej Zatoki, wybudowano dzielnicę przemysłową — Smelte. Jest tutaj port rybacki oraz wiele przedsiębiorstw przemysłowych. Na wschód od Smelte po wojnie władze sowieckie usytuowały nową dzielnicę przemysłową — Joniškes. Między Smelte i Joniškes usadowiły się dzielnice mieszkaniowe: Taikos prospektas (Aleja Pokoju), Pempininkai, Gediminai. Na prawym brzegu rzeki Dane — Nowe Miasto, gdzie obecnie znajduje się centrum i dalej —

port przemysłowy. Według danych z 1990 roku w Kłajpedzie mieszkało 206.000 osób, w tej liczbie 66% Litwinów. Mimo że w mieście żyją ludzie różnych narodowości, to na ulicy słychać wyłącznie język litewski. Rimantas wyjaśnia, że Rosjanie, których jest najwięcej po Litwinach, przystosowali się do wymogów rządu i szybko nauczyli się języka państwowego, czyli litewskiego. Rosjan nikt tu nie prześladowa: działają rosyjskie szkoły, wychodzą gazety w języku rosyjskim, jest audycja radiowa i telewizyjna dla Rosjan. Specjaliści Rosjanie pracują w różnych urzędach państwowych, w porcie, w policji, w urzędzie celnym i nawet w Zarządzie Miejskim.

Kłajpeda przez długi czas należała do Prus jako Memel. Dopiero w 1923 roku Kraj Kłajpedzki i Kłajpeda zostały przyłączone do Litwy, ale dominował tu w latach międzywojennych kapitał niemiecki. 22 marca 1939 roku Kłajpedę zajęły wojska hitlerowskie. Miasto i Kraj Kłajpedzki Hitler przyłączył do III Rzeszy. 28 stycznia 1945 roku Kłajpedę zdobyły jednostki Armii Czerwonej. Od tej chwili, jak mówi Rimantas, zaczęła się długoletnia „okupacja sowiecka”. Władze sowieckie już w 1946 roku sprowadziły tu wielu przesiedleńców z Rosji, przeważnie specjalistów morskich. Niechętnie, jak twierdzi Rimantas, zatrudniano w Kłajpedzie Litwinów. W mieście rządzą Rosjanie lub inni „ludzie sowieccy”. Miasto to w założeniu miało być typowo portowe, robotnicze i „internacjonalistyczne”. Nie było wyższych uczelni, ani instytucji kulturalnych. Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych zdołano otworzyć uniwersytet, później konserwatorium, filharmonię i teatr. Lituanizacja Kłajpedy na dobre zaczęła się w latach siedemdziesiątych. Dziś jest to miasto litewskie, trzecie co do wielkości po Wilnie i Kownie. Miasto zadbane, czyste i spokojne. Większy ruch daje się zauważyć tylko w centrum, zwłaszcza na centralnej ulicy Herkaus Manto (Herkusa Mantasa).

W Kłajpedzie jest wiele miejsc godnych uwagi i zwiedzania. Przy ulicy H. Manto, tj. w centrum, ładnie prezentuje się Pałac Kultury (1963) oraz nowoczesny gmach hotelu „Kłajpeda” (1959). Przy ulicy Liepo 7 (Lipowej) znajduje się interesujące Muzeum Krajoznawcze, nieco dalej, na skwerze wznosi się pomnik Kristijonasa Donelaitisa (autor Petras Deltuva). Przy ulicy Liepo 33 mieści się Galeria Obrazów. W pobliżu Galerii urządzone park rzeźb im. Martynasa Mažvydas. Na dawnym, już zamkniętym cmentarzu, w 1977 roku zaczęto ustawiać różne rzeźby z kamienia, marmuru i metalu. Obecnie tych rzeźb jest kilkadziesiąt. Stanowią one

oryginalną wystawę na wolnej przestrzeni, wśród drzew i krzewów. W parku są dróżki i ścieżki, przy nich ustawiono ławki. Obok parku rzeźb wzniesiono pomnik autorstwa Adomasa Brakasa, poświęcony wyzwolicielom Kłajpedy spod władzy niemieckiej w 1923 roku. Przy ulicy Liepo 16 zachował się oryginalny budynek poczty, zbudowany w stylu neogotyckim w końcu XIX wieku. Na wieży tego budynku zamontowano koncertowe dzwony. Niedaleko stąd, przy Liepo 12, mieści się Muzeum Zegarów. W Nowym Mieście godnym obejrzenia jest Muzeum Kowalskie. Zwiedziliśmy też szkołę średnią, w której przed wojną pracował jako nauczyciel znany prozaik litewski Antanas Venclova, późniejszy działacz komunistyczny. Tu, w Kłajpedzie, w 1937 roku urodził się syn Antanasa, Tomas Venclova, obecnie wybitny poeta litewski.

Stare Miasto kłajpedzkie zabudowane jest oryginalnymi domami. Niektóre z nich przetrwały z XVI wieku. Większość jednak budynków pochodzi z XVIII i XIX wieku. Zniszczone podczas wojny domy w latach osiemdziesiątych zostały odrestaurowane. Na Placu Teatralnym w 1990 roku zrekonstruowano słynny w Kłajpedzie pomnik Anki z Tarau, bohaterki pieśni „Anka z Tarau” Henryka Alberta (1604-1651), którą autor poświęcił Szymonowi Dachowi (1604-1659), profesorowi uniwersytetu w Królewcu i poecie, który rzekomo urodził się właśnie w Kłajpedzie.

W pobliżu miasta są dwie miejscowości wczasowe: Melnrage i Giruliai. Od centrum do Giruliai tylko 7 km. Osiedle otoczone jest sosnowym lasem, leży nad samym morzem. Są tu sanatoria i domy wypoczynkowe. Miejsce najbardziej ulubione przez mieszkańców Kłajpedy.

Na Mierzei Kurońskiej, w dzielnicy Smiltyne, znajduje się interesujące Muzeum Morza i Akwarium. Muzeum urządzono w dawnej twierdzy Kopgalis, którą zbudowano w 1866 roku. Podczas ostatniej wojny twierdza została zniszczona. Dopiero w latach sześćdziesiątych budowlę odbudowano według projektu litewskich architektów P. Lape, L. Sliogeriene, V. Sliogerisa i T. Tubisa. Bogata ekspozycja muzeum obrazuje historię żeglugi litewskiej, pokazuje Litwę jako kraj morski. W Akwarium są delfiny i orki.

Kłajpeda jest oknem na świat, jest też bramą wjazdową do kraju od strony morza. Dzisiejsza Kłajpeda boryka się jeszcze z wieloma problemami, które pozostawiła temu miastu władza sowiecka. Ale Kłajpeda jest miastem kulturalnym i gościnnym, a mieszkańcy są ciekawi świata i ludzi. Najważ-

niejsze, że w Kłajpedzie nie zauważyłem żadnych stereotypów nacjonalistycznych, niechęci do Polaków, jakie jeszcze można spotkać w Wilnie czy Kownie. Mieszkańcy Kłajpedy to ludzie otwarci, szczerzy i sympatyczni. Są dumni ze swego miasta, chętnie go obcym pokazują, zapraszają do mieszkań, by pokazać jak żyją. Dzisiejsza Kłajpeda ufnie patrzy, podobnie jak cała Litwa, w przyszłość, buduje lepsze, zasobniejsze życie dla swoich obywateli.

Mieczysław JACKIEWICZ

Wilno i Lachowszczyzna

Dwa lata temu jeździłem tam z żoną, a teraz jadę ze swoją córką i z córką kuzynki (z domu Huszcza) i jej mężem (Poznaniakiem), aby pokazać im okolice w których mieszkali ich przodkowie zarówno na obecnej Litwie jak i Białorusi.

Z wyglądu Wilno zmieniło się mało przez te dwa lata. Jedynie w sklepach pojawiło się sporo produktów zachodnich i kantory wymiany pieniędzy są na każdym kroku. Na Rosie uporządkowano groby akowców poległych głównie w lipcu 1944 r.

Tak dobrze znany mi kościół św. Kazimierza wygląda nieco jak sala przyjęć: jasny, odmalowany i pusty. Brak w nim nastroju modlitewnego. W dawnym głównym ołtarzu dwa nowe obrazy, wyższy św. Kazimierza, jeszcze znośny, a niższy, ogromny, przedstawiający zmartwychwstanie Chrystusa zupełnie straszny. Przynajmniej w moim pojęciu.

W kościele tym msze św. odprawiane są po litewsku i po... rosyjsku.

W Ostrej Bramie nie ma polskiej mszy św. w niedzielę, więc znalazłem się obok, u św. Teresy na mszy o godz. 9 rano. Ksiądz staruszek, z akcentu można wnioskować, że Litwin. Kościół nabity szarym, wynędzniałym, źle ubranym tłumem. To smętny obraz proletariatu polskiego w Wilnie.

Przed wojną bywałem w niedzielę o godz. 8 rano, przed konną jazdą w 7 Szwadronie Pionierów, na mszach św. albo u św. Kazimierza, albo w katedrze. „Panów” tam nie było, ale ówczesny proletariat wileński wyglądał o wiele szczęśliwiej i chyba był ubrany porządniej, bardziej kolorowo.

Zresztą różnica, która najbardziej rzuca się w oczy, to brak elegancji na ulicach, która była tu przed wojną. Chociaż w dalszym ciągu ludzie spacerują po Mickiewicza tam i z powrotem.

Syn naszych znajomych studiuje w Polsce medycynę. Zapytuję go jak układają się stosunki z tamtejszymi kolegami. Mówi że miejscowi studenci nie bratają się ze studentami-obcokrajowcami, do których on jest zaliczany. Więc współżyje z kolegami-Arabami, a ze studentami-Polakami stosunki są bardzo ograniczone.

Jednak obecna klikowatość polska jest zastraszająca.

Dwa lata temu musiałem w Wilnie mówić po rosyjsku bardzo rzadko, może jedynie w paru procentach wypadków napotykałem kogoś, kto nie mówił po polsku, a ponieważ nie znam zupełnie litewskiego, trzeba było przechodzić na rosyjski. Za to w tym roku zdarzało się całkiem często, chyba w przeszło trzydziestu procentach wypadków, że taksówkarz, kelnerka, subiekt w sklepie lub jakaś inna osoba spotkana nie znała polskiego, natomiast wszyscy tam mówią po rosyjsku. Czy to była jedynie kwestia przypadku, czy też zjawisko sugerujące jakieś poważniejsze tendencje, nie wiem.

Mój znajomy naukowiec wileński twierdzi, iż za czasów sowieckich Litwini różnych zawodów musieli uczyć się polskiego, bo to była jedyna szansa jakiegos kontaktu z Zachodem, poprzez Polskę. A obecnie jest już polski niepotrzebny Litwinom, bo kontaktują się oni z Zachodem bezpośrednio, po niemiecku lub angielsku. Jeżeli takie zjawisko istnieje, to przecież nie zdążyłoby ono dotrzeć do poziomu taksówkarzy i kelnerek w przeciągu dwóch lat. Ale w biurach wynajmu sa-

mochodów w Wilnie, tak u Hertza jak i u Avisy, wszystkie sprawy załatwiał się po angielsku i angielski ten nie był najgorszy.

Zarówno przedtem, jak i teraz zdarzyły się paradoksy. Dwa lata temu młoda Rosjanka, urodzona w Wilnie, nauczycielka rosyjskiej literatury, zapytała:

— *Skażicie pożałujsta, kak Wam ponrawilsia nasz gorod?* (tzn. Wilno).

A tego roku kiedy dowiedziałem się, że młody taksówkarz pochodzi z Astrachania, zacząłem mówić do niego po rosyjsku, a on z uporem usiłował odpowiadać po polsku, bo ma żonę Polkę wileńską, dzieci „katoliki” i on chodzi z rodziną do kościoła św. Ducha, jedyne kościoła polskiego w Wilnie.

Przyjechał ks. Krzysztof Pożarski. Dwa lata temu działał on bardzo skutecznie w mojej parafii w Duniłowiczach, ale musiał je opuścić na żądanie arcybiskupa Białorusi ks. Świątka. Teraz jest w Pskowie. Już zbudował tam kaplicę i plebanię. Poza tym dojeżdża, a raczej „dolatuje” do Archan-gielska i w Murmańsku stara się zapuścić korzenie, ale ciężko mu tam idzie, bo ludzie bojaźliwi, wołają nie przyznawać się do katolicyzmu. Za to już ma dobre początki w Kotłasie, do którego dowożono tysiące polskich obywateli, zarówno łągierników jak i spiecpieriesielenców w czasie ostatniej wojny.

Wyjeżdżamy z Wilna w dwa samochody, ks. Krzysztof i ja w jednym, Młodzi w drugim, Traktem Batorego zmodyfikowanym i wyprostowanym przez Sowiety. Dwa lata temu kontroli granicznej praktycznie rzecz biorąc nie było, teraz jak najbardziej — paszporty, sprawdzanie wiz, pieczętki, kontrola celna, deklaracje — najpierw Litwini, potem Białorusini. Ale robią to bez większego zapału, odnosi się wrażenie, że chodzi im w pierwszym rzędzie o to, żeby wszystkie rubryki były wypełnione, a co one zawierają, to nie jest takie ważne.

Na Litwie ziemia słabo uprawiona, a na Białorusi jeszcze gorzej.

Po wertepach rozrytych gąsienicami traktorów dojeżdżamy do pomnika, na którym napisano, że tu była wieś Olsy (Alsy) spalona przez Niemców w 1943 r. a jej mieszkańcy w liczbie ponad siedemdziesięciu wymordowani. Wyjaśniam Młodym, że Olsy zostały skonfiskowane Siemaszkom za udział mego stryjecznego pradziada Michała w powstaniu listopadowym. Mieszkał on potem najpierw w Paryżu, a później w Bayeux (w Normandii) i na starość powrócił do Mińska.

W Olsach władze carskie osadziły tzw. Moskali. Opodal oglądaliśmy ich cmentarz. Na nagrobkach powtarza się nazwisko Kriukow. A wśród nich niedawno zmarły Grisza, jak widać na zdjęciu, obwieszony medalami. To on podpalił dom mieszkalny w Rudce Dłużniewskiego jeszcze przed 17 września 1939 r., a potem dowodził sowieckim oddziałem partyzanckim w tej okolicy, którego bazą były Olsy i dlatego Niemcy je spalili.

A inny Kriukow, starszy o pokolenie, w 1918 r. przewiózł mego Ojca przez front na stronę niemiecką, kiedy zagrażało Mu aresztowanie przez bolszewików. Potem ten Kriukow był gajowym u Dłużniewskiego i z tego powodu wywieziono go wraz z całą rodziną na Syberię w lutym 1940 r. Tam podawali się oni stale za Polaków i po wojnie repatriowali się do PRL.

Mieszkamy w Lachowszczyźnie u Gieni, wszyscy czworo. Była ona sierotą, mając dziewięć lat zaczęła paść krowy, a mając około 16 lat została u nas pokojówką. Do szkoły nigdy nie chodziła. Po polsku mówi i pisze niezłe. Ma wspinały głos. Śpiewa jakieś stare polskie pieśni, chyba jeszcze z czasów stanisławowskich. Zna też „Ułani, ułani malowane dzieci”. Jest *zapiewajął* kiedy ksiądz przyjeżdża z Duniłowicz z mszą św. Pochodzi chyba ze szlachty zagrodowej, bo jej panięskie nazwisko Żogło.

W jej domu jest elektryczność i telefon, ale woda w studni i kanalizacji jak nie było tak nie ma. Umywalka w ogrodzie w postaci małego zbiornika wody, który ma u dołu wystający długi zawór. Jak się go podepchnie do góry, to woda leci na ręce. W tych okolicach takie urządzenia były znane i za mojej młodości.

Przeszło pół wieku temu wykorzystywano tu każdy kawałek ziemi i trawę w przydrożnych rowach wyjadały chłopskie krowy pilnowane przez dzieci. A teraz obszerne połacie pól uprawnych leżą odłogiem. Była na polach widać bardzo niewiele. Chlewy lachowskiego sowchozu zieją pustką. Znikły sady i jedynie pozostały pojedyncze drzewa owocowe przy chatach. A na terenie nie najlepszych ogrodów lachowskich rośnie osikowy zagajnik, bo administracja zdecydowała, że tu ma być sowchoźny park.

Dwa lata temu ludzie tu nie narzekali, a teraz bardzo skarżą się i z utęsknieniem wspominają czasy Breżniewa, kiedy było wszystkiego pod dostatkiem. Ostatnio zubożono ich poważnie wprowadzając białoruską walutę, którą nazywają „zajczyki”. Początkowo wymieniano im: jeden „zajczyk” za jeden rubel rosyjski, a teraz jeden rubel jest już wart cztery „zajczyki”.

Narzekają, ale nie widzą wyjścia. Nie wiedzą jak powiększyć swoje dotychczasowe gospodarstwa jednohektarowe, które kopią łopatą i rzeczywiście dbają o nie. Mówią, że nie ma „technologii” na małe gospodarstwa. To znaczy, że nie ma małych traktorów, nie można kupić konia, nie ma w sprzedaży narzędzi rolnych, ani nawozów, ani ziarna siewnego. To wszystko jest jak dawniej, jedynie z przydziału odgórnego. Nie ma też chyba przepisów prawnych, które dawałyby podstawę do istnienia samowystarczalnych gospodarstw większych niż jeden hektar.

Poza tym odnosi się wrażenie, że przez przeszło 50 lat ludzie zapomnieli, jak organizować swoje własne życie, jak brać na siebie odpowiedzialność i inicjatywę w swe własne ręce, poza zakres określony jednym hektarem.

Z tych powodów często słyszy się opinię, że kolchozy są jedyną alternatywą jaka przed nimi stoi.

Wobec stałych narzekań zastanawiałem się jaką znaleźć miarę tamtejszej stopy życiowej. I chyba znalazłem — ile zabijają na swój użytek parsiuków na rok? A wiem, że przed wojną parobek zabijał przeciętnie jednego parsiuka rocznie, a była to wówczas najniższa stopa życiowa. Dostają odpowiedzi — od dwóch do czterech parsiuków rocznie. No, to nie tak

źle, ale w ciągu przeszło pół wieku należałoby może oczekiwać większej poprawy.

Jeden z zięciów Gieni, traktorzysta, jest bardzo rozsądnym człowiekiem i widać, że dobrze sobie radzi, bo zabija aż cztery parsiuki. W trakcie rozmowy wyraża opinię, iż nieszczęścia ich zaczęły się od tego, że od 1939 r. trwało wyniszczanie wszystkich tych, którzy kierowali życiem na tych terenach i teraz nie ma kto zorganizować, pokierować, poradzić i wskazać co należy robić, którądy iść. Mówi: — Nie mamy naszego własnego kierownictwa.

A kim byli ci, którzy nadawali ton tutejszemu życiu przez wieki? W jednych dziedzinach „panowie”, a w innych Żydzi. Obie te grupy zostały całkowicie wyeliminowane. Po „panach” zniszczono większość śladów, a tam gdzie w miasteczkach mieszkali Żydzi, obecnie przeważnie nie ma nic, jak pustynia w środku miasteczka, jedynie pozostały na zewnątrz zabudowania chrześcijańskie. Choć w niektórych wypadkach na dawnych terenach żydowskich wystawiono nowe domy.

Chodząc z Młodymi po Lachowszczyżnie spotykam imiennika, nazywa się Siemaszko. Po drugiej stronie jeziora była okolica szlachecka, mieszkali tam Gintowtowie, Kurkowscy, Moraczewscy, Krasilewiczowie, Wołodźkowie i kilka rodzin Siemaszków. Prawie wszyscy wyjechali do PRL, jedni zaraz po wojnie, a inni po 1956 r. Mój rozmówca urodzony w 1939 r. pozostał. Był oficerem sowieckiej armii, politrukiem, gdzieś w Turkiestanie. Mówi, że dopiero Gorbaczow otworzył mu oczy. Obecnie mieszka w Lachowszczyżnie i uczy w tamtejszej dziewięcioklasowej szkole.

Jego stryj Erazm, żołnierz 2 Korpusu leży na cmentarzu w Loreto. Wie o nim i prosi o dalsze dane. Już wysłałem.

Za moich czasów „panowie”, księża, nauczyciele, szlachta zagrodowa i wszyscy ci, którzy mieli pretensje do zamożności lub awansu społecznego, mówili po polsku, a chłopci mówili po białorusku, chociaż granice te były płynne, bo ogrom-

na ilość ludzi władała obu językami, włączając również mnie. Po rosyjsku mówili jedynie popi, Moskale i rzeczywiście Rosjanie rozsiani tu i ówdzie. Mój Ojciec nie miał żadnych zahamowań w posługiwaniu się białoruskim, natomiast używał rosyjskiego tylko tam, gdzie było to konieczne.

Dziś to wygląda zupełnie inaczej. Zasadnicza zmiana polega na tym, że po białorusku właściwie nie mówi nikt, a ogromna większość mieszkańców posługuje się rosyjskim z drobnymi pozostałościami białoruskiego. Znalazłszy się tam rozmawiałem po polsku jedynie z księżmi, klerykami, zakonnikami, z gospodynią księdza, z prezeską komitetu parafialnego, no i z Gienią. Poza tym cały czas po rosyjsku. Białoruski słyszałem jedynie przed wyjazdem w londyńskim konsulacie, kiedy załatwiałem wizy dla Hani i dla siebie.

Do takich zmian przyczyniło się chyba w pierwszym rzędzie to, że za czasów sowieckich w szkołach uczono jedynie po rosyjsku. A poza tym, oficjalny język białoruski pochodzący z Mińska jest często nienaturalny.

Sądzę, że ożywienie języka białoruskiego będzie poważnie utrudnione, bo rusyfikacja języka codziennego ogromnej ilości ludzi posunęła się już zbyt daleko.

Majątek Mosarz przed wojną należał do dalekich krewnych Marszałka — Piłsudskich, a dwaj synowie sołtysa wsi o tej samej nazwie leżą na polskich cmentarzach we Włoszech, będąc porucznikami. Proboszczem tam jest ks. Bulko, którego poznałem dwa lata temu. Dobry gospodarz i już szczęściu kleryków wysłał do seminarium w Grodnie. Uprzednio coś wspominał o tym, że księża przybyli z Polski niepotrzebnie zbyt akcentują polskość. Widocznie sytuacja zmieniła się, bo teraz wspomina, że z Polski nadchodzą tendencje do szerzenia białoruskiego w kościele katolickim, co uważa za błędne podejście, bo trzeba podtrzymywać polskie tradycje dawno tu zakorzenione. Ks. Bulki nie można podejrzewać o polski szowinizm. Nie wiem co miał na myśli mówiąc o tendencjach białoruskich w kościele, może grodzieńskie seminarium? Zarówno w Mosarzu jak i w Duniłowiczach spotkałem kilku kleryków, mówiących poprawną polszczyzną, ale nie udało mi się dowiedzieć, co sądzą o tamtejszych problemach językowych i narodowościowych, a szkoda, bo od tych kleryków będzie zależeć, na jakich tradycjach oprze się kościół na Białorusi.

Dwa lata temu z trudnością znaleźliśmy pod Udziałem (parafię tę prowadzi również ks. Bulko) cmentarz, na którym leżą Dziadkowie ze strony Mamy — Huszczowie, a po znalezieniu cmentarza z trudnością znaleźliśmy ich groby zarosnięte wysoką trawą. Dziś jedziemy dwoma samochodami, ksiądz z *priedsiedatielką* kołchozu Jeleną z przodu, my za nimi. Oczom nie wierzę. Cmentarz cały wysprzątnany, trawa wycięta, a groby Dziadków (ich syn był tu znanym lekarzem) posypane żółtym piaskiem. Potem dowiaduję się, że 60 robotników z kołchozu Jeleny pracowało tu dwa dni. Ksiądz odmawia modlitwy (tu o wiele dłuższe niż na Zachodzie). Jelena mówi pacierze bezbłędnie po polsku. Tego dnia jemy obiad u księdza, a następnego podejmuje nas Jelena obiadem w reprezentacyjnej sali najlepszej restauracji w Głębokim.

Pani Jelena skończyła trzy wydziały — agronomię, ekonomiczną i politykę, do partii należała od dawna, od 15 lat jest przewodniczącą dużego kołchozu. Ma służbowy samochód i szofera. Czasem prowadzi sama. Jest elegancka, postawna i ma żywy, bystry umysł, reaguje szybko. Pytam skąd wzięła się jej religijność. Mówi, że na wszystkich kursach mówili, że nie ma Boga, ale nie przytaczali żadnych dowodów. Zaczęła poszukiwać na własną rękę, natrafiła na Biblię... i skutek był taki, że przeszło 20 lat temu powiozła córkę chrzczyć do Warszawy. Jak bywa w Polsce, to mówi po polsku, a tu woli rosyjski, widocznie wstydzi się swych błędów w polskim.

W tutejszych stosunkach orientuje się bardzo dobrze, ale nie widzi jak można przejść na prywatne rolnictwo i sądzi, że kołchozy pozostaną jeszcze długo, chociaż zdaje sobie sprawę z ich podstawowej wady, że są one własnością niczyją.

Gdy w Londynie opowiadam o p. Jelenie, nieodmiennie pada to samo pytanie:

— A czy ona jest Polką, czy Białorusinką?

Polacy stali się jednak strasznymi nacjonalistami, każdego chcieliby wsadzić do szufladki, z tym że nasza szufladka jest dobra, a wszystkie inne co najmniej podejrzane, i nie rozumieją, że na tamtych terenach pytanie takie nie ma sensu, nie rozumieją, że można żyć naraz w dwóch światach i w dwóch kulturach.

Odjeżdżam razem z Młodymi. W Wilnie Hania odlatuje do Wiednia, a Marysia i Bartek odjeżdżają autobusem do Białegostoku. Przez trzy dni zostaję w Wilnie sam. Spotykam paru znajomych, chodzę po moich ulicach jeszcze raz, piję co parę godzin piwo, bo jest straszny upał, i rozmyślam.

Sytuacja ekonomiczna w Polsce z jednej strony, a na Litwie i Białorusi z drugiej różni się w pierwszym rzędzie tym, że w Polsce, dzięki Gomulce, było prywatne rolnictwo i w związku z tym przetrwała tradycja wykazywania inicjatywy i brania odpowiedzialności. A na Litwie i Białorusi tego nie było. Litwa próbuje powrócić do prywatnego rolnictwa, ale jak dotychczas z niewielkim skutkiem, a Białoruś nawet nie ma odwagi spróbować. A druga różnica to „bazaryzm”, który w Polsce powstał z miejsca i bardzo ożywił sytuację. A niestety nie ma go ani na Litwie, ani na Białorusi. Jest jedynie handel produktami z jednego hektara, który istniał już za czasów sowieckich.

Londyn, 29 sierpnia 1994 r.

Z.S. SIEMASZKO

P.S.

Od czasu odejścia z Duniłowicz ks. Krzysztofa tamtejszy cmentarz żołnierzy polskich poległych w walce z bolszewikami (głównie z 36 Pułku Piechoty Legii Akademickiej, którym dowodził płk dypl. Juliusz Ulrych, późniejszy minister) pozostaje w zaniedbaniu. Może przebywający na Zachodzie synowie Juliusza Ulrycha i Alberta Nawrockiego, których nazwiska występują na uratowanej podstawie tamtejszego pomnika, mieliby ochotę zainteresować się tym cmentarzem.

Notatki węgierskie

W połowie lutego br. otrzymałem niespodziewanie list z Węgier, w którym dyrektor wydawnictwa *Jelenkor* (czyli „Współczesność”) informował mnie, że chciałby wydać wybór esejów Stanisława Vincenza i prosił mnie, o odstąpienie praw autorskich do całej spuścizny pisarza na lat 10. Przyznam, że zaimponowała mi taka „amerykańska” prężność i dalekosiężne

plany wydawnictwa. Już w czerwcu wybór esejów się ukazał i w jednej z głównych księgarni Budapesztu odbyła się „promocja” książki, na którą i mnie zaproszono. Niestety nie mógł być na niej wydawca, który nagle zachorował. Ale przy tej okazji obiecałem, że przyjadę w październiku do Debreczyna na konferencję polonistyczną.

Przyjaciół mój, Csaba G. Kiss, polonista, historyk literatury i kultury, który przyczynił się do zaznajomienia Węgrów z twórczością Stanisława Vincenza, zaproponował, bym przyjechał wcześniej i spotkał się ze studentami, a potem pojedziemy na konferencję do Miskolca (Miskolc i Debreczyn to największe miasta Węgier po Budapeszcie).

Przyleciałem więc do Budapesztu 17 października, a następnego dnia pojechaliśmy z Kissesem na uniwersytet. Dyrektorem instytutu polonistyki jest Polak, językoznawca, prof. Janusz Bańcerowski. W spotkaniu brali udział studenci pierwszego roku, prawie wszyscy mówiący płynnie po polsku. Okazało się, że pochodzą z mieszanych rodzin (inaczej jest w Debreczynie, choć i tam zaskakująco wielu studentów świetnie włada polszczyzną) i że w Budapeszcie istnieje dość spora Polonia, a nawet kościół polski. Głównym tematem rozmowy była twórczość Stanisława Vincenza, choć pytano mnie także czym się sam zajmuję.

Następnego dnia wybraliśmy się z Kissesem do Miskolca pociągiem Inter-City (miejscówki można zamówić telefonicznie i odebrać na dworcu przed wyjazdem). Konferencję urządzał nowo powstały uniwersytet, dotychczas politechnika, uczestnikami byli przeważnie politolodzy i historycy. Tłem politycznym była sytuacja mniejszości węgierskiej w Słowacji, gdzie neokomunistyczny rząd Mecziara robi co może dla zaognienia stosunków. Mniejszość ta, która w 15-milionowej Czechosłowacji była procentowo nieliczna, stała się poważnym problemem dla 5-milionowej republiki słowackiej, zwłaszcza że zamieszkuje zwartą masą obszary nadgraniczne. Znalazła się ona w Czechosłowacji w r. 1920 w wyniku traktatu w Trianon, w którym alianci oddali lekką ręką rozległe obszary zamieszkałe przez miliony Węgrów przede wszystkim Rumunii, a także Jugosławii i Czechosłowacji tworząc w ten sposób ogniska zapalne, w przypadku Rumunii nie ustępujące bynajmniej Górnemu Karabachowi czy Bośni. Jedyną nadzieją — tak się przynajmniej postronnemu obserwatorowi wydaje — jest zdumiewająco wprost pojednawcze nastawienie do tej sprawy na Węgrzech. Czy jednak tak samo myślą o tym Węgrzy w Słowacji, a tym bardziej w Siedmiogrodzie?

Węgrzy i Słowacy mają tysiącletnią wspólną historię w ramach korony św. Stefana, o czym chętnie pamiętają Węgrzy, mniej chętnie Słowacy. Do stereotypów słowackich należy, że Słowacja jest najstarszym państwem słowiańskim („Wielka” Morawa św. Cyryla i Metodego w IX w.), zniszczonym przez najazd dzikich koczowników węgierskich. Słowacy byli więc od IX wieku Europejczykami, a Węgrzy najeźdźcami z Azji. Węgrzy uważają się oczywiście sami za Europejczyków (ostatecznie są w Europie od IX wieku) i za demokratów. Jeden z referatów omawiał badania opinii publicznej, przeprowadzone wśród mniejszości węgierskiej na Słowacji. Okazało się, że wszyscy są za Europą i demokracją. Referent nie sprecyzował wprawdzie co te pojęcia oznaczały dla uczestników ankiety, między wierszami można było jednak usłyszeć, że Słowacy nie są równie dobrymi Europejczykami i demokratami. Innym stereotypem słowackim jest, że Węgrzy zawsze nienawidzili i uciskali Słowaków, a Słowacy zawsze bronili się i nienawidzili Węgrów. Nie jest to najlepszy punkt wyjściowy dla porozumienia. Toteż poczynając od pierwszego referatu, którym rozpoczęła się konferencja, uczestnicy słowacy poddali żywej i inteligentnej krytyce panujące w ich kraju hurrapatriotyczne stereotypy. Właściwym problemem jest, że królestwo węgierskie ma rzeczywiście tysiącletnią historię, królów, arystokrację, tradycję literacką, że więc Węgrzy są — mówiąc językiem XIX wieku — narodem historycznym, a Słowacy narodem „młodym” (nieco podobnie kształtowały się sprawy między Polakami a Ukraincami). Ale o ile do roku 1945 większość wykształconych Słowaków znała język, kulturę i literaturę węgierską, to dziś są to wyjątki. Stąd dalsze trudności porozumienia.

Na zakończenie odbyła się dyskusja, w której wzięli udział wszyscy referenci i kilku zaproszonych gości. Przysłuchując się miałem wrażenie, że różnice zdań uwarunkowane były bardziej przez poglądy polityczne niż przez pochodzenie narodowe. Byłby to więc dobry znak, ale na konferencję przyjechali oczywiście tylko tacy Słowacy, którzy gotowi byli z Węgrami rozmawiać.

Podkreślić warto znakomitą organizację konferencji: odbyła się w starej uroczej części miasta, w salach XVIII-wiecznego pałacyku, dziś siedziby uniwersytetu, wszystkie teksty przekładane były symultanicznie, każdy uczestnik miał do dyspozycji słuchawkę (bez kabla). Po dyskusji Słowacy mieli zaraz wyjechać, ale okazało się, że był jeszcze czas na wspólną kolację i na dalsze dyskusje i rozmowy. Tu między

innymi usłyszałem — i to od trzech różnych wiekiem rozmówców osobno — ubolewanie, że Polacy zupełnie się przestali interesować Słowacją. Jak dalece odpowiada to rzeczywistości, nie wiem.

Po przenocowaniu w niewielkim hotelu, którego nie powstydziliby się Szwajcaria, wróciliśmy — znowu pociągiem Inter-City — do Budapesztu. Konferencja była pocieszającym przykładem, jak można prowadzić sąsiedzkie dyskusje w sposób kulturalny i przyjazny nie unikając drażliwych tematów.

Dwa dni później był 23 października, rocznica wybuchu powstania węgierskiego roku 1956. Csaba Kiss zabrał mnie po południu na oficjalną uroczystość obchodu rocznicy na placu przed parlamentem. Stała tam ogromna estrada, na której produkowali się tancerze, śpiewano pieśni, recytowano wiersze. Widzów było stosunkowo niewiele, młodych jeszcze mniej, sporo natomiast policjantów. Jak mi powiedziano, w spektaklu unikano starannie wszelkich aluzji politycznych. Dla równowagi udaliśmy się na konkurencyjną imprezę na plac przed zamkiem królewskim w Budzie. Odbyła się tam, jako że burmistrz tej dzielnicy należy do opozycji. I rzeczywiście od razu na pierwszym planie był wielki ekran, a na nim twarz młodego chłopca skazanego na śmierć za udział w powstaniu, gdy miał lat 16: wyrok wykonano — aby było praworządnie i humanitarnie — dopiero gdy skończył osiemnasty rok życia. Atmosfera była tu całkiem inna. W międzyczasie zapadł zmrok, który rozjaśniały liczne pochodnie trzymane przez młodych ludzi. Csaba Kiss (który był w swoim czasie czynnym działaczem Węgierskiego Forum) spotkał tu szereg młodszych i starszych przyjaciół. Pierwszy przemawiał burmistrz recytując m.in. poezje Gyuli Illyesa (autora książki o przyjaźni gen. Bema z poetą Petőfim), następnie wystąpił dziennikarz skazany na śmierć w r. 1956, po czym śpiewak ludowy odśpiewał balladę poświęconą Kosuthowi, bohaterowi rewolucji 1848 r. (różnica między Węgrami a Polską: zupełnie inny stosunek do tradycji pieśni ludowej, która tam jest pieśnią narodową i niepodległościową). Ostatni mówca lapidarnie sformułował różnice między rządem a opozycją: jedni Węgrzy obchodzą dzień 23 października, drudzy — 4 listopada (datę ponownego wejścia wojsk sowieckich).

Dzień później pojechałem do Debreczyna (znowu pociągiem Inter-City, zatrzymał się po drodze tylko na jednej stacji). Konferencja miała tytuł „Węgrzy, Polacy i ich sąsiedzi”, zorganizowano ją z okazji dziesięciolecia istnienia katedry

polonistyki, którą kieruje obecnie prof. István Molnár. Z problemów polsko-węgierskich poruszono na przykład takie, jak polscy pisarze na Węgrzech w czasie drugiej wojny światowej, polscy pisarze a mniejszości narodowe na Węgrzech, „Dziennik węgierski 1956” Wiktora Woroszyńskiego, współpraca opozycji demokratycznej polskiej i węgierskiej w latach 1970-tych i 1980-tych. O sąsiadach była mowa w referatach o formowaniu się inteligencji ukraińskiej w monarchii austro-węgierskiej, o elementach barokowych w sztuce kościelnej Serbów i Rumunów na Węgrzech (niezmiernie ciekawą ilustracją tego tematu jest prawosławne muzeum diecezjalne w miasteczku Szentendre pod Budapesztem, a paralelę osiemnastowieczna sztuka cerkiewna białoruska i ukraińska) czy o chorwackim eposie „Osman” Gundulicia. Było więc dosyć ciekawych tematów, ale ponieważ z braku czasu nie było dyskusji, więc ograniczały się one do monologu autora.

Na zakończenie wróciłem do Budapesztu, by wziąć udział w odczycie Władysława Bartoszewskiego o powstaniu warszawskim w pięćdziesiątą jego rocznicę. Wykład odbył się w głównym ratuszu miasta, Bartoszewskiego wprowadzał znany pisarz György Konrád. Publiczność składała się głównie z intelektualistów. Bartoszewski mówił zamiast 45 minut bite półtorej godziny. Nie widziałem jednak, by kto patrzył na zegarek. Mówił z taką bezpośredniością (po polsku!), chwilami z humorem i ironią, z taką pasją, że sala była zafascynowana. Zaczął zresztą od powstania w getcie (słusznie, bo o nim też na Węgrzech niewiele wiedzają). A skończył znakomitą nawiązaniem do powstania węgierskiego 1956 r. podkreślając, że Polacy nauczyli się już w r. 1944, że Zachód nam nie pomoże, a Węgrzy dopiero dwanaście lat później. Na tle rocznicy węgierskiego października, na tle Sarajewa i Bośni słowa te zabrzmiały szczególnie aktualnie.

Z tych różnorodnych wrażeń, do których można dodać dobre i czyste restauracje (także te najskromniejsze), dobrą komunikację miejską, a zwłaszcza fantastyczny minibus, którym można z lotniska w Budapeszcie dojechać na każdy adres za cenę kilkakrotnie niższą niż taksówką (czysta Ameryka!) i który przyjeżdża też po pasażerów, najpozytywniej bym ocenił kontakty ludzkie. Nie wyobrażałem sobie, że tyłu Węgrów, nawet nie znających polskiego, wie, że „Polak, Węgier dwa bratanki” i że Polska coś dla nich znaczy. W ostatniej chwili zdążyłem się jeszcze spotkać (zanim przyjechał minibus z lotniska) z wydawcą *Jelenkoru*, panem Csordasem. Okazało się, że jest to młody człowiek z bujną czarną

brodą, mówiący świetnie po polsku, pełen rozmachu i optymizmu. Od razu zaczął mnie namawiać, by wydać po węgiersku „Na wysokiej połoninie”. Więc znowu Ameryka! Sądziłem jednak, że przekład tego dzieła na węgierski musiałby potrwać dłużej. Umówiliśmy się więc, że zacznie od „Dialogów z Sowietami”. Rozstaliśmy się jak starzy znajomi.

Andrzej VINCENZ

W A W E L

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kronika kulturalna

Z dzienników Marii Dąbrowskiej, 1945-46

(NIEZNANE ZAPISY)

W początkach bieżącego roku staraniem „Czytelnika” ma ukazać się rozszerzone wydanie powojennych dzienników Marii Dąbrowskiej w czterech tomach. W stosunku do wydania pierwszego, które z takim trudem ukazało się po szesnastu latach zabiegów w roku 1988, przyniesie ono około sześciuset stron nieznanymi tekstów i wiele ciekawych ilustracji. Nie będzie to jeszcze pełne wydanie dzienników Dąbrowskiej, które — zgodnie z wolą pisarki — ukazać się będzie mogło dopiero w roku 2005.

Tadeusz DREWNOWSKI

Dąbrowa Zduńska¹ 18 I 1945. Czwartek.

Rano rozeszła się wiadomość o zajęciu Warszawy, Łodzi, Częstochowy, Sieradza. Po południu dwa pociski granatów zapalających (prawdopodobnie niemieckie) zapaliły dwie chaty przy szosie za Zdunami. Przez pół godziny słychać było strzelaninę, potem wszystko ucichło. Około piątej sześć

1. Po powstaniu warszawskim, od 21 X 1944 Maria Dąbrowska ze swym współtowarzyszem życia Stanisławem Stempowskim (i przez pewien czas z Anną Kowalską) zamieszkali w szkole rolniczej w Dąbrowie Zduńskiej koło Łowicza, prowadzonej przez Lucyllę i Kazimierza Wyszomirskich.

czołgów sowieckich przejechało około bramy szkoły, kierując się okólną drogą ku szosie. Od szóstej jednym ciągiem zaczęły już iść po szosie czołgi sowieckie. (...)

Pomyśleć — dziś rano jeszcze byli tu Niemcy, a wieczorem jesteśmy już pod okupacją bolszewików.

27 II 1945. Sobota

To co teraz zrobiono z Polską przechodzi wszystko, co znane jest w dziejach jako cynizm i narzucenie narodowi obcej woli przemocą. I pomyśleć, że ten nieszczęsny naród po pięciu latach tak straszliwych ofiar, tak niezłomnej walki i pracy podziemnej przeciw Niemcom nie ma nawet tej satysfakcji, żeby historię tej cudownej walki, pracy, ofiar, ujawnić i laurem uwieńczyć. Bo tę naszą krew i walkę opluto, zbezczeszczone, przekreślono. Zaistniał cudowny fakt skupienia się całego narodu pod rządem londyńskim. Znaliśmy jego wady, wiedzieliśmy, że jest tymczasowy i że jak tylko wstąpi na ziemię polskie — ustąpi przed tym, jaki naród wybierze. Lecz pod jakimż rządem mieliśmy się skupić w 1939 i 1940, kiedy Rosja wszak była w sojuszu z Niemcami, a my już krwawiliśmy się obficie. Jak śmiano, jak poważono się tak śmiertelną obrazę rzucić w twarz narodowi, aby chwałę tej walki zdeptać, aby cierpienia nasze straszne za nic mieć i jeszcze nam grozić. I pomyśleć, że to wszystko odbywa się przy takiej samej obojętności świata jak rozbiory w końcu XVIII wieku.

Wiadomości nie mamy żadnych, tylko pogłoski różne trudne do sprawdzenia, ile że nie ma elektryczności ani radia. Boże, pomyśleć, że przez pięć lat mieliśmy tak wspaniały codzienny serwis radiowy! O, groby miliona bohaterów którzy zginęli, groby nieuczczone, sponiewierane...

1 IV 1945. Wielkanocna niedziela

Po dwu przeszło miesiącach nieopowiedzianej tortury podejmuję dziennik na nowo. Anna² zrobiła mi piekielny kawał, obeszła się ze mną gorzej niż z psem. Dotychczas nie dała znaku życia. Jak przeżyłam ten czas w męce tęsknoty i

2. Anna Kowalska, z d. Chrzanowska (1903-1969), pisarka; od 1939 przyjaciółka M. Dąbrowskiej. Studiowała filologię klasyczną, a następnie ukończyła filologię romańską na Uniwersytecie Lwowskim. W 1926 wyszła za mąż za Jerzego Kowalskiego, profesora filologii klasycznej. Z

wyczekiwania bezustannego — trudno opisać. W zeszłym tygodniu będąc w Łodzi dowiedziałam się od przypadkowo spotkanych ludzi — wiceministra kultury i sztuki i Miry Zimińskiej³, że w ciągu lutego i marca przebywała w Lublinie. Nie, nie opisuję tego co przeżyłam w związku z tą wiadomością — to przechodzi ludzkie wyobrażenie. Takie uczucie krzywdy, zdrady, brutalności niesłychanej. Ona która pisała rok temu: „obeszłabym kulę ziemską, żeby ci przynieść szklankę wody” — dziś nie zatroskała się nawet, co się z nami dzieje, nie uczuła potrzeby porozumienia się naszego co do rozpoczęcia nowego życia. (...)

1VI 1945. Piątek.

O 1-szej wychodzę po sprawunki do miasta. Mam jeszcze 9780 zł. Hance dałam „Odrodzenie” dla Stacha, bo mają dziś jechać do Dąbrowy.

Przyszedł chłopiec z listem ze „Społem”, zapraszającym mnie do przyścia w sprawie omówienia pomocy dla mnie. O 4 po południu przyszedł Zaremba⁴ i omówił pobieżnie sprawę

mężem odbyła wiele podróży badawczych, razem z nim debiutowała w 1931 powieścią *Catalina*. 1936-37 należała do zespołu *Sygnatów*, wzięła udział w Zjeździe Pracowników Kultury. Pierwsze lata okupacji spędziła we Lwowie, w 1943 przeniosła się do Warszawy, gdzie zaprzyjaźniła się blisko z M. Dąbrowską (pознаła ją we Lwowie w 1939, zbliżyła się z nią w 1939-40). W 1945 osiadła wraz z mężem we Wrocławiu, organizowała tamtejsze życie kulturalne, współredagowała *Zeszyty Wrocławskie*. Po śmierci męża, w 1954 zamieszkała z córką razem z M. Dąbrowską w Warszawie. Wydała m.in.: (współ z mężem) *Złotą Kulę*, 1933, *Gruce*, 1936, *Gąszcz*, 1964; (samodzielnie) *Opowiadania greckie*, 1949, *Uliczkę klasztorną*, 1949, *Wielką próbę*, 1951, *Na rogatce*, 1953, *Wójta woliborskiego*, 1954, *Astreę*, 1956, *Safonę*, 1959, *Kandelabr efeski*, 1960, *Bejdułę i paradnice*, 1961, *Figle pamięci*, 1963, *Szczelinę*, 1967.

3. Mira Zimińska-Sygietyńska (ur. 1901), aktorka, reżyserka, pedagog. Od 1919 aktorka teatrów i kabaretów warszawskich, aktorka filmowa. Podczas okupacji uczestniczka ruchu oporu, więziona na Pawiaku. W 1948 wraz z mężem, T. Sygietyńskim, zorganizowała zespół „Mazowsze”. Od czasu wspólnego pobytu w Jaworzu w 1932 M. Dąbrowską i M. Zimińską łączyła przyjazna znajomość.

4. Józef M. Zaremba (1900-1988), pedagog i wydawca. W latach 1925-35 był nauczycielem. Od 1935 związał się z wydawnictwem Gebethnera i Wolffa; wieloletni działacz Towarzystwa Przyjaciół Książki, od 1938 wiceprezes. Podczas okupacji działał w konspiracji jako dyrektor połączonego z Ossolineum Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych ze Lwowa, przygotowującego produkcję powojenną.

umowy ze mną o wznowienie „Nocy i dni”. Był trzeźwy, a więc śmiertelnie smutny i nierealny w omawianiu spraw konkretnych i realnych. Powiedział: „Jest coraz trudniej. Nie wiem jak się z tych trudności wywikłam. Zdaje się, że chcą nas «upolitycznić» a pisarzy «przeszkolić ideowo»”. Potem dodał: „Mamy już właściwie regularną wojnę domową”. Mówiłam mu o błędach popełnianych przez sfery rządowe i zrażających naród. Jak można opluwając i depreczując powstanie warszawskie jednocześnie oblepić całą Warszawę plakatami „Cześć powstańcom w getcie”. Ciągłe lżenie sanacji przypomina gazety okupacji niemieckiej, które też nic innego nie robiły, tylko lżyły sanację, a właściwie pod tym pozorem lżyły dwudziestolecie naszej niepodległości. Nie znajdować w naszym okresie niepodległości nic dobrego, tylko lżyć te lata jest ciężką obrazą narodu i jego samoistnej wartości. Pisanie ciągle o reakcji jest znacznym zakłamaniem. Reakcja jest w obozie rządzącym. To *Rzeczpospolita* urzędująca wywiady z marszałkiem Trąpczyńskim. To hr. Szeptycki⁵ staje na czele Czerwonego Krzyża. To Olo Bocheński (klasyczny feudał) głosi jak najściślejszą współpracę z Rosją. To zdrajca i oczajdusza Hetman Branicki⁶ chroniony jest przez obecny reżim i usuwany z „odkłamane go” „Wesela”, bo został tam przedstawiony w niekorzystnym świetle. Krytycznie i buntowniczo do obecnego stanu rzeczy jest nastawiona nie reakcyjna, ale cała demokratyczna Polska, która najbardziej cierpi.

Po wyzwoleniu dyrektor wydawniczy „Czytelnika”; następnie redaktor naczelny PIW i Wiedzy Powszechnej, dyrektor CUW. W 1926 ożenił się ze znaną pisarką Ewą Szelburg. Wydał wspomnienia *Było i tak...* 1976.

5. Stanisław Maria Szeptycki (1867-1946), generał; oficer armii austriackiej; podczas I wojny światowej dowódca III Brygady Legionów Polskich, następnie (1916-17) całości Legionów. W 1917-18 generalny gubernator lubelski, po brzeskim traktacie pokojowym podał się do dymisji na znak protestu przeciw oddaniu Ukrainie Chełmszczyzny. W l. 1918-26 kolejno: szef sztabu generalnego, w wojnie 1920 dowódca I i 4 armii oraz Frontu Litewsko-Białoruskiego, minister spraw wojskowych, inspektor armii. Po II wojnie światowej prezes PCK.

6. Widmo Hetmana Branickiego, symbol magnackiej zdrady i sprzedawczykostwa, istotnie zniknął (podobnie jak rola Nosa) z inscenizacji *Wesela* w Teatrze Wojska Polskiego pod dyr. Wł. Krasnowieckiego w reż. J. Woszczerowicza (premiera w listopadzie 1944 w Lublinie, grane w wielu miastach). Inne inscenizacje *Wesela* z 1945, we Lwowie i Katowicach, nie pomijały widma Hetmana.

23 VI 1945. Sobota.

Ja we czwartek 21 wyjechałam z p. Wyszomirskim autem starostwa do Dąbrowy. (...) Wczoraj prawie cały dzień leżałam zmęczona, przygnębiona i smutna. Myślę o Annie. Znow nic nie widzę przed sobą...

Wieczorem zaproszeni zostaliśmy na kolację do Wyszomirskich. Świątowano udanie się zdobycia pożyczki i zamiany pieniędzy⁷ dla gimnazjum. Była nawet wódka — podobno przywieziona przez gości, którymi byli Dużniak, dyrektor Banku Narodowego, miły Lutyk i jakiś podporucznik z oflagu z antypatyczną żoną (wysoką figurą w spółdzielczości). Wszyscy prócz Lutyka entuzjaści Rosji i reżimu — ludzie Rosji duchowo przynajmniej. Drażniące wywody — mimo udawanego humoru. Ci ludzie nie czują policzka wymierzonego znow narodowi jakim jest proces szesnastu, związany w dodatku złośliwie z konferencją polską w Moskwie, ani jakim jest tworzenie „rządu Jedności Narodowej” poza granicami Polski. Jakże to przypomina czasy wywiezienia Sołtyka, gwarancji Katarzyny, Targowicy.

15 VII 1945. Sobota.

Wczoraj miałam bardzo dziwne i trochę niesamowite zdarzenie. O 8-ej wieczór przyszła nagle do mnie... Szemplińska⁸. Straszliwie zmieszana, jąkająca się ze zmieszania usiło-

7. Ograniczona zamiana okupacyjnych „młynarek” na nowe złote, emitowane wyłącznie przez Narodowy Bank Polski.

8. Elżbieta Szemplińska-Sobolewska (1910-1991), prozaiczka i poetka, związana przed wojną z ruchem rewolucyjnym. Debiutowała w 1926 w *Robotniku*. Po uzyskaniu przez Dąbrowską nagrody państwowej przeprowadziła z nią wywiad dla *Wiadomości Literackich*: 1933, nr 5, a w 1936 z Wasilewską i Wolimą odwiedziła ją, by podpisała protest przeciw uwięzieniu tramwajarzy krakowskich, czego Dąbrowska odmówiła (swoje racje wyłożyła w artykule *Próba wyjaśnienia w Obliczu dnia* 1936, nr 7). Zwłaszcza jej zachowanie w zajętych przez Rosjan Lwowie było jaskrawo antypolskie. Wspomniany „przełom” Szemplińskiej nastąpił pod wpływem lat wojny, spędzonych w ZSSR. W latach 1946-1962 przebywała na Zachodzie początkowo jako żona dyplomaty (zajmując się pracą literacką i malarstwem), po czym powróciła do kraju. Wydała m.in. powieści: *Narodziny człowieka*, 1932, *Łańcuch* 1941, *Warszawa w ogniu*, 1946; wybór opowiadań *Powrót z daleka*, 1963; wiersze zebrane *Krzyż Warszawy*, 1946.

wała mi się spowiadać z przełomu, jaki się w niej w ciągu tych sześciu lat dokonał. Milczałam — ona mówiła... Nie wiem jeszcze, co ta wizyta ma za znaczenie. Musiałam wypić dużą dozę mikstury Stacha, żeby spać po niej.

Dziś pierwszy cudownie piękny zimny dzień. (...)

18 VIII 1945. Sobota

Dziś mieliśmy dwa silne przeżycia. Jedno to pierwsze dwie autentyczne karty od Bogusia do mnie i do Luci (adres jego: L/Col. B. Szumski⁹ P/8 Polish Forces, Edinburgh, Great Britain). Druga (sic) to rezultaty „ostatecznej” umowy moskiewskiej. Lwów przepadł ostatecznie. Umowy reparacyjne pogrążają nas w zupełną zależność ekonomiczną od Rosji. O ile nie zajdą jakieś wielkie wydarzenia i przeobrażenia duchowe ludzkości — pogrążymy się w nowy okres rosnącej (jak po 1815 r.) niewoli. Smutek tego wszystkiego jest tak żrący i dojmujący, że coraz częściej żyć się nie chce.

Mój pierwszy akt¹⁰ bardzo podobał się Stachowi i, o dziwo, Annie.

9 X 1945. Wtorek.

Przyszedł niesłuchanie wruszający list od Bogusia. 26 września, przypadkowo nastawiwszy radio na Warszawę, wysłuchał mojego odczytu o „Stanisławie i Bogumile”. Któż mógłby coś podobnego przypuszczać.

Dzień w ogóle, jak mówi Anna — niebanalny. O 12 przyszła Szemplińska, czytała mi swoje wiersze „rehabilitacyjne”, pisane w Rosji. Bardzo piękne. O wiele piękniejsze niż wszystkie wiersze, jakie czytałam od stycznia. Uwierzyłam w jej nawrócenie na Polskę.

9. Bogumił Józef Szumski (1896-1957), wojskowy, najmłodszy brat M. Dąbrowskiej. Walczył w Legionach. Jego raptularzyk żołnierski wykorzystwała Dąbrowska w *Przygodach człowieka myślącego*. W okresie międzywojennym zawodowy oficer kawalerii (zdobył rozgłos jako zwycięzca w zawodach hippicznych). Podczas II wojny światowej w Polskich Siłach Zbrojnych w W. Brytanii, gdzie jako podpułkownik dowodził pułkiem kawalerii zmotoryzowanej w dywizji gen. Maczka. Odznaczony m.in. Krzyżem Virtuti Militari.

10. Pierwszy akt pisanej wówczas sztuki pt. *Stanisław i Bogumił*, 1947.

11 X 1945. Czwartek.

Anna dostała 10.000 [zł.] z kwaterunku na sprowadzenie swych rzeczy ze Lwowa. Kupiła nam kwiatów i ciastek. Biedna, robi nam podarunki, z których nie może korzystać, bo od jakiegoś czasu fatalnie czuje się na wątrobę.

1 XI 1945. Czwartek. Wszystkich Świętych.

Frania opowiadając dziś o swym utraconym łóżku ze sprężynami rzekła: „I co się stało z tym biedactwem?” O łóżku. Anna czymś niezwykle zdenerwowana.

2 XI 1945. Piątek.

Rano z Anną i Jurkiem pojechaliśmy na Powązki. Jest tablica Jadzi¹¹. Położyliśmy wianek i zapaliliśmy świeczki. Pojechaliśmy ciężarówką spod „Polonii” (20 zł. od osoby), a wracaliśmy piechotą, wstąpiwszy po drodze na piwo do restauracyjki na rogu Wolskiej, która nam się dziwnie podoba (wracając z pogrzebu Jadzi, piłyśmy tam herbatę). (...) Kiedyś rano przechodzili koło poczty zobaczyliśmy nowy wielki murowany napis na urzędzie pocztowym przy Nowogrodzkiej i nowego czy odnowionego orła... z koroną. Zastanawialiśmy się na skutek czego zostawiono czy zrobiono tę koronę — i czy to pomyłka. Jurek powiedział na to: „wesola pomyłka”. W powrotnej drodze spotkałam p. Iwańskiego, p. Peszyńską i Bieńkiewiczównę, którzy wracali od nas. W czasie obiadu przyszli Wyrzykowie i Czesia. W sumie było u nas dzisiaj 14 osób interesantów i gości (w tym i p. Korzonowa z Andrzejem i listem od Eli). Śród gości był też Wolfke¹² ze swoją nową żoną. Przyniósł przerażającą broszurę o bombie atomowej. Jestem śmiertelnie znużona.

11. Jadwiga Szumska (1894-1944), najmłodsza siostra, nauczycielka-polonistka. Brała udział jako łączniczka w powstaniu warszawskim; ciężko ranna, zmarła w szpitalu powstańczym.

12. Mieczysław Wolfke (1883-1947), profesor Politechniki Warszawskiej, fizyk światowej sławy. W l. 1931-38 Wielki Mistrz Łoży Narodowej Polski.

Radom. 11 XI 1945. Niedziela.

Straszliwa pogoda zimna, ciemna i mokra. Nad nie- szczęściem obecnej Polski słońce nawet nie chce się ukazywać i prawieśmy go przez ten rok nie widzieli. O 10 już idziemy z Krauzami^{13 14} do kina „Bałtyk” na mój poranek. Przed „występem” poznaję znaną recytatorkę, Kazimierę Rychterównę, która dała mi jakichś świetnych pastylek na gardło. Pojadłszy ich kilka przeczytałam cały dramat swoim dawnym całym i czystym głosem. Zdaje mi się, że i interpretacja była też dobra, a jednak mimo to mam wrażenie, że cały poranek był wyjątkowo nieudany. W sali panowało lodowate zimno, publiczność dygotała, kręciła się, kaszłała i kichała. Nadto, raczej potem miało być kino i już przez cały trzeci akt młodzież „kinowa” tupiała i niecierpliwiała się za drzwiami, tak że moje czytanie stało się prawie niedosłyszalne. Sala też nie była wcale pełna.

Resztę dnia spędzam po dobrym obiedzie u Krauzów, drzemię. Najgorsze to wrażenie, że z mego dramatu nic ale to nic w tym Radomiu nie rozumiano.

Warszawa. 26 XI 1945. Poniedziałek.

Na Pradze. Weronicz został dyrektorem departamentu literatury na miejsce Czachowskiego. Otrzymałam subwencję 10.000 zł. na kupno maszyny. Spotkałam prof. Wolfkego, który też przyszedł po jakieś pieniądze. Dziwna jest ta łatwość subwencjonowania, zakrawająca po prostu na chęć kupowania sobie elity duchowej. W powrotnej drodze z Pragi odbieram z naprawy mój stary zegarek (500 zł.).

27 XI 1945. Wtorek.

Był Miłosz. Piłam z nim wódkę. A raczej każde z nas piło na własną rękę. B. smutny. Ktoś zrobił na niego donos,

13. Maria Helena Kelles-Krauzowa z d. Nynkowska (1882-1969), działaczka samorządowa.

14. Stanisław Maciej Kelles-Krauz (1883-1965), dr medycyny, działacz socjalistyczny, publicysta. Pisywał książki popularne dla robotników pod nazwiskiem Kazimierzczak. Z czasów szkolnych kolega męża Dąbrowskiej, Mariana.

że pisuje pesymistyczne listy za granicę — wyjazd jego do Chicago odwołł się. Sprawę zażegnał, ale wydał wszystkie pieniądze. Jest bez grosza. Przyniósł do *Warszawy* (na którą jeszcze nie mamy koncesji) piękny wiersz „Naród”¹⁵. Muszę mu na to wytrzasnąć pieniądze.

Nie mogę zrozumieć czemu mi jest tak beznadziejnie smutno.

28 XI 1945. Środa.

Przepisuję „Rozmowę oniemiałych” dla *Nowej Polski*, którą obiecałam dać Miłoszowi. W trakcie tego — wielka niespodzianka. Z Ministerstwa Kultury i Sztuki przywożą wczesnym latem jeszcze zapłacony węgiel. I nawet więcej — zdaje się 850 kg.

30 XI 1945

Dziś „chodzą” po mieście słuchy, jakoby Stalin był umierający na anginę pectoris i na uremię. Także pogłoski o gromadzeniu jakoby wielkiej ilości sprzętu przez Anglosasów na linii demarkacyjnej w okupacji niemieckiej, i to sprzętu pomalowanego na biało. Nie przypisuję tym pogłoskom większego znaczenia niż tysiącom innych, co kursowały w ciągu ostatnich sześciu lat, nigdy się nie sprawdzając. Gdyby Stalin istotnie umarł, a na jego miejsce przyszedł Mołotow — mogłoby to mieć dla Polski dzisiejszej najopłakańsze skutki. Jeśli Stalin jako Gruzin mógł mieć jakieś resztki uznawania autonomii narodów — Mołotow jest tylko nacjonalistą i imperia- listą rosyjskim.

15 XII 1945. Sobota.

Nie wychodzę z domu. Stach wysłała mi list do Łodzi

15. Zamieszczony w pierwszym numerze *Warszawy*. W pierwodruku wiersz *Naród*, zawierający bardzo gorzkie passusy:

Władzę oddaje ludziom o oczach handlarzy złotem,

Pozwala wznosić się ludziom o sumieniach zarządców bordelu.

Najlepsi jego synowie pozostają nieznani,

Zjawiają się tylko raz jeden aby umrzeć na barykadach.

a nie drukowany w *Ocaleniu*, datowany był: Warszawa 1943; w późniejszych wydaniach: Kraków 1945.

do „Społem” Wczoraj wieczór była Strugowa. Dziś przyszedł list od Bogusia i rozpaczliwy list od Anny. Zapomniałam napisać, że w tych dniach otrzymaliśmy przez Michałowicza b. długi, wzruszający i zastanawiający list od p. Jerzego¹⁶. Piję wódkę i kawę i oddaję się myślom na przemian rozpaczliwym i natchnionym.

9 III 1946. Sobota.

Po południu odwiedził nas Parandowski¹⁷, który jest po raz pierwszy w zrujnowanej Warszawie i chodzi całymi dniami po ruinach. Od niego dowiedziałam się, że owe pieniądze przesłane przez Hulewicza, to honorarium z *Nowej Polski* Słonimskiego. A więc Miłosz był tyle niełojalny, że pomimo mojej prośby niedrukowania dał Słonimskiemu moją „Rozmowę oniemiałych”.

Myślę o Annie — dobrze, czule. Mam ochotę pójść jutro ze St. na „Cyrulika”. Ale jeśli mam chęć coś przeżywać, to żeby pisać o tym Annie.

14 III 1946. Czwartek.

Rano dziennik londyński wręcz alarmujący. Kiedy słuchać Londynu, a potem Warszawy (wzgl. Moskwy) to widać jasno, że to nie sojusznicy rozmawiają, ale śmiertelni wrogowie. Atmosfera jest bodaj cięższa niż w czasie Monachium. Ale, o Boże, jak nie chciałoby się przeżywać trzeciej wojny.

Około pierwszej wyszedłszy z domu zobaczyłam, że cała Polna obstawiona jest wojskiem. To Tito miał tędy przejeżdżać do Belwederu. O tej wizycie dowiedzieliśmy się z dziennika londyńskiego. Nasze gazety niczym tego nie zapowiadały. Widziałam ten przejazd. Minęło ze czterdzieści zamkniętych limuzyn.

26 V 1946. Niedziela.

Są u nas od miesiąca Anna i Bronisław Linke¹⁸, którzy

16. Jerzy Stempowski, pseud. Paweł Hostowiec (1894-1969), syn Stanisława, eseista, krytyk literacki.

17. Jan Parandowski (1895-1978), prozaik, eseista, tłumacz. Z wykształcenia filolog klasyczny i archeolog.

18. Bronisław Wojciech Linke (1906-1962), malarz, rysownik, rzeźbiarz. Anna Maria Linke z d. Zajdenman (1916-1990). Studiowała ASP w Warszawie u T. Pruszkowskiego. Debiutowała jako krytyk artystyczny w 1947 w *Odrodzeniu*. Tłumaczka literatury niemieckiej.

wrócili zza Uralu. Twierdzą, że są we mnie „po uszy zakochani”. Wrócili przerażeni i wyleczeni na zawsze z dawniejszych złudzeń.

Byliśmy na premierze „antyfaszystowskiej” sztuki „Papuga” jakiegoś Korcellego (podobno dziennikarzyna z Łodzi¹⁹). Sztuka tylko na skutek koniunktury mogła ukazać się na scenie, gdyż jest lichotą i szmirą kompletną. Autor w słowie wstępnym dołączonym do programu z megalomanią rzekomej „ofiary” zawiadamia, że sztuka nie mogła być grana przed wojną ze względów cenzuralnych. Kretyn i kłamca, byle tylko nadać swojej nicości wartość, zapomina, że przed wojną za „sanacyjnej” Polski grana była „Genewa” Bernarda Shaw, w której były żywe karykatury Hitlera i Mussoliniego. Że była grana antyfaszystowska „Rodzina” Słonimskiego. Sztuka zapewne nie była grana z powodu swej nędzoty.

Wrocław. 18 XI 1946.

Przeczytałyśmy z Anną książkę Boguszewskiej „Nigdy nie zapomnę”²⁰. Jest to pean na cześć Rosji, jakiemu podobnie entuzjastycznego (zadyszanego z nieprzyzwoitej miłości) nie napisał chyba żaden sowiecki pisarz najsuciej zapłacony przez Stalina. Gacie, koszule, swetry, suknie, które dostali jako podarunki Moskwy, są o wiele za małe za takie wyrzeczenie się Polski — powinni byli dostać przynajmniej dwie wille na Krymie i miliony rubli. Nie wiadomo co bardziej podziwiać w tej gorszącej książce: ślepotę, naiwność, bezwstyd, nieprzyzwoitość czy... dobry styl reportażu. Co kieruje tymi ludźmi, gdy piszą? Jak, skoro wyzbyli się wszelkiego czucia z narodem, nie boją się przynajmniej kompromitacji? Co kieruje nimi, gdy mówią — a mówią zupełnie inaczej?

W związku z tą książką miałam przykład tego *bon discernement*, które stało się po tej wojnie tak piękną właściwością ludu polskiego. Pelagia (chłopka z Kieleckiego), siedząc

19. Kazimierz Korcelli (1907-1987). W latach 1929-1939 korespondent łódzki dzienników warszawskich i krakowskich, recenzent teatralny w *Dzienniku Łódzkim*. Podczas wojny uczestniczył w kampanii 1939 i uczył na tajnych kompletach. Po wojnie w Łodzi redaktor pism SL. Od 1947 w Warszawie. Od 1956 do końca życia członek zespołu mies. *Dialog*.

20. Helena Boguszevska (1880-1978), pisarka, działaczka społeczna, córka wybitnego religioznawcy i orientalisty, Ignacego Radlińskiego, żona pisarza Jerzego Kornackiego. Z wykształcenia przyrodniczka.

dziś z dzieckiem w pokoju Anny i patrząc na okładkę leżącej na stole książki Boguszewskiej, odczytała kilkakrotnie z przeciągłym akcentem: „Nigdy nie zapomnę”, „Nigdy nie zapomnę”. A potem: „«Nigdy nie zapomnę» — to chyba książka o Oświęcimiu”. „Nie, Polu — to książka o Moskwie, w której wszystko co polskie zostało zapomniane”. „Zginęła Warszawa, ale... jest Moskwa. Jesteśmy w Moskwie. Jesteśmy szczęśliwi”. Oto cytata z tej okropnej książki. W społeczeństwie nazywa się to też już „książką o Moskwie”. „Czy czytała pani tę straszną książkę Boguszewskiej o Moskwie?”, pytano mnie kilka razy w Warszawie. A ja nie wiedziałam, że to ta książka. I jeszcze broniłam tych ludzi.

21 XI 1946. Czwartek.

Nie wiem dlaczego w związku z plugawą napaścią na mnie w „Kuźnicy”²¹ przypomniła mi się scena, gdy w czasie okupacji w stołowce literackiej na Pierackiego nie podałam publicznie ręki Skiowskiemu²². Wzbudziło to konsternację i niemal zgorszenie, gdyż wszyscy literaci, z wyjątkiem zdaje się Millera, nie tylko podawali mu rękę, ale z nim rozmawiali. Ile razy widziałam w tej sytuacji dzisiejszych koryfeuszów reżimu. I Nałkowską, i Brezę, i Kisielewskiego, i Andrzejewskiego, i innych. Skiwski powiedział wówczas do mnie: „Pani mi się z tego po wojnie wytłumaczy”. Istotnie — ja dziś jestem oskarżana i przyciskana do muru, abym się tłumaczyła. Zdrajca Skiwski nie powiedział tylko, przed kim to wzywają mnie dziś tłumaczyć się.

Wczorajszy i dzisiejszy dzień przeszkodziły mi zupełnie w możliwości pracy. A jednak kiełkowanie dawnej swobodnej zwycięskiej duszy z czasów studenckich trwa we mnie. Nie tracę jeszcze całkiem nadziei, co do siebie.

Warszawa. 28 XI 1946. Czwartek.

Dziś poszliśmy na Czerwonego Krzyża 5/7 odebrać pa-

21. W związku z przemówieniem Dąbrowskiej na zjeździe literatów w Łodzi w numerze sprawozdawczym *Kuźnicy* (1946, nr 45) zaatakowano pisarkę aż trzema tekstami.

22. Jan Emil Skiwski (1894-1956), publicysta, krytyk literacki, autor m.in. *Poza wieszczbiarstwem i pedanterią*, 1929, *Na przelaj*, 1935. W końcu wojny (od kwietnia 1944 do stycznia 1945) wraz z Feliksem Burdeckim wydawał w Krakowie dwutygodnik polityczny *Przełom*.

czkę na którą dostałam zawiadomienie. Była straszliwa mgła. Wsiadaliśmy na wiadukcie mostu Poniatowskiego. Przez ten most auta pędzą z nieprzepisową szybkością i nie zatrzymują się a nawet nie zwalniają na przystankach tramwajowych. Miażdżą też często ludzi wysiadających z tramwaju. A nikomu nie przyjdzie na myśl, aby postawić tam jakiś posturunek regulujący ruch. Otóż omal, omal nie stałam się dziś taką miazgą. Wsiadam. Z mgły wypadają na mnie koła olbrzymiej ciężarówki. Odruchowo cofam się do ściany tramwaju, który w tym momencie rusza przewracając mnie. Koła ciężarówki otarły się po prostu o mnie. Jest prawdziwym cudem, że nie znalazłam się jedną połową ciała pod tramwajem, a drugą pod ciężarówką. Zginęłabym jak Verhaeren. Między tymi dwoma wehikułami było niewiele więcej niż pół metra przestrzeni, w którą jakoś szczęśliwie padłam na wskos. (...)

11 XII 1946. Środa.

Dziś po raz pierwszy wziął mróz (do 2^o) i spadł śnieg. Pamiętam doskonale dzień 11 grudnia z 1939 roku. Jechaliśmy wtedy z Brześcia (gdzie nie udało nam się przejść zielonej granicy ku Warszawie) do Lwowa. Tak samo wtedy 11 grudnia wziął po długich ciepłach mróz i spadł śnieg. Odtąd aż do kwietnia 1940 nie widzieliśmy gołej mokrej ziemi. Stąd i dziś wróżę sobie ciężką zimę.

Maria DĄBROWSKA

Do druku podał Tadeusz Drewnowski

Polscy badacze ukraińskiej przyrody

Ukraina od dawna fascynowała przyrodników. Łatwo zrozumieć wagę eksploracji przyrodniczej tego kraju zważywszy jego znaczenie dla Rzeczypospolitej, Rosji, Austro-Węgier, Polski międzywojennej i Niemiec. Niewątpliwie i samo bogactwo środowiska naturalnego było ważnym czynni-

kiem rozwoju zainteresowania uczonych Środkowo-Wschodniej Europy przyrodą ukraińską. Stepy, które jeszcze stosunkowo niedawno mogły uchodzić za bezkresne, przyroda Karpat i Basenu Morza Czarnego czynią z Ukrainy najciekawszy przyrodniczo, obok Francji i Rosji, kraj Europy. Fascynować musiała wreszcie owa siła ukraińskiej przyrody budzącej się każdej wiosny do życia i bogactwo czarnoziemiu. Historycy nauki często zadają pytanie o wpływ wyboru badanego przedmiotu na rozwój danej koncepcji. Niektóre z technik badania zbiorowisk roślinnych, proponowanych przez skandynawskich uczonych, np. zasadę dominacji jednego gatunku, uznaje się powszechnie za rezultat ubóstwa florystycznego Północnej Europy. Jest rzeczą naturalną, że bogactwo ukraińskiej ziemi kształtowało myślenie przyrodników pracujących w kraju najżyźniejszych gleb naszego kontynentu. Chyba tylko na Ukrainie mogły się narodzić gleboznawcze koncepcje Dokuczajewa. Profesor Wasyl Dokuczajew, jeden z najznamienszych rosyjskich uczonych, a jednocześnie znany z liberalnych przekonań przyjaciel Polski, pracując nad czarnoziemem stworzył koncepcję w myśl której glebę należy traktować jako żywy, dynamiczny organizm nierozdzielnie związany z roślinnością. Traktowanie gleby jako żywej części zbiorowisk roślinnych rozwinął w swoich pracach Józef Paczowski, koncepcja ta stała się jednym z najważniejszych wyróżników wschodnioeuropejskiej szkoły fitosocjologicznej. Jak wielkie, nieomal mistyczne, znaczenie nadawali czarnoziemowi wschodnioeuropejscy przyrodnicy zaświadczyć może przytaczana przez profesora Alechina, jednego z twórców rosyjskiej fitosocjologii, polemika między Middendorffem a Beketowem. Aleksander Middendorff, estoński zoolog, profesor Dorpackiego i Kijowskiego Uniwersytetu, jeden z najważniejszych eksploratorów Syberii, uważał, że czarnoziem cieszy się niezasłużoną sławą i że w rezultacie złej uprawy degeneruje się jak każda gleba. Beketow, jeden z największych dziewiętnastowiecznych botaników odpowiedział, iż nie wolno zapominać, że od wieków Rosja żyje dzięki czarnoziemowi, który daje jej chleb i sotnie żołnierzy. Historia przyznała niestety rację obu uczonym. Wprawdzie czarnoziem istotnie odznacza się wieloma wyjątkowymi właściwościami, w tym nadzwyczajną wprost zdolnością autoregeneracji, to jednak głupota komunistycznej gospodarki, której wielkości nie mogli przewidzieć ani Middendorff ani Beketow, już wkrótce zrujnować miała rolnictwo i przyrodę Ukrainy.

Rozległe, dzikie stepy, stada suhaków, jedynych europej-

skich antylop i dzikich koni, jeszcze nie tak dawno wszechobecnych na Ukrainie nasuwają skojarzenie z preriami Ameryki Północnej. Zdaniem niektórych historyków nauki istotnie można przeprowadzić wiele paraleli pomiędzy rozwojem przyrodznawstwa Środkowo-Wschodniej Europy i Ameryki. Zjawisko to jest jednak ciągle zbyt mało zbadane aby móc pozwolić sobie na zbyt wiele uogólnień.

Poznanie ukraińskiej przyrody jest niewątpliwie jedną z największych przygód i najważniejszych osiągnięć europejskiej myśli przyrodniczej. Naturalistyczny opis Ukrainy był możliwy dzięki grupie przyrodników, w której największą rolę odegrali Polacy. Uniwersytet Jana Kazimierza, Liceum Krzemienieckie, bliskość ośrodków akademickich Krakowa, w znacznym stopniu polski Uniwersytet Świętego Włodzimierza w Kijowie, utworzony po represyjnym zamknięciu Uniwersytetu Wileńskiego, są instytucjami, które odegrały pierwszoplanową rolę w poznaniu przyrody dawnych wschodnich kresów Rzeczypospolitej. W okresie znacznych ograniczeń ze strony zaborców, a nawet nieistnienia polskich instytucji naukowych badania były możliwe dzięki mecenatowi patriotycznie nastawionych obywateli i dzięki wysiłkowi przyrodników pracujących niezależnie od swojej działalności zarobkowej.

Znaczenie Muzeum Dzieduszyckich dla przyrodznawstwa porównać można chyba jedynie z zasługami Zakładu Ossolińskich dla polskiej literatury. Z rodziny Dzieduszyckich wywodziło się wielu wybitnych przyrodników, organizatorów i mecenasów nauki. Włodzimierz zapoczątkował działalność muzeum przenosząc odziedziczone po swoich przodkach zbiory przyrodnicze z rodzinnego majątku w Poturzych do Lwowa. Ufundował on ponadto szereg stypendiów i sfinansował opracowanie kilkudziesięciu podręczników. Starał się aby muzeum posiadało w swojej kolekcji reprezentację wszystkich gatunków fauny i flory Galicji. Sam pasjonował się ornitologią, napisał „Nasze zwierzęta stałe i wędrowne”. Tadeusz rozwijał muzeum starając się poszerzyć wszystkie jego działy. Tytus był jednym z pierwszych nowoczesnych paleozoologów, autorem rozprawy „Szczegółowy opis czaszki nosorożca włochatego”, w której porównał wymarłego ssaka z innymi znanymi zaginionymi lub żyjącymi nosorożcami. Paweł, przyrodnik i teolog jezuicki zapoczątkował wydawanie Rozpraw i Wiadomości z Muzeum Dzieduszyckich, opiekował się także wydaniem monografii „Wykopaliska staruńskie”. W Staruni, w złożu wosku ziemnego, ozokerytu znaleziono m.in. doskonale zachowanego nosorożca włochatego, chlubę

polskich kolekcji przyrodniczych, przechowywanego do dziś w Muzeum Zoologicznym krakowskiej Akademii Umiejętności. Włodzimierz, ostatni chyba wielki przyrodnik rodziny Dzieduszyckich, po wojnie pracownik Instytutu Zoologii, był organizatorem i mecenasem badań Pomorza, twórcą prywatnego rezerwatu drapieżnych ptaków i organizatorem stacji ornitologicznej nad Bugiem. Organizatorzy muzeum dbali o wysoką jakość okazów w kolekcji. Preparatoryzy nauczani przez najlepszych mistrzów Zachodniej Europy szybko dorównali swoim nauczycielom. Kunst sztuki taksidermicznej Muzeum Dzieduszyckich należał do najwyższych w monarchii habsburskiej. Prace Władysława Zontaka były nagradzane na wiedeńskich wystawach zoologicznych.

Nie sposób wymienić wszystkich przyrodników, którzy mogli pracować i publikować dzięki hojności Dzieduszyckich, trudno jest także odtworzyć listę tych uczonych, którzy osiągnęli światowy poziom dzięki wykształceniu zdobytemu w lwowskim muzeum. Jan Aleksander Bayger, zoolog, bliski współpracownik muzeum wydał „O płazach i gadach Galicji”; jego „Klucz do oznaczania płazów i gadów” był dla kilku pokoleń polskich przyrodników podstawowym podręcznikiem herpetologii. Zajmował się także historią przyrodznawstwa wydając „Obraz fauny płazów i gadów Polski z pierwszej połowy wieku szesnastego”. W okresie międzywojennym starał się popularyzować kulturę przyrodniczą objeżdżając Galicję i Śląsk Cieszyński ze skonstruowanym przez siebie aparatem projekcyjnym. Historię poznania polskiej przyrody badał również Jarosław Łomnicki, entomolog, autor pracy „Owady Polski ojca Gabriela Rzączyńskiego”. Łomnicki opublikował ponadto kilkadziesiąt prac entomologicznych, wśród nich „Spis mrówek Lwowa i okolicy”. Jan Noskiewicz pracował nad zoogeografią i fauną kserotermiczną Galicji. Józef Bąkowski, którego nie stać było na dokończenie studiów przyrodniczych, zorganizował w muzeum dział malakologiczny. Był także autorem wydanego w Wiedniu Atlasu Zoologicznego, prac nad fauną kopalną okolic Lwowa oraz prac przeznaczonych dla młodzieży i nauczycieli „Obrazki z życia zwierząt pożytecznych” i „Dwadzieścia lekcji dla nauki historii naturalnej”. Roman Kuntze jest współautorem „Zarysu zoogeografii polskiego Podola”. Józef Dziędzielewicz, prawnik, światowej sławy specjalista w dziedzinie owadów siatko-skrydłych opracował „Ważki Galicji i przyległych krajów polskich”.

Mecenat nauk przyrodniczych nie ograniczał się oczywiście

cie do rodziny Dzieduszyckich. Gustaw Belke zdobył wykształcenie jako stypendysta Czartoryskich, pracując jako tłumacz gubernialny w Kamieńcu Podolskim napisał „Rys historii naturalnej Kamieńca Podolskiego”, tłumaczył także prace Georgesa Cuvier. Edward Gali, syn włoskiego emigranta osiadłego w Żytomierzu, lekarz, przyrodnik, pisarz i kolekcjoner podarował Bibliotece Jagiellońskiej zbiór ośmiu tysięcy książek, w tym najstarsze polskie zielniki także z Ukrainy. Aleksander Chodkiewicz, jeden z największych polskich chemików, sam zamiłowany florysta (swoją zielnik roślin wołyńskich podarował w 1813 roku TPN-owi) postulował akcję opracowania zielnika roślin krajowych przez nauczycieli przyrody. Chodkiewicz umożliwił Antoniemu Andrzejowskiemu studia w Wilnie u profesora Jundziłła. Andrzejowski po powrocie z Wilna kontynuował naukę w Liceum Krzemienieckim, później związany był z Uniwersytetem Kijowskim. Represyjnie zwolniony z posady w 1839 roku osiadł w posiadłościach Branickich opiekując się ich ogrodem botanicznym. W swoich corocznych wycieczkach przyrodniczych docierał aż do Morza Czarnego. Wyniki swoich poszukiwań opublikował w Wilnie w „Rysie botanicznym krain zwiedzanych w podróżyach pomiędzy Bohem a Dniestrem od Zbrucza aż do Morza Czarnego odbytych w latach 1814, 1816, 1818, 1822” i we „Florze Ukrainy czyli opisanie dziko rosnących w Ukrainie przednieprowej i w sąsiednich z nią okolicach Wołynia, Podola i Guberni Chersońskiej”. Zielnik podarowany Uniwersytetowi Kijowskiemu liczył przeszło dziewięć tysięcy okazów. Andrzejowski opracował także „Katalog mięczaków kopalnych ze zbioru Liceum Wołyńskiego”. Napisał ponadto dwie powieści historyczne i opublikował szereg przyczynków o płazach i gadach Ukrainy. Ten także zasłużony przyrodnik mógł publikować dzięki życzliwości i wsparciu rodziny Branickich. Aleksander Branicki założył ogród botaniczny roślin krajowych, finansował wiele przedsięwzięć przyrodniczych m.in. wydanie Flory Ukrainy. Za patriotyczną działalność zesłany do Saratowa, kontynuował badania naturalistyczne. Aleksander Branicki jest jednym z najważniejszych polskich podróżników dziewiętnastego wieku. Jego syn Ksawery zrealizował marzenia ojca i utworzył w Warszawie na ulicy Frascati Muzeum Zoologiczne. Przyrodnikami i mecenasami badań byli także Konstanty i Władysław Branicki. Na prace Andrzejowskiego podobnie jak i kilku generacji botaników, znawców flory ukraińskiej znaczący wpływ wywarł dyrektor ogrodu botanicznego w Krzemieńcu Williabald Besser. W

1832 roku krzemieniecki ogród liczył przeszło dwanaście tysięcy roślin. Besser jest autorem pierwszej opublikowanej w 1809 roku Flory Galicyjskiej „Primatae Florae Galiciae Austriacae” zawierającej opis przeszło tysiąca dwustu gatunków, w tym dwudziestu czterech nowych dla nauki. Besser, silnie związany z wileńską szkołą botaniczną publikował w Pamiętniku Farmaceutycznym Wileńskim „Zapisy w przedmiotach historii naturalnej o Wołyniu, Podolu, Ukrainie”. Dzięki pracy „Rzut oka na jeografię fizyczną Wołynia i Podola” zawierającej zarys pochodzenia i rozszedlenia roślin jest także pionierem badań z zakresu geografii roślin ukraińskich. Jest to także jeden z najbardziej zasłużonych przyrodników pedagogów i organizatorów badań. Pracował w Liceum Krzemienieckim i prowadził wykłady botaniczne na Uniwersytecie Kijowskim. Wydał przepisy do układania zielników i współpracował z wieloma przyrodnikami amatorami. Paweł Bielecki, nauczyciel przyrody w gimnazjum w Winnicy pozostawił „Regestr roślin posyłających się do W. Bessera do Krzemieńca zebranych w okolicy Winnicy w 1827 roku”. Wśród licznych przyrodników korespondentów Bessera wymienić trzeba także ziemianina Wacława Boreykę. Wychowankiem Bessera był Aleksander Czekanowski, zesłaniec i jeden z najbardziej wybitnych eksploratorów przyrody syberyjskiej, swoją karierę badawczą rozpoczynał badając rozmieszczenie susłów i gromadząc zbiory entomologiczne w Guberni Podolskiej i Kijowskiej. Mądry mecenas pozwalał na zdobycie wykształcenia młodzieży z grup społecznie upośledzonych, niektórzy jak Jan Jachno, entomolog i botanik, wykształcony dzięki finansowej pomocy Dzieduszyckich, stawali się wybitnymi specjalistami. Pomoc polskiego mecenatu umożliwiała również rozwój nauki ukraińskojęzycznej. Grzegorz Bobiak, urodzony w chłopskiej rodzinie ukraińskiej, ukończył studia dzięki stypendium Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wydane przez niego w Ukraińskim Towarzystwie Naukowym imienia Szewczenki „Naszi huby, pryczyńki po mikologii” są najprawdopodobniej pierwszym ukraińskim podręcznikiem mikologii.

Ukraińska przyroda została poznana i opisana także dzięki wysiłkowi dziesiątków przyrodników zawodowych i amatorów, lekarzy i nauczycieli, ziemian, księży, urzędników, dziennikarzy, popularyzatorów przyrody. Zdziwić musi wysoki poziom profesjonalny prac wykonywanych poza ośrodkami akademickimi. Kazimierz Bobek, nauczyciel przyrody w Gimnazjum Świętej Anny w Krakowie opisał muchówki okolic Przemyśla i Podola. Wojciech Grzegorzek,

ksiądz, inicjator Muzeum Regionalnego w Nowym Sączu pozostawił „Spis roślin w różnych okolicach Galicji zebranych”. Karol Borowiczka, nauczyciel w szkole realnej opracował „Florę miasta Stanisławowa i jego okolicy”. Mieczysław Grochowski, współpracownik Benedykta Dybowskiego, badał faunę ukraińskich jezior. Roman Gutwiński, który opracowywał na podstawie materiałów Dybowskiego florę glonów Kamczatki i Bajkału, wydał także „Prodromus florae algarum galiciensis” w którym opisał przeszło tysiąc gatunków glonów. Franciszek Błoński lekarz fabryczny w cukrowni w Spiczynach, wybitny florysta i mikolog, wydał „Kilka słów o truflach krajowych i sposobach ich poszukiwania”, opracował także interesujące studium historyczno-botaniczne „Szata roślinna Warszawy sprzed lat 250-ciu”. Władysław Skrobaczewski, kierownik ogrodu botanicznego w Jalcie był jednym z najwybitniejszych florystów, znawców ukraińskiej szaty roślinnej. Władysław Boberski, inspektor szkół miejskich we Lwowie opracowywał galicyjskie porosty, wydał także pracę pedagogiczno-przyrodniczą „Historia naturalna w szkole ludowej”. Teofil Ciesielski, autor zarysu botaniki, gromadził florę z okolic Lwowa. Ten wszechstronny przyrodnik skonstruował także „słowiński ul”. Doświadczenia fizjologiczne Ciesielskiego wykorzystał Karol Darwin w swojej pracy „The Power of movement in Plants, London 1880”. Stanisław Klemensiewicz, absolwent Politechniki Wiedeńskiej, kompozytor i nauczyciel, pracował nad słabo poznanymi rodzinami motyli, opisał około dwustu nowych dla Galicji gatunków, w tym dwanaście nieznanymi dla nauki. Aleksander Karpiński podarował warszawskiemu muzeum zbiór ukraińskich pajęczaków. Władysław Lubomirski, zesłany za sprzyjanie Powstaniu Styczniowemu w głąb Rosji, po powrocie zgromadził w Stanisławowie bogaty zielnik. W swoim ogrodzie dokonywał udanych aklimatyzacji roślin syberyjskich przesyłanych przez Dybowskiego i południowoamerykańskich zbieranych przez Jelskiego. Bolesław Kotula pracował nad bezkręgowcami i florą Galicji. Jan Łobarzewski, prawnik i botanik, założyciel lwowskiego ogrodu botanicznego, pracował nad materiałami do „Geografii Roślin Polski”. Jako pierwszy w tej części Europy wprowadził ćwiczenia mikroskopowe do nauczania botaniki. Zygmunt Morawski, dziennikarz, redaktor i wydawca dwutygodnika *Przyrodnik* napisał przeszło sto artykułów popularyzujących ukraińską przyrodę. Poznawanie przyrody popularyzował także Apolinary Zagórski. Ignacy Król pracował nad roślinnością pogranicznego pasa Wyżyny

Podolskiej i Niżu Północnoeuropejskiego w Galicji Wschodniej. Antoni Barta, nauczyciel w niższej szkole rolniczej w Dublanach opracowywał podczas swoich wycieczek Ryby Dniestru i Seretu. Mieczysław Baranowski, inspektor szkół ludowych opracował „Specjalną metodykę nauk przyrodniczych w szkole ludowej” i wspólnie z doktorem Szpilmanem „Higienę przystępną wyłożoną”. Marian Łomnicki, geolog, nauczyciel ze Lwowa i Stanisławowa opracował faunę tysiąca trzystu nieznanymi dotychczas w Galicji chrząszczy. Opisał także osiemdziesiąt gatunków (w tym sześćdziesiąt nowych dla nauki) owadów plejstoceny z Borysławia. Prace paleontologiczne stanowią istotną część polskiego przyrodznawstwa na Ukrainie, nie bez znaczenia była eksploatacja i badania geologiczne złóż gazu, ropy, ozokerytu, a zwłaszcza prace stacji badawczej w Borysławiu.

Alojzy Alth, lwowski adwokat i geolog, ogłosił prace nad budową pancerza ryb paleozoicznych, opisywał także kopalne glony i starał się wytłumaczyć pochodzenie belemnitów. Franciszek Bieniasz wykonał mapy do Atlasu Geologicznego Galicji. Jest on także wynalazcą oryginalnej metody odtwarzania skamieniałości poprzez wypełnianie próżni kauczukiem. Bolesław Bohm, autor monografii ryb kopalnych trzeciorzędu karpackiego, do 1939 roku pracował w Stacji Karpackiej w Borysławiu, w okresie wojny znalazł się w Budapeszcie gdzie pozostał do końca życia. Po wojnie był jednym z najwybitniejszych paleontologów Węgier, autorem m.in. monografii ryb oligoceny Siedmiogrodu.

Jest rzeczą naturalną, że pracujący nad tak fascynującą fauną i florą przyrodnicy zabiegali o jej ochronę. Ustawy Sejmu Krajowego w Galicji są pierwszymi regulacjami prawnymi ochrony gatunkowej na świecie, a założony przez profesora Paczoskiego w Guberni Taurydzkiej rezerwat Askania Nowa pierwszym terenowo-eksperymentalnym ośrodkiem badań m.in. dla potrzeb ochrony przyrody. Julian Brunicki, ziemianin ze wsi Podhorce, ornitolog i entomolog, zgromadził jeden z najbogatszych w Europie Środkowej zbiorów motyli, zawierający kilka odkrytych przez niego gatunków. Ogłosił „Spis motyli w powiecie stryjskim” i „Ptaki postrzeżone w okolicach Stryja”. Jako poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego wysunął w Wiedniu wspólnie z Muzeum Dzieduszyckich i Towarzystwem Kopernika projekt prawa zabraniającego wywozu za granicę okazów przyrodniczych o wartości naukowej. Opracował także projekty rezerwatów i przepisów chroniących cisa, limbę i szarotkę. Nad przyrodą Ukrainy i

jej ochroną pracowali także klasycy polskiego przyrodznawstwa Marian Raciborski, Władysław Szafer, Bolesław Hryniewiecki. Badaniom przyrodniczym towarzyszyło w Galicji duże zainteresowanie publiczne. Jak wiele emocji wywołało np. odrzucenie przez Benedykta Dybowskiego i Józefa Nusbauma pracy habilitacyjnej Bronisława Błockiego, starającego się pogodzić teorię ewolucji z teologią chrześcijańską. Błocki oprócz filozofii przyrody zajmował się także botaniką, był autorem pionierskich prac o ewolucji klimatu na podstawie danych geologicznych i botanicznych.

Polscy przyrodnicy pracujący na Ukrainie płacili za swój patriotyzm i zaangażowanie w sprawę niepodległości ogromną cenę, zesłania, więzienia, utraty życia. Władysław Bahrynowski został skazany w procesie Filaretów na zesłanie do Suchumi. Po powrocie kontynuował studia w Wilnie, ponownie skazany w związku ze sprawą Szymona Konarskiego po zwolnieniu zdołał ukończyć studia. Służbę wojskową odbywał na Kaukazie. W 1840 roku został kierownikiem Wojskowego Ogrodu Botanicznego w Suchumi, którego zadaniem było dostarczanie roślin użytkowych czarnomorskim twierdzom rosyjskim. Bahrynowski prowadził prace florystyczne i aklimatyzacyjne na całym należącym do Rosji wybrzeżu Morza Czarnego. Suchumski ogród jest obecnie własnością Gruzińskiej Akademii Nauk, a zasadzone przez Bahrynowskiego krzaki herbaciane można było oglądać jeszcze kilka lat temu. Adrian Baraniecki, lekarz, jeden z założycieli Stowarzyszenia Lekarzy Polskich w Paryżu, twórca Muzeum Techniczno-Przemysłowego, znany przyrodnik pedagog, jako członek Wydziału Komitetu Białych na Podole, zagrożony aresztowaniem opuścił kraj w 1863 roku. Józef Czacki, lekarz rosyjskiej floty handlowej, badacz bezkręgowców Morza Czarnego i kolekcjoner owadów Podola, aresztowany jako współzałożyciel pisma *Wola* zdołał zbiec do Japonii skąd przedostał się do USA, gdzie współorganizował Polski Uniwersytet Ludowy. Ze Stanów Zjednoczonych wyjechał do Parany, skąd przesyłał kolekcje entomologiczne do Muzeum Polonijnego w Chicago i do Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie. Feliks Lewandowski w 1863 roku członek Lwowskiej Organizacji Powstańczej, współzałożyciel *Sokoła*, od 1875 roku sekretarz Galicyjskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt wiele miesięcy spędził w ukryciu. Maksymilian Siła-Nowicki w okresie Wiosny Ludów został zawieszony w prawach studenta. Pomimo politycznych represji zdołał ukończyć studia. Napisał prace monograficzne o świstaku i kozicy. W 1883

roku wydał w Wiedniu mapę rozszedlenia ryb w Galicji, a w 1887 roku w Krakowie „Atlas Ryb Galicyjskich”. Był także autorem prac entomologicznych m.in. „Enumeratio Lepidopterum Haliciae Orientalis”. Zwolennik pracy u podstaw, zorganizował trzydzieści wylęgarni ryb i zarybiał rzeki galicyjskie łososiem, lipieniem, pstrągiem i sandaczem. Jan Fleszar, stypendysta Instytutu Geograficznego Romera, autor pracy „O niektórych skamieniałościach Karpat” był członkiem Związku Strzeleckiego i majorem Legionów. Protestując przeciwko polityce Austrii wobec Legionów w listopadzie 1916 roku popełnił samobójstwo. Tomasz Barlej, leśnik na Kaukazie, preparator Muzeum Przyrodniczego w Chersoniu, znany z prób udomowienia głuszca himalajskiego i z przesyłania do Muzeum Branickich unikalnych okazów przyrodniczych m.in. białorzutki, znanej tylko z kilku kolekcji na całym świecie i grubodzioba *Locothroaustes humii*, którym dotychczas szczyliło się jedynie British Museum, zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach podczas repatriacji w 1918 roku. Jerzy Adamowicz, autor opracowań o mięczakach Polesia i zniszczonych w 1939 roku opracowań pijawek, stracił życie podczas próby przekroczenia linii demarkacyjnej sowiecko-hitlerowskiej. Andrzej Dunajewski, ichtiolog i ornitolog, autor „Badań nad ptakami Wołynia”, „Ptaków wodnych i ich znaczenia w rybactwie”, współautor „Klucza do oznaczania ptaków Polski” poległ wraz z żoną i córką jako żołnierz AK na Starówce. Tadeusz Garbowski, potomek Zawiszy Czarnego, przyrodnik badający motyle i chrząszcze Galicji, jeden z najwybitniejszych polskich filozofów przyrody, pionier zoopsychologii, kompozytor i literat, autor wydanego wspólnie z Elizą Orzeszkową „Ad astra”, został zamordowany w Sachsenhausen w ramach hitlerowskiej akcji likwidacji profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Roman Kuntze został rozstrzelany w Warszawie w 1944 roku. Józef Paczowski, w okresie okupacji robotnik rolny w swoim niegdyś własnym gospodarstwie doświadczalnym, zmarł wkrótce po przesłuchaniu przez gestapo. Stanisław Sekutowicz, pszczelarz i parazytolog, pionier polskiego filmu naukowego, autor wydanych we Lwowie albumów *Ryby* i *Gady* i *Płazy* zginął strącony nad Anglią. Aleksander Kelus, teoretyk wychowania fizycznego, autor studiów o ramienionogach i koralowcach okolic Pełczy, zmarł w rezultacie tortur zadanych mu przez UB w komunistycznym więzieniu wkrótce po wyjściu na „wolność” w 1946 roku.

Przez kilkadziesiąt ostatnich lat polscy przyrodnicy,

badacze Ukrainy byli skazani urzędowo na nieistnienie. Cenzura pilnowała nawet nazw zwierząt bacząc by np. nazwę dużego, żyjącego na Ukrainie podziemnego gryzonia, ślepca polskiego (*Sphalax polonicus*) zastępować nazwami synonimicznymi. Muzeum Dzieduszyckich, efekt ofiarności obywatelskiej rodziny Dzieduszyckich i pracy kilku pokoleń przyrodników, zostało zrabowane przez Akademię Nauk ZSSR. Nazwa tej jakże zasłużonej instytucji pojawiała się jedynie w okresach „cenzuralnej odwilży”, a i to niemal wyłącznie w niskonakładowych czasopismach. Niepodległa Polska powinna starać się przywrócić pamięci wysiłek przyrodników badaczy Ukrainy. Być może należałoby ustanowić stypendium lub nagrodę imienia Dzieduszyckich przeznaczoną np. dla polskich i ukraińskich przyrodników pracujących w dziedzinach mających nikłe szanse na uzyskanie funduszy z innych źródeł. Przyznawane poza systemem finansowym KBN, może zapoczątkowałoby ono odbudowę niegdyś tak silnych tradycji obywatelskiego finansowania przyrodoznawstwa.

Piotr DASZKIEWICZ

TOMASZ KRZYWICKI

**Przewodnik Literacko-Turystyczny
po Nowogródczyźnie, Wilnie i Kownie**

Wyd. Two Polskie, Wilno

Przewodnik jest do nabycia u autora:

Tomasz Krzywicki, 02-777 Warszawa, ul. Kulczyńskiego 22 m. 71,
tel. 641-04-94.

Cena egz. 50.000 zł, z przesyłką 60.000 zł.

Ci, co odeszli

Bogumił Andrzejewski (1922-1994)

Prawdziwa przyjaźń jest łaską opatrności, ale nawet ta łaska nie przygotowuje do rozstania w śmierci. Nasza przyjaźń przetrwała pół wieku. Zaczęła się pod koniec wojny, kiedy Bogumił Andrzejewski zjawił się w Anglii aby studiować najpierw anglistykę w Oksfordzie, a potem językoznawstwo i arabski w Uniwersytecie Londyńskim, gdzie także zaczął zajmować się somalijskim. W Oksfordzie poznał swoją przyszłą żonę Sheilę. Wczesne lata pięćdziesiąte nie były łatwe w Anglii. O pracę było trudno, ogólne zmęczenie psychiczne społeczeństwa i klimat polityczny nie sprzyjały cudzoziemcom, szczególnie ze Wschodniej Europy. Nie można było oczekiwać taryf ulgowych.

Istniejący wówczas Colonial Office ofiarował Andrzejewskiemu kontrakt na dość trudne zadanie: miał przeprowadzić prace badawcze na terenie Somalii i przygotować projekt na formę pisma, które by najlepiej oddało i utrwaliło tradycję, ustną w swej istocie. Przyjęcie tej propozycji zdecydowało o niezwyklej karierze naukowej Polaka, urodzonego w Poznaniu w 1922 roku, który przeszedł oblężenie Tobruku i pisał czasem dość dziwne wiersze, a teraz wszedł w osobliwy świat koczowniczych poetów i recytatorów, stał się dla nich współtwórcą przekazu pisanego. Przystosował alfabet łańciski do systemu fonetycznego języka somalijskiego, co, zważywszy arabską tradycję islamu, było decyzją śmiałą, ale w końcu słuszną, jak to pokazał zdumiewająco szybki rozwój druków somalijskich, zarówno gazet jak i książek. Ta ofiarna praca dla mało znanej kultury, poprzez liczne studia językowe,

opracowania tekstów i przekłady*, wysunęła Andrzejewskiego na czołowe miejsce wśród afrykanistów europejskich.

I tu *poeta doctus* zatriumfował właśnie przez swoją wyobraźnię, umiał się wczuć w pozornie nieuchwytny kontekst poezji somalijskiej, w której się zakochał na resztę życia, szczególnie w legendach sufickich świętych, o których pisał jakby sam był z ich bractwa.

W naszych rozmowach — mój Boże, ileż ich było przez te lata — często wracaliśmy do owych mistycznych przeżyć, dla wyrażenia których język poety musi przejść przez swoistą katharsis, aby nie ugrząść w bełkocie zachwyconego jakały; znał to *balbuciendo* św. Jan od Krzyża, znał i Słowacki. Wiele razy musiał Bogumił przechodzić „semantyczny Styks” — fraza z jego poematu — on, którego pasja językoznawcza doprowadziła do „doktora świętej Filologii” (to też z poematu), a wreszcie do profesury w tajemniczym dla innych obszarze kuszyckich języków i literatur.

Po akademickich fobiach i modach naszego wieku przyszła, oczywiście, pora na teorie lingwistyczne — schemat przed tekstem — niekiedy jakiś dufny teoretyk wyrokował o losach mowy ludzkiej, nie znając dobrze żadnego języka poza swoim ojczystym, którym zwykle pisał zakalcowatym stylem wedle tradycji sekciarzy różnych orientacji. Bogumił Andrzejewski nie znosił tego rodzaju pseudonaukowości, choć pilnie czytał, a potem dyskutował ze mną, zmienne co sezon nomenklatury. Miał jednak sporo sympatii do Chomsky'ego i do niektórych antropologów z pogranicza literatury. Zachował *common sense* angielski, a może po prostu poznański. Potrafił się entuzjasmować tą czy inną nowinką naukową, ale nie dawał się nabierać na stronnicze abstrakcje.

Pamiętam co mi raz powiedział Bogumił, kiedy jeszcze opadały na Londyn gęste mgły i niektórzy ludzie wydobywali stare wojenne maski: „Myślę, wiesz, że czasem przydałaby się taka maska, kiedy człowiek wchodzi do wspólnego pokoju kolegów wykładowców. Ile tam wyziewów zatruwających powietrze ambicją i frustracją”. A sam, tak jak ja, nie znosił intryg i nudnego debatowania na zebraniach różnych pod-

* Podaję tylko kilka tytułów: *Somali Poetry* (wspólnie z I.M. Lewi-sem), 1964; *The veneration of Sufi saints and its impact on the oral tradition of the Somali people*, 1974; *Oral Literature in African Languages*, który opracował z dwu polskimi uczonymi, 1985; *Modern and traditional aspects of Somali drama*, 1978; *The poem as message*, 1981; *Somali poetry*, antologia (wspólnie z Sheilą Andrzejewską), 1992.

komitetów, które rozmnażały się ze wzrastającą biurokracją w instytucjach uniwersyteckich. I nie tylko uniwersyteckich. W samoobronie trzeba się było trzymać na uboczu, żeby móc coś trwalszego zrobić. A było dużo do zrobienia.

Jeśli się przyjmuje taki tryb życia — niektórzy myślą, że to asceza molów książkowych — wtedy przyjaźń jest bardzo ważna. Trzeba ją dokarmiać rozmowami, podpieierać w chorobie czy w kryzysie — przyjaźń, która się stale rozwija, nawet w okresach nieobecności. Jest zdrowiem. School of Oriental and African Studies oraz School of Slavonic and East European Studies znajdowały się blisko siebie w Uniwersytecie Londyńskim. Można było wyskoczyć na krótki spacer wokół zadrzewionego Russell Square, lub na kilka godzin do winiarni po wykładowach. Nazywaliśmy te spotkania zlotem duchów. Ale w pierwszym okresie swoich badań w terenie Bogumił wyjeżdżał z Anglii na kilka miesięcy, pisał listy, załączał swoje wiersze. Jego *Podróż do krajów legendarnych* wysłałem do redaktora *Kultury* z entuzjastycznym listem; Giedroyc docenił oryginalność poematu i wydrukował — był to 1950 rok, początek współpracy Andrzejewskiego z *Kulturą*. Ostatni utwór, *Hys i Pajak*, pisany już podczas choroby, ukazał się w maju 1994 r.

Jakoś udało mi się namówić Bogumiła na zebranie tekstów i na ustalenie ogólnego tytułu. W 1985 r. Oficyna pracowitych Bednarczyków ukończyła *Podróż do krajów legendarnych*, tom pięknie wydany, jak większość ich publikacji. W rodzimym kontekście te poetyckie wyprawy w egzotykę są, według mnie, odkłamaniem sztucznej cudowności, opisywanej nazbyt często przez pośpiesznych podróżników; jest także odkłamaniem stylu. Tu bowiem autentyzm pokazuje jak odkrywca humor, jeśli wychodzi z konkretności, a nie z nałożonego dowcipu. Każdy język w zaułkach gramatyki i znaczeń kpi sobie poprzez nagłe skojarzenia i dźwięki. W tym właśnie celuje artyzm Andrzejewskiego-językoznawcy. Jego wyobrażenia adoruje zwierzyniec życia: u niego lemury, wielbłądy, koty, pająki zapraszają bestie mitologiczne do legendarnego raju. Trzeba jeszcze poszukać Bazyliszka, bo on samotnik, a ukrywający się samotnicy są mniej straszni niż się wydają.

Dla Somalijczyków, dla afrykanistów wszelkiego autoramentu już samo nazwisko Bogumił Andrzejewski wyglądało tajemniczo jak zakłęcie, a brzmiało tak jak je potrafili wymówić — stąd potrzeba jakiegoś skrótu, telegraficznej monosylaby — mówili do niego i o nim: Guś albo Goosh.

Dla mnie pozostał Bogu-miłym przyjacielem. Radiowe stacje w Somalii oznajmiały jego przyjazdy w sposób właściwy tamtejszej tradycji ustnego przekazu. „Ten-który-nie-jest-u-nas-często”, wołało radio, przyleciał do Mogadiszu. Piękny epitet dla kogoś kto był im oddany jakby należał do wszystkich szczepów naraz; czuli, że należał do nich sercem i rozumem — dlatego miłość do kodyfikatora ich kultury pozostanie w pamięci zbiorowej.

Nasycony jak Kolumb światem, który odkrywał, powracał Bogumił do Londynu pełen uroku i dobroci, a do euforii wystarczała jedna szklanka wina, żeby mógł odegrać poetycką groteskę. Jakże ja mogę zapomnieć te białe linie dla przechodniów w pobliżu stacji Charing Cross! Wyszliśmy wieczorem z winiarni. Otworzył Boguś mały plecak, wyjął talk, zszedł z chodnika, ja za nim — i zaczął białym pudrem ulepszać przejście dla pieszych. Nie było wtedy jeszcze tak dużego ruchu jak teraz, ale kierowcy samochodów, przywykli do nocnych reparacji na ulicach, zatrzymali się, potem patrzyli z ciekawością, bo zjawił się policjant, a Bogumił dalej pstrykał talkiem na poprzeczne linie. Natchnął mnie anioł stróż i powiedziałem policjantowi z pewnym autorytetem, że ten znany podróżnik wrócił właśnie z pustyni afrykańskiej, gdzie mało dróg, a gdy są jakieś przejścia dla wielbłądników, to wprawdzie wysypują specjalnym piaskiem. Nie powiedziałem jakim, bo anioł nic nie podszepnął.

Może policjant służył podczas wojny blisko Tobruku, bo okazał wyrozumiałość. Sir, powiedział do pochylonego Bogumiła, chyba już to lepiej skończyć, bo tamci w samochodach, choć to nie wielbłądy, chcą przejechać. Boguś zasalutował, policjant też — no i poszliśmy dalej.

Innym razem, po innym powrocie, Bogumił chciał się wdrapać jak lemur na latarnię w pobliżu Knightsbridge (w naszej gwarze nazywaliśmy Knightsbridge Mostem Zardzewiałych Rycerzy), ale go w porę ściągnąłem za nogę. Miał radość życia. W swojej wierze tak samo nie chciał odstraszać ludzi od religii nabożną ponurością. Dostrzegał wprawdzie sygnały ufności. Kiedy zaczęła go osaczać choroba — pierwsze oznaki pojawiły się na początku 1985 roku — nie pozwalał sobie zmienić trybu życia ani zainteresowań. Mieszkał wtedy w Harpenden, pół godziny koleją od Londynu, ale dalej lubił spotykać się w naszych ulubionych miejscach, na Hampstead Heath, w Regents Parku, gdzie każdy krąg spaceru wydawał się zamykać jakiś krąg rozmowy. Po każdym takim spotkaniu — a niekiedy trwały one siedem czy osiem godzin — roz-

stawiałem się z nim zdumiony, że wciąż odkrywaliśmy siebie na nowo, że się przetwarzały w nas psychiczne komórki. Świeżość jego inteligencji, dziecięca spostrzegawczość, tym silniejsza, że sam wcześniej przeżył smutki rodzinne i biedę, umiejętność wyjaśniania rzeczy trudnych — te wszystkie cechy charakteru radowały mnie niezmiernie.

Kiedy za zdrowych jeszcze lat wiozłem go do Andaluzji autem — długa droga — on, troskliwy żebym mu nie zasnął przy kierownicy, tłumaczył mi ujemne liczby w kalkulacjach, rolę zwinnego minusa w prądzie, albo intonację w języku Oromo. W domu w Harpenden przedstawił mi pewnego dnia swojej maszynie komputerowej, żeby mnie unowocześnić. Komputerowa myszka robiła mi psikusy — trudno, powiedział, myśli mysz, że jesteś kotem, i ma rację. Bo do kotów Bogumił miał nabożeństwo, tak jak nasz sąsiad w domu wydawnictwa na rogu Russell Square, T.S. Eliot. Podczas postępującej choroby, przymuszony do pobytu w domu, starał się wyjść choćby na krótki spacer, żeby zobaczyć również spacerujące koty — był przekonany, że wiedzą kiedy wychodzi. Dzwonił do mnie potem, zwykle po szóstej po południu, i mówił ile kotów spotkał, który się do niego uśmiechnął, jakie odznaczenia nosiły na szyjach, itd., a ja przekazywałem pozdrowienia dla myszy w komputerze. Psów się bał bardzo, więcej niż lwów, albowiem lwy na pustyni, mówił, łagodnieją, kiedy zaśpiewasz po cichu suficki hymn — podmuch wiatru doniesie go w porę pod palmę do legowiska.

Jakże łaskawa jest tajemnica przyptywów energii w ciele, które traci sprawność w chorobie. Bogumił miał dużo nagrań z terenów swoich badań. Uniwersytet Indiana, gdzie w dziale afrykańskim pracuje amerykański uczeń Andrzejewskiego, zaproponował przejście tych bardzo dziś cennych zbiorów, zrobiono kopie do archiwum. Bogumił musiał dokładnie skatalogować zawartość poszczególnych taśm, bo tylko on mógł to zrobić. Pracował nad tym co dzień przez kilka lat, radził się w różnych sprawach metody, bo chciał ją uprościć, pytał mnie właśnie dlatego, że nie byłem specjalistą w jego dziedzinie. Wiedziałem instynktownie, że starczy mu czasu na skończenie tej mozolnej roboty.

Obaj mieliśmy lęk przed końcowym spotkaniem szpitalnym. Wahałem się czy mu przynieść reprodukcję gotyckiej statui w Skępem, Matka Boska-Dziecko, wykonaną niedawno, i to dość wiernie, z myślą o zbliżającym się pięćsetleciu jej obecności na Ziemi Dobrzyńskiej. Bogumił lubił dziecięce rysy na wyrzeźbionej twarzy. Przygotowała mnie Sheila, że

Bogumił z wielkim trudem mówi. Ale mówił z przerwami, patrzył na mnie uważnie; wziąłem jego notatki do wiersza religijnego, który chciał napisać w szpitalu, ale już nie mógł — wtedy dałem mu figurkę skępską, stanęła na stoliku przy łóżku. Uśmiechnął się do niej jak dziecko, obracał ją co chwila, żeby objąć wzrokiem kształt.

Wyciągnął ręce do mnie, wstałem, żegnaliśmy się oczami. Najtrudniejsze z pożegnań, bo odbija światło tego co najczystsze w człowieku. W pociągu do Londynu zrozumiałem nagle co to jest *emotional nakedness* — te właśnie słowa przysły do głowy — uczucie tak obnażone, że nie chce żadnej pociechy. Tylko obraz z pamięci, jakby wypadł ze starych ram: nieżyjący już somalijski poeta Muuse Galaal, wierny sojusznik Bogumiła, który przyjechał do Londynu tak dawno temu, aby z nim współpracować. Był naszym wspólnym przyjacielem. Czasem na wieczornych spotkaniach u Bogumiła, kiedy nastrój wdychał magię, Muuse recytował poematy swojego szczepu — półspiew dotykający niewidzialnych strun w aliteracji — od nich drga rytm wiersza. Może teraz, w przedziale pociągu, to echo miało być przygotowaniem do requiem.

Bogumił Andrzejewski zmarł 1 grudnia 1994 roku, przed północą. Nowy księżyc wzeszedł dnia następnego.

Jerzy PIETRKIEWICZ

Melchior Wańkowicz

Melchior Wańkowicz był pisarzem, który w swoim życiu i swojej twórczości nie unikał zaangażowania politycznego. Był to jeden z powodów, dla którego przyczepiono mu w okresie międzywojennym etykietkę pisarza związanego z sanacją. Jak się wydaje, ta obiegowa opinia nie była w pełni uzasadniona. Kilkakrotnie, po zaklasyfikowaniu go jako stronnika jakiegoś obozu, wywoływał skandal nową książką czy artykułem publikowanym w prasie przeciwników, nie do pogodzenia z dotychczasową opinią o nim. Można przypuszczać, że w ten sposób bronił niezależności swoich sądów.

Tę swoją postawę, która charakteryzowała go przez całe życie, pisarz nazwał „relatywizmem”. W ocenie jego biografa, Mieczysława Kurzyny:

„(...) pisarz w tym demonstracyjnym chwaleniu się relatywizmem przesadza. Tak, w wielu kwestiach podstawowych jest wierny imponderabiliom, i to tym najwcześniejszym, wyniesionym z rodzinnego domu i konspiracji niepodległościowej: ojczyzna, uznanie dla pracy, respekt wobec prawdziwej wiedzy, szacunek dla prostego człowieka, podziw dla tych, co własnym trudem osiągają szczyty, oto zasadnicze zręby tej postawy. Dla relatywizmu pozostawały obszary bardziej abstrakcyjne, te, w których można sobie — jak mówi Wańkowicz — popięknoduszyć”.

Indywidualizm Wańkowicza, niezależność poglądów jest istotnym elementem jego tożsamości kresowego szlachcica, podobnie jak głębokie zakorzenienie w zbiorowej mentalności Polaków, styl szlacheckiej gawędy, język, specyficzne poczucie humoru — cechy, które zjednywały mu słuchaczy i czytelników.

Przewidziana przez Wańkowicza w „Na tropach Smętka”² klęska wrześniowa nie dotknęła go tak, jak bardzo dotknęła go przedstawiająca ją propaganda: niemiecka, sowiecka, francuska, a zwłaszcza... polska — szerzona przez antysanacyjny rząd Władysława Sikorskiego. Propaganda ta, pomniejszająca wysiłek wojenny polskich żołnierzy i kwalifikacje polskiego dowództwa, wykazująca korupcję wyższych urzędników oraz ucisk biedoty przez klasy posiadające itp., służyła zgodnie interesom wszystkich wymienionych stron, choć każdej z innych powodów. Sprowokowało to zawsze przekornego Wańkowicza do przeciwstawienia się „fałszom i bredniom”³. W obozach uchodźców w Rumunii w 1940 roku wygłasza odczyty pod tytułem „Inna twarz Polski”, obrazujące wbrew defetystycznym plotkom wrześniowy wysiłek armii polskiej. Píše „Wrześniowym szlakiem”, włączony następnie do większego zbioru pt. „Wrzesień zagwiący”. Emigracyjne władze polskie uniemożliwiają mu wydanie w Paryżu w 1940 r. książki na ten temat, widząc w tym obronę

1. Kurzyna M. „O Melchiorze Wańkowiczu — nie wszystko”. Warszawa 1975, s. 289.

2. Kąkolewski K., „Wańkowicz krzepi”. Wydawnictwo Lubelskie. Lublin 1984. ss. 22-23.

3. Ziółkowska A., „Wstęp” (w:) Wańkowicz M., „Droga do Urzędowa”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1989. s. 10.

sanacji⁴. Oburzają pisarza także personalne ataki, insynuacje i pomówienia sanacyjnych ministrów. W książce „Droga do Urzędowa” *porte-parole* autora, Hanke, mówi:

„Niewątpliwie (...) zamknięcie do kozy ludzi mających do niedawna najwyższą władzę, jest dla gawiedzi niedawno od nich zależnej, łatwym żerem. Gawieź ma do nich pretensje, jak tłum podczas *circenses*, że męczennicy zachowują się biernie. Tłum pragnie, aby składali oświadczenia, które by mógł wyszydzać. Są pewne pozycje, w których każdy gest jest śmieszny. Człowiek przyłapany w gaciach, albo który wpadł do kałuży, będzie śmieszny, cokolwiek by chciał powiedzieć z najwyższą godnością. Życie prywatne — kufry, walizki, żony, kochanki, niedyspozycje żołądkowe — to wszystko wypadło w katastrofie jak zawartość skrzyni, która rozbiła się i stała się łupem tłumu. Zakłamywać — nie. Ale pomóc wstać. I nie dać zakłamać Rzewnickich, że klęskę spowodowały ludzkie przyzwary ministrów”⁵.

Relacjonując swoje rozmowy z Beckiem i Śmigłym, które miały miejsce w Rumunii po klęsce wrześniowej, pisarz stara się zachować bezstronność sądu. Zarzuca Beckowi chciejstwo, gdy ten wyznaje, że jeszcze na przełomie 38/39 roku sądził, iż Hitler nie powziął jeszcze ostatecznej decyzji i że agresja niemiecka może skierować się najpierw na Bałkany⁶. Zarzut ten jednak wydaje się chybiony, skoro także dziś są historycy, podzielający ten pogląd Becka. Również Śmigły robi na Wańkowiczu nie najlepsze wrażenie. Wykreowany przed wojną na wodza narodu, wydaje mu się teraz nazbyt ludzki⁷.

Nie oszczędza także Sikorskiego, którego opisuje niezyczliwie. Wśród jego zwolenników widzi głównie „kundli” (od tego słowa Wańkowicz ukuł termin „kundlizm” na określenie stosunków panujących na emigracji), natomiast z sympatią wyraża się o towarzyszących Sikorskiemu piśmudzczykach⁸.

„Zdrada Zachodu w Jałcie” budzi oburzenie Wańkowicza, któremu daje on wyraz m.in. podczas odczytu dla brytyj-

4. Kurzyna M., „Wańkowicz”. Agencja Autorska i Zjednoczenie Księgarstwa. Warszawa 1972. s. 35.

5. Wańkowicz M., „Droga do Urzędowa”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1989. s. 146.

6. tamże, s. 154.

7. tamże, s. 158.

8. tamże, ss. 371-2.

skich spadochroniarzy oraz w liście do Churchilla. Zarazem z pewną konsternacją i podziwem konstataje fakt, iż łatwość, z jaką Anglicy przyznają mu moralną rację, idzie w parze z szacunkiem, jaki żywią dla cynicznych polityków, popełniających świnstwa w interesie swojego kraju.

O rządach komunistów w Polsce pisarz nie wypowiada się w czasie swojego pobytu na emigracji. Dopiero w jego odczytach i książkach napisanych po powrocie do kraju po 1956 roku, pojawiają się zarówno krytyczne, jak i pochwalne akcenty wobec nich. Trzeba zauważyć, że twórczość Wańkowicza to przede wszystkim reportaże. Pisarz opisuje to, co sam widział, z czym zetknął się osobiście, bądź przekazuje relacje bezpośrednich uczestników opisywanych wydarzeń. Trudno sobie wyobrazić, by pozostając na emigracji Wańkowicz mógł w ten sposób cokolwiek napisać o nowej władzy w Polsce. W tym chyba należy widzieć główną przyczynę jego wstrzemięźliwości na ten temat.

Wykpiwa chciejstwo gen. Andersa i jego wyższych oficerów, przewidujących po kapitulacji Niemiec rychły wybuch wojny aliantów z Rosją. Drwi z „sielisko-gospodarskiego planowania w epoce wojny atomowej”, gdy generał rozpoczęcie działań wojennych przewiduje na jesień — „bo po żniwach”⁹.

Pragnąc przygotować emigrację na życie wśród obcych, poddaje ją surowej krytyce. Pisze m.in. „Kundlizm”¹⁰. Omalia szeroko nasze wady narodowe, wskazując wśród nich bezinteresowną zawiść, oscylowanie między megalomanią a kompleksem niższości, biurokratyczne skłonności urzędników, kult niekompetencji, protekcje i kliki, przekonanie, że dorabianie się to kolekcjonowanie przywilejów, snobizmy wielkopañskie, karykaturalne pozostałości kultury szlacheckiej jak tytułomania i „całujrąckizm”¹¹. Zarzuca emigracji jałowe politykierstwo, krytykuje brak zdecydowanego oporu wobec upokorzeń serwowanych przez rząd angielski i brak politycznej wizji przyszłości, arogancję wobec Anglików i kompleks niższości wobec nich, hołubienie Churchilla i przyjmowanie brytyjskich orderów. Wytyka niski poziom emigracyjnej prasy (brak aktualnych materiałów, brak wiadomości z Polski). Gwałtownie odcina się od uchwały emigracyjnego Związku

9. Wańkowicz M., „Karafka La Fontaine'a”. Wyd. Literackie, Kraków 1983-84. s. 11.

10. Kurzyna M., „Wańkowicz”. AA i ZK. Warszawa 1972. s. 37.

11. Wańkowicz M., „Kundlizm”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1989. ss. 97-123.

Pisarzy, zakazującej drukowania w kraju¹², za co spotkał się z potępieniem władz związku¹³.

Uważa, że emigracja polska nie powinna zamykać się w getcie i uprawiać kultu symboli, lecz być otwarta na sprawy kraju, w którym żyje.

Uwaga, jaką poświęcał Wańkowicz Polonii amerykańskiej, wiąże się ściśle z jego oceną globalnej sytuacji politycznej oraz antycypowaną wizją przyszłości, jaką jego zdaniem przyniosą zapoczątkowane z I wojną światową procesy historyczne. Obie wojny światowe są mianowicie przejawem niszczenia dotychczasowego porządku światowego, na gruzach którego powstanie nowa cywilizacja. Czasy sobie współczesne nazywa Wańkowicz „Międzyepoką”:

„Treścią epoki jest panowanie określonej tezy. Wysunięcie antytezy stwarza Międzyepokę. Widzimy zderzenie też liberalizmu i totalizmu i przeczuwamy syntezę przyszłej epoki: 'wolny człowiek w planowanym świecie'”.

Zdaniem pisarza, zmiana, jaka zachodzi właśnie, to zmiana zasadnicza, jakiej nie było od 1500 lat¹⁴. Tymczasem żadna ze stron zimnowojennego konfliktu nie reprezentuje idei zdolnej pociągnąć ludzkość. Ideą tą nie jest ani komunizm, ani liberalizm¹⁵. Komunizm i faszyzm były przede wszystkim łamaniem praw jednostki w imię dobra ogółu. Dlatego zwycięski w II wojnie światowej komunizm nie jest w stanie zbudować nowego porządku — podeptał podstawowe prawo¹⁶. Upadek komunizmu nie będzie oznaczał zwycięstwa liberalizmu, lecz tylko konsternację i konieczność dalszych poszukiwań. Główna rola w procesie tworzenia nowej cywilizacji przypadnie Ameryce, która obecnie nie jest zupełnie do tego przygotowana. Jest skazana na przywództwo, choć na razie nie dorasta do niego kulturalnie. Jednak to właśnie jej przypadnie zadanie stworzenia nowej kultury z wielości istniejących kultur świata. Ona też powinna stworzyć rząd Federacji Światowej, choć nie rozporządza jeszcze dostateczną siłą materialną po temu. Tylko taki rząd światowy ochroni Polaków przed skutkami ich

12. Wańkowicz M., „Klub Trzeciego Miejsca”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1989. ss. 56-65.

13. List M. Wańkowicza do J. Giedroycia, 08.07.1947.

14. Wańkowicz M., „Polacy i Ameryka”. Wyd. Polonia. Warszawa 1991. ss. 179-180.

15. Wańkowicz M., „Klub Trzeciego Miejsca”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1991. s. 18.

16. tamże, s. 44.

fatalnego położenia geopolitycznego¹⁷:

„Gwarancją istnienia Polski może być tylko rząd światowy, oparty na nadchodzącej cywilizacji Nowej Epoki. Czynnikiem kształtujący ten rząd musi rozporządzać zasobami materialnymi i duchowymi. Ta jednak istnieje między nimi różnica, że Rosja nigdy uniwersalnych walorów reprezentować nie będzie, uosabiając jedną tylko i nie przeżyta cywilizację euroazjatycką. Stany Zjednoczone, nie zablokowane kulturalnie tak jak Rosja, odbijające od brzegu kultury europejskiej, przedstawiają większą zdolność obustronnej duchowej asymilacji z kulturami świata i mogą wygrać wyścig, którego Rosja wygrać nie ma możliwości”.

Stąd znaczenie emigracji polskiej w Ameryce i jej zadania:

„Uświadomienie sobie własnych walorów, stworzenie kultu pracy, która pozwoli na czynne wejście do rodziny świata, to najcelowsza droga emigracji politycznej. (...) Polska emigracja polityczna ma wszystkie dane, by zająć pierwsze miejsca w tym szeregu jutra”¹⁸.

W liście do Czapskiej (z 19.05.1948) Wańkowicz skarży się na niezrozumienie przez emigrację miejsca i roli Polaków w ówczesnej sytuacji:

„Emigracja polska nie rozumie, że rozgrywka jest trójfazowa: 1 faza — podkopanie starej epoki przez totalizm Nr 1, 2 faza — rozbicie jej ostateczne przez totalizm Nr 2, trzecia: załamanie się totalizmu Nr 2 na rzeczywistość, której nie zdoła opanować, dzieje go bowiem wytworzyły dla wielkiej, ale doraźnej roli — rozbicia, a nie budowania, które ma być oparte na maksymalnie wolnej jednostce w maksymalnie planowanym świecie. (...) Gdybyśmy mieli przed sobą tylko 1 fazę — można by grać na kartę zachodnią i tępić Bobkowskich, lub wschodnią — i też tępić Bobkowskich. Ale skoro sytuacja jest stokroć trudniejsza i na długi dystans, należy nie nie łączyć, nie bać się prawdy, wchodzić w siebie i pracować. Inaczej będziemy tylko agentami którejś ze stron, podczas gdy obie strony, obaj patronowie czy to Andersów, czy Bierutów — przegrają”.

17. Wańkowicz M., „Polacy i Ameryka”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1991. ss. 187-188.

18. tamże, ss. 224-225.

W dziele upowszechniania powyższych poglądów liczył na paryską *Kulturę*, która przez pewien czas udzielała mu swoich łamów. W liście do Giedroycia pisał, że przyszłość przyniesie syntezę kultury europejskiej i azjatyckiej poprzez zrastanie świata i awans kulturalny narodów Azji. Powtarzał, że wszelkie dane na przywództwo nowej kultury w nowej cywilizacji ma Ameryka. W związku z tym wyśmiewał prowadzoną w *Kulturze* „krucjatę o kulturę śródziemnomorsko-chrześcijańską” z Ameryką jako liderem. Jego zdaniem „Ameryka jest w ogonie kultury europejskiej”, chociaż jest w awangardzie kultury światowej. Liczył także, iż *Kultura* zechce upowszechnić jego idee zawarte w broszurze pt. „Klub Trzeciego Miejsca”.

„Klub Trzeciego Miejsca nie jest bynajmniej klubem, mającym ambicję przeprowadzić nas przez Międzyepokę, ale raczej ambicję przeprowadzić ich do nowej epoki. Byłoby to piękne zadanie dla pisma. (...) Mimo wszystkie składania 'niepodległości' w dotychczasowym znaczeniu do lamusa, nie składamy do lamusa ani swojego przywiązania do narodu, ani do ziemi, na której mieszka. Nie jest to uczucie wsteczne, ani w poprzek rzeczywistości, tylko najnaturalniejsze i najbardziej twórcze”¹⁹.

Myśli, jakie zawarł Wańkowicz w „Klubie Trzeciego Miejsca” odnoszą się bardziej do Polaków pozostających w kraju niż na emigracji i dotyczą strategii politycznej narodu w bieżącym okresie historycznym. Powtarza on za Piłsudskim, że Polska skazana jest na wielkość i zdaje się sam tak uważać, ale w następnych zdaniach, taktownie, by nie urazić niczych uczuć patriotycznych, wskazuje na rozbieżność między polską tradycją historyczną a realnym znaczeniem Polski. Ta właśnie tradycja wielkości, której przejawem były niepodległościowe, romantyczne powstania, utrudnia proponowanie Polakom strategii przeczekania okresu złej koniunktury historycznej. Być może ona właśnie, wraz z faktem, że Polacy są „narodem historycznym” (o długiej tradycji) sprawia, że naród polski zdolny był przetrwać tak długi okres niewoli. Uważa jednak, że obecnie należy uniknąć niepotrzebnego bohaterstwa i strat. Zastrzega się przy tym, że nie chodzi mu o propagowanie „programu łatwiejszego życia”, czy o odbieranie Polakom zdolności do poświęceń. Z tego punktu

19. List M. Wańkowicza do J. Giedroycia, 6.10.1951.

widzenia potępia powstanie warszawskie, choć rozumie, że naród nie był zdolny do bezczynności, zaś dowództwu AK zabrakło odwagi cywilnej wezwać do stania z bronią u nogi²⁰. Twierdzi także, że w polskich powstaniach decydującą rolę grała obca agentura. Jest przekonany, że Rosja jest w stanie tylko rozbić stary porządek, ale nie potrafi urządzić świata. Uważa, że iść przeciwko Rosji ze stroną skazaną na przegranie jest bezmyślnym samobójstwem, natomiast iść z Rosją to dać upust krwi dla doraźnych zysków — tak można streścić kalkulacje polityczne Wańkowicza. Konkluduje, że nie należy angażować się w walkę fazy przejściowej (stąd taki, a nie inny tytuł książki), albowiem pokonanie Rosji nie rozwiąże jeszcze naszych problemów, tak jak nie rozwiązało ich pokonanie Niemiec²¹. Żaden bowiem układ sił, ani Niemcy, Rosja, ani podzielone wewnętrznie Międzymorze nie jest gwarancją dla Polski²² (przy czym przez Międzymorze pisarz rozumie obszar między Niemcami a Rosją, między morzami Czarnym i Śródziemnym a Bałtyckim, zamieszkiwany przez narody połączone wspólnotą kulturową²³).

Przesłanie „Klubu Trzeciego Miejsca” rozumiano także w ten sposób, iż:

„zasadniczą tezą tej książki jest twierdzenie, że Polska leży w strefie kulturalnej Zachodu i geopolitycznej Wschodu. Wobec tego Polacy, którzy chcą do czegoś dojść, muszą czynić kompromisy zarówno po tej, jak i po tamtej stronie”²⁴.

Do końca życia Wańkowicz zachował swą przekorę, nie pozwalając się zawłaszczyć żadnej opcji politycznej. Do kraju powrócił w 1958 roku. Doceniał socrealizm wtedy, gdy już od niego odchodzono. W 1964 r. naraził się na proces, podpisując się pod „listem 34-rech”. Z upodobaniem prowokował swoich czytelników i słuchaczy (np. podczas odczytu, gdy na sali przeważały nastroje niechęci wobec władz, wywoływał konsternację twierdzeniem, że w kierownictwie partii

20. Wańkowicz M., „Klub Trzeciego Miejsca”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1991, ss. 51-52.

21. tamże, ss. 14-16.

22. Wańkowicz M., „Polacy i Ameryka”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1991. s. 223.

23. Wańkowicz M., „Droga do Urzędowa”. Wydawnictwo Polonia. Warszawa 1989. ss. 364-365.

24. Ziółkowska A. „Wstęp” (w:) Wańkowicz M., „Droga do Urzędowa”. Wyd. Polonia, W-wa 1989 s. 9.

widzi dobrych Polaków). Postulował ograniczenie, jeśli nie zniesienie cenzury. Utrzymał zażyłe stosunki towarzyskie z Mieczysławem Rakowskim, co nie przeszkodziło mu zgodzić się objąć funkcję redaktora naczelnego pisma, które miało być wydawane poza cenzurą. W urzeczywistnieniu tego zamiaru przeszkodziła jednak jego śmierć w 1974 r., zanim pismo zaczęło się ukazywać.

Wańkowicz był pisarzem, który na tle środowisk literackich kraju i emigracji wyróżniał się niezależnością sądów, stylem pisarstwa i politycznym wizjonerstwem. Jego książki, z których większość to reportaże, pisane były językiem prostym, łatwym i zrozumiałym, w stylu właściwym dla szlacheckiej gawędy. Można sądzić, że posiadanie własnego wydawnictwa nauczyło Wańkowicza dbałości o zaspokojenie gustu możliwie szerokiej rzeszy czytelników, gdy jednym z istotnych mierników wartości jego książek była liczba sprzedanych egzemplarzy. Potrafił trafić do prostych ludzi, przekazując nieraz treści bardzo złożone. Jak się wydaje, nie jest to wśród polskich pisarzy powszechna umiejętność.

Niestety, te jego dzieła, w których snuł polityczne wizje, nie były w Polsce wydawane. Nastąpiło to dopiero w ostatnich latach, gdy ogromna popularność Wańkowicza już przysięgała. Gdyby jednak żył dłużej, albo gdyby Solidarność mogła powstać 10 lat wcześniej, Wańkowicz miałby wszelkie szanse stać się jednym z duchowych ojców polskiej rewolucji i jej symbolem, zaś polska literatura byłaby bogatsza o reportażowy zapis sierpniowych strajków, napisany przez mistrza tego gatunku literackiego. Niestety, zmarł przedwcześnie i dziś pozostaje już w cieniu. Środowiskom opozycyjnym zaś nie powiodła się próba wykreowania na wieszczą narodowego Miłosza, ze względu na jego trudny, hermetyczny język i twórczość, która nie mogła znaleźć oddźwięku w szerokich masach.

Bogusław WŁODAWIEC

Książki

Spór o PRL

Przed kilku laty rozgorzała wśród historyków niemieckich dyskusja na temat miejsca Trzeciej Rzeszy w dziejach Niemiec — tzw. *Historikerstreit*. Czy okres hitlerowski był aberracją i odchyleniem od linii rozwojowej czy też stanowił kulminację trendów, które istniały od dawna i nabierały na znaczeniu? Debata przybrała bardzo ostry charakter z nieuniknionymi politycznymi akcentami. Oczywiście bieżący spór na temat miejsca PRL w historii Polski i ocena czterdziesto- pięciolecia różni się istotnie od niemieckiej debaty, ale pewne elementy są wspólne. Rozbieżności w opinii szerszego grona Polaków są duże, a podtekst polityczny jest też widoczny. Ważne są różnice pokoleniowe i fakt życia w tym czasie w PRL czy poza krajem. Dobrze więc się stało, iż z inicjatywy Jana Nowaka-Jeziorańskiego podjęto na łamach *Tygodnika Powszechnego* próbę przedyskutowania tej złożonej problematyki pod ogólnym tytułem „Spór o PRL”. W ośmiu artykułach, które ukazały się od maja do października ub.r. zabrało głos czterech historyków, jeden socjolog-filozof, jeden historyk literatury, jeden pisarz, scenarzysta i reżyser, oraz inicjator całej debaty. Z wyjątkiem tego ostatniego wszyscy należą do środowiska warszawskiego, co jest być może jedyną słabą stroną, ale o tyle zrozumiałą, iż historycy, zwłaszcza ci których do dyskusji zaproszono, należą do najwybitniejszych znawców dziejów PRL.

Ważnym jest, aby artykuły te nie utonęły w niepamięci, gdyż wnoszą dużo wartościowych uwag, ocen i interpretacji. Mam nadzieję, że *Tygodnik* wyda je wszystkie w formie broszury, ale zanim to nastąpi chciałbym pokusić się o krótkie zaprezentowanie głównych tez i poglądów. Liczę, że w moim

streszczeniu uda mi się uniknąć przeinaczeń lub wypaczenia myśli autorów. Jeśli to się jednak zdarzy chciałbym z góry ich za to przeprosić.

Cykl rozpoczyna w numerze z 15 maja pod tytułem „Bilans zamknięcia” Krystyna Kersten znana z wielu cennych publikacji, zwłaszcza z pionierskiej książki „Narodziny systemu władzy: Polska 1943-1948”. Na wstępie autorka przypomina znaczący fakt, a mianowicie, że życiorysy 93 % Polaków powyżej czterdziestu lat są wpisane w historię PRL. Wynika z tego oczywista potrzeba obrony własnego sensu życia, co powoduje, że większość Polaków nie może traktować lat 1945-89 jako niebyłych, ale ocenia je w zależności od własnych postaw i zachowań. Dotykamy tu zasadniczej sprawy ocen i Kersten wysuwa konieczność ustalenia podstawowych kategorii niezbędnych do przeprowadzenia możliwie obiektywnej dyskusji. Według niej są to w pierwszym rzędzie: suwerenność państwa, demokracja, praworządność, sprawiedliwość społeczna, tradycje kulturowe, wartości narodowe, swobody wyznaniowe, modernizacja i awans cywilizacyjny, poziom życia, mentalność i poziom kultury społeczeństw, stan elit, siły twórcze państwa i społeczeństwa. Autorka stwierdza, że jakkolwiek dostrzega wagę bardzo dziś ekspozowanego rozróżnienia między okresem stalinowskim a Polską lat 1957-89, to uważa, iż cezura 1956 r. nie naruszyła w zasadniczy sposób podstaw systemu i zależności od ZSSR.

Krystyna Kersten skupia swą uwagę na trzech problemach: suwerenności i niepodległości, totalitaryzmie, oraz relacji między państwem/partią a społeczeństwem. Odnośnie pierwszego zagadnienia przeprowadza rozróżnienie między niepodległością (stan faktyczny) a suwerennością (stan prawny) stwierdzając, iż PRL była państwem suwerennym ale równocześnie podległym. Analizując brak niepodległości autorka pokazuje w interesujący sposób wielopłaszczyznowość stosunków ZSSR z satelitami lub, by użyć wyrażenia Ochaba, „państwami garnizonowymi”. Mechanizmy i procedury dominacji sowieckiej były niewątpliwie skomplikowane i nie wszystkie są dotąd zbadane, ale jakkolwiek ich istnienie jest niezaprzeczalne to w opinii Kersten, większość Polaków postrzegała istniejące państwo jako państwo polskie i nie przeciwstawiała Polski Ludowej „prawdziwej Polsce”.

Pojęcie totalitaryzmu, jak autorka przypomina, jest od dawna przedmiotem sporów i w przypadku Polski uważa ona, iż od zarania mamy tu do czynienia z totalitaryzmem „ułomnym” i pozbawionym „wewnętrznych sił napędowych”.

W tych warunkach następowało unarodowienie komunizmu raczej niż komunizowanie narodu. W relacjach państwo/partia a społeczeństwo Kersten podnosi fakt przenikania się tkanki kulturowej i treści wnoszonych przez system.

Jeżeli chodzi o bilans zamknięcia, to autorka kładzie nacisk na kwestię punktów odniesienia. Czy przeprowadzamy bilans w każdej dziedzinie czy bilans globalny? Czy porównujemy rozwój PRL (wychodząc z 1945 r.) z rozwojem Polski międzywojennej od 1918 r. poczynając? Można również porównywać sytuację po 1990 r. z okresem komunistycznego czterdziestopięcioletnia. Podsumowując, Krystyna Kersten stwierdza, iż historię PRL należy rozważać w kontekście przenikających się czynników jak kulturowe podłoże, doktrynalne założenia i zewnętrzna zależność. Widziana w tym sensie PRL stanowi „kolejne ogniwo łańcucha narodowych dziejów”, ogniwo „szczególne, albowiem położenie Polski po II wojnie światowej nie miało precedensów”.

Następny artykuł z 3 lipca pióra Jerzego Holzera, autora m.in. pierwszej historii Solidarności wydanej w Bibliotece *Kultury* nosi tytuł „Historia nie zna bilansów”. Kwestionując możliwość dokonania bilansu, autor uważa, że należy ograniczyć się do refleksji, z tym że kładzie szczególnie nacisk na komparatystykę. Zaczyna od przypomnienia kontekstu doświadczeń po drugiej wojnie światowej, podkreślając z jednej strony hekatombę wojenną a z drugiej kryzys gospodarczo-społeczny lat 1929-33 wiążący się w łańcuch przyczynowy prowadzący do wybuchu światowego konfliktu. Centralnym zagadnieniem powojennym była, jego zdaniem — patrząc z perspektywy europejskiej — chęć znalezienia podstaw nowego uniwersalnego ładu europejskiego. Dwie odmienne odpowiedzi na istniejące wyzwanie widzi w połączonych z „wielkomocarstwowym współzawodnictwem i współdziałaniem” odpowiedziach — amerykańskiej i sowieckiej.

Pierwsza z nich przyjęła formę rozciągnięcia patronatu nad Europą — poprzez takie instytucje współpracy między państwowej jak Pakt Północnoatlantycki — na podstawie uniwersalistycznej ideologii wolności obywatelskich i osobistych, demokracji politycznej, gospodarki rynkowej, oraz zabezpieczenia równowagi gospodarczo-społecznej w Europie poprzez jakąś formę państwa opiekuńczego, czy państwa dobrobytu. Druga, to sowiecki patronat nad Europą oparty na integracji militarno-gospodarczo-społecznej na bazie uniwersalistycznej ideologii komunizmu i mający zabezpieczyć równowagę gospodarczo-społeczną poprzez podporządkowanie

ekonomii decyzjom państwa. Ta druga odpowiedź została narzucona Polsce i okazała się w skali europejskiej fałszywa. Dyskusję jednak na temat korzyści czy strat jakie Polska odniosła w stosunku do stanu wyjściowego a więc lat międzywojennych Holzer uważa za pozbawioną większego sensu. Istotne jest porównanie jakie można przeprowadzić z odbudową, rozwojem itd. innych państw w tym samym czasie.

Autor podkreśla, iż wszystko co działo się w Polsce stanowi część historii Polski, co nie oznacza jednak, iż osiągnięcia były zasługą władzy. Przeciwnie przypisuje się zaborcom zasługi za przemiany gospodarcze na ziemiach polskich w XIX wieku ani za rozkwit polskiej literatury. Inną kwestią jest zapewnienie Polsce pokoju i międzynarodowego bezpieczeństwa, co jest zagadnieniem międzynarodowym. Otóż nie można udowodnić, iż Polska byłaby gorzej zabezpieczona jeśli stanowiłaby podówczas część Europy Zachodniej. Holzer stwierdza, iż dochodzimy tu do prawd banalnych, a mianowicie, że w wielu zakresach Polska zmieniła się w podobnym kierunku jak inne kraje w Europie oraz że „znajdowała się w jednym ze stabilnych porządków europejskich, podobnie jak inne kraje kontynentu”.

Podkreślając fakt, że Polska wyboru nie miała, Holzer uważa za zasadne porównywanie PRL z innymi tzw. demokracjami ludowymi i zauważa większe pole manewru w Polsce — choć trudno je dziś precyzyjnie określić — od 1956 r., a w sferze kościoła od 1971 r. Wreszcie autor porusza palącą — zwłaszcza z politycznego punktu widzenia — kwestię winnych i niewinnych za komunizm w Polsce. Przeprowadzając rozróżnienie między czterema grupami ludzi zaangażowanymi w jakąś działalność polityczną (przeciwnicy systemu, organiczni, fanatycy i konformiści-karierowicze) postrzega on fakt istnienia ruchomych granic pomiędzy nimi. Uwagi na temat skomplikowanego problemu „win i zasług” w likwidacji komunizmu i budowaniu Polski demokratycznej (czym innym zresztą była rola uczestników w pierwszym i drugim) prowadzą Holzera do konkluzji, że historia PRL nie wyczerpuje się ani w „hańbie domowej” ani w walce z komunizmem. „Tej historii nie da się pisać siekierą ani nawet skalpelem wytrawnego chirurga, który odetnie co chore, zostawi co rokuje nadzieje na przyszłość”.

Charakter następnej wypowiedzi pt. „PRLowskie mity i realia” w numerze z 17 lipca różni się dość wyraźnie od poprzednich. Może wpływa to z faktu, iż autor Michał Głowiński jest teoretykiem i historykiem literatury, a więc

patrzy na tę tematykę z perspektywy innej dyscypliny. Głowiński zaczyna od stwierdzenia, iż w potocznej świadomości PRL zaczyna wchodzić w sferę mitu. Dla jednych jest synonimem piekła, dla innych sielankowej arkadii. Są wreszcie ci którzy łączą wstręt do PRLu ze wspomnieniami rajy utraconego. Autor podkreśla brak języka jakim mówiłoby się o historii najnowszej, choć przyznaje, że Krystyna Kersten i niektórzy historycy mają już pewne osiągnięcia w sferze klasyfikacji zjawisk. Ale istnieje znaczący rozdział między dyskursem naukowym a mową potoczną. W tej drugiej mitologia dominuje.

Według Głowińskiego PRL jest „dzisiaj problemem poznawczym, moralnym, ideowym” i dziedziną którą chce się zająć to głównie sfera kultury. I tutaj odrzuca zarówno tezę o kulturze jako wytworze PRL jak też „skrajną wersję” Wojciecha Karpińskiego, według której to co cenne powstało jedynie na emigracji. Osiągnięcia Pendereckiego, Lutosławskiego, Mirona Białoszewskiego, obrazy świetnych malarzy nie są oczywiście wytworami Polski Ludowej, nie należy ich też traktować jako „jasnej strony PRL”. Głowiński tłumaczy osiągnięcia w dziedzinie kultury w kategoriach „nieustannego spięcia” między dążeniem do swobodnej ekspresji ze strony artystów a nie sprzyjającymi okolicznościami zewnętrznymi. W tym sensie twórcy brali PRL w nawias i „robili swoje”, zwłaszcza kiedy ewoluujący system pozostawiał artystów i pisarzy we względnie spokojnym.

Na pytanie „co nam zostało z tych lat” Głowiński nie widzi jeszcze możliwości dania pełnej odpowiedzi. Jest przekonany jednak, że to co było makulaturą pozostanie makulaturą, a w różnych dziedzinach pozostaną klasycy — muzyki jak Lutosławski, teatru jak Kantor czy literatury jak Białoszewski.

Andrzej Paczkowski, historyk znany m.in. z pierwszej biografii politycznej Stanisława Mikołajczyka a ostatnio z opracowanych źródeł do referendum z 1947 r., jest autorem kolejnego artykułu „Wojna o PRL”, który ukazał się 7 sierpnia. Rozpoczyna swe wywody od stwierdzenia faktu, iż obecnie mamy do czynienia z obroną „osiągnięć” PRL, która rozpętuje polityczne namiętności i wymaga ustosunkowania się do niej. Zgadza się, że historia nie zna bilansów, ale uważa, że można próbować wyłuskać z przeszłości różne elementy i poddawać je wartościującej analizie.

Jakie były najbardziej charakterystyczne składniki wyróżniające okres 1945-1989 w całym procesie dziejowym narodu, społeczeństwa i państwa? Po pierwsze, PRL była częścią

imperium ideologicznego, w którym „językiem wspólnym” był marksizm-leninizm. Granice odchylenia czy odstępstwa były wytyczone interwencją sowiecką na Węgrzech w 1956 a w Czechosłowacji w 1968 r. Czynnikiem sowiecki był decydujący dla mechanizmu władzy, funkcjonując i jako straszak („wejda”) i jako ochrona zewnętrzna (gwarant bezpieczeństwa). Autor cytuje wypowiedź z archiwów KC PZPR, wskazującą na niepokój w ekipie Jaruzelskiego, iż „polityka Gorbaczowa... stopniowo zmniejsza oddziaływanie straszaka radzieckiego będącego w Polsce istotnym zaworem bezpieczeństwa”.

Drugą cechą charakterystyczną było trójpanowanie, czyli koncentracja władzy politycznej, ekonomicznej i informacyjnej (duchowej). W tym sensie monopol partii stanowił jądro systemu.

Wynikiem powyższego monopolu była (trzecia cecha) polityzacja strefy ekonomicznej i tu właśnie mamy częste obecnie dyskusje na temat tego, czy monopol ten nie dawał jednak dobrych wyników. Przeprowadzając wnikliwe porównania z innymi państwami Paczkowski dochodzi do wniosku, że w porównaniu z miejscem RP w gospodarce europejskiej w 1928 r. nie nastąpiły żadne istotne zmiany. To co stanowiło *novum*, to prymat produkcji środków produkcji podporządkowanej wymogom armii i zbrojeń.

Wszehobecnym hasłem w PRL była sprawiedliwość społeczna, co autor widzi też jako cechę charakterystyczną. Zauważa jednak, że awans społeczny tak mocno podkreślany jako osiągnięcie był rzeczą normalną w procesie modernizacyjnym. To co wyróżniało go w PRL, to charakter awansu pionowego działającego jak pompa ssąca do aparatu państwowego. Stąd częste powiedzenie o partii, iż jest „właścicielem PRL”.

Cały ten proces miał miejsce kosztem ogromnych ofiar i odbywał się przy akompaniamencie terroru, tego „ostrego miecza rewolucji” jak mówiono. Oczywiście autor rozróżnia poszczególne fazy i zaznacza, że po 1956 r. „władza daje ludziom żyć — ludzie władzy rządzić”. Zwiększający się zakres koncesji ze strony władzy wynika z faktu silnego i trwałego oporu a nie wzrostu dobrej woli ze strony rządzących.

Konkluzja Paczkowskiego odnośnie miejsca PRL w dziejach nie różni się zasadniczo od poprzednich. Okres PRL jego zdaniem „należy, tak jak inne, do dziejów narodowych” i to nie tylko dlatego, że żyło w nim kilka pokoleń Polaków, ale głównie dlatego, „że tradycja, i działający ludzie, odcisnęli

własne, niepowtarzalne piętno na żelaznym gmachu tamtego systemu”.

Przechodząc od Paczkowskiego do „Dziedzictwa zamętu” pióra Piotra Wojciechowskiego w numerze z 28 sierpnia, widzimy kontrast między analizą zawodowego historyka a nieco impresyjnymi i z punktu widzenia formy literackiej interesującymi sformułowaniami pisarza, scenarzysty i reżysera. Nie chcę przez to powiedzieć, iż wizja Wojciechowskiego jest mniej prawdziwa a jego obserwacje mniej ważne, ale tylko, że mają inny charakter. Są to właściwie rozważania i próby opisu mentalności i nastawień ludzkich w PRL.

Porównując Polskę z 1939 i z 1989 roku autor stwierdza, że są to „dwa różne kraje, dwa różne społeczeństwa”. Punktem wyjścia dla dzisiejszej rzeczywistości był rok 1945, kiedy to naród demograficznie osłabiony i wyczerpany wojną pragnął pokoju i spokoju. Nie chcąc już wojować, musiał „załatwić”. Ale pokój przynosił z sobą zamęt pojęciowy i demoralizację społeczeństwa. Rozpoczęła się żmudne poszukiwanie syntezy z realizmem. Reforma rolna, na przykład, była nakazem sprawiedliwości i rozumu, ale wykonanie jej było częścią perfidnej polityki reżymu, a styl wykonania był wręcz bandycki. Wojciechowski pisze o bolesnym czasie „beładnego ładu” krzywdy i osamotnienia”, który „nie miał swej prawdy, musiał więc mieć obfitość mitologii”. Podkreśla zwycięstwo zła i wszehobecność nachalnie wciskanego kłamstwa; nieobecność i nieważkość prawdy. Pod grozą wojny atomowej rodzą się nadzieje na wolność, ale i tu wobec ryzyka nowych technologii zniszczenia nadzieje te stają się „trochę niemoralne”.

Długie rozważania z dużą ilością przykładów na temat zamętu pojęciowego, który stawał się powszechny, nie dadzą się streścić w kilku zdaniach. Może takie podtytuły jak „Drugi układ i społeczeństwo niczyje” czy „Dziedzictwo” dadzą czytelnikowi jakieś pojęcie w jakim kierunku idzie myśl autora. „Zamęt w myśleniu i wartościowaniu, relatywizowanie nie tylko założeń moralnych, lecz również praw logiki” oto spadek PRL. Odziedziczyły go nie tylko grupy stanowiące „kontynuację społeczeństwa niczyjego”.

Artykuł kończy się serią pesymizmem i goryczą wypełnionych zdań: „Mitologiczny nurt myślenia spotężniał i zwyrodniał zupełnie. W sztuce dławią go błazeńskie procedury postmodernizmu, w mediach kompromitują beliwerie reklamy, w życiu duchowym wysysa z niego resztę soków tłumaczona z amerykańskiego popularna literatura psychologiczna”. Czy

akord końcowy artykułu to czekanie na Godota?

„Dwie historie” wybitnego socjologa Jerzego Szackiego w numerze z 11 września rozpoczynają się od przeprowadzenia rozróżnienia między wszystkim co zdarzyło się na obszarze Polski od 45 lat a tym co można „sensownie uznać za bezpośredni rezultat istniejącego podówczas systemu politycznego oraz ideologii”. Autor zauważa, iż często zakłada się, iż te dwa zakresy są do siebie bardzo zbliżone i gdyby nie było obszarów oporu, „dokładnie by się ze sobą pokrywały”. Stąd skłonność do traktowania okresu PRL albo jako „dziury w polskiej historii” albo jako „normalnego okresu”. Szacki odrzuca oba poglądy i stwierdza, że nawet najbardziej totalitarny system polityczny nie obejmuje wszystkiego co dzieje się na obszarze, który kontroluje. W wypadku PRL postuluje on jako warunek dyskusji konieczność określenia do jakiego stopnia i w jakim sensie funkcjonował system totalitarny. Zdaniem autora państwo komunistyczne nigdy nie miało efektywnej kontroli nad całym życiem społecznym. Istniała raczej niepisana umowa z rządzącymi: „wy dacie nam rządzić, my zaś pozwolimy wam robić to, co chcecie (lub sporo z tego, co robić chcecie) w tych dziedzinach, które z punktu widzenia utrzymania przez nas władzy nie mają zasadniczego znaczenia”.

Oczywiście jak Szacki podkreśla, te dziedziny względnej swobody były bardzo ograniczone i umowa powyższa nie była korzystna dla społeczeństwa. Jednocześnie „projekt ideologiczny” nie wyznaczał kolein działalności społeczeństwa lub jego poszczególnych członków. Analizując poszczególne dziedziny życia Szacki stwierdza, iż jeśli Polska jest dziś taka jaka jest to nie tylko dlatego, iż przez długie lata była PRLem, ale też dlatego, że jej obywatele w takiej lub innej mierze robili na własną odpowiedzialność to co robili. Autor zastrzega się, że nie zamierza robić bilansu, ale chce odróżnić wyraźnie ocenę systemu (negatywną) od oceny dorobku społeczeństwa (niekoniecznie negatywnej).

Podkreślając, iż społeczeństwo składało się w dużej mierze z ludzi, dla których powstanie PRL „nie było końcem świata, ani jej upadek nie jest jego początkiem”, Szacki postuluje potrzebę dwóch historii PRL: historii politycznej i historii społecznej. Zdaje sobie oczywiście sprawę, że kompletne rozdzielenie tych dwóch historii nie jest możliwe, ale zamazywanie różnic utrudnia rozumienie zjawisk. Autor zastrzega się, że nie chodzi mu o propagowanie czarno-białego schematu: złe państwo — dobre społeczeństwo, ale o

przebadanie tego „jak to było”. Brzmi to jak słynne Rankego „*wie es eigentlich gewesen war*”.

Wywody socjologa kontrastują z następnym artykułem z 18 września pióra Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Napisany z pasją polemisty artykuł brzmi jak surma bojowa. Już sam tytuł: „Moje rozrachunki z PRL, gigantyczne oszustwo” zapowiada, iż emigracyjny polityk i szef Polskiej Rozgłośni Radia Wolna Europa chce nie tylko przeprowadzać socjologiczną diagnozę zła, ale i wskazywać na jego moralno-polityczny zasięg i skutki. Druga część artykułu w numerze z 25 września nosząca tytuł „Od Trzeciej Rzeczypospolitej do Drugiej Polski Ludowej” nie tylko przedstawia bilans, ale bije na alarm przed recydywą. Są to najbardziej polityczne artykuły z całego cyklu i zawierające najostrzej sformułowane tezy.

Nowak zaczyna od przypomnienia jak Sowiety narzuciły Polsce swoje wasalne rządy krok po kroku od Katynia po stworzenie PRL, maskując to wobec świata i polskiego społeczeństwa. To właśnie było tym „gigantycznym oszustwem”, które zdaniem autora przetrwało po dziś dzień. Jego odbicie widzi w sformułowaniach Holzera, stawiających rzekomo na równi patronat amerykański na zachodzie z sowieckim na wschodzie i w których jest mowa o akceptacji, choć pod przymusem, systemu komunistycznego. Podobnie autor zdumiewa się, iż w 1989 r. w *Tygodniku Powszechnym* można było pisać o dwóch orientacjach — „londyńskiej” i tej drugiej — porównując je jak gdyby z orientacjami Piłsudskiego i Dmowskiego. Innym przykładem słów-klamstw jest pojęcie ograniczonej suwerenności, czy też mówienie o „wojnie domowej” zacierającej różnice między utrwalaczami narzuconej władzy a Polakami walczącymi o niepodległość.

Nie posądzając używających tej terminologii o intelektualną nieuczciwość, Nowak sądzi, iż fenomen zupełnie odmiennej wizji można jedynie wytłumaczyć różnicą pokoleń. Inaczej musieli widzieć pierwszy kształtujący okres 1945-49 ci którzy go znali z autopsji, a inaczej ci którzy poznawali proces narzucania władzy ludowej „z drugiej ręki albo przez filtr przeinaczeń i przemilczeń”. Autor rozwija tę myśl przywołując wspomnienia tych pierwszych lat „wymiatania faszyzmu” pod którym to sloganem mamy i proces Szesnastu i mordowanie akowców. Nowak nie zgadza się z Holzerem, że bilans PRL nie należy do historyków i uważa, że bilans ten musi być dokonany. Porównując postęp techniczno-gospodarczy w okresie PRL stwierdza, że należy go porównywać z powojenną Hiszpanią a nie Drugą Rzeczpospolitą a także obliczać

koszty jakimi został dokonany: terror, marnotrawstwo kapitału i pracy, zacofanie rolnictwa, skażenie otoczenia. Można mówić o zlikwidowaniu analfabetyzmu, polityce pełnego zatrudnienia i awansie społecznym chłopów i robotników jako o realnych zdobyczach, ale znów musimy pamiętać za jaką cenę zostało to dokonane.

Nowak nie zgadza się z tezą, że lata PRL były „przerwą” w dziejach Polski i że należy je wykreślić. Istniała bowiem odwrotna strona medalu. Okres Polski Ludowej był bowiem pasmem „zwycięstw ukoronowanych bezkrwawym wyzwoleniem państwa spod obcej dominacji własnymi siłami”. Czynem bohaterskim była odbudowa Warszawy; godnym podziwu był opór chłopów przeciw kolektywizacji; Kościół zdołał przetrwać, gdyż „wszelkie piekielne moce nie zdołały wyłamać bram tej twierdzy”. Autor uważa za wspaniałe to, że inteligencja twórcza tak szybko wydobyła się z upodlenia. „W latach Polski Ludowej — Polska prawdziwa, pokonując niedostatek i odcięcie od Zachodu pomnażała swoje wartości”. Nowak wymienia długą listę twórców kultury i składa hołd robotnikom. Stwierdza, że „żaden inny naród nie zapłacił za odzyskanie wolności tak okrutnej i wysokiej ceny”.

Jak to się stało, Nowak pyta, iż naród polski osiągnął swój cel „zachowuje się tak, jakby mu na wolności nic nie zależało”. Sondaże opinii wskazują na nostalgię za PRL. Komuniści i ich sojusznicy wygrali wolne wybory; następuje recydywa PRL w sensie powrotu do „zakłamej terminologii, fałszywych kryteriów i ocen postaw ludzkich”. Przytacza takie fakty jak zrównanie dat 1 sierpnia (powstanie warszawskie) i 22 lipca (Manifest PKWN). Szeroko analizuje to co nazywa konfliktem dwóch systemów wartości symbolizowanych sprawą Zacharskiego i Kuklińskiego.

Zdaniem Nowaka fakt, iż odzyskaniu niepodległości i suwerenności w czterech ścianach przy okrągłym stole nie towarzyszył jakiś dramatyczny akt zerwania z Polską Ludową, zaważył na dalszym rozwoju sytuacji. Nie rozwiązano parlamentu i nie rozpisano nowych wyborów; nie było jak w Czechosłowacji uroczystego aktu restytucji Rzeczypospolitej Polskiej i rewizji peerelowskich ustaw, nie odebrano przysięgi na wierność odrodzonej Rzeczypospolitej, pozostawiono sądownictwo w rękach uprzednich sędziów itd. itd. Autor zastanawia się, jak wyglądałyby powojenne Niemcy czy Francja gdyby nie przeprowadzono w nich denazyfikacji i nie usunięto z życia politycznego Pétaina i Laval. A przecież nie było tam czystek: Kiesinger i Schmidt byli w młodości w

organizacjach hitlerowskich a Mitterrand pracował dla rządu w Vichy.

Czy w Polsce nie stało się to, ponieważ ekipa z 1989 r. „nosiła w sobie jakieś wewnętrzne hamulce?” Nowak podkreśla, iż stara się zrozumieć ludzi, którzy urodzeni i wychowani w PRL w jakimś sensie się z nią utożsamiają. Przypomina, iż zawsze uważał, że linia podziału „my” i „oni” przebiegała w poprzek partii. Szkicuje tu interesujące porównanie ze znanym filmem „Most na rzece Kwai”, w którym w końcu jeńcy angielscy dają się wciągnąć w budowę mostu służącego interesom wroga i są zrozpaczeni, gdy zostaje on zbombardowany przez ich własnych ludzi. „Zdecydowane rozgraniczenie tego co było i jest złe — od tego, co było i jest dobre, musi być połączone z otwartym podejściem do ludzi, którzy myślą inaczej, bo wyrastali w innych warunkach”. Nowak kończy swój długi artykuł ostrzeżeniem. Nawrót do drugiej Polski Ludowej może przynieść klęskę w walce o pamięć społeczną — która sprawia, że naród jest narodem — i odizolować Polskę stawiając ją ponownie w stanie zagrożenia jej niepodległości.

Ostatnim artykułem, który chciałbym tu omówić — a nie wiem czy będą jeszcze następne — to Wojciecha Roszkowskiego „Wczoraj czy dziś?” w numerze z 2 października. Nazwisko autora związało się szczególnie z opasłym tomem pt. „Najnowsza Historia Polski 1918-1980”, którą wydał najpierw w drugim obiegu pod pseudonimem Andrzej Albert, a następnie za granicą i w kraju. Drugie wydanie poprawione i rozszerzone wyszło nakładem PWN w 1992 r. i zostało zakwalifikowane przez Ministra Edukacji Narodowej do użytku szkolnego. Dlatego też opinie Roszkowskiego zasługują niewątpliwie na baczną uwagę.

Autor rozpoczyna od ważnego stwierdzenia, iż „do świadomości ukształtowanej przez PRL nie może najwyraźniej trafić oczywisty fakt, iż nie ma prawdziwych ocen politycznych bez ocen moralnych”. Roszkowski występuje przeciw relatywizacji przeszłości i indyferentyzmowi zagrażającemu zanikiem norm i więzi społecznych. Jego zdaniem w ocenach PRL szafuje się zbyt często doświadczeniami i zaangażowaniami osobistymi ze szkodą dla argumentów obiektywnych. Przy tym miesza się oceny ludzi, ich czynów i samego systemu. Prowadzi to do moralnego zamętu, bo nie osądzisz do końca *systemu* i unikając oceny czynów wydaje się pochopne sądy o osobach.

Roszkowski nie ma wątpliwości, iż należy wyraźnie

powiedzieć, że chodzi tu o „ocenę systemu instytucji i wartości... który stanowił ramy dla Polaków ostatnich dwóch pokoleń”. System ów opierał się na dwóch „chorych fundamentach” — podległości i dyktaturze; inne zjawiska to pochodne cechy. Autor rozprawia się z argumentem, pozornie nie do odparcia, że ponieważ innego państwa nie było trzeba było działać w takich ramach jakie były, podkreślając, iż jest to argument w obronie działania a nie systemu. Mieszanie tych dwóch rzeczy jest dla Roszkowskiego typowe dla mentalności komunistycznej. W związku z tym przytacza wspomnienia Gomułki, w których po tysięcznych peanach na rzecz komunizmu znajdujemy uwagę, iż pod koniec życia doszedł do wniosku, iż był to system zbrodniczy. Autor zapytuje: „czy brak tu rozumu czy uczciwości?” A także: „Czy byli w ogóle prawdziwi komuniści?”

PRL zdaniem Roszkowskiego nie była okresem „przerwy w historii”, bo nie ma przerw w historii, są natomiast okresy gorsze i lepsze. „System polityczny” PRL należał do najgorszych i autor przypomina tu wszystkie dobrze znane cechy jak monopartia, terror, upaństwowienie gospodarki, izolacja od zewnątrz, zakłamanie, negatywna selekcja kadr itd. prowadzące do atomizacji społeczeństwa i zaniku tradycyjnych więzi społecznych.

Twierdzenie, iż w okresie PRL dokonano postępu w wielu dziedzinach, może być słuszne, ale nie jest to argument na rzecz *systemu* PRL. Postęp gospodarczy w okresie rozbiórów nie bywa przypisywany zaborcom. Porównanie, które ma sens, to porównanie pozycji gospodarczej przedwojennej RP z krajami nieco ją wyprzedzającymi jak Finlandia, Hiszpania, Włochy, czy pozostającymi nieco za nią jak Grecja czy Portugalia, z produktem narodowym brutto na mieszkańca Polski w 1989 r. a tymiż krajami. PNB Finlandii wypadnie wówczas 11 razy większy, Włoch 8 razy, Hiszpanii 5 razy, Grecji 3 razy a nawet Portugalii 2,5 raza większy od PRL. Zaiste trudno mówić o „beprzykładnym rozwoju”.

Roszkowski tłumaczy niechęć ze strony Polaków do uznania niektórych prawd oczywistych, „efektem odbicia”. Przez tyle lat żądano przyznawania, że czarne jest białe, że przeciętny Polak jest instynktownie nieufny nawet wobec dowodów, że system w którym musiał żyć był zły. Autor konkluduje, iż ocena PRL „musi opierać się na osądzie systemu. Dopiero wówczas ocenić można postawy oraz zachowania własne i innych”. W rezultacie następstwem „oceny PRL jako systemu niech będzie nie tyle jego bilans,

ile rachunek sumienia każdego z nas, którzyśmy w tym systemie żyli”.

Ustosunkowanie się do przedstawionych tutaj w ogromnym skrócie wywodów ośmiu wybitnych specjalistów wymagałoby odrębnego artykułu. W paru uwagach końcowych ograniczę się jedynie do paru spostrzeżeń. Wydaje się, że nie ma zasadniczej różnicy między autorami co do „przerwy” w dziejach. Istotnie dla historyka pojęcie takie nie istnieje. Z kolei zgodziłbym się, że sporządzanie bilansu jest bardzo trudne, gdyż może prowadzić do większych dowolności i subiektywizmu niż pozwala na to nauka. Równocześnie historyk ma nie tylko prawo do ocen, ale w praktyce robi to cały czas w trakcie dziejopisarskiego zawodu, poczynając od selekcji źródeł, krytyki czy wreszcie badania alternatyw i przeprowadzania porównań. Nie oznacza to, że popieram „gdybanie” jako sztukę dla sztuki, bo tego typu zabawa intelektualna jest w końcu dość bezowocna.

Personalne zaangażowanie i polityczne zabarwienie, których historyk nie może nigdy w pełni uniknąć, występują oczywiście szczególnie jaskrawo w przypadku dziejów najnowszych, gdzie historyk jest równocześnie świadkiem czy uczestnikiem opisywanych wydarzeń.

Komparatystyka jest nieodłączną częścią warsztatu historyka, ale oczywiście w pewnych rozsądnych granicach — możemy porównywać tylko to co jest względnie porównywalne. Dla mnie osobiście porównania Polski z resztą Europy — i to nie z Anglią czy Francją, ale raczej z Włochami czy Hiszpanią — które występują w szeregu wyżej cytowanych artykułów są jeszcze najbardziej przekonujące. Paralele z Drugą Rzeczpospolitą należy traktować ostrożnie, a to samo odnosi się do porównań z innymi epokami. Oczywiście mają one swoją wartość, iż przypomnę implikowane niegdyś analogie uprzemysłowienia Królestwa Kongresowego przez Druckiego-Lubeckiego do industrializacji odgórznej w PRL. W powyższych artykułach zresztą prób takich widzimy mało.

Summa summarum, „Spór o PRL” dostarcza nam wiele materiałów do przemyśleń. Jak już wspomniałem dobrze by było, aby artykuły te ukazały się w całości w formie broszury. Moim celem było jedynie przybliżenie tej debaty czytelnikowi i podkreślenie najcelniejszych uwag i sformułowań wybitnych uczonych, którzy w niej wzięli udział.

Piotr WANDYCZ

Ocalanie przeszłości

Państwa na świecie można podzielić na te, które dostarczają innym emigrantów politycznych i te, które ich przyjmują. Polska należy do tej pierwszej grupy, Stany Zjednoczone do drugiej. Już samo stwierdzenie emigranci polityczni ze Stanów Zjednoczonych wydaje się absurdalne. Jednak jak wykazała Alicja Iwańska i ten kraj ma swych politycznych emigrantów i to nie pojedyncze jednostki, ale całe emigracyjne fale. Pierwszy ogromny exodus politycznych emigrantów miał miejsce w XVIII wieku, kiedy to przed nowym porządkiem politycznym uciekali, z lęku przed represjami, lojaliści, opowiadający się za utrzymaniem związków z Anglią. Drugi nastąpił w sto lat później — byli to konfederaci, którzy opuszczali Południe po przegranej wojnie z Północą. Także i wiek XX przyniósł politycznych emigrantów z USA — przeciwników obowiązkowej służby wojskowej w czasie wojny wietnamskiej, ale w tym przypadku — może przede wszystkim ze względu na typ emigracji — mówi się raczej o uchodźcach politycznych.

Problemem amerykańskich emigrantów politycznych zainteresowała się Iwańska — profesor socjologii na wielu amerykańskich uniwersytetach — w 1976 r., kiedy to obchodzono dwusetlecie niepodległości Stanów Zjednoczonych. Wydawało jej się dziwne, że tak mało mówi się o tych, którzy tej niepodległości byli przeciwnikami, że ze zbiorowej świadomości ówczesna różnica poglądów, która przecież doprowadziła do wojny, została wyparta. Chciała odpowiedzieć na pytanie, co stało się z potomkami lojalistów? Idąc dalej zaczęła poszukiwać i innych uchodźców ze Stanów Zjednoczonych. Wręcz oczywiste było tu zainteresowanie się konfederatami.

W rezultacie tych poszukiwań powstała niewielka książeczka, licząca zaledwie 161 stron. Składa się ona z trzech części.

W pierwszej znajduje się taka uniwersalna definicja emigranta politycznego, która wyznaczyła obszar badawczy autorki:

„Emigrantem politycznym jest osoba, która albo jest zmuszona, by opuścić swój kraj rodzinny, lub decyduje się do niego nie wracać ze względu na to, że nie akceptuje panującego w kraju rodzinnym reżimu politycznego i decyduje się na podjęcie działalności, zmierzającej do obalenia tego reżimu. Czy taka aktywność rzeczywiście zostanie podjęta zależy od różnych okoliczności, a przede wszystkim od czasu, pieniędzy

i kontaktów z innymi emigrantami politycznymi. Jednak nastawienie na podjęcie takiej działalności jest podstawowym elementem tak zdefiniowanego emigranta politycznego”.

Czy rzeczywiście znalazła Iwańska osoby odpowiadające definicji emigranta politycznego w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych?

Przede wszystkim kwestia pierwsza. Okazuje się, że zarówno lojaliści jak i sto lat później konfederaci uznali ostateczność swej klęski. Nie próbowali niczego odzyskać, nie tworzyli politycznych struktur, które miałyby stanowić namiastkę tych zostawionych poza sobą. Nie stawiali się też na obalenie rządów w swych krajach. Tak więc w krótkim czasie właściwie przestali być uchodźcami politycznymi. Zmusiła ich do tego sytuacja polityczna, ale może przede wszystkim poczucie realizmu. Celem stało się zachowanie własnej odrębności, kultury, stylu życia.

I to drugie im się udało, choć w znacznie lepszym stopniu konfederatom niż lojalistom. Ci pierwsi osiedlili się w Kanadzie, w Nowym Brunzswiku, odkrojonym dla nich specjalnie od Nowej Szkocji, a więc znaleźli się w otoczeniu nie tylko posługującym się tym samym językiem, ale generalnie rzecz biorąc o podobnej kulturze i tradycji. W takim środowisku bardzo łatwo rozpląnąć się, utracić swą odrębność. Tak się też do pewnego stopnia stało i dopiero lata 60-te i 70-te, które przyniosły tak modne w Stanach i Kanadzie „szukanie korzeni”, spowodowały, że wielu potomków lojalistów zaczęło interesować się historią swych rodzin, ze zdumieniem dowiadując się, że są oni potomkami politycznych emigrantów z kraju, który dla wielu stał się oazą przed politycznymi prześladowaniami. Konfederatom było o tyle łatwiej, że ich miejscem docelowym stała się Brazylia, a więc znaleźli się w otoczeniu obcym kulturowo, religijnie, o odmiennej tradycji i obyczajowości. Tu konfederaci starali się odtworzyć swój wymarzony Dixiland. I w rezultacie ponieśli, w pewnym sensie, porażkę bardziej dotkliwą niż lojaliści. Konfederacyjna utopia nie dała się zrealizować. Zdecydowana większość konfederatów powróciła na „okupowane” przez Jankesów południe, ale ci, którzy w Brazylii zostali, stworzyli swą własną społeczność, w pewnym sensie zastygłą w czasie, nie podążającą za zmianami zachodzącymi w kraju ojców.

Książka Alicji Iwańskiej¹ nie jest tylko naukowym opracowaniem, do którego sięgać będą studenci socjologii. W żadnym

1. Alicja Iwańska „British American Loyalists in Canada and U.S. Southern Confederates in Brazil. Exiles from the United States”. The Edwin Mellen Press, USA, Canada, United Kingdom, 1993.

bowiem przypadku nie jest to nudny traktat naukowy. Może wynika to stąd, że jest to książka wielowarstwowa. W części zatytułowanej „The Past” znajdują się fragmenty autentycznych pamiętników, opisujących życie przed, w trakcie i po emigracji. Jak wszystkie dokumenty są one wprost fascynujące, tak jak były fascynujące dzieje ich autorów.

W części zatytułowanej „The Present” znajdziemy sprawozdanie z badań Iwańskiej przeprowadzonych wśród potomków dawnych emigrantów. A że autorka jest przeciwniczką „ankietologii” i w swych badaniach stara się o wyłowienie znaczeń, jej opisy są wartkie, prowadzone żywym językiem. I jak zwykle najbardziej interesujące są cytaty z autentycznych rozmów przeprowadzonych w miejscu zamieszkania osób badanych, czyli w „lojalistycznym” Federicton i „konfederacyjnej” Americanie.

Lecz to nie wszystko, bo oprócz tej warstwy formalnej w książkę wpleciony jest znakomity reportaż typu dziennikarskiego z perypetii badawczych Iwańskiej, a ponadto w każdym możliwym miejscu autorka wpisuje polskie odnośniki, nawiązując przede wszystkim do polskiej emigracji, którą zna bardzo dobrze, gdyż kilka lat przed omawianymi badaniami prowadziła badania nad rządami emigracyjnymi, polskim i hiszpańskim.

I jest jeszcze jedna historia, choć nie ma jej na stronach książki. Otóż okazało się, że w kraju uchodzącym za symbol demokracji i wolności wydanie pracy o emigrantach politycznych tego kraju jest bardzo trudne. Przez wiele lat Iwańska bezskutecznie szukała wydawcy. Dopiero gdy ze Stanów przeniosła się do Wielkiej Brytanii w *Literary Supplement* do londyńskiego *Timesa* znalazła ogłoszenie amerykańskiego wydawcy, poszukującego prac monograficznych gotowych do wydania. Pozytywna odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Wszystko to sprawiło jednak, że książka została wydana dopiero dziesięć lat po napisaniu. Niestety cena książki jest wręcz prohibicyjna, jakby wydawca uważał, że jedynym jej przeznaczeniem jest to, by spoczęła na półkach zasłużonych bibliotek naukowych.

W wydanym jakby równolegle pamiętniku² Alicja Iwańska wspomina o omawianych tu badaniach i rozmowach prowadzonych z potomkami emigrantów politycznych:

„Bardzo chciałam, aby... zrozumieli, dlaczego im się tak udało w porównaniu z innymi politycznymi uchodźcami. Tłumaczyłam im, że ich przodkowie budowali swą przyszłość na pogodzeniu się z klęską, podczas gdy myśmy nigdy żadnej klęski nie uznali za ostateczną... Anglosaski realizm, z któ-

2. Alicja Iwańska, „Potyczki i przymierza. Pamiętnik 1918-1985”, Gebethner i Ska, Warszawa 1993.

rego ich potomkowie są nadal tacy dumni? Tak, tego realizmu nigdy u nas nie było. Byliśmy zawsze maksymalistami”.

No tak — można by odpowiedzieć, ale właśnie gdyby nie ten „maksymalizm” nie mielibyśmy wolnej Polski. Tylko nie taka ona jakbyśmy chcieli, bez względu na to czy mieszkamy w kraju czy poza nim, a jej narodziny w praktyce oznaczają koniec emigracji, która — nie godząc się z klęską i wciąż licząc na swój powrót do kraju — nie wytworzyła struktur, które będą mogły przetrwać dziesiątkami lat. Za dwieście czy nawet sto lat badacz podobny do Iwańskiej pewno nie będzie mógł przeprowadzić podobnych badań wśród polskich potomków emigrantów politycznych dwudziestego wieku.

Katarzyna BZOWSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

- STEFANOWSKA (Zofia). *Strona romantyków*. Studia o Norwidzie. Str. 152 i 8 nlb. (Wydawnictwo Naukowe KUL, Lublin 1993).
- WILCZAK (Jagienka). *Musicie zabić*. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. „Aneks”, Polityka, Londyn-Warszawa 1994).
- DUREJKO (Agnieszka). *Polskie wiersze znad Dźwiny*. Str. 122 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autorki, Wrocław 1994).
- TRZNADEL (Jacek). *Powrót rozstrzelanej armii* (Katyń — fakty, rewizje, poglądy). Str. 388 i 28 nlb. (Fotografie i ogłoszenia „Antyku”) (Wyd. „Antyk”, Komorów 1994).
- KOWALIK (Jan). *Wiersze wybrane*. Str. 108. (Wyd. Norbertinum, Lublin 1994).
- Studia o Stanisławie Vincenzie*. Redakcja Piotr Nowaczyński. Str. 278 i 2 nlb. (Wydawnictwo KUL, Lublin-Rzym 1994).
- RUTKOWSKI (Krzysztof). *Stos dla Adama albo kacerze i kapłani*. Str. 236 i 4 nlb. (Wydawnictwo Bellona, Wydawnictwa Fundacji „Historia pro futuro”, Warszawa 1994).
- Straty bibliotek w czasie II wojny światowej*. Część III. Bibliografia. Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Ministerstwo Kultury i Sztuki, Straty Kultury Polskiej, Warszawa 1994).
- Straty bibliotek w czasie II wojny światowej w granicach Polski z 1945 roku*. Wstępny raport o stanie wiedzy. Część I. Analiza. Część II. Tablice. Str. 424, mapa. (Wyd. Ministerstwo Kultury i Sztuki, Straty Kultury Polskiej, Warszawa 1994).
- POKSIŃSKI (Jerzy). *„Spisek w wojsku” Victis honos*. Str. 302 i 42 nlb. (Fotografie). (Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1994).
- KUROPIESKA (Józef, generał). *Wspomnienia z lat 1956-1968*. Część druga — od października do marca w siłach zbrojnych.

- Str. 284 i 8 nlb. (fotografie). (Wyd. Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1994).
- Warszawa nad Tamizą. Z dziejów polskiej emigracji politycznej po drugiej wojnie światowej* — redakcja Andrzej Friszke. Str. 174. (Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1994).
- NOWAK (Andrzej). *Między carem a rewolucją. Studium politycznej wyobraźni i postaw Wielkiej Emigracji wobec Rosji 1831-1849*. Str. 370. (Instytut Historii PAN, Warszawa Oficyna Wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1994).
- Katolicki Uniwersytet Lubelski 75 lat w służbie Bogu i Ojczyźnie*. Album jubileuszowej wystawy. Str. 110 i 6 nlb. (Wydawnictwo KUL, Lublin 1994).
- Rocznik Polskiej Akademii Umiejętności*. Rok 1992/1993. Str. 250 i 2 nlb. (Wydawnictwo „Secesja”, Kraków 1994).
- Kwartalnik Filozoficzny*. Tom XXII, zeszyt 1-2 1994. Str. 266 i 2 nlb. (Wyd. Polska Akademia Umiejętności, UJ, Wyd. „Secesja”, Kraków 1994).
- HÜBNER (Piotr). *Siła przeciw rozumowi... Losy Polskiej Akademii Umiejętności w latach 1939-1989*. Str. 454 i 2 nlb. (Wyd. Polska Akademia Umiejętności, Wyd. „Secesja”, Kraków 1994).
- MAZURKIEWICZ (Roman). *Deesis*. Idea wstawiennictwa Boharodzicy i św. Jana Chrzyciela w kulturze średniowiecznej. Str. 248 i 40 nlb. — ilustracje. Wyd. Universitas, Kraków 1994).
- PRUCHNIEWSKI (Marek). *Historia noża*. Sztuka teatralna. Przedmowa Stanisław Bereś. Str. 72. (Wyd. *Notatnika teatralnego*, Wrocław 1994).
- Nauka polska wobec totalitaryzmów w 55 rocznicę wybuchu II wojny światowej*. Materiały sympozjum 15-17.09.1994 w Warszawie. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Historii PAN, Warszawa 1994).
- BIENIECKI (Kajetan). *Lotnicze wsparcie Armii Krajowej*. Str. 609 i 2 nlb. (Wyd. Arcana, Kraków 1994).
- Jaka konstytucja? Analiza projektów konstytucji RP zgłoszonych Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego w 1993 roku*. Opracowanie Instytutu Nauk Prawnych PAN. Str. 234 i 2 nlb. (Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1994).
- Wilno — Imię i słowo*. Album. Zdjęcia Vytautas Balčytis, tekst Vaidotas Daunys. Str. 128 i 4 nlb. (Wyd. Fundacja Regnum, Wilno 1993).
- ŚLUSARCZYK-LATIS (Józefa). *Śmiech deszczu*. Wiersze. Str. 62. (Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1994).
- Polska-Białoruś 1918-1945*. Studia i materiały pod redakcją Wiesława Balcerka. Str. 212. (Wyd. Instytut Historii PAN, Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód, Stowarzyszenie Polska-Białoruś, Warszawa 1994).
- MAGOWSKA (Anita). *Polska prasa studencka w II Rzeczypospolitej*. Str. 238 i 2 nlb. (Wyd. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań 1994).
- BOURDON (Viviane). *Savoureuse Pologne*. 148 recettes culinaires et leur histoire. Str. 252 i 4 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria, Libraire Polonaise, Paryż 1994).
- LECHOŃ (Jan). *Cramoisi, argent et noir*. Wybór, tłumaczenie z polskiego i redakcja Roger Legras. Tekst wierszy w języku polskim i francuskim. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Orphée/La Différence, Paryż 1994).
- ARSIĆ (Ljubica). *La Poudrière*. Tłumaczyła z serbsko-chorwackiego Mireille Robin. Str. 152 i 8 nlb. (Wyd. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria, 1994).

Notatki Redaktora

Nowe banknoty — wprowadzane obecnie w Polsce były drukowane w Anglii. Poprzednia, nieudana, seria była drukowana w Niemczech. Jest niezrozumiałe, dlaczego banknoty nie były drukowane w polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, która w swoim czasie była podobno doskonale wyposażona. Tak samo przed laty nowe paszporty drukowano na Zachodzie! Byłoby ciekawe dowiedzieć się, czy bilon był wybity w Mennicy Państwowej czy też gdzieś za granicą.

Wybory prezydenckie we Francji i Stanach Zjednoczonych przewidują dwukrotną kadencję prezydenta. Przyczynia się to znakomicie do sparaliżowania działalności państwa, gdyż zarówno ustępujący prezydent jak i partie polityczne są pochłonięte wyborami w ostatnim roku kadencji. Ma to miejsce również w Polsce i to w sposób bardzo drastyczny. Przypuszczam, że byłoby celowe uchwalenie, że kadencja prezydenta jest tylko jednorazowa. Warto by nad tym zastanowiła się komisja konstytucyjna sejmowa. A może referendum?

Wielkie namiętności wzbudziło postawienie na hruszowskim cmentarzu pomnika ku czci UPA. Zbudowany z czerwonego piaskowca przedstawia dwie połowy bramy połączone tryzubem. Niżej na płycie umieszczono napis w języku ukraińskim: chwała bohaterom UPA, bojownikom o wolną Ukrainę. Trwa jałowa dyskusja, że pomnik ten wzniesiono bez zgody władz administracyjnych. Ukraińcy bronią się, że nie jest to pomnik tylko nagrobek na cmentarzu. Byłby już najwyższy czas by zapomnieć o tych bratobójczych walkach

w przeszłości. Zapomina się, że UPA ma w społeczeństwie ukraińskim legendę bojowników o niepodległość Ukrainy, zaś polskie społeczeństwo traktuje ich jako bandytów mordujących ludność polską. A jednocześnie organizujemy obchody i stawiamy pomniki AK na Litwie i Ukrainie, zapominając jak negatywnie jest odbierana AK w opinii tamtych społeczeństw.

Podobne namiętności wywołuje sprawa pułkownika Kulińskiego. Jedynym logicznym rozwiązaniem — moim zdaniem — byłaby rehabilitacja pułkownika (a nie „uśłaskawienie”) z jednoczesnym przeniesieniem go w stan spoczynku.

Z Haiti powróciła jednostka GROM. Należy mieć nadzieję, że na tym zakończy się ta nieprzemyślana decyzja i że GROM nie zostanie zastąpiony innym oddziałem żandarmerii. Sytuacja na Haiti jest coraz bardziej skomplikowana i grozi wojną domową. Wszystko wskazuje na to, że to się skończy tak jak w Somalii. Niepotrzebne nam jest nowe San Domingo. Jednocześnie warto się zastanowić, czy nie należy wycofać oddziału polskiego z Bośni. Nieudolna polityka NATO i ONZ doprowadziła na terenie byłej Jugosławii do sytuacji bez wyjścia. Na to nie mamy żadnego wpływu i żadnej koncepcji, powinniśmy więc ograniczyć się do kontynuowania działalności charytatywnej, którą od początku prowadzimy z dużym poświęceniem i wysiłkiem.

Przy drastycznych obcięciach budżetowych, które dotykają również wojsko, jedynie budżet ordynariatu polowego został zaakceptowany, a obejmuje on wydatki na kapitalne remonty trzech świątyń oraz adaptację i rozbudowę 22 kaplic. Działalność biskupa polowego, gen. Głódzia, wzbudza coraz więcej zastrzeżeń, i — tak jak pisałem poprzednim razem — jedynym rozwiązaniem jest jego odwołanie.

Są coraz większe trudności finansowe z Kościołem. Teraz wypłynęła sprawa pensji dla katechetów, które do tej pory obciążały Kościół. Z punktu formalno-prawnego domaganie się pensji dla katechetów w szkołach jest uzasadnione. Niestety na to nie ma pieniędzy w budżecie, a stan szkol-

nictwa wygląda katastrofalnie. Nie przeszkadza to jednak przyznawaniu jednocześnie ulg celnych organizacjom katolickim. Trzeba to wreszcie w jakiś sposób uporządkować. A w każdym razie odłożyć ratyfikowanie konkordatu do uchwalenia nowej konstytucji i uzgodnienia go z polskim ustawodawstwem.

Sprawa afery związanej z uroczystościami na Monte Casino jest w dalszym ciągu nie wyjaśniona. P. Sulimierski pieniądze nie oddał, długi są nie uregulowane, a w dalszym ciągu szef Urzędu d/s Kombatantów, p. Dobroński, nie został zdymisjonowany. Zapewne jest pochłonięty przyznawaniem praw kombatanckich pracownikom UB.

REDAKTOR

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Polemiki

Spór o Powstanie Warszawskie

Spór o Powstanie Warszawskie jest potrzebny. Będzie się toczył jeszcze przez długie lata a może przez pokolenia, bo obraca się wokół odwiecznego, polskiego pytania: bić się czy poddać w obliczu przygniatającej przewagi wroga. Toczył się ten spór już w latach czynu zbrojnego Józefa Piłsudskiego. Dotyczy w równym stopniu Powstania Warszawskiego jak wrześnieowej decyzji stawienia czoła potędze niemieckiego napastnika w sytuacji, która z wojskowego punktu widzenia skazywała od początku na klęskę.

Argumenty ad personam

Spór jest pożyteczny, dopóki obie strony opierają się na znajomości faktów historycznych. Inaczej oceniam Powstanie Warszawskie aniżeli np. dr. Jan Ciechanowski lub Tomasz Łubiński, co w żadnym stopniu nie umniejsza mego szacunku dla ich wiedzy i racji. Niestety nie można tego odnieść do Andrzeja Korbońskiego, który znajomość faktów zastępuje pogardliwymi epitetami pod adresem przeciwników jak 'manipulowanie historią', 'ignorowanie niewygodnych faktów', 'powtarzanie banałów', 'propagowanie 'fałszywej legendy' itd.

Metody polemiczne stosowane między Polakami zbyt często zamieniają się w próby odbierania głosu albo pozabawiania wiarygodności przeciwnika. Nie można mu wierzyć bo to Żyd, albo należał kiedyś do partii więc się skompromitował, albo emigrant więc nie ma prawa się wtrącać itd. Do

tego arsenału A. Korboński dodał jeszcze jedno kryterium zamykające usta ludziom odmiennych poglądów. Jest nim wiek. „Starzy ludzie — pisze — grubo po siedemdziesiątce — monopolizują opinię publiczną przez propagowanie fałszywej legendy Powstania”. Wynikałoby z tego, że po przekroczeniu siedemdziesiątki nie należy się wypowiadać. A Korbońskiemu brakuje trzech lat do przekroczenia ustanowionego przez siebie cenzusu wieku.

Opóźniony marsz na Berlin

Szczególnie irytuje Korbońskiego stwierdzenie, wydawałoby się oczywiste, że Stalin kierując się względami politycznymi powstrzymywał celowo letnią ofensywę u bram Warszawy. Zarzuca mi powoływanie się na przestarzałą, bo wydaną w roku 1964 pracę Włodzimierza Wołoszyna „Na warszawskim kierunku operacyjnym”. W istocie nie chodziło o książkę a o ujawniony w niej po raz pierwszy dokument o kluczowym znaczeniu. Jak wiadomo dokumenty przedawnieniu nie podlegają. Chodzi o plan „Operacji warszawskiej” z dn. 8 sierpnia 1944 przesłany Stalinowi do aprobaty przez Żukowa i Rokossowskiego¹. Ofensywa miała się zacząć 25 sierpnia. Najwidoczniej Żukow, jako zastępca głównodowodzącego Stalina i Rokossowski dowódca frontu białoruskiego zgodnie uznali, że trzy tygodnie starczy im na przygotowanie się do następnego skoku. Operacja miała doprowadzić do uwolnienia Warszawy manewrem okrążającym od południa i północy.

Odrzucenie przez Stalina zamiarów wznowienia marszu na Berlin pociągnęło za sobą dalekosiężne skutki. Ofensywa została wznowiona dopiero 12 stycznia 1945, a więc z pięciomiesięcznym opóźnieniem. Twierdziłem, że wznowienie jej bezpośrednio po upadku Powstania to jest po 2 października nie było możliwe ze względów politycznych, bo stałoby się potwierdzeniem pojawiających się w prasie zachodniej oskar-

1. Pełny tekst telegramu do Stalina, oznaczony w wojskowym archiwum sowieckim nr 806, zespół 233, nr ewidencyjny 2356 t.28 — ogłoszony został w całości w wydanym po rosyjsku zbiorze: „ZSSR i Polska — 1941-45. Historia sojuszu wojennego. Dokumenty i materiały”. Wydawnictwo Terra, Moskwa 1994 str.218-219. Plan operacji warszawskiej podpisany został nazwiskami Żarow i Rumiancew. Marszałek Aleksander Wasilewski ujawnił, że były to pseudonimy Żukowa i Rokossowskiego. Informacja pochodzi od Andrzeja Pomiana.

zeń Stalina o zbrodnię skazania na zagładę ludności milionowego miasta. Być może ważniejsze było, że rozmokłe w porze jesiennej drogi i pola utrudniłyby poruszanie się czołgów i jednostek zmotoryzowanych. Jeszcze siódmego stycznia 1945 Stalin tłumaczył Churchillowi, że nie może przystąpić do ataku dopóki warunki atmosferyczne i zalegające nad Polską mgły nie pozwalają na wykorzystanie przewagi lotnictwa i artylerii².

Ofensywa, wznowiona 12 stycznia 1945, doprowadziła do zajęcia Warszawy w ciągu pięciu dni. Planowany już w sierpniu 1944 r. manewr okrążający zmusił Niemców do opuszczenia miasta bez walki. W dniu 22 stycznia, a więc w ciągu następnych pięciu dni, Pierwsza Ukraińska Armia Koniewa przekroczyła na południu Odrę. Na północy armia Żukowa dotarła i zatrzymała się na linii Odry 8 lutego. Zimowy skok z linii Wisły nad Odrę zajął 27 dni.

Niemcy mieli pięć miesięcy przerwy na przygotowanie obrony. Byli silniejsi w styczniu niż w sierpniu, bezpośrednio po klęsce poniesionej na Białorusi. Nic to im nie pomogło. Gdyby zgodnie z planem operacji warszawskiej ofensywa ruszyła w dniu 25 sierpnia (1944) wojska sowieckie znalazłyby się na linii Odry w końcu września.

Nikt nie przewidział załamania się frontu zachodniego po sforsowaniu przez aliantów Renu, 7 marca 1945. W ciągu miesiąca wojska alianckie rozlały się na Niemcy. W dniu 11 kwietnia 9 Armia amerykańska przekroczyła Łabę i znalazła się o 100 kilometrów od Berlina. Na północy Montgomery zajął Lubekę i posunął się dalej na wschód aż do Wismaru, 70 km na wschód od przyszłej granicy NRD. Na południu 3 Armia amerykańska przekroczyła w dn. 19 kwietnia granicę Czechosłowacji. W chwili kapitulacji Trzeciej Rzeszy alianci zajmowali znaczną część późniejszego NRD.

W dniu zawieszenia broni sytuacja uległaby odwróceniu, gdyby ofensywa na froncie wschodnim wyruszyła nie znad Wisły, ale znad Odry, odległej pod Kostrzyniem o 70 km od Berlina. Pięciomiesięczne opóźnienie operacji warszawskiej odebrało Stalinowi szansę uprzedzenia aliantów i zajęcia większej części terytorium Niemiec, „wyzwolenia” całej Austrii i Danii. Powojenny stosunek sił wyglądałby inaczej, zwłaszcza w pierwszych latach zimnej wojny, gdyby większość olbrzymiego potencjału przemysłowego i ludnościowego Nie-

2. List Stalina do Churchilla, p. W. Churchill „Tryumf i tragedia”, Boston 1953, str. 279.

mieć znalazła się w rękach sowieckich.

A. Korboński twierdzi, że nie było to możliwe, bo przecież granice dzielące strefy okupacyjne były dawno ustalone przez Europejską Komisję Doradczą z udziałem Sowieców. Naiwnością są przypuszczenia Korbońskiego, że Sowiety cofnęłyby się w granice swojej strefy, gdyby to im a nie aliantom udało się ją przekroczyć. Najlepszym dowodem ich zachowanie się w Wiedniu, który podobnie jak Berlin miał się znaleźć pod wspólną okupacją trzech mocarstw. Po zajęciu miasta Stalin natychmiast ogłosił powołanie „tymczasowego rządu austriackiego” i nie dopuścił do miasta misji brytyjskiej i amerykańskiej. Sowiety zgodziły się na wspólną administrację wojskową Berlina i Wiednia dopiero wówczas, gdy Truman uzależnił od tego wycofanie się aliantów na linię Łaby. Niestety prezydent USA odrzucił propozycję Churchilla, by odczekać z tym do spotkania Wielkiej Trójki i wycofanie się aliantów w granice swoich stref okupacyjnych uzależnić także od osiągnięcia kompromisu w sprawie Polski.

Było ironią losu, że Powstanie Warszawskie, które stało się powodem opóźnienia postępów Armii Czerwonej, uratowało niechcący Wiedeń i Berlin. Natomiast z punktu widzenia długofalowych interesów Polski trwający przez pół wieku podział Niemiec był z pewnością opcją o wiele pomyślniejszą niż wchłonięcie ich w orbitę sowiecką. Stalin błędnie ocenił w początkach sierpnia 1944 r. możliwości aliantów zachodnich, którzy rozszerzali dopiero swój niewielki przyczółek w Normandii.

Dlaczego Polska nie została XVII republiką sowiecką?

Nie byłem gołosłownym uzasadniając pogląd, że rozpaczliwa walka o odzyskanie niepodległości prowadzona z Niemcami (orężnie) i z Sowietami (środkami politycznymi), której punktem szczytowym było Powstanie, ocaliła Polskę przed wcieleniem do ZSSR i losem państw bałtyckich i Mołdawii. Po zajęciu kraju we wrześniu 1939 r. Polska straciła swoje znaczenie strategiczne. Jej heroiczny udział w wysiłku wojennym sprzymierzonych nie mógł wywrzeć większego wpływu na losy wojny, nabrał natomiast wielkiego znaczenia symbolicznego i politycznego. Zachowanie się Polaków po klęsce wrześniowej sprawiło, że ten niewielki kraj wysuwał siebie nieustannie na plan pierwszy i znalazł się w centrum uwagi rządów i zachodniej opinii publicznej. Aby się o tym

przekonać wystarczy policzyć ile czasu i uwagi gabinet brytyjski poświęcał sprawie Polski. Ile listów wymienionych między Churchillem i Rooseveltem dotyczyło Polski. Ile rozdziałów w pamiętnikach wojennych Churchilla obraca się wokół Polski. Dyskusje w sprawie Polski znalazły się na czołowym miejscu na porządku obrad w Teheranie. W Jałcie na osiem posiedzeń plenarnych aż na siedmiu dyskutowano o Polsce³. Churchill obliczył, że w brytyjskim protokole obrad aż 18 tys. słów to dyskusja na temat Polski⁴. To samo w Poczdamie. Trzy wielkie mocarstwa miały podjąć historyczne postanowienia decydujące o nowym, powojennym porządku świata na dziesiątki lat. Konferencja trwała 16 dni. Polska zajęła niewiele mniej czasu niż sprawa pokonanych Niemiec.

Stalin pogwałcił wszystkie postanowienia umowy jałtańskiej. Alianci na pewno nie wypowiedzieliby wojny, gdyby zdecydował się na wcielenie Polski do ZSSR. Z uwagi na pozycję symbolu, jaki polski opór zdobył dla Polski w opinii zachodniej, posunięcie takie byłoby politycznie zbyt kosztowne. Potrzebna była stopniowość i kamuflaż zachowywany przez Sowiety.

Radzę p. A. Korbońskiemu, by zapoznał się z dokumentami komunistów polskich w Moskwie w l. 1943-45. Część z nich m.in. Alfred Lampe, Wanda Wasilewska, Luna Brystygirowa, Zygmunt Berling wypowiadali się we własnym gronie za włączeniem Polski do ZSSR (Alfred Lampe przeciwny był nawet tworzeniu oddziałów pod sowieckim dowództwem). Popierał to stanowisko Komintern kierowany przez Georgi Dimitrowa. W sierpniu 1944 Wanda Wasilewska na spotkaniu w Lublinie z gen. Leonem Bukojemskim, zastępcą dowódcy okręgu lubelskiego poinformowała go, że Powstanie Warszawskie wpłynęło na zmianę stosunku władz ZSSR ze Stalinem na czele do koncepcji tworzenia siedemnastej Polskiej Republiki Rad⁵. Po Powstaniu, na jesieni 1944 r. Wasilewska zwróciła się z prośbą do Stalina o zwolnienie ze stanowiska wiceprzewodniczącej Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i zezwolenie na wycofanie się z udziału w polskim życiu politycznym. W swoich wspomnieniach pisze,

3. A. Eden, „The Reckoning”, s. 597.

4. W. Churchill, „Tryumf i tragedia”, s. 365 — cytowane za Krystyna Kersten: „Jałta w polskiej perspektywie”.

5. „Stosunki Rzeczypospolitej Polskiej z państwami zachodnimi 1918-1943. Wybór dokumentów”. Wybrał i opracował Jerzy Kumaniecki, PWN Warszawa 1991, pozycja 100.

że chciała pracować w skali Związku Radzieckiego⁶. Stalin wyraził swoją zgodę.

Model Polski Ludowej miał być formą przejściową. W r. 1948 Stalin w rozmowie z delegacją partii jugosłowiańskiej mówił o swoich zamiarach przyłączenia do ZSSR Polski, Czechosłowacji, Węgier i Rumunii⁷. Jego śmierć w 1953 r. ocaliła odrębność wasalnego państwa polskiego.

Co by było gdyby...

W odróżnieniu od Korbońskiego nie zapuszczam się w spekulacje, co by było gdyby do Powstania nie doszło. Czy w chwili zbliżania się Armii Czerwonej i niemieckiego odwrotu rozkaz „stania z bronią u nogi” był wykonalny? Czy też doszłoby do wybuchu żywiołowego i prób uchwycenia go przez komunistów? Czy Niemcy zachowałyby bezczynność wobec uzbrojonej armii podziemnej i wrogiej ludności milionowego miasta, które znalazło się w bezpośredniej bliskości linii frontu? Czy też zastosowałyby swoje nieludzkie masowe środki prewencyjne? Czy Warszawa ocalałaby, gdyby stała się polem bitwy między Niemcami a Sowietami? (Walki uliczne w Budapeszcie trwały sześć tygodni, ale w mieście nie było podziemnej armii węgierskiej). I wreszcie pytanie ostatnie: w jaki sposób Stalin wykorzystałby bezczynność AK w swojej dyplomatycznej i propagandowej grze o Polskę?

Nie usiłuję po 50 latach szukać jednoznacznej odpowiedzi na te pytania. Chodzi mi jedynie o postawienie się w położeniu dowódcy AK, który musiał liczyć się ze wszystkimi tymi zagrożeniami w chwili podejmowania decyzji. Twierdzę, że w ówczesnej sytuacji każda decyzja była zła prowadząc do katastrofy innego rodzaju. Korboński poza bezczynnością widzi zbawczy wariant w wycofaniu się AK z Warszawy razem z Niemcami. Pomijam już sam fakt, że tego rodzaju rozkaz byłby powszechnie uznany za zdradę. Przejście na stronę Niemców na pięć minut przed ich klęską usunęłoby Polskę z obozu zwycięskiej koalicji. To właśnie było celem Stalina. Posunięcie tego rodzaju usprawiedliwiłoby cofnięcie przez aliantów uznania rządowi londyńskiemu i uwol-

6. Wanda Wasilewska, „Wspomnienia 1939-1944”, *Archiwum Ruchu Robotniczego*, t. VII. Cyt. za Krystyna Kersten, „Narodziny systemu władzy”, s. 63.

7. Milovan Đilas, „Rozmowy ze Stalinem”. Zapis z lutego 1948.

niło ich od konieczności ratowania twarzy i stworzenia pozorów w Jalcie i Poczdamie. Polska zostałaby potraktowana jako kraj nieprzyjacielski a Stalin zdobyłby pretekst do eksterminacji i deportacji wszystkich żołnierzy AK i działaczy Podziemia jako hitlerowskich kolaborantów.

Równie niepoważne jest twierdzenie, że część AK można było wycofać do pobliskich lasów. Dla czterdziestotyśięcnej Armii Krajowej Warszawa była zapleczem, źródłem zaopatrzenia i osłoną. Los nielicznych oddziałów leśnych walczących w Kampinosie pokazuje, co stałoby się z tysiącami żołnierzy, którzy na oczach Niemców mieliby z bronią, amunicją i żywnością wymaszerować z miasta i schować się w „pobliskich lasach”.

Powstanie okupione było zniszczeniem miasta i straszliwymi stratami ludzkimi, które bezpośrednio po klęsce wydawały się daremne i pozbawione wszelkiego sensu. Z perspektywy 50 lat stają się widoczne nieprzewidziane i niezamierzone skutki Powstania. Jednym z najważniejszych był właśnie popowstańczy syndrom daremnie przelanej krwi, który działał hamująco w krytycznych sytuacjach 1956, 1970 i 1980-81 r.

Wskazywanie na te pozytywne i długofalowe aspekty nie znaczy, że bić się należy ilekroć nadarzy się okazja bez względu na szanse ostatecznego zwycięstwa. Chodzi raczej o to, by z historycznych doświadczeń nie wyciągać wniosków skrajnych i fałszywych. Naród, który zatracą gotowość do walki i poświęceń w obronie swoich wartości, skazuje siebie na zagładę.

Annandale, VA, 18.11.94

Jan NOWAK-JEZIORAŃSKI

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

20.11.94

Z okazji Światowego Dnia Poczty, Poczta Polska wydała jubileuszowy znaczek przedstawiający carskiego orła Romanowych z białym orłem na piersi. Głupota czy niedopatrzenie? Zapewne jedno i drugie. Czy nie było prościej wydać z tej okazji reprodukcję pierwszego znaczka polskiego wydanego w niepodległej Polsce w 1919 r.

24.11.94

Tegoroczną nagrodę im. Jana Karłowicza i Poli Nireńskiej otrzymali znany poeta Jerzy Ficowski i Michał Friedman, tłumacz klasyki literatury jidysz. Nagroda wynosi 5.000 dol.

1.12.94

Szef Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, Paweł Moczyłowski, podał się do dymisji. Powodem dymisji było zmniejszenie budżetu na więziennictwo i przepełnienie więzień. Dymisja została przyjęta. ■ W księgarni Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim odbył się wieczór promocyjny tomiku poezji słowackiej „Nacięcia w miodzie”. W spotkaniu brała udział poetka Viera Prokešová. ■ Polscy i litewscy geolodzy zapoczątkowali współpracę w zakresie badań geologiczno-środowiskowych. Obszar badań obejmuje pograniczne tereny Polski i Litwy, tj. około 9 tys. km² i został nazwany „Pasem Jadźwingów”. Jest on częścią tzw. „zielonych płuc” Europy — rejonu o wyjątkowo nie zniszczonym środowisku. Koordynatorami całego programu badawczego są ze strony polskiej dr Marek Graniczny, a ze strony litewskiej dr Jonas Satkunas. Badania prowadzą Państwowy Instytut Geologiczny z Warszawy i Państwowa Służba Geologiczna z Wilna.

5.12.94

Zmarł w Krakowie w wieku 66 lat, na skutek tragicznego wypadku, wybitny poeta, Tadeusz Śliwiak. ■ Miesięcznik *Teatr* przyznał swoją doroczną nagrodę za wybitne osiągnięcia sceniczne w sezonie 1993/94 Lechowi Raczakowi oraz aktorom Teatru Ósmego Dnia za całokształt działalności artystycznej.

6.12.94

Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej po raz trzeci przyznała swoje nagrody. Otrzymali je: prof. Krzysztof Selmaj za badania nad chorobami autoimmunologicznymi, prof. Zbigniew Grabowski za nowe metody śledzenia reakcji chemicznych oraz Roman Aftanazy za dzieło „Materiały do dziejów rezydencji”.

8.12.94

Nagrody Polskiego PEN-Clubu: Zofia i Kazimierz Romanowiczowie z Paryża otrzymali Nagrodę Edytorską za zasługi dla polskiej kultury, Andrzeja Krzysztofa Kunerta otrzymał Nagrodę im. Jana Strzeleckiego za studia

historyczne okresu 1939-44, ze szczególnym uwzględnieniem „Kalendarium. Powstanie Warszawskie”. ■ Szef Urzędu Rady Ministrów, Michał Strąk, podtrzymał decyzję swojego poprzednika z września 1993 r. dotyczącą przekazania zespołu klasztornej w Supraślu cerkwi prawosławnej.

10. 12. 94

Założone Stowarzyszenie Pracowników Rozgłośni Polskiej RWE jest na etapie rejestracji. Na prezesa honorowego zaproszono Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Sekretarzem wykonawczym jest p. Alina Perth-Grabowska. Członkami Stowarzyszenia mogą być osoby, które przynajmniej trzy lata pracowały na etacie lub stale współpracowały z Rozgłosnią. Stowarzyszenie zamierza utworzyć klub i muzeum RWE, wydawać kasety dźwiękowe i video związane z historią RWE, oraz opiekować się archiwami RWE.

20. 12. 94

W Warszawie odbyło się uroczyste rozdanie nagród za rok 1994 im. św. Brata Alberta — Adama Chmielowskiego.

ZACHÓD — EMIGRACJA

5. 11. 94

W Nowym Jorku odbył się Piąty Doroczny Międzyreligijny Koncert Pamięci zorganizowany przez Międzyreligijny Komitet Pamięci (*Interfaith Committee of Remembrance*). Komitet ten skupia głównie Żydów, Ormian i Kościół episkopalny. Podczas koncertu wręczono trzy tegoroczne nagrody Komitetu, m.in. historykowi Lucjanowi Doboszyckiemu, profesorowi w Żydowskim Instytucie Historycznym-Yivo Institute. Nagrodę tę otrzymał w uznaniu zasług w udokumentowaniu dziejów zagłady Żydów polskich. Na prośbę profesora nagrodę wręczył mu w imieniu Komitetu konsul generalny RP w Nowym Jorku, Jerzy Surdykowski.

19. 11. 94

Walny Zjazd Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja” podjął uchwałę o zakończeniu działalności ruchu i jego rozwiązaniu. Walny Zjazd wyszedł z założenia, że z chwilą odzyskania niepodległości i wprowadzenia demokracji w Polsce cele NiD-u zostały spełnione. Zjazd powołał komisję likwidacyjną zalecając jej m.in. pieczę nad archiwami oraz wydanie historii dorobku NiD-u.

22. 11. 94

P. Lucjan Kindlein zrezygnował ze stanowiska naczelnego dyrektora Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie. Do czasu powołania nowego dyrektora fundacja będzie zajmował się p. Stefan Soboniewski.

1. 12. 94

Fundacja Jana Pawła II oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski organizują od 19 czerwca do 8 lipca 1995 r. kolejny Uniwersytet Letni Kultury Polskiej w Rzymie. Program obejmuje historię Polski, myśl religijno-moralną

Jana Pawła II, społeczno-gospodarczą sytuację Polski, literaturę i sztukę w Polsce i na emigracji i panoramę Polonii świata. Koszt uczestnictwa łącznie z mieszkaniem i wyżywieniem w Domu Polskim oraz wycieczkami wynosi 900 dolarów US (studenci 750). Przejazd do Rzymu na koszt uczestnika. Przy zapisie obowiązuje przedpłata w wysokości 300 dol. Zgłoszenia należy kierować do dn. 31 marca 1995 na adres: Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, Via di Porta Angelica 63, 00193 Roma, Italia, tel./fax. 39(6) 686 18 44.

8. 12. 94

W Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu odbył się wieczór poświęcony przekładom z poezji polskiej na język francuski od Mickiewicza do poetów współczesnych. W wieczorze wzięli udział poeci i tłumacze: Jacques Donguy, Krzysztof Jeżewski, Maryla Laurent, Roger Legras, Marian Pankowski i Ewa Bienkowska. Zebraniu przewodniczył p. Michał Masłowski z uniwersytetu w Nancy.

11. 12. 94

Zmarł w Edynburgu gen. Stanisław Maczek w wieku 102 lat. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w Holandii w Bredzie. Trumna została złożona do grobu na cmentarzu wojennym Dywizji.

14. 12. 94

W Domu Polskiego Kombatanta w Paryżu odbył się odczyt Andrzeja Bogusławskiego na temat „Jak zostałem kombatantem”.

Kronika kanadyjska

W bibliotece University of Toronto otwarta została 8 grudnia 1994 r. wystawa *Masters of Polish Ex-Libris*, na której kilkunastu polskich artystów-grafików mieszkających w Kanadzie zaprezentowało swoje prace. ■ Polityka wielokulturowości znalazła się pod ostrzałem nie tylko opozycyjnej Partii Reformy, ale też różnych publicystów, rzeczników organizacji społecznych. Zdaniem pani Finestone, ministra wielokulturowości, ataki te skierowane są przeciwko zasadniczym założeniom, na których opiera się państwo obywateli pochodzących z różnych grup etnicznych. Społeczeństwo kanadyjskie jest wielokulturowe a polityka rządowa ma na celu umocnienie i rozszerzenie procesu adaptacji imigrantów. Opozycja twierdzi, że rządowa polityka popierania grup etnicznych nie służy adaptacji ale separacji. ■ University of Toronto Press wydało pomnikowe dzieło prof. P.R. Magocsi, dyrektora Multicultural History Society of Ontario, „Atlas historyczny środkowo-wschodniej Europy” (*Historical Atlas of East Central Europe*). Ta encyklopedyczna praca prezentuje dzieje tego obszaru terytorialnego od zamierzchłych czasów, tj. od ok. 400 r. do 1992 r. Książkę omówimy obszerniej w najbliższym numerze. ■ Dr Piotr Wróbel, nowo mianowany profesor historii

Polski na University of Toronto, przedstawił na seminarium Centrum Studiów Rosyjskich i Wschodniej Europy pewien rozdział polityki sowieckiej. Mówił o Polakach deportowanych w północnej Rosji w latach 1939-45. ■ Polskie Stowarzyszenie Stulecia 1995 w Edmonton, Alberta, ogłosiło konkurs na rzeźbę dla uczczenia stulecia osadnictwa polskiego w prowincji Alberta. Konkurs jest otwarty dla wszystkich kanadyjskich artystów. Projektowany koszt dzieła z materiałem wynosi \$ 125.000. Zgłoszenia na konkurs przyjmowano do 5 stycznia 1995 r. ■ 6 grudnia w Toronto zmarł w wieku 86 lat Władysław Gertler, jeden z najaktywniejszych działaczy polonijnych, emigrant z fali żołnierskiej. Przybył do Kanady w 1951 r. i od 1956 r. był we władzach Kongresu sekretarzem generalnym, następnie wiceprezesem, po czym przez trzy kadencje od 1974 do 1980 prezesem. Był organizatorem i pierwszym przewodniczącym Rady Światowej Organizacji Polaków Wolnego Świata. ■ Na zaproszenie Ośrodka Studiów Rosyjskich i Wschodnioeuropejskich Uniwersytetu w Toronto dr Jarosław Hryciak z Instytutu Badawczego Historii Uniwersytetu Lwowskiego przedstawił wyniki badań ludności Ukrainy, tj. jej tożsamości socjalnej i narodowej. Niepodległość państwa jest przyjęta i uznana powszechnie, ale... I tak pewna liczba ankietowanych widziała Ukrainę tylko dla Ukraińców, a inni dla wszystkich jej mieszkańców. Poważne różnice w nastawieniu do wszystkich zagadnień występują nie tylko między zachodnią i wschodnią częścią kraju. Różnice występują także np. między miastami i wsiami. Badania wykazały rozwój tożsamości regionalnej, nostalgię za małymi miastami i miasteczkami. Regionalizm ma silne podłoże socjalne i gospodarcze. Wielkie miasta — jak wynika z ankiet — zmierzają do „odrębności”, wydzielonej jednostki administracyjnej. I tak np. 70 % badanych we Lwowie jest za odrębnością. Zarejestrowano „sowieckiego człowieka” jako tożsamość narodową. Występuje on przede wszystkim we wschodniej Ukrainie i głównie u osób w wieku około 70 lat i starszych oraz młodych, wkraczających w życie. Ludność ośrodków przemysłowych mniej akcentuje tożsamość narodową. Reasumując, dr Hryciak wywodził, że różnice i rozbieżności istniejące w omawianych sprawach między wschodnią i zachodnią częścią Ukrainy, między miastami a wsią nie stanowią zagrożenia dla państwa, jego jedności. Problemy, które przedstawił, są ważne, ale najważniejsza jest sytuacja gospodarcza kraju. Ona zadecyduje o przyszłości Ukrainy.

B. H.

Listy do Redakcji

4.12.1994

Drogi Panie Redaktorze,

W artykule „Rozsądek i sprzeczności «Strategii dla Polski»” omyłkowo podałem 0,4 % jako podatek solidarnościowy we Francji. Tymczasem podatek na rzecz ubogich wynosi tutaj 2,4 % zarobków, a w rzeczywistości jeszcze więcej, ponieważ — jak pisałem — nie jest on odliczany od dochodów podlegających powszechnej ocenie fiskalnej. Oznacza to, że każdy zatrudniony w pełnym wymiarze czasu poświęca dla ubogich godzinę pracy tygodniowo. Dodajmy, że rozważany jest projekt zwiększenia tego podatku, na początek o połowę.

Przepraszam za błąd i serdecznie pozdrawiam —

Robert KACZMAREK

Warszawa, 8.12.94.

Panie Redaktorze,

W felietonie opublikowanym w numerze 10/94 *Kultury Smech* napisał m.in.: „Jest też w *Gazecie Polskiej* stały kącik antysemitki pod szyldem «Dosyc»”.

Rubryka „Dosyc” jest mego pomysłu i autorstwa. Nie potrafiłem przejść obojętnie wobec wielkiej ilości materiałów nadsyłanych przez poważne organizacje polonijne, głównie zaoceaniczne. Zawierają one dokumentację coraz bardziej rozpowszechnianych — w formie „stwierdzenia faktów” a nie opinii — głosów o Polsce i Polakach. Są to głosy z najrozmaitszych publikacji, także największych i w całym świecie znanych.

Pragnę zapytać czy niezgoda na twierdzenia w rodzaju: „polsko-nazistowskie obozy śmierci”, „Polacy wymordowali 3,5 miliona Żydów”, „Polacy byli gorsi od hitlerowców”, „AK była faszystowską organizacją, która zamiast walczyć z nazistami zajmowała się mordowaniem partyzantów komunistycznych i żydowskich oraz lotników sowieckich”, 6.06.1944 w Normandii Polacy walczyli u boku Niemców przeciw alianantom itp., itd. stanowi, zdaniem Redakcji, przejaw antysemityzmu?

Czy według Redakcji, suche cytowanie podobnych konstatacji jest objawem chorobliwego „poszukiwania spisków”?

Pragnąłbym też ustalić co, zdaniem Smecza, byłoby wyrazem postawy antysemityzmu przeciwnej: głosów takich ignorowanie czy też może podpisywanie się pod nimi?

Zdanie felietonisty *Kultury*, iż bezkompromisowy antykomunizm równa się komunizmowi, a więc Józef Mackiewicz jest „lustrzanym odbiciem” Wandy Odolskiej, a nienawiść do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego jest naganna, to kwestia opinii, zresztą mało oryginalnej.

Stwierdzenie wszakże, iż redaguję rubrykę antysemityczną, to potwarz i zapierający dech w piersiach fałsz. Historyczne zaślepienie autora nie może tu stanowić usprawiedliwienia.

Przynajmniej od roku 1981 opublikowałem bardzo wiele. Nigdzie jednak nie odnajdzie się w tych tekstach ani jednego SŁOWA antysemitycznego, podobnie jak antyukraińskiego, antylitewskiego czy antyrosyjskiego. Rozumiem, że uznanie, iż prawica, jak to ujmuje „bęcwałowata”, może być wyłącznie antybolszewicka, mogłoby stać się dla Smecza źródłem frustracji. Przyznaję się do tego feleru a poddawanie go psychoanalizie wydaje się marnowaniem czasu. Cierpiełem bowiem nań od dziecka. Niezależnie od tego kto i jak rządzić będzie w Polsce nie zaprzestane ideowej walki z tymi, którzy do komunizmu podchodzą będą z nastawieniem typu „problem jest złożony”.

Nie sądzę, by był to przejaw frustracji, nietolerancji i nienawiści, i to niezależnie od tego w jakiej kolejności przywoła się te terminy z repertuaru współczesnej nowomowy.

Gazeta Polska ma niewątpliwie liczne braki. Nie jest jednak niczym organem, w tym „obozu nacjonalizmu polskiego”. Owa tajemnicza „ideowa czystość”, o której pisze Smecz, to niezgoda na to co symbolizuje coraz powszechniej używane określenie „PRL-bis” (jestem jego współautorem).

Ta, a nie inna „skrajność” łączy zespół wywodzący się z rozmaitych nielewicowych orientacji. Ja, na przykład, nie miałem nigdy nic wspólnego z ideologią narodową, a jeśli miałbym przywoływać swe sympatie historyczne, to wiązałyby się one z osobą i działalnością niepodległościową pierwszego Marszałka II Rzeczypospolitej.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że owo niepostępowe „oczekanie antykomunizmem” stanowić może dla niektórych niewątpliwy dowód prowincjonalizmu i zacofania. Ostatecznie, w najnowszej historii europejskiej, to nic nowego.

Jacek KWIECIŃSKI

Sztokholm, 4 listopada 1994

Szanowny Panie Redaktorze,

ucieszyło mnie, że przyznanie wysokich polskich odznaczeń Gerdzie i Svenowi Grafströmom zostało zauważone przez redaktora *Wydarzeń*

miesiąca, martwi mnie jednak, że przy okazji zostały popełnione dwa błędy, chyba zawinione przez źródła wiadomości.

Po pierwsze — poselstwo szwedzkie w Warszawie zostało ewakuowane nie 28 września 1939 r. ale wcześniej, 21 września, tj. w czasie oblężenia.

Po drugie — Sven Grafström wrócił do Warszawy nie 8 listopada 1939, lecz 12 owego miesiąca, władze niemieckie nie chciały jego obecności w dniu polskiego święta państwowego.

Obydwie daty można sprawdzić w mojej publikacji „Polski dziennik Svena Grafströma” w *Zeszytach Historycznych* Nr 60, 1982. Są to ostatecznie drobiazgi, ale biorąc pod uwagę autorytet *Kultury*, może się zdarzyć, że błędy zostaną powielone, a to może prowadzić do kolejnych pomyłek i błędów.

Józef LEWANDOWSKI

Sydney, 29.09.1994

Szanowny Panie Redaktorze!

CZY POLACY UMIEJĄ LICZYĆ?

W rocznicę tzw. demokratycznych wyborów (patrz *Kultura*, sierpień 1994, str.160) gnębi mnie dalej pytanie: czy Polacy umieją liczyć? Jeżeli tak, to czemu wymyślili specyficzną chyba tylko dla Polski ordynację wyborczą, której skutki, tak jak niewola po rozbiorach, mogą trwać przez dziesiątki lat. Aby nie być gołosłownym popatrzymy, co się stało.

Aby zmniejszyć ilość partii w parlamencie ustalono progi wyborcze — 5 procent dla partii i 8 procent dla koalicji. Głosy oddane na partie, które tych progów nie osiągnęły, rozdzielono w formie premii na inne partie, które te progi przekroczyły. Wskutek tego procesu *pierwsze* dwie partie SLD i PSL otrzymały *aż o 80 procent miejsc w parlamencie więcej*, a pozostałe dwie partie nie uzyskały żadnego dodatkowego miejsca. Ponieważ w Polsce nie ma obowiązku brania udziału w wyborach, więc ostateczny wynik tego „demokratycznego procesu” był następujący. Na dwie pierwsze partie głosowało tylko około 20 procent wyborców; partie te uzyskały około 40 procent głosów (a więc większość głosów), zaś miejsc w parlamencie ponad 70 procent, czyli większość konstytucyjną. Tak to „demokratycznie” mamy parlament, który może uchwalić konstytucję, jaką chce, wprowadzać uchwały i osoby, przypominające dawne porządki, a przy istniejącej ordynacji wyborczej utrzymać się latami.

W czasie niedawnego spotkania na Uniwersytecie Macquarie w Sydney była premier, Hanna Suchocka w odpowiedzi na moje pytanie w tej sprawie przyznała, że ona również przyczyniła się do uchwalenia tej dziwnej ordynacji wyborczej. W tej sytuacji warto by jakiś doświadczony

politolog zabrał głos na łamach *Kultury* i wyjaśnił co następuje:

- 1) na czym właściwie polega polska ordynacja i skąd się wzięła;
- 2) czy partie polityczne przed uchwaleniem ordynacji analizowały rozmaite kombinacje głosów i miejsc w parlamencie;
- 3) czy taką analizę przeprowadzono także przed wyborami;
- 4) czy jest szansa zmiany obecnej ordynacji wyborczej.

Zwracam się z tą propozycją do *Kultury*, bo nie udało mi się tutaj uzyskać odpowiedzi od redaktorów tutejszych mediów, a nie sposób studiować całą prasę krajową. Wydaje mi się także, że wprowadzenie w kraju obowiązku głosowania (oraz płacenia kary za niebranie udziału w wyborach tak jak jest w Australii) mogłoby skorygować rezultaty wyborów nawet bez zmiany ordynacji. Chyba warto, by o tym podyskutować właśnie teraz, przed uchwaleniem konstytucji i wyborami prezydenckimi, aby nie stało się prawdą powiedzenie, że „Polak przed szkodą i po szkodzie głupi”.

Z poważaniem

Jerzy MOSKAŁA

Wilmington, Delaware, USA

W książce „Opozycja polityczna w PRL 1945-1980” jej autor, Andrzej Friszke, pisze powołując się na rozmowę Jana Józefa Lipskiego, że Melchior Wańkowicz przekazał w 1965 roku „znaczącą kwotę pieniędzy” na potrzeby akcji pomocy dla represjonowanych opozycjonistów i ich rodzin.

Pragnę poinformować gwoli uzupełnienia, że pisarz regularnie potem przekazywał pewne sumy pieniędzy dla tejsze kasy pomocy, a tuż przed śmiercią, w 1974 roku, przekazał Janowi Józefowi Lipskiemu i Janowi Olszewskiemu znaczącą sumę na ten sam cel. Piszę o tym w swojej najnowszej książce „Ulica Żółtego Strumienia” (Dom Książki w Warszawie).

Chętnie dzielę się tą wiadomością po dwudziestu latach, jakie minęły od śmierci autora „Monte Cassino” nie tylko by pokazać pełniejsze oblicze pisarza, ale by także podkreślić hojność i anonimowość jego czynu.

Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

MARC S. FRANCISZKOWSKI

LETTRES SLAVES

LIBRAIRIE — EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS

Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową

Na życzenie wysyłamy katalogi

KSIĄŻKI POLSKIE ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Elżbieta i Witold J. Zahorscy, Rzym — Paryż — w 6-tą rocznicę śmierci Męża i Ojca Witolda Zahorskiego	F.	500,00
Henryk Zegadło, Soller, Majorka, Boleary (Hiszpania), po raz 5-ty — DM 15,00	F.	51,00

Dla uczczenia pamięci nieludzko straconych w Derarnem, powiat Równe, Stryjostwa, kuzynki Jadwigi, kuzyna Jerzego i dwóch sierot przygarniętych przez nich w 1939 r. — na pomoc dla Polaków na Wołyniu	F.	500,00
C. Wałuk, Kitchener, ON (Kanada) — na pomoc Polakom w Rosji	F.	157,00

DZIĘKUJEMY

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1995.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1995			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessestrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 485 — WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



TOM 487 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DZIESIĄTY

zawiera opracowania: E. Pałasz-Rutkowska - A. T. Romer: *Współpraca polsko-japońska w czasie II wojny światowej*; J. Łaptos, G. Mazur: *Kampania wrześniowa w świetle raportów belgijskiego attaché wojskowego w Berlinie*; E. Kossoy: *Gęsiówka (KZ Warszaw)*; A. Grzywacz, G. Mazur: *Ruch prometejski w Polsce*; B. Skaradziński: „*Telefony*” *Lenin-Piłsudski*; T. Mianowicz: *Archiwa, media, postkomunizm (Uwagi historyka)*; S. S. Nicieja: *Pośmiertne życie polskiego Lwowa*; A. Essen: *Rozmowa Benesz-Beck (3 lutego 1933 w Genewie)*; T. Wyrwa: *Zeszyty Historyczne WiN-u*; J. Łaptos: *Przyczynek do biografii A. Mühlsteina*; Jerzy Stempowski o *Żydach*; H. Świdorska: *1944: Jak zdobyć „brytyjskie informacje” z Polski*; J. R. Krzyżanowski: *To nie sztuka zrobić KUK-a*; M. Kruszewska: *Panna Maria, Teksas czyli Polacy na uranie*; Z.S. Siemaszko: *Rosyjski wiersz o wyjeździe armii gen. Andersa*; J. Kowalewski: *Lista profesora — komendanta Akapjana*.
WOLNA TRYBUNA. LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.